

DAVID WEBER
LINDA EVANS

OGNIE PIEKIEL



KSIĘGA DRUGA

David Weber Linda Evans

Multiwersum #2 Ognie piekiel

tom II

Księga Druga

(Hell hath no fury) Tłumaczenie: Grzegorz Komerski

Dla Megan, Morgana i Mikey Paula, którzy dzielnie wytrzymują ze swoim tatą. Widzicie? Ja naprawdę nad czymś pracowałem!

Dla Davida i Aubrey, dla Boba i Susan oraz dla tych wszystkich ludzi, którzy podtrzymują mnie na duchu kiedy nie mam już serca do niczego.

DAVID WEBER – autor bestsellerowego cyklu książek o Honor Harrington, powieści In Fury Born i 1633 (z Erikiem Flintem) oraz wielu innych. We współpracy ze Steve'em White'em napisał Powstanie, Krucjatę i W martwym terenie oraz jeszcze jeden bestseller z listy New York Timesa Opcję Siwy, które to powieści osadzone zostały w realiach gry strategicznej Starfire. David Weber współpracował również z innymi autorami np. z Johnem Ringo, z którym stworzył cykl Imperium Człowieka

LINDA EVANS – autorka, wspólnie z Johnem Ringo napisała The Road to Damascus a z Robertem Asprinem cztery powieści z cyklu Time Scout dla wydawnictwa Baen. Z Asprinem współpracowała też przy niedawno wydanej książce For King and Country. Linda Evans jest ekspertem od uzbrojenia, zarówno współczesnego jak i dawnego, z której wiedzy korzysta szeroko tworząc SF. Jest także autorką powieści Far Edge of Darkness (wyd Baen) i kilku nowel wydanych w popularnej serii wydawnictwa Baen – Bolo. Mieszka w Archer na Florydzie.

Rozdział 1

–I jak się w tym tygodniu miewa twój trudny pacjent? – spytał regimentarz Namir Velvelig, odwracając się od okna swojego gabinetu, przez które wyglądał na dziedziniec Fortu Ghartoun. Kapitan Golvar Silkash kończył właśnie składać dowódcy szczegółowe sprawozdanie, dotyczące stanu zdrowia rannych.

–Pyta pan o naszego drogiego Hadrigna Thalmayra? – starszy oficer medyczny fortu skrzywił się i po chwili milczenia wzruszył ramionami w geście łączącym w sobie bezradność, irytację i pełgającą gdzieś wewnątrz złość. – Prawda jest taka, regimentarzu – ciągnął – że Tobis ma z każdym dniem coraz mniej wątpliwości: ten obcy posiada wrodzony Talent. I to bardzo silny. Uważam osobiście – i tu proszę o wybaczenie – że biorąc pod uwagę jego bezdenną głupotę, jest to ogromne marnotrawstwo Talentu. I tym by pozostało, nawet, gdyby Thalmayr miał choć blade pojęcie czym są Talenty.

–Dobrze, już dobrze Silky. Spokojnie – Velvelig delikatnie napomniał podwładnego. – Znamy się już od bardzo dawna i nie ma potrzeby, żebyś skrywał swoje zdanie o naszym gościu pod aż tak grubą warstwą eufemizmów.

Mimo powagi niezmiennie malującej się na jego obliczu, Silkash wydał z siebie dźwięk na pograniczu parsknięcia śmiechem i stłumionego chichotu. Niemniej, całe jego rozbawienie przysło już chwilę potem. Żołnierz pokręcił głową.

–Szczerze mówiąc, regimentarzu, przypadek Thalmayra to dla nas wszystkich potworna porażka. Nie wiem, co mamy z nim zrobić. O ile Tobis i ja – młodszy kapitan Tobis Makree był silnie Utalentowanym asystentem pozbawionego Talentu Silkasha – jesteśmy to w stanie stwierdzić, on jest święcie przekonany, że wszelkie nasze wysiłki mające na celu jego Uleczenie są jakąś wyrafinowaną formą prania mózgu, czy też psychicznych tortur.

–Jednym słowem: nie dość, że idiota, to jeszcze wariat?

–Bardzo chciałbym, żeby jego przypadek można było tak prosto podsumować – Silkash raz jeszcze pokręcił głową. – Problem jednak polega także i na tym, że jego Talent jest na tyle silny, iż stawia nam potężny opór, nawet bez jego świadomego udziału. I przez to udało mu się skutecznie ograniczyć pole działania Tobisa, który cały czas stara się opanować jego ból. Doprowadził nawet do tego, że spadło tempo Leczenia jego fizycznych obrażeń. Przez te wewnętrzne blokady

Thalmayra, Tobis nie był także w stanie dobrać się do miejsca w psychice, które odpowiada za jego tendencje samobójcze, i to...

–Nie musisz mi mówić – przerwał Velvelig. – Nie udało się wam standardowymi metodami, więc Tobis musiał się uciec do bardziej zdecydowanych sposobów, co tylko jeszcze pogorszyło sprawę, mam rację?

–Co do joty – przytaknął Silkash. – Nie mieliśmy wyboru. Inaczej nie dalibyśmy rady utrzymać go przy życiu. Postanowiliśmy się do niego włamać i Tobis to zrobił... przebił się, mimo silnego i zawziętego oporu Thalmayra. I pomimo tego, że strach i walka pacjenta rzeczywiście sprawiła, że wysiłki Makree mogły zostać odebrane, przez osobę nieposiadającą odpowiedniej wiedzy, jako coś przypominającego jakiś szczególny rodzaj mentalnych tortur.

–No to cudownie – Velvelig ściągnął usta i ponownie wyjrzał przez okno.

Gdyby nie zrzucano na jego barki problemu Hadrigna Thalmayra, czułby się w tej chwili o wiele lepiej. Regimentarz nie lubił słabych, rozpieszczonych i delikatnych ludzi. Żaden Arpathianin nie lubił podobnie ukształtowanych osób. Stanowiło to część ich dziedzictwa kulturowego. A w tym, konkretnym wypadku... Koszmarna i fatalna w skutkach postawa Thalmayra jako dowódcy, skutecznie zapobiegała pojawieniu się w sercu Velveliga choćby cienia współczucia wobec ранnego Arkanianina. Niestety ani tradycje, ani prywatne osądy nie zwalniały oficera z obowiązku zapewnienia jeńcowi odpowiedniej opieki medycznej. „Tylko, że ten

pieprzony idiota nie pozwala sobie zapewnić niczego!” – pomyślał ze złością.

–Czy możemy zrobić cokolwiek, co mogłoby jeszcze jakoś odmienić jego obecny stan? – spytał na głos.

–W tej chwili? – Silkash wzruszył ramionami. – Nie sądzę. W zasadzie doszedłem do wniosku, że najlepszym pomysłem na następnych kilka tygodni, byłoby zostawić go w spokoju. Fizycznie jest już prawie zupełnie zdrowy – przynajmniej jak na człowieka, który już nigdy nie będzie chodzić. Z resztkami bólu powinniśmy sobie poradzić za pomocą samych ziół, bez konieczności uciekania się do pomocy Uzdrowiciela. Pomyślałem więc, że skoro tak, to nie będziemy posyłać do niego Tobisa i odczekamy aż się uspokoi. Zastąpią nas przy nim pielęgniarze. – I naprawdę sądzisz, że to w czymś pomoże?

–Nie wiem. Szczerze powiedziawszy, wątpię. Ten kretyń okopał się zbyt głęboko. Ale po prostu nie widzę żadnych innych możliwości postępowania. Co więcej, jeżeli nie uda nam się do niego w najbliższym czasie dostać, to będę zmuszony zalecić odesłanie go w górę łańcucha. Tobis jest dobry w swoim fachu, a i ja – przy całej skromności – nie jestem najgorszym z chirurgów, ale nie oszukujmy się. Bliżej Sharony można znaleźć o wiele lepsze szpitale i specjalistów z większym doświadczeniem niż nasze, w podobnych przypadkach. – Rozumiem.

Velvelig splótł dłonie na plecach i zakołysał się powoli na piętach, w przód i w tył. Trwał tak przez chwilę, po czym skinął głową, jakby potakując własnym myślom.

–A zatem, dobrze – powiedział i znów odwrócił się od okna. – Napisz to w formie oficjalnego zalecenia i ja ci to zatwierdzę. Szczerze powiedziawszy, to ulży mi, gdy już się pozbędziemy tego garba.

–Nie sądzę, żeby znalazło się wielu ludzi, którzy nie podzielą pańskich uczuć – zapewnił go Silkash. – Świetnie, w tej sytuacji...

–Pan chciał się ze mną widzieć, regimentarzu?

Velvelig urwał w pół zdania. Przez znajdujące się za plecami siedzącego Silkasha drzwi, wsunął głowę starszy zbrojny Folsar chan Tergis. Starszy zbrojny wydawał się żyć w błogiej nieświadomości faktu, że przerywanie spotkania dowódcy, stanowi w wojsku poważne faux pas. Zdawało się też, że zupełnie nie wie, iż najbardziej nawet elementarne zasady dobrego wychowania wymagają, by przynajmniej zapukać, zanim otworzy się bez zapowiedzi drzwi przełożonego.

Sądząc po minie, kapitan Silkash z kolei, dobrze znał te wszystkie niuanse militarnej etykiety. Ewentualnie właśnie przed chwilą połknął sporego pająka. Innej możliwości nie było, gdyż chirurg miał poważne kłopoty z oddychaniem.

Natomiast, wyraz twarzy Velveliga nie zmienił się ani trochę i pozostał poważny – zdolność zachowywania kamiennego oblicza była cechą wspólną wszystkim Arpathianom – mimo wewnętrznego rozbawienia, które z pewnością występ chan Tergisa zdołał w nim wywołać. Starszy zbrojny wielu ludziom nie wydałby się osobą szczególnie komiczną, ale Velvelig nie potrafił sobie wyobrazić nikogo, kto byłby bardziej niż on daleki od idealnego wizerunku zawodowego

żołnierza. Zresztą nie było w tym nic dziwnego, gdyż mimo części „chan” w nazwisku, chan Tergis nigdy nie zamierzał wstępować akurat na tę ścieżkę kariery.

Ternathianin był niski (w każdym razie jak na Ternathianina) i raczej przysadzisty. Nie dawało się też nie spostrzec, że był zanadto pulchny. Twarz miał okrągłą i prostolinijną, o niebieskich oczach, które nigdy nie skupiały się jednocześnie na tym samym przedmiocie. Jego włosy koloru słomy zawsze wyglądały tak, jakby należało je przystrzyc już jakiś tydzień temu i nie przestawiały sprawiać takiego wrażenia nawet, gdy dopiero co wyszedł od fryzjera. W dodatku do tych cech, w odróżnieniu od wszystkich innych Głosów, których Velvelig miał okazję spotkać, chan Tergis odznaczał się szczególnym upodobaniem do butelki. W chwilach, kiedy oddawał się tej słabości, jego zazwyczaj pacyfistyczne i spokojne usposobienie przeradzało się w zachowanie przypominające wybryki niezbyt utalentowanego, ale za to bardzo entuzjastycznie do swego fachu nastawionego boksera, co niekiedy przywodziło Velveligowi na myśl stare porzekadło o słoniu w składzie porcelany.

I to właśnie te dwie ostatnie wymienione cechy wyjaśniały, co chan Tergis robił w Forcie Ghartoun w mundurze żołnierza SZZP. Najpierw, stan alkoholowego upojenia odegrał niepoślednią rolę w doprowadzeniu telepaty do drzwi punktu werbunkowego, a następująca w jakiś czas potem seria niezbyt owocnych i niezbyt fortunnie zakończonych spotkań, z kilkoma parlamentarzystami w rozmaitych lokalach doprowadziła do tego, że odesłano go tak daleko od Sharony, jak się tylko dało.

A jednak, mimo wszystkich jego wad – a sami bogowie wiedzieli, że miał ich legion – z dwóch powodów udało mu się zachować stopień podoficera. Pierwszym z nich było to, że kiedy był trzeźwy (a trzeba mu oddać, że w takim stanie spędzał jednak większość życia) był ciężko pracującym, punktualnym i odpowiedzialnym żołnierzem. Po drugie, mimo, iż długotrwałe, nadmierne spożywanie alkoholu prowadziło zazwyczaj do zaniku wszelkich Talentów, Głos chan Tergisa cały czas pozostawał niewiarygodnie silny i mocny.

Bez względu jednak na siłę jego Talentu, tuziny oficerów połamały sobie już zęby, starając się, uczynić z niego żołnierza wyglądającego i zachowującego się jak na podoficera przystało. Pożądanego skutku nie wywierało nic. Chan Tergis, po prostu nie był w stanie zrozumieć – a w każdym razie nie potrafił podporządkować się – jakimkolwiek, wykraczającym poza absolutne minimum, zasadom wojskowego regulaminu i zachowania na służbie.

–Tak, zbrojny, rzeczywiście chciałem – odpowiedział Velvelig. Chan Tergis skinął i ciekawie pochylił głowę na bok.

„Nie, to jednak niemożliwe, żeby on był aż taki ciemny” – nie po raz pierwszy przemknęło regimentarzowi przez myśl. „Nie można być tak inteligentnym jak on i nie być jednocześnie w stanie pojąć kilku prostych reguł. Jemu się chyba po prostu nie chce.”

Gdyby Velvelig miał, choć cień podejrzenia, że wyniknie z tego cokolwiek dobrego, z radością zmusiłby chan Tergisa do zaakceptowania tych reguł, za pomocą którejś z form regulaminowej przemocy. Niestety, determinacja, z jaką starszy zbrojny starał się o tytuł najbardziej zgrzytającego trybu w maszynie wojennej Sharony, wydawała się niezwyciężona. Poza tym, mimo, że zachowanie telepaty często regimentarza irytowało, to jednak bywało, na swój szczególny sposób, ujmujące.

–Z jakiejś szczególnej przyczyny, regimentarzu? – zapytał chan Tergis po kilku sekundach milczenia.

–Jeśli raczysz mi dać chwileczkę, zaraz do tego przejdziemy – zapewnił Velvelig i spojrzał na Silkasha. Pająk w gardle chirurga starał się ze wszystkich sił wyjść przez nos. Tak przynajmniej można było pomyśleć, widząc niepokojący odcień, jaki przybrało oblicze Uzdrowiciela i słysząc świszczące odgłosy, jakie zaczął z siebie wydawać.

–Proszę mi wybaczyć, kapitanie – powiedział Velvelig z godną podziwu powagą w głosie, który prawie wcale nie zabrzmiał tłumioną wesołością. – Wydaje mi się, że powinienem teraz poświęcić chwilę starszemu zbrojnemu.

–Oczywiście, regimentarzu – Silkashowi udało się wstać. – Za pańskim pozwoleniem? – dodał dziwnie zduszonym tonem. Velvelig skinął głową.

–Możecie odejść, kapitanie – powiedział i Silkash zniknął. Śmiechem, który tłumił przez cały czas od pojawienia się chan Tergisa, wybuchnął dopiero, gdy zamknął za sobą drzwi gabinetu komendanta.

Velvelig usłyszał dochodzące z korytarza dziwne dźwięki, pokręcił głową i zwrócił się na powrót do chan Tergisa.

–A zatem jesteś – powiedział. Starszy zbrojny skinął głową i regimentarz przyjrzał mu się uważniej. Przeszedł przez pokój i zajął miejsce za biurkiem. Kiedy oparł się wygodnie na krześle cała wesołość, jaką czuł jeszcze chwilę temu, przysła jak bańka mydlana.

–Zaczynam się denerwować – oznajmił podkomendnemu.

–Denerwować, regimentarzu? – powtórzył Ternathianin.

–Tak. Ile już czasu upłynęło od chwili, gdy otrzymałeś ostatni przekaz od kapitana chan Tesha?

–Siedemdziesiąt sześć godzin i... – chan Tergis wyciągnął z kieszeni zegarek i otworzył jego kopertę -...czterdzieści trzy minuty.

–Rozumiem – Velvelig pochylił głowę i delikatnie wydał wargi. Zrozumiał, że chan Tergisa dręczy ten sam niepokój. – A próbowałeś się może, zbrojny, skontaktować z młodszym kapitanem Baulwanem albo młodszym kapitanem Trayganem? – spytał.

–Szczерze mówiąc, to tak – odpowiedział powoli chan Tergis. Zamknął z trzaskiem zegarek i schował go do kieszeni. – Oczywiście, że tak. Poprosiłem nawet Lamira llthyra, żeby skontaktował mnie z Erthekiem Vardanem albo młodszym kapitanem chan Lyroskiem z Fortu Brithik.

–I z nimi także nie udało się wam połączyć? – głos Velveliga zabrzmiał o stopień ostrzej niż przed chwilą.

–Nie, regimentarzu – pocziwe, błękitne oczy chan Tergisa spojrzały niecodziennie ostro. Pokręcił głową. – Oczywiście, mówiąc otwarcie, nie jest to pierwszy raz, kiedy Lamir miałby kłopoty z Usłyszeniem któregoś z nas – dodał. – On jest niewiele tylko starszy od Ertheka, a jego Talent jest o wiele słabszy od tego, którym dysponują młodsi kapitan Baulwan czy Rokam Traygan. Szczерze mówiąc uważam, że obarczono go zbyt ciężkim zadaniem – wzruszył ramionami. – Sam pan wie, jak bardzo nasza sieć jest w tym łańcuchu rozciągnięta. Kiedy postanowiono, że kapitan Halitu powinien mieć do dyspozycji telepatę o silniejszym Talencie, naprzód wysłano z Brithik Baulwana, ale już wtedy wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że będą z tego kłopoty zwłaszcza, że do Brithik, do pracy z Erthekiem Kardanem, oddelegowano chan Lyroska. W tej sytuacji, stację przekaźnikową pomiędzy nami, a Fortem Brithik zaczął utrzymywać w pojedynkę sam Lamir i mimo, że stara się i wykazuje przy tym ogromną dyscyplinę, to jest bardzo młody. A to oznacza, że jego Talent musi jeszcze trochę dojrzeć. Tymczasem zmuszamy go do pracy na dystansie tak duże, że wystarczy coś tak drobnego jak atak alergii, żeby przestał

Słyszeć. Właśnie dlatego planujemy odwołać z Fortu Brithik Ertheka, zwłaszcza, że jest tam już teraz chan Lyrosk, i wysłać go do stacji Lamira. Żaden z nich nie jest może gigantem Talentu, ale razem powinni sobie poradzić z obsługą tych odległości.

–Ale w tym wypadku nie podejrzewasz żadnego „ataku alergii” – spytał przenikliwie Velvelig. Chan Tergis ponownie pokręcił głową.

–Nie, regimentarzu. Nie podejrzewam – przyznał. – Zasięg, na jaki Lamir jest w stanie odbierać jest krótszy niż ten, na który potrafi nadawać. Dlatego właśnie

stacjonuje bliżej Fortu Brithik niż nas. Musiałyby być naprawdę poważnie chore, żeby nie móc wysłać do mnie wiadomości. Zwłaszcza, że jeśli wprowadzi się w trans, radzi sobie jeszcze lepiej. A nigdy dotąd nie było wypadku, żeby milczał dłużej niż przez trzy dni. Zawsze wysyłał, co najmniej przekaz kontrolny.

–A czy jest możliwe, żeby zapadł na coś poważniejszego niż atak alergii? Coś, co rozłożyło go tak szybko, że nie zdążył nawet pomyśleć, żeby cię poinformować?

–Oczywiście, że to możliwe, ale jak bardzo prawdopodobne? – chan Tergis wzruszył ramionami. – Według mnie, nie bardzo. – Rozumiem – Velvelig skinął głową.

–To, co się teraz dzieje stanowi doskonały dowód na to, że nie powinniśmy utrzymywać żadnych stacji przekąźnikowych obsadzonych tylko jednym Głosem. Przecież w takich sytuacjach, kiedy jeden z nas nie może pracować, ktoś powinien go zastępować. Gdyby był tam drugi telepata, nie musielibyśmy tak żonglować Baulwanem i chan Lyroskiem. Szczerze mówiąc sami sobie ściągnęliśmy te kłopoty na głowę. Niepotrzebnie tak bardzo rozciągnęliśmy całą sieć.

–Zgadza się, starszy zbrojny – powiedział oschle Velvelig, – Niestety, tu już wchodzi w grę, te koszmarne kwestie budżetu Poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy, ilość Głosów chętnych do samotniczego życia w głuszy też nie jest nieskończona. Wręcz przeciwnie.

–Zdaję sobie z tego sprawę, regimentarzu – w głosie chan Tergisa pojawił się cień czegoś, co można było wziąć za przeprosiny. Najwyraźniej to, że Velvelig użył jego rangi przypomniało mu o formalnościach, których należało dochować rozmawiając z przełożonym... A jednak w jego spojrzeniu nadal tlił się upór.

–Nie twierdzą, że nie mieliśmy czegoś, co wydawało się dobrymi powodami, by tak rozciągnąć system – ciągnął. – Mówię tylko, że to, co wcześniej wydawało się dobrymi powodami, wcale takie nie musi być. Przynajmniej nie teraz.

–Ta kwestia, z pewnością nie umknęła uwadze dyrektora naczelnego Limany i reszty Zarządu Portali – uciął podwładnemu Velvelig. – Tymczasem my nadal nie wiemy, z jakiego powodu z dołu łańcucha nie napływają żadne raporty.

Chan Tergis przytaknął skinieniem. Velvelig zaczerpnął głęboko powietrza.

–No cóż, starszy zbrojny. Proszę, żebyś nadal próbował nawiązać łączność z Głosem Ilthyrem. Wyślij też jednak wiadomość w górę łańcucha. Chcę, żeby o tej ciszy wiedziała także góra.

–Myśli pan, że stało się coś złego, regimentarzu? – pytanie chan Tergisa zabrzmiało dziwnie, jakby w istocie było stwierdzeniem. Tak przynajmniej odebrał je Velvelig. Komendant wzruszył ramionami.

–Nie wiem, czy tak jest w istocie. Z pewnością jednak, istnieje także i taka ewentualność. Ciężko mi wyobrazić sobie sytuację, w której nikt nie przekazałby nam nawet słowa ostrzeżenia przed czymś naprawdę paskudnym, ale w świetle raportu chan Baskaya i chan Tesha nie mogę także niczego wykluczać.

–Sam nie chciałbym niepotrzebnie ryzykować, ale, regimentarzu, z Fortu Shaylar do Fortu Brithik jest niemal trzysta mil drogi. Z Brithik do Fortu Ghartoun jest tysiąc dwieście mil. Razem to prawie tysiąc sześćset mil dziczy i ledwie tylko przetartych szlaków. A stacja przekaźnikowa Lamira jest od Brithik oddalona o pięćset mil w tę stronę. Nie mogę sobie wyobrazić, kto zdołałby pokonać te odległości w ciągu trzech dni!

–Ani ja – powiedział beznamytnie Velvelig. – A przecież ledwie dwa miesiące temu nie wyobrażałem sobie broni, która miota ogniste kule, czy błyskawice. W tych okolicznościach powinniśmy się chyba przyzwyczaić do stałego poszerzania horyzontów wyobraźni, prawda? Poza tym, jeśli z jakiegoś powodu i my wypadniemy z sieci Głosów, to chciałbym, żeby ktoś to mimo wszystko zauważył. – Tak jest, regimentarzu. Rozumiem.

–Dobrze, starszy zbrojny. Dziękuję. A teraz – Velvelig przegonił podwładnego ruchem dłoni – do roboty.

Rozdział 2

–O proszę! Jeśli wolno mi zauważyć, to dopiero jest widok, który raduje zbolełe serce żołnierza!

Młodszy kapitan, Jego Wysokość książę koronny, Janaki chan Calirath ściągnął wodze, gdy wyjechali na niewielkie wzniesienie i spojrzał na starszego zbrojnego Lorasha chan Braikala, z lekko zdziwionym wyrazem twarzy.

–Oczywiście, że wolno, starszy – powiedział łagodnie. – Zresztą, trudno by mi było się z tobą nie zgodzić. Choć szczerze mówiąc, nie serce mam w tej chwili zbolełe najbardziej.

Usta starszego zbrojnego drgnęły ku górze, ale służył w imperialnej piechocie morskiej od siedemnastu lat i już jakiś czas temu nauczył się panować nad wybrykami swej twarzy... przynajmniej w pewnym zakresie.

–Wedle rozkazu, kapitanie – odpowiedział chan Braikal po chwili. – Nie chciałbym, żeby przeze mnie pan kapitan pomylił swoje narządy.

–Też mam nadzieję, że do akurat takiej pomyłki nie dojdzie, starszy – głos Janakiego brzmiał z podziwu godną surowością, ale jego oczy wesoło błyszczały. Chan Braikal parsknął krótkim śmiechem, po czym spojrzał już bardziej poważnie.

–Ale żarty na bok, kapitanie. Naprawdę się cieszę, kiedy na to patrzę – stwierdził, wskazując jednocześnie dłonią na wznoszące się, z niewiarygodnym impetem, chmury kurzu pieczone gorącym słońcem Depresji Queriz. Czarne pióropusze dymu wzbijającego się z kominów napędzanych parą koparek i buldożerów, przeplatały się z piachem i zawisały nad ziemią duszącym całunem, za którym obaj mężczyźni widzieli długą, lśniąca linię stalowych torów, ciągnących się, aż ku południowemu horyzontowi.

–Ja też się cieszę – przytknął Janaki i wyciągnął z futerału lornetkę. Przytknął ją do oczu, wyregulował ostrość i oddalona scena znalazła się tuż przed jego oczami.

Naraz ujrzał tłum, co najmniej tysiąca robotników, z których każdy uwijał się niczym cała rodzina bobrów. Buldożery i koparki przeżuwały suchą jak kość ziemię, tworząc z niej podłoże torów, ciężkie maszyny i pojazdy pchały się przez płaski teren wśród wzbijanej przez siebie mgły z kurzu i piachu. Wyglądały niczym mityczne, prychające dymem i parą potwory. Za nimi parły naprzód parowe ciągniki na gąsienicach, które zrzucały za siebie ogromne ładunki żwiru, który z kolei utwardzały i ubijały kolejne wielkie maszyny. Wtedy do pracy wkraczały następne ciągniki, na których platformach piętrzyły się stosy kolejowych podkładów i szyn. Stożący ostrożnie na górze tych stosów robotnicy, z wprawą nabraną przez długie lata doświadczeń, zrzucali elementy torów w regularnych odstępach na ziemię. Każda drewniana belka i każdy lśniący w słońcu fragment żelaznej szyny lądował dokładnie tam, gdzie powinien.

Następnie, pracujący na dole robotnicy jeszcze wyrównywali podkłady i mocowali je w utworzonym ze żwiru podtorzu. Po nich nadciągały brygady układaczy szyn. Ci podnosili stalowe belki, obracali je, jeśli było trzeba i przytrzymywali, podczas gdy inni, ciężkimi młotami, wbijali je w podkłady.

Książę koronny Ternathii – który zresztą miał niedługo zostać księciem koronnym całej Sharony – opuścił lornetkę i pokręcił głową z podziwem. Nie był to oczywiście pierwszy raz, kiedy oglądał jak pracownicy Kolei Trans-Temporalnych układają nowe tory w dziewiczym wszechświecie, ale w tej przynajmniej chwili, nie był w stanie sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej roboty te szły z takim zaangażowaniem, taką energią i jednocześnie tak sprawnie.

„A czemu to cię aż tak dziwi, Janaki?” – spytał sam siebie z ironią. – „Przecież nigdy przedtem nie oglądałeś ich pracujących w obliczu czegoś, co wygląda na pierwszą, międzywszechświatową wojnę w historii, prawda?”

–Moja najbardziej obecnie zboląła część ciała też niezmiernie się cieszy, na myśl o znalezieniu się na siedzeniu pasażerskiego wagonu – oznajmił chan Braikalowi, chowając lornetkę do futerału.

–Po tak długim czasie w siodle, moje wspomnienie wagonowych wygod mogło stać się nieco wyidealizowane i niezbyt wyraźne, ale...

–Jestem pewien, że z czasem się uwyraźni, kapitanie – powiedział chan Braikal. – Poza tym, proszę mnie nie zrozumieć źle, ale jeśli chodzi o wagony pociągów pasażerskich, to ważna w nich jest też prędkość, a nie tylko wygodne kanapy. A muszę przyznać, że im szybciej i dalej na tyły odtransportujemy tych jeńców – i pana – tym bardziej będę zadowolony.

Janaki skrzywił się i już miał coś powiedzieć, ale zrezygnował i raz jeszcze rozejrzał się po okolicy. Jego własne uczucia na temat odesłania go na bezpieczne tyły, pozostawały, co najmniej ambiwalentne i to bez względu na to, jak ważne zadanie miał tam do wypełnienia.

Tą częścią siebie, która została przygotowana do roli następcy tronu, dostrzegał rzecz jasna logikę w decyzji kapitana chan Tesha, który postanowił odesłać go do Sharony. Co więcej, wiedział, że gdyby chan Tesh zdecydował się postąpić inaczej, byłoby to szczytem szaleństwa, ale z drugiej strony, sprzeciwiające się intelektowi emocje upierały się, że Janaki powinien robić w tej chwili coś zupełnie innego.

–Kapitanie – odezwał się cicho chan Braikal – ja rozumiem, że powrót na Sharonę nie jest do końca tym, czego by sobie pan życzył, ale tak trzeba.

Janaki odwrócił się i spojrzał na starszego mężczyznę. Chan Braikal uśmiechnął się ze smutkiem.

–Świetnie pan sobie radził – pochwalił starszy zbrojny. – W ciągu swej kariery naoglądałem się całkiem sporo młodszych kapitanów. Z pańskim pozwoleniem, kilku własnoręcznie wychowałem. Niektórych z nich się po prostu bałem. Inni... cóż, powiedzmy po prostu, że nie byłem pewny jak by się zachowali w dniu, w którym coś poważnego zwałoby się nam na łby. Ale pan? – pokręcił głową. – No cóż. W razie czego mógłby pan, za pozwoleniem, dać ciała – nie twierdzę, że stałoby się tak na pewno, ale mogłoby. Z tym, że wiem także, że wszystkie otwory miałby pan z przodu, a nie w plecach.

–Dzięki, starszy... chyba – powiedział cierpko Janaki.

–Nie ma sprawy, panie kapitanie – wyszczerzył się chan Braikal i Janaki parsknął krótkim śmiechem.

–No nic, co będzie to będzie, a my tymczasem powinniśmy ruszać w dalszą drogę. – Tak jest.

Starszy zbrojny odwrócił się w siodle i wykrzyczał kilka zwięzłych, żołnierskich sugestii pozostałym żołnierzom z plutonu Janakiego. Adresaci szorstkiej prośby

odpowiedzieli natychmiast i wozy szpitalne z arkaniańskimi jeńcami wojennymi, których eskortował oddział księcia, ruszyły żywo naprzód.

Janaki przyglądał się im, gdy przetaczały się obok. Każda z karetek zaprzężona była w parę mułów i z obu stron strzeżona przez parę czujnych, konnych żołnierzy. W tej chwili, sam przed sobą przyznał, że ogarnia go poczucie ulgi. Mimo wszelkiej ambiwalencji (a Janaki był na tyle uczciwy, że zdawał sobie sprawę, iż chan Braikal powiedział wszystko, co w tej kwestii było do powiedzenia) wiedział, że poczuje się naprawdę dobrze dopiero wtedy, kiedy dotrze z tymi jeńcami do

Sharony. I nie tylko, dlatego, że zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne mogą się okazać wydobyte od nich informacje. Z raportów płynących siecią Głosów wynikało, że jego ojciec ma w tej chwili więcej niż tylko jeden pożar do ugaszenia. I bez wątpienia cesarz Zindel mógł wykorzystać pojmanyh Arkanian, na co najmniej kilka sposobów. Z tych samych informacji wynikało także, że sporą część obowiązków następcy tronu przejęła pod nieobecność Janakiego, jego siostra – Andrin... a ona przecież nie ma nawet jeszcze osiemnastu lat. Książę wiedział, że najwyższy już czas wracać do domu i zdjąć ten ciężar z jej barków. I była też kwestia tego ślubu.

Janaki skrzywił się nieładnie. Nigdy nie wątpił, że jego związek małżeński zostanie starannie zaplanowany i zaaranżowany. Nic innego nie mogło spotkać dziedzica

Uskrzydłonej Korony Ternathii. Nie było, więc sensu udawać, że jego los mógł wyglądać inaczej. Nie było też sensu z tego powodu rozpaczać. Biorąc jednak pod uwagę dość... drażliwą naturę stosunków pomiędzy Ternathią i Uromathią, nigdy wcześniej nie spodziewał się nawet, że może zostać członkiem rodziny Chavy Busara. A ten pomysł nie był najlepszym, jaki Janaki w życiu słyszał.

Informacje z Sieci Głosów, które udało mu się przechwycić po drodze, były fragmentaryczne i chaotyczne. W swoim plutonie nie miał telepaty, a stacje przekaźnikowe były rozrzucone na zbyt dużym obszarze, by podróżujący między nimi człowiek mógł bez przeszkód śledzić ciąg wydarzeń. Z tego jednak, czego zdołał się dowiedzieć, nie wyglądało na to, żeby jego ojciec był bardziej niż on zadowolony z takiego rozstrzygnięcia. Tyle, że niezadowolenie Zindelanie miało w tej sprawie większego wpływu na rzeczywistość, niż własne niezadowolenie księcia. Obaj byli Calirathami i Janaki czuł nawet swego rodzaju dumę na myśl o tym, że jego ojciec podjął taką, a nie inną decyzję na podstawie tego, co trzeba było zrobić, bez względu na interes osobisty, z jednoczesną świadomością, że Janaki w pełni go zrozumie.

Podniósł wzrok i spojrzał na pełną wdzięku iskierkę, leniwie krążącą na rozpalonym niebie. Uniósł skrytą w rękawicy lewą rękę i przenikliwie zagwizdał. Wątpił, co prawda, by kołujący nad jego głową sokół wędrowny usłyszał cokolwiek fizycznie, ale Taleena nie musiała nic słyszeć. Ptak pochwycił towarzyszącą gwizdnięciu myśl i złożył skrzydła. Książę obserwował mknącego w dół, wspaniałego ptaka, widział jak

na wibrujących piórach sokolicy grają płomienie słońca. Po chwili, z całą siłą i spokojem swej rasy, Taleena uderzyła w rękawicę. Janaki opuścił ramię i ptak przeskoczył na zamontowaną u jego siodła żerdź, zatrzymując się po drodze tylko na chwilę, by łagodnie i czule potrząść dziobem o jego policzek.

Janaki zaśmiał się cicho i delikatnie pogładził zgrabny łeb drapieżnika, koniuszkiem palca.

–No chodź, kochana – pieszczotliwie zamruczał. – Nie chcielibyśmy, żebyś się gdzieś zawieruszyła, prawda?

Taleena zignorowała uwagę księcia. Janaki uśmiechnął się i pomyślał, że postąpiła słusznie. Cesarskie sokoły Ternathii nie były ptakami, którym zdarza się „zawieruszyć”. Minął go ostatni wóz z jeńcami i popędził w ślad za nim swojego błękitnego deresza rasy Shikowr.

„A skoro one się nie gubią, to nie sądzę bym ja mógł. Bez względu na to, jak kuszącą wydaje mi się taka możliwość. Poza tym, chyba jednak bardzo spieszno mi do domu, ślub nie ślub. Zresztą” – zachichotał – „należy mi się gorąca kąpiel. Myślę, że wystarczą dwa lub trzy dni odmaczania się, a potem mogę się nawet zgodzić na wejście do rodu znieawidzonego teścia.”

Tayrgal Carthos obserwował dym wzbijający się spiralnie z ogniska, które jeszcze do niedawna było żalosną, sharoniańską namiastką fortu i zastanawiał się, czy silniejszym z uczuć, które w tej chwili czuje jest zadowolenie czy irytacja.

Jego smok dowodzenia wylądował na względnie równym fragmencie terenu. Oficerowi było ciężko na duszy. Z jednej strony otrzymał niezależność – samodzielne dowodzenie operacją wzdłuż jednego z ramion łańcucha wszechświatów, prowadzącego w głąb terytorium Sharonian, z drugiej jednak, było to odgałęzienie o drugorzędnym znaczeniu, a on wraz z tymi niewielkimi siłami, jakie wyznaczył mu dwutysięcznik Harshu (Carthos otrzymał nieco ponad trzy tysiące ludzi i dokładnie tyle smoków transportowych, ile było niezbędnie potrzebnych do ich przenoszenia) mieli przed sobą ogromy szmat drogi. Czekali ich długi, wyczerpujący lot.

Portal pomiędzy należącymi dawniej do Sharonian wszechświatami Nowej Uromathii i Thermyn znajdował się na płaskich równinach północno-zachodniego

Elath w Środkowej Andarze, ale portal pomiędzy Thermyn i Nairsom leżał już dobre tysiąc dwieście mil na południe stamtąd. Na dodatek znajdował się w niekorzystnie ukształtowanej dolinie w górach, głębokiej i wąskiej, tam gdzie w jego rodzimym wszechświecie znajdowałoby się miasto Gerynth w Królestwie Yanko, w miejscu gdzie zbiegały się kontynenty Andary i Hilmar.

Kiedy już wraz ze swoimi oddziałami przebył i ten odcinek drogi (i pozwolił

odpocząć smokom przed kolejnym etapem podróży) wkroczył do Nairsom, gdzie okazało się, że upały Gerynth zostawił za sobą i na powrót znalazł się w zdjętym jesiennymi chłodami Elath, niecałe pięćdziesiąt mil od miasta Drekon, ledwie trzysta mil od punktu wyjścia w Thermyn, przy Forcie Brithik. Dobrą wiadomością było to, że z

Drekon do następnego portalu było już tylko niewiele ponad sześćset mil. Portal ten leżał w należącym do królestwa Lokan, księstwie Kanaiya. Złą wiadomością stanowił natomiast fakt, iż przejście między wszechświatami usadowiło się na północnym krańcu Jeziora Kanaiya, i podczas, gdy pogodę w Drekon można było nazwać przyjemnie rześką, w Kanaiyi oczekiwały ich zgoła odmienne temperatury. Z tego, co pięćsetnik Neshok wydobył od jeńców wynikało, że pomiędzy Nairsom i Resym czekały go jeszcze kolejne trzy tysiące mil.

Niemniej, wszystko to były jedynie logistyczne szczegóły, detale, do których trzeba było podejść spokojnie. Przypomniawszy sobie to schodząc ze smoka. Niestety to właśnie owe „szczegóły” sprawiały, że nie istniała najmniejsza nawet szansa, by dotarł do Traisum przed siłami dwutysięcznika. Musiał się, więc po prostu pogodzić, że został odsunięty od wyścigu po zaszczyty związane ze zdobyciem tamtego wszechświata, które z pewnością spadną na tego gnojka z Sił Powietrznych – Toralka. Niemniej, to jednak on otrzymał samodzielne dowództwo, a Toralk zmuszony był operować pod orlim wzrokiem samego Harshu.

Nurtowało go jedynie pytanie, z jakiego powodu Harshu podjął taką właśnie decyzję. Na myśl przychodziło mu kilka hipotez, poczynawszy od możliwości, że dwutysięcznik darzył go tak wielkim zaufaniem, że nikogo innego do pokierowania tą częścią operacji sobie nie wyobrażał (co według samego Carthosa było możliwością tylko trochę bardziej prawdopodobną niż wygrana na loterii), aż po ewentualność, że Harshu odkrył jak wielki dług miał Carthos zaciągnięty u dwutysięcznika mul Gurthaka.

I to właśnie ta ostatnia możliwość martwiła tak bardzo tysięcznika. Do tej pory wydawało się, że nikt nie ma prawa się o tym dowiedzieć. Obaj – mul Gurthak i on – starannie maskowali wszelkie ślady. Ale jeśli Harshu, jednak w jakiś sposób się o wszystkim dowiedział, zanim zdecydował się wysłać Carthosa na ten, jak go nazwał w rozkazach, „oskrzydający rajd”, to na myśl tysięcznika przychodziło kilka nieprzyjemnych scenariuszy.

Starsi oficerowie nie mogli zgodzić z prawem żyrować swoim podkomendnym pożyczek i gdyby Harshu złożył w tej sprawie raport do Inspektora Generalnego, reperkusje mogły się okazać wysoce nieprzyjemne. Oczywiście, podobne sytuacje zdarzały się od czasu do czasu i wszyscy doskonale o tym wiedzieli. Z rzadka jednak działo się to na taką skalę jak w przypadku interesów Carthosa i mul Gurthaka. Czy raczej Carthosa i Banku Centralnego Mythal, w którego Radzie Kredytowej zasiadał

na stałe jeden z niezliczonych krewnych mul Gurthaka. BCM był największym i najbogatszym z banków Mythal, co zresztą było dość oczywiste, skoro był to oficjalny, państwowy bank Hegemonii Mythal. Jako taki udzielał dosłownie milionów kredytów, ale bardzo niewielu na tak preferencyjnych warunkach, tudzież z tak słabym poręczeniem. A to, że BCM wykazywał się niecodzienną cierpliwością wobec... dostojnego tempa spłaty jego kredytu, na pewno bardzo by zainteresowało biuro Inspektora Generalnego. Tego Carthos był pewien.

Gdyby doszło do oficjalnego dochodzenia, Carthos miałby szczęście, gdyby pozwolono mu zrezygnować ze służby bez dodatkowej (i prawdopodobnie bolesnej) kary dyscyplinarnej. Zupełnie realną ewentualnością był także wyrok pozbawienia wolności, dzięki któremu Carthos stałby się przykładem odstręczającym innych od ewentualnego naśladownictwa. Tym jednak, co martwiło tysięcznika najbardziej, była możliwość, iż wskutek drobiazgowego śledztwa wyjdą na jaw wszystkie drobne przysługi dla mul Gurthaka, które wyświadczył mu w przeciągu kilku ostatnich lat. Chociaż nigdy nie doszło do niczego równie ostentacyjnego, jak zwykle *qui pro quo*, Carthos ani przez moment nie miał wątpliwości, że to właśnie te „drobiazgi”, stanowią prawdziwe oprocentowanie jego kredytu. A w każdym razie był pewien, że właśnie w ten sposób oceni to Inspektor Generalny. A gdyby do publicznej wiadomości dostały się również poufne listy, które mul Gurthak przysłał mu wraz z rozkazem dołączenia do grupy ekspedycyjnej Harshu, wtedy sprawy przybrałyby już wręcz fatalny obrót.

A jeśli Harshu już się o nich dowiedział...

„Przestań, Tayrgal!” – napomniął się ostro tysięcznik. – „Jeśli wie, jeśli wie... Przecież, gdyby naprawdę coś wiedział, to nie zadowoliliby się wysłaniem cię na to zadupie.” – Witamy w Nairsom, tysięczniku!

–Dziękuję, pięćsetniku Eswayr – Carthos odpowiedział wojskowym pozdrowieniem, na gest Dowodzącego Pięcioma Setkami, Pahkrysa Eswayra. Eswayr – żylasty, jasnowłosy Inkarandin – był dowódcą batalionu sił naziemnych. Carthos, co prawda nie był szczególnym wielbicielem jego akcentu (wyspiarze zdawali się czerpać perwersyjną przyjemność masakrując andarański) ale wiedział, że żołnierz jest kompetentnym oficerem, nawet, jeśli nieco zbyt entuzjastycznie nastawionym do swej pracy.

–Widzę, że czerwone smoki setnika Heliki, okazały się wyjątkowo skuteczne – ciągnął oschle Carthos, patrząc ponad ramieniem Eswayra na płonące gruzy małego, sharoniańskiego fortu, które pozostawił po swoim ataku 5001. Napad Bojowy, prowadzony przez Dowodzącego Setką Faryxa Heliki.

–Tak, tysięczniku – Eswayr obrócił się i powiódł wzrokiem za spojrzeniem swojego dowódcy. Skrzywił się. – Wiem, że chciał pan dostać ten fort w stanie nietkniętym,

ale obawiam się, że okazał się trochę bardziej łatwopalny, niż to ocenili nasi piloci.

–Rozumiem – Carthos ukrył własny grymas. Z jakiegoś powodu wątpił, by lotnicy popełnili taką pomyłkę, gdyby dowodził nimi Toralk. Z drugiej strony, gdyby chciał być uczciwy (choć – szczerze mówiąc – niespecjalnie chciał) to musiał pamiętać, że osobiście podkreślał w rozmowie z pięćsetnikiem Karthem Małą, dowódcą podległych mu Sił Powietrznych, że chce ten fort zdobyć szybko i zdecydowanie. A skoro Harshu zatrzymał sobie oba pozostające dotąd do dyspozycji Toralka żółte smoki to...

–Rozumiem, że mogę bezpiecznie założyć, że przecięliśmy łańcuch Głosów? – spytał tysięcznik po chwili.

–Tak jest. Nasze grupy uderzeniowe zlokalizowały stacje przekaźnikowe i zneutralizowały je jeszcze wczoraj w nocy. Wygląda też na to, że telepata stacjonujący w forcie, zginął na samym wstępie nalotu.

–I niech mi nikt już nigdy nie wmawia, że smoki mają zbyt małą siłę ognia – zauważył Carthos, krzywiąc się w suchym jak pustynia uśmiechu. – Ale szczerze mówiąc, Pahkrys, cieszę się, że setnik Halika zrównał ten fort z ziemią od razu – skinął głową w kierunku zgliszczy. – Cały czas martwię się o odległość do następnego fortu. Wiem, że mieli tu stację przekaźnikową, ale to tylko niecałe sześćset mil. Jeżeli informacje, jakie mamy na temat zdolności tych Głosów są dokładne, to zdarzają się wśród nich i tacy, którzy potrafią przesyłać wiadomości na tym dystansie bez potrzeby korzystania z pośredników.

–Wiem, tysięczniku – Eswayr rozluźnił się, co nieco.

–No dobra! – otrząsnął się Carthos, wyprostował i oparł ręce na biodrach. – Chyba czas, żebym zamienił kilka słów z pięćsetnikiem Małą i ruszamy w dalszą drogę.

–Tak jest, tysięczniku – przytaknął Eswayr, po czym zawahał się na chwilę. – Hmm... Czy mogę mieć pytanie?

–Pytanie? – Carthos spojrzał na dowódcę piechoty i unióśł brew.

–Tak jest. Schwytailiśmy kilku jeńców, tysięczniku. Nie wiem, co pan sobie życzy z nimi zrobić.

–Schwytailiśmy jeńców? – powtórzył Carthos marszcząc czoło. – Co to za jedni? Ilu?

–Niewielu. Około piętnastu – odpowiedział Eswayr. – Trzech z nich doznało poważnych poparzeń. – Jacyś oficerowie?

–Nie, tysięczniku. Głównie szeregowi żołnierze, dwóch podoficerów.

–Rozumiem – Carthos zapatrzył się na krótką chwilę w pożerające fort, trzaskające płomienie, po czym na powrót spojrzął na Eswayra. – Czy ktoś ich przesłuchiwał?

–Tak jest. Ale... nie wydaje się, żeby wiedzieli zbyt wiele. – I wy im wierzycie?

–Według zaklęć weryfikujących nie kłamali, tysięczniku.

–W takim razie na nic już się nam nie przydadzą, prawda? – zauważył Carthos.

–Nie wydaje mi się – zgodził się Eswayr. – Z drugiej strony pięćsetnik Neshok, mógłby wyciągnąć z nich więcej, zadać inne pytania...

–Tylko, że pięćsetnik Neshok stacjonuje bez mała trzy tysiące mil stąd, z dwutysięcznikiem Harshu – przypomniał Carthos. – Zanim dostarczylibyśmy mu tych jeńców, minęłaby dłuższa chwila i ich informacje zdążyłyby się zdezaktualizować.

Eswayr przytaknął. Nozdrza Carthosa zadrgały. Nie zależało mu na tych Sharonianach. Nie zależałoby mu na nich tak czy inaczej, ale teraz miał na swoje usprawiedliwienie mocny argument w postaci poufnych wskazówek od mul Gurthaka.

**–Nie widzę sensu w odsyłaniu smoka w tak bezcelowej misji, pięćsetniku – oznajmił.
– Nie mamy zbyt wielu zwierząt na zbyciu.**

–To prawda, tysięczniku – zgodził się Eswayr.

–A skoro obcy się nam tutaj na nic nie przydadzą, to chyba nie ma też sensu ciągnąć ich razem z nami.

Carthos spojrzął Eswayrowi prosto w oczy. Przez chwilę miał wrażenie, że pięćsetnik zacznie krzyczeć. Potem jednak Inkaranin zaczerpnął głębiej powietrza. – Tak jest, tysięczniku... Zajmę się... tym.

–Doskonale – Carthos z uśmiechem poklepał po ramieniu niższego od siebie podwładnego. – Zdam się, więc na ciebie. A powiesz mi, gdzie znajdę pięćsetnika Malę?

Rozdział 3 – Wchodź, Klayrman, wchodź!

Klayrman Toralk skorzystał z zaproszenia i wszedł do namiotu dowodzenia dwutysięcznika Harshu. Podświadomie spodziewał się, że przełożony powita go właśnie w ten sposób. Zastanawiał się tylko, dlaczego wszystko trwało tak długo. Od ich pamiętnej, wspólnej kolacji minęły dwa dni. Tayrgal Carthos został odesłany w drugą część łańcucha czterdzieści osiem godzin temu, ale Harshu jeszcze nie zdecydował, by kontynuować natarcie w kierunku następnego wyznaczonego celu i

Toralk, przynajmniej na razie, nie miał pojęcia, dlaczego.

„Miejmy nadzieję, że to się niedługo zmieni” – pomyślał, podchodząc do unoszącego się w powietrzu, zasłanego mapami, blatu na środku namiotu.

Poza nim i Harshu, jedynym obecnym był tu Dowodzący Pięcioma Setkami Herak Mahrkrai, szef sztabu Harshu. Mahrkrai – mocno dojrzały jak na swój stopień, o siwych włosach i pozbawionych określonej barwy oczach mężczyzna – był oficerem z gatunku tych, którzy całą swą karierę poświęcili na rzecz dyskrecji i skrytości. Toralk pracował z nim wcześniej, przy planowaniu operacji sił ekspedycyjnych, na tyle długo, by wiedzieć, że jest to świetny, kompetentny, a nawet obdarzony niezwykle wyobraźnią żołnierz, który zupełnie jednak nie dawał tego po sobie poznać. Ta jego pozorna... bezbarwność stanowiła jego najsilniej rzucającą się w oczy cechę. To także Toralka dziwiło. Podejrzewał, że jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy było to, że niezbyt agresywna osobowość Mahrkraia, po prostu ginęła w cieniu ekstrawertycznego charakteru Harshu.

„Najzupełniej zresztą możliwe, że Harshu właśnie dlatego, dobrał go sobie do współpracy. Skoro tak, to otwartym pozostaje pytanie, czy zrobił tak, ponieważ uznał, że potrzebuje przeciwwagi w kimś o charakterze Mahrkraia? Czy może tylko dlatego, że nie chciał mieć konkurencji w osobie własnego szefa sztabu?”

–Dziękuję, że tak szybko znalazłeś dla mnie czas, Klayrman – ciągnął Harshu, wyciągając dłoń do oficera Sił Powietrznych.

–Powiedziałbym proszę bardzo, gdyby nie to, że nie istniał ani jeden dobry powód, żebym nie mógł przyjść tu natychmiast – odparł Toralk i Harshu parsknął śmiechem. – To chyba najbardziej dyplomatyczny sposób przypomnienia mi, że już zbyt długo siedzimy tu na tyłkach – ocenił dwutysięcznik. Toralk otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Harshu pokręcił głową. – Nie, nie. Twoje zdanie jest jak najbardziej słuszne. Zwłaszcza, mając w pamięci to, jak wszyscy jeszcze w fazie planowania podkreślaliśmy konieczność pośpiechu, który miał nam pomóc przebić się, jak najdalej przez obronę zaskoczonych Sharonian. Niestety, pięćsetnik Neshok dostarczył nam pewnych informacji, z którymi Herak i ja próbujemy się uporać już od jakichś dwunastu godzin.

–A co to za nowe informacje, jeśli wolno spytać? – zapytał Toralk ostrożnie.

–Według dwóch, czy trzech z naszych jeńców, na terenie naszego następnego celu przetrzymywani są arkaniańscy jeńcy – odpowiedział za dowódcę pięćsetnik

Mahrkrai.

–Co takiego? – Toralk był tak zaskoczony, że słowo zupełnie nie zabrzmiało jak pytanie. Zaraz zresztą po tym, jak je zadał zastanowił się, dlaczego nowina wprawiła

go w aż takie zdziwienie. Przecież od dawna było wiadomo, że niedobitki Drugiej Andarańskiej trafiły do niewoli, z czego, z kolei wynikało logicznie, że Sharonianie musieli ich gdzieś przetrzymywać.

„Podejrzewam, że po prostu założyłem, że zrobili z naszymi jeńcami to, co my zrobiliśmy z ich – przenieśli ich w inne miejsce w celu przeprowadzenia przesłuchań. Z tym, że my oczywiście nie robimy tego od chwili ataku.”

Ostatnia myśl podsunęła mu kilka niezbyt przyjemnych powodów, dla których obcy mogli trzymać jeńców w tak niewielkiej odległości od frontu i Toralk postanowił, w tej chwili się nad tym nie zastanawiać.

–To już informacja potwierdzona – powiedział Harshu. – W każdym razie, dzięki zakłębom weryfikującym wiemy, że uznają ją za prawdziwą więźniowie, którzy nam o tym powiedzieli. Według tego, co Neshok poskładał ze strzępów przesłuchań, nasi ranni, znajdujący się w najcięższym stanie, przetrzymywani byli w Forcie Ghartoun, czy Forcie Raylthar, czy jak on się do cholery teraz nazywa.

–To brzmi zupełnie sensownie, dwutysięczniku – wtrącił Mahrkrai. – Na ile zdołaliśmy ustalić, obcy nie dysponują nikim w rodzaju naszych magistronów. Ich Uzdrowiciele ograniczeni są do naturalnego tempa leczenia, a transportowanie ciężko rannych ludzi, w dodatku bez pomocy smoków, musi być dla nich prawdziwym koszmarem. Dlatego postanowili zostawić naszych najcięższej rannych chłopaków właśnie w Forcie Ghartoun. Nie mieli przecież pojęcia o istnieniu naszych sił powietrznych. Z ich perspektywy Ghartoun wydawał się dostatecznie oddalony od miejsca kontaktu.

–Ale rozumiesz na czym polega problem, prawda Klayrman? – odezwał się Harshu, wskazując ręką rozłożoną na stole mapę.

–W tej sytuacji, skoro w forcie przetrzymywani są nasi, nie do końca możemy użyć żółtych – ani nawet czerwonych – smoków. Nie możemy przeprowadzić nalotu z zaskoczenia.

–Nie, nie możemy, dwutysięczniku – zgodził się Toralk, który podszedł bliżej do stołu i pochylił się nad mapą.

–Jedynym jasnym punktem jest to, że sam fort znajduje się po naszej stronie następnego portalu – zauważył Harshu. – Więc, jeśli uda nam się zachować ostrożność, to istnieje spora szansa, że nikt nie zauważy jak zajmujemy pozycje do ataku.

–Nie jestem pewien, czy to naprawdę jest aż tak istotne, dwutysięczniku – odparł Toralk. Harshu uniósł brew i tysięcznik z Sił Powietrznych wruszył ramionami. – Oczywiście, zawsze istnieje możliwość, że ktoś zauważy nasz moment przejścia –

zawsze mnie w portalach drażniło to, że są tak straszliwie wąskimi gardłami – ale myśmy już dość dobrze rozpoznali teren stąd, aż po następny portal. Nie natrafiliśmy przy tym na żadne osiedla cywilne – „i dzięki bogom” – tę myśl, w tle, w której czał się Neshok, ostrożnie zachował dla siebie – a sieć Głosów zneutralizowaliśmy jeszcze zanim uderzyliśmy na Fort Brithik. Możemy, więc do miejsca, z którego zaatakujemy, podejść właściwie bezkarnie. Choć po tym wszystkim, chciałem jeszcze przypomnieć, że od samego początku jedną z podstaw naszego planowania podczas tej operacji, stanowiła eliminacja następnego ogniwa w łańcuchu telepatów, tego, który leży za naszym bezpośrednim celem. Nadal, więc musimy wysłać nasze siły specjalne przez portal zanim uderzymy. I znów pojawi się, problem z wąskim gardłem portalu.

–Możliwe, że nie, tysięczniku – nieśmiało odezwał się Mahrkrai i postukał palcem w mapę. – Z tego wynika, że ten fort znajduje się od portalu dobrą milę albo półtorej w tym wszechświecie. Jeśli więc uda się nam rozmieścić piechotę na ziemi i może dwa smoki w powietrzu pomiędzy nią a portalem, to nie uda im się przerzucić Głosa na drugą stronę. A przynajmniej nie uda im się do momentu, gdy nasi ludzie zdołają unieszkodliwić kolejną w łańcuchu stację przekaźnikową.

–A wiemy, mniej więcej, gdzie się ona znajduje? – spytał Toralk. – Tak, tysięczniku. Wiemy. – Rozumiem.

Toralk zamilkł, zacisnął usta i przyjrzał się dokładniej szkicowi przyczepionemu do stołu obok mapy. Nie dałby zbyt wiele za dokładność tego rysunku – zbyt dobrze wiedział, w jaki sposób Neshok zdobywa swoje informacje. Z drugiej jednak strony, szkic na pewno nie odbiegał zanadto od rzeczywistości. Sharonianie, podobnie zresztą jak Unia Arkany, budowali forty przy portalu, stale według tego samego schematu.

Głęboko zamyślony przesunął po rysunku palcem. Po chwili, podniósł wzrok na Harshu. – Wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyśmy mogli rozpocząć atak przy udziale chłopaków z sił specjalnych. Wtedy, jak sądzę, udałoby mi się obejść bez otwierającego nalotu. Oczywiście przy założeniu, że nadal będziemy mieć po naszej stronie element zaskoczenia – patrzył na pozostałych poważnie i w jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta. – Inaczej, jeżeli się zorientują, że nacieramy i uda im się na czas zmontować obronę, to o ile nie zaatakujemy z powietrza, biorąc pod uwagę jakość ich broni, nawet względnie mały garnizon spowoduje nasze ciężkie straty.

–To jasne – Harshu podszedł bliżej oficera Sił Powietrznych i spojrzał na ten sam szkic.

–Szczerze powiedziawszy – ciągnął po chwili dwutysięcznik – nigdy się nie łudziłem, że dotrzemy dużo dalej niż tutaj bez poniesienia ciężkich strat. Teraz wydaje mi się,

że byłem chyba zbyt pesymistą. Nasze naloty, okazały się bardzo skuteczne i piechota wciąż nie ma prawie nic do roboty. I wcale nie uśmiecha mi się zmiana tego stanu rzeczy przez prowadzenie jakiegoś tradycyjnego, długotrwałego oblężenia. Z drugiej jednak strony, jeśli oni rzeczywiście trzymają tam kogokolwiek z naszych, nie możemy nie spróbować ich uwolnić – nie moglibyśmy też usprawiedliwić faktu poświęcenia ich istnień tylko dlatego, że baliśmy się zaryzykować misji ratunkowej.

–Zgadza się, dwutysięczniku – powiedział Toralk z naciskiem, choć korciło go, by wspomnieć, że chociaż rzeczywiście nie stracili dotąd zbyt wielu ludzi, to liczba smoków strąconych przez obcych była wręcz przerażająca. Tym bardziej, że kolejnych smoków musiał się pozbyć przydzielając część zwierząt transportowych i bojowych, pięćsetnikowi Mali, który dowodził siłami powietrznymi Carthosa.

–Jak szybko mógłbyś mi przygotować plan operacyjny? – spytał Harshu.

–Myślę, że jeszcze przed obiadem, dwutysięczniku – Toralk wzruszył ramionami. – Jak już mówiłem dobrze bym się czuł, gdyby atak otwierała kompania sił specjalnych, ale to zupełnie standardowy scenariusz. Bardzo często ćwiczymy to na manewrach. Poza tym, wiemy o obcych coraz więcej...

–Świetnie. Zresztą i tak cały dzień zejdzie nam na podciąganiu smoków transportowych w miejsce, skąd będzie można zaatakować. Potem one też muszą odpocząć. Będziesz mógł planować w locie?

–Nie, dwutysięczniku – powiedział Toralk, co było poważnym niedopowiedzeniem. – Ale mógłbym zostać tutaj z niewielkim sztabem, popracować, a potem, wieczorem wystarczyłby jeden smok i byśmy dołączyli. Trzeba będzie poświęcić na nas jednego transportowca, ale jeden zwierzak w tę, czy tamtą stronę nie zaważy chyba na powodzeniu operacji.

–Świetnie – powtórzył Harshu. – Świetnie! W takim razie czekam na twój plan.

„Świetnie, Syrail, świetnie” – Folsar chan Tergis Odezwał się radośnie, Wpatrując się w kryształowo czysty obraz, odbierany cudzym fizycznym wzrokiem. – „Znałem trzy razy starszych od ciebie telepatów, którzy nie byliby w stanie przekazać czegoś tak wyraźnego. Myślę,

że wreszcie zaczynasz sobie radzić.”

Głos Fortu Ghartoun Poczł zadowolenie, jakie sprawił komplementem Syrailowi Targalowi. Zadowolenie płynące w niemalej części stąd, że trzynastolatek zdawał sobie sprawę, że nie były to pochwały niezasłużone.

„Wiesz, Folsar” – Odpowiedział Syrail – „Jesteś zupełnie znośnym nauczycielem.”

„Czyżby?” – chan Tergis zachichotał. – „To ci powiem, tak między nami, że ja chyba rzeczywiście wolałbym siedzieć w jakiejś szkółce, znacznie bliżej Sharony, niż tkwić tutaj.”

„No wiesz, ja się cieszę, że jesteś tutaj. Mimo wszystko.”

„Dzięki... bo to chyba komplement” – przekazał oschle chan Tergis.

Prawda była taka, że chan Tergis rzeczywiście był nauczycielem – i to dobrym – w jednej z prywatnych

Akademii Talentów. Przerwał tę pracę dopiero wtedy, gdy upodobanie do wysokowych trunków wtłoczyło go w ciasny mundur SZPP. A jednak nie lamentował zbyt często nad tą odmianą swego losu, ponieważ – czego w życiu by nie przyznał nikomu innemu, a nawet rzadko przyznawał sam przed sobą – obecne życie w zupełności mu odpowiadało. Oczywiście, brakowało mu tutaj wygód dostępnych w bardziej rozwiniętych wszechświatach. Wiedział też jednocześnie, że jego problem z alkoholem – a temu, że był to problem nie mógł zaprzeczyć nikt – byłby tam o wiele trudniejszy do opanowania.

„To zabawne” – pomyślał na poziomie starannie ekranowanym przed wglądem młodego Syraila. – „Dwie trzecie wypadków alkoholizmu wśród żołnierzy zdarza się gdzieś tutaj, w jednym z posterunków na pograniczu. Pewnie niektórym aż tak brakuje światła wielkich miast, że dopada ich nuda. A mi te wszystkie puste, nieskażone przestrzenie, pomagają się uspokoić.”

Nie wiedział, czy to była rzeczywiście prawda, czy tylko sam siebie oszukuje. Ale to nie miało tak naprawdę znaczenia. Tym razem pozostawał w trzeźwości już przez niemal okrągły rok. Rok w ciągu którego odkrył, że bardzo lubi regimentarza Velveliga. Za jego nieprzeniknioną, arpathiańską fasadą kryło się o wiele więcej ciepła i poczucia humoru, niż ktokolwiek podejrzewał. Poza tym, ulubiona zabawa chan Tergisa, gra w „nie zrobisz ze mnie żołnierza” była o wiele bardziej zabawna z dowódcą, który rozumiał jej niepisane reguły!

„Matka mnie woła, Folsar.” – Powiedział Syrail i nagle wizja tego, co młody telepata widział przez swoje okno zniknęła. – „Zdaje się, że zaniedbałem dziś rano kilka domowych obowiązków.”

„Ty naprawdę jeszcze się nie nauczyłeś, że innemu Głosowi nie da rady ściemniać?” – Odpowiedział z chichotem chan Tergis. – „Tobie się nie zdaje, że ich zaniedbałeś. Jesteś tego pewien.”

„No, tak, masz rację” przyznał Syrail niezręcznie „Cześć!”

Chłopiec się rozłączył. Chan Tergis wyprostował się w swoim krześle, stojącym przy niewielkim biurku i otworzył oczy.

Syrail był dobrym dzieciakiem. Przypominał chan Tergisowi najmłodszego z jego kuzynów, choć Talent Syraila był o wiele silniejszy. Prawdę mówiąc, wielką szkodą – graniczącą z czymś jeszcze poważniejszym – było to, że utknął tutaj, w Thermyn. W okolicach Fortu Ghartoun i całym wszechświecie nie mieszkało więcej niż dwa tysiące ludzi. Tak przynajmniej wynikało z informacji, jakimi dysponował regimentarz Velvelig. Bez względu na to jednak, ilu ich było dokładnie, to z pewnością populacja Thermyn nie wystarczała do otwarcia w tym wszechświecie Akademii Talentów z prawdziwego zdarzenia. A Talent Syraila bardzo potrzebował odpowiedniego szlif. Na szczęście chłopak mieszkał z rodziną niecałe trzydzieści mil od Fortu Ghartoun. Była to wystarczająco niewielka odległość, by chan Tergis zdołał pewnego dnia, zupełnie przypadkowo wychwycić odruchowe, przekazy Głosowe, niezwykle Utalentowanego chłopaka. Odszukanie ich źródła nie zajęło mu zbyt wiele czasu, choć był nieco zaskoczony młodym wiekiem Syraila. Zazwyczaj Talenty o podobnej mocy nie ujawniały się, przed osiągnięciem przez ich posiadacza wieku przynajmniej piętnastu, lub szesnastu lat. Zresztą właśnie to prawdopodobnie spowodowało, że rodzice nie poddali dziecka odpowiednim testom przed wyruszeniem do Thermyn. W końcu, wtedy Syrail był zaledwie dwunastolatkiem, a oni i tak już za parę miesięcy mieli wracać na Sharonę.

Ojciec Syraila, noszący to samo imię, co syn, lecz znany powszechnie pod swoim pseudonimem „Kersai”, co oznaczało w jego rodzimym języku tadewiańskim „Rudy”. Był geologiem pracującym dla Konsorcjum Fairnos, przysłanym do Thermyn do wstępnego zbadania Żył Krwawego Nieba, w tym właśnie wszechświecie. Mimo, że struktura geologiczna była wszędzie taka sama, każdy, nowo odkrywany świat różnił się od pozostałych niewielkimi detalami.

Wynikało to, z niezliczonych lokalnych wydarzeń losowych, takich jak osunięcia się ziemi, pożary lasów czy powodzie, które potrafiły znacząco wpłynąć na możliwości eksploatacji nawet czegoś takiego, jak wielkie złoża srebra.

W tym konkretnym wypadku, różnica wysokości pomiędzy graniczącymi ze sobą przez portal wszechświatami Thermyn i Failcham, spowodowała zmiany poważniejsze niż zwykle. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności było to, że portal ten powstał dosłownie setki lat temu, jeśli nie jeszcze dawniej. Wszędzie jednak widać było dobitne świadectwa tego, co musiało się stać z ukształtowaniem tutejszego terenu oraz z miejscową fauną i florą, kiedy przez portal dostał się tu gorący jak w piecu, zabójczo suchy wicher z Pustyni Ricathiańskiej i uderzył prosto w zachodnie stoki Gór Krwawego Nieba.

Roślinność zdołała się już odbudować i zamaskowała dojrzałym lasem najbardziej wyraźne ślady międzywszechświatowej burzy piaskowej, choć w miejscach, gdzie pojawienie się portalu obdarło ze skóry same góry, nadal widniały spektakularne połączenia nagiej, omiatanej wiatrami skały.

Kersai był stosunkowo mało doświadczony w pracy z tego rodzaju „lokalnymi wydarzeniami losowymi”, ale okazał się człowiekiem inteligentnym i ciężko pracującym, i na ile chan Tergis zdołał się zorientować, wykonywał pierwszorzędną robotę. Co więcej, wraz ze swoją żoną Raysith i synem Syrailem za kilka dni mieli wyruszyć na Sharonę, co najmniej trzy miesiące przed czasem, by odebrać zasłużony awans i wybrać się na jeszcze bardziej zasłużone wakacje. Chan Tergis rozmawiał już z rodzicami chłopca na temat potrzeby dodatkowego szkolenia i mimo, że ani Kersai ani Raysith sami nie byli osobami szczególnie Utalentowani, to niezwykle ucieszyli się na wieść o postępach i możliwościach dziecka.

Chan Tergis także się cieszył. Prawda wyglądała tak, że wiedział już, że będzie mu chłopaka brakowało. W pożegnalnym prezencie dał chłopcu swą własną odznakę z brązowym sokołem. Formalnie, Syrailowi nie było wolno jej nosić, do chwili ukończenia szkolenia drugiego stopnia i uzyskania odpowiednich certyfikatów, ale chan Tergis miał w zapasie jeszcze jedną, a poza tym, gdy zobaczył jak brązowe oczy dziecka przybierają z radości rozmiary niewielkich talerzyków, zrozumiał, że wybrał podarunek doskonale.

„A w tych dniach potrzebuję każdej, najdrobniejszej nawet przyjemności” – pomyślał.

Spochmurniał. Nadal nie otrzymał żadnej wiadomości od Rokama Traygana czy Shansaira Baulwana. Nie nadeszło także ani jedno słowo od Erthecka Vardana, a

przecież dawno już powinni byli się odezwać. Głos zdawał sobie sprawę, że również regimentarz Velvelig dużo bardziej martwił się przedłużającą ciszą, niż przyznawał to przed innymi. Tak samo było z samym chan Tergisem. Zaczynał się martwić tym, czy Erthekowi nie przydarzyło się coś poważniejszego. Na pograniczu zdarzały się przecież śmiertelne wypadki. Na ludzi czyhały jadowite węże, niebezpieczne niedźwiedzie. Można było skrócić sobie kark, albo zostać przygniecionym przy upadku z konia. Owszem, akurat Głosom, w związku z dość siedzącym trybem pracy, tego typu przykrości zdarzały się stosunkowo rzadziej niż innym, niemniej zawsze istniała i taka ewentualność. I z każdą chwilą, był coraz bardziej pewny, że w końcu dowie się, iż młodemu Erthekowi przydarzyło się coś o wiele poważniejszego niż grypa, czy atak alergii. „Przestań krakać!” – złażał się w myślach. – „Dopiero ci będzie głupio, kiedy się okaże, że to jednak była jakaś bzdura.”

Janaki chan Calirath wyprostował się na siedzeniu i przeciągnął z rozmachem. Krótki, rozklekotany pociąg zasyczał i zatrzymał się z łoskotem na stacji w Forcie Salby. Standardowe siedzenia w wagonach trzeciej klasy Kolei Trans-Temporalnych nie zostały zaprojektowane dla Calirathów. A przy siedzeniach, które liczykropy z centrali KTT, uznały za stosowne umieścić w pociągach towarowych i tak wydawały się luksusowymi fotelami. Niemniej, jak książę ustalił już ze starszym zbrojnym chan Braikalem, nawet i to było lepsze od piekła, które musieli wcześniej znosić na końskich grzbietach.

Rozbawiony, parsknął krótkim śmiechem i spojrzał na chan Braikala.

–No dobra, starszy, idź i przygotuj ich do opuszczenia pociągu. Ja spróbuję się dowiedzieć, co dalej. – Tak jest.

Janaki zostawił zadanie w sprawnych rękach chan Braikala i zszedł na zalany słońcem peron stacyjki w Forcie Salby. Był tu nie po raz pierwszy i zauważył, że pod jego nieobecność nie zmieniło się wiele. Na pewno nie spadła diabelska temperatura.

Niemniej jedna ze zmian była wyraźna. Kiedy zobaczył po raz pierwszy kawalerzystów z Uromathii, pomyślał, że to dobrze, że został wcześniej o ich obecności uprzedzony. Biorąc pod uwagę tradycję wzajemnych stosunków Ternathii i Uromathii, a także jego własne... niespodziewane plany małżeńskie, nie mógł się cieszyć, widząc skrzyżowane, szkarłatne szable na czarnym polu, powiewające na jednej z flag wywieszonych nad dziedzińcem Salby.

–Młodszy kapitan chan Calirath? – odezwał się ktoś za nim i książę odwrócił się na pięcie.

–Tak jest – odpowiedział zwięźle, stając na baczność i salutując ciemnoskóremu kapitanowi, który mówił z wyraźnym shurkhaliańskim akcentem.

–Spocznij, młodszy kapitanie – rzucił w odpowiedzi kapitan i wyciągnął rękę do powitania. – Nazywam się Orkam Vargan, jestem zastępcą komendanta. Cieszę się, że pana widzę i to z kilku powodów. Myślę też, że jeden z nich nie bardzo się panu spodoba.

–Kapitanie? – spytał lekko zaniepokojony Janaki. Vargan uśmiechnął się krzywo. W jego ciemnych oczach pojawiło się współczucie.

–Obawiam się, że rozkazy dla pana uległy pewnym zmianom. Wiem, że miał pan eskortować jeńców przez całą drogę aż na Sharonę, ale biorąc pod uwagę to, co dzieje się w Tajwanie, góra zdecydowała, że jest pan potrzebny w domu jak najszybciej i to nie w charakterze młodszego kapitana. W skrócie oznacza to, i mówię to z niekłamaną przykrością, że dostarczenie jeńców do Fortu Salby było ostatnią rzeczą, jaką zrobił pan jako żołnierz cesarskiej piechoty morskiej... Wasza Wysokość. Janaki zdążył się już wcześniej domyśleć, co od Vargana usłyszy i ułożył sobie już nawet kilka szorstkich wyrazów protestu. Nie sprzeciwił się jednak ani słowem. Dlatego, że w chwili, gdy słuchał kapitana, jego mózg przeszło coś podobnego błyskawicy. Uderzyło go z taką intensywnością, tak znieca, że zaparło mu dech w piersiach.

Przebłysk nie miał sensu. Jeszcze nie. Regimentarz Velvelig powiedział mu wcześniej o ostrzeżeniu, jakie jego ojciec przesłał siecią Głosów, po tym jak on i Andrin doświadczyli swych początkowych, wstępnych wizji. Niestety ostrzeżenie nie było zbyt konkretne, co zresztą nie było niczym niezwykłym, z czego Janaki aż za dobrze zdawał sobie sprawę. Niewiele Przebłysków dawało szczegółowe informacje. Niemniej to, co usłyszał od Velveliga dziwnie zgadzało się z obrazami płomieni i wybuchów, ludzkimi krzykami i odgłosami wystrzałów, które właśnie teraz tańczyły w jego umyśle.

Talent Janakiego nie był nawet w przybliżeniu tak mocny, jak zdolności jego siostry. Prawdę powiedziawszy, książę od zawsze się z tego cieszył. Widział jak cesarz i Andrin męczą się ze swoimi... kłopotliwymi wizjami i podobało mu się, że jego Przebłyski nie atakowały go aż tak brutalnie.

Dziś jednak nieco bardziej zatęsknił za wrażliwością siostry. Chan Braikal opowiedział mu o Przebłysku, którego książę doświadczył w drodze do Wrót Piekieł, ale sam Janaki niczego z niego nie zapamiętał. To było niezwykle frustrujące – nawet bardziej niż tylko frustrujące. Rzecz jasna domyślał się, czego dotyczyła tamta wizja. Ledwie parę godzin później został przecież zmasakrowany zespół badawczy Konsorcjum Chalgyn. Chan Braikal opisywał jednak bardzo silne reakcje ciała dowódcy i Janaki przypuszczał, że musiał to być niezwykle silny Przebłysk, silniejszy niż którykolwiek z wcześniejszych. Niestety, nikt nigdy nie przypuszczał, że książę będzie doznawać tak intensywnych wizji, więc nie został odpowiednio wyszkolony, by wydobyć dalsze szczegóły z mroków podświadomości.

–Wasza Wysokość, dobrze się pan czuje?

Głos Vargana dziwnie wibrował, mieszając się z echami Przebłysku. Janaki spróbował skupić spojrzenie na kapitanie. Przez sekundę lub dwie oczy nie chciały go słuchać. Były jeszcze... gdzie indziej. W jakimś mrocznym i przerażającym miejscu. Wreszcie jednak udało mu się skoncentrować na rozmówcy. Nabrał głęboko powietrza.

–Wasza Wysokość? – powtórzył Vargan i tym razem w jego głosie zabrzmiał nieklamany niepokój.

–Przepraszam, kapitanie – powiedział Janaki i otrząsnął się gwałtownie. – To chyba... dlatego, że bardzo nie chciałem tego usłyszeć.

–Żałuję, że musiałem to panu powiedzieć – przyznał Vargan.

–Cóż, mam tylko nadzieję, że cały ten szum z moim powrotem do domu nie oznacza, że muszę wskakiwać zaraz do najbliższego pociągu – Janaki modlił się w duchu, żeby jego uśmiech nie wyglądał na tak wymuszony, jakim był w istocie. – Jestem w podróży właściwie bez przerwy od czterech miesięcy. Najpierw do Wrót Piekieł, a potem zaraz stamtąd z powrotem. Naprawdę bardzo bym chciał spędzić dzień czy dwa w zupełnym bezruchu. Najchętniej w jakiejś głębokiej, gorącej wannie.

–Ma pan wracać jak najszybciej się da – powiedział powoli Vargan. – Niemniej i tak większość dnia zajmie nam połapanie się w rozkładach jazdy. Przerzucanie dragonów zupełnie rozwalilo terminarz KTT. Nie mogę niczego zagwarantować, ale podejrzewam, że regimentarz chan Skrithik zdoła wykrobać dla pana jakieś dwadzieścia cztery godziny. A może nawet czterdzieści osiem.

–Byłbym niezwykle zobowiązany, kapitanie.

–Zobaczymy, co się da zrobić, Wasza Wysokość. Obiecuję. – Dziękuję, kapitanie.

–A teraz wyładujmy tych pańskich jeńców. Przygotowałem już dla nich w miarę wygodne i bezpieczne kwatery.

Janaki skinął głową i poszedł za Varganem. Kapitan szybkim krokiem ruszył w stronę pociągu. Myśli księcia koronnego były jednak zupełnie gdzie indziej. Miał nadzieję, że Vargan nie mylił się, co do chan Skrithika. Jeśli było inaczej, to Janaki czuł, że sam będzie musiał zająć się przekonywaniem regimentarza. Janaki bardzo potrzebował chwili odpoczynku w Forcie Salby i to nie tylko dlatego, że marzył o gorącej wodzie i mydle.

Cokolwiek ukazał mu Przebłysk, to miało wydarzyć się tutaj dokładnie tutaj, w Salby. To właśnie fizyczna bliskość miejsca, które ujrzał w wizji tak wyostrzyła jego

doznania. Działo się tak zawsze, nawet w przypadku osób o tak słabym Talencie jak ten Janakiego. Musiał, więc tu zostać po to, by dowiedzieć się, co tak naprawdę ów Przebłysk oznaczał.

Zdawał sobie też sprawę, że gdyby opowiedział chan Skrithikowi o tym, co zapamiętał ze swych wizji, to dowódca Fortu Salby dosłownie wcisnąłby go do najbliższego pociągu – a gdyby takich nie było, to w siodło – chcąc go uratować.

Na pewno by tak postąpił, zwłaszcza, gdyby Janaki powiedział mu o kryształowo czystym, wyraźnym obrazie, który ujrzał w tej przelotnej chwili, gdy jego oczy odzyskiwały skupienie.

O obrazie ukazującym pozbawione głowy ciało kapitana Orkama Vargana, spoczywające w kałuży krwi powoli wsiąkającej w usłany martwymi ludźmi dziedziniec Fortu Salby.

Rozdział 4

Dowodzący Pięćdziesięcioma Halesak przypomniał sobie, że już niedługo będzie musiał użyć obu swoich rąk. To mogło stanowić pewien problem. Zwłaszcza, jeśli nadal będzie ścisnąć linę tak mocno, że przestawał czuć palce.

Zmusił się do poluznienia chwytu – nieznacznego poluznienia – i docisnął głowę do ścianki platformy ładunkowej smoka transportowego. Mimo, że twarz chronił mu lotniczy hełm z szybką, to pęd powietrza i tak dławił mu dech w piersiach. Półsetnik czuł każde uderzenie wspaniałych skrzydeł zwierzęcia, odbierał bicie potężnego serca bestii i nocny wiatr, którego lodowate zimno czuł nawet przez swoje – także lotnicze – grube ubranie i rękawice. Lecieli na wysokości niemal sześciu tysięcy stóp.

Wszystko to czuł wyraźnie i nie było mu z tym dobrze. Ale dzisiejszej nocy nie miało to żadnego znaczenia. Dziś robili coś, co było ważniejsze nawet od uciszania łańcucha obcych Głosów. Dziś w nocy mieli uwolnić swoich i nikt – nikt – nie miał prawa tego robić bez ludzi z Drugiej Andarańskiej.

Smok nagle zwolnił. Ładunkowy klepnął Halesaka ostrzegawczo po ramieniu. Półsetnik spiął się w sobie. Strumień pędzącego powietrza zelżał i Halesak odchylił głowę. Spojrzał na dół i zobaczył cel.

Wyliczenie harmonogramu tej operacji było rzeczą niełatwą. Halesak nie był pewien, w jakim dokładnie miejscu znajduje się wylot tego portalu. Biorąc pod uwagę oczywistą, dziesięciogodzinną różnicę czasu pomiędzy obiema stronami przejścia, musiało to być jednak siedem czy osiem tysięcy mil na wschód od wlotu. Półsetnik podejrzewał, że była to jedna z przyczyn, dla których Sharonianie wybudowali swój fort w miejscu ocienionym przez stromy klif. Ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek

potrzebował w środku nocy, był szeroki nakilka mil dysk południowego blasku zaglądający przez okna. Oczywiście musiał to być niezwykle piękny widok. Słońce i fragment rozgrzanego, jasnego nieba wyciętego w znacznie większym, usianym zimowymi gwiazdozbiorami nieboskłonie. Halesak oglądał takie zjawiska już wcześniej i zawsze go to niezwykle urzekło... wiedział jednak jak on sam i jego żołnierze narzekaliby, mając taki urokliwy widoczek za swoimi oknami.

Wszelkie raporty wskazywały też na to, że druga strona portalu znajduje się znacznie niżej. Wyraźnie widać było świadectwa zmian krajobrazu, które powstawały zawsze, gdy tworzyły się portale łączące ze sobą miejsca o sporej różnicy wysokości. Oczywiście było także, że portal ten był dość stary. Ta różnica wysokości sprawiła im nieco kłopotów, przy planowaniu trasy dla oddziałów lądowych. Problem rozwiązali, ryzykując wysłaniem lecącego na dużej wysokości gryfa, którego kryształ zdobył szczegółowe informacje o rzeźbie terenu.

Na szczęście nikt z ziemi nie zauważył niezwykle dużego orła krążącego nad fortem.

Ideą planistów było uderzenie na Ghartoun pod osłoną mroku. Bliskość portalu sprawiała jednak, że w tej konkretnej okolicy nie było czegoś takiego jak pełen mrok. Stało, więc na tym, że najlepiej będzie przeprowadzić atak mniej więcej o piątej rano czasu lokalnego. O tej porze roku było to jeszcze około pół godziny przed wschodem słońca nad fortem i jakieś trzydzieści minut po zachodzie słońca za portalem. Wiedzieli, że ciemność i tak nie będzie zupełna, ale na całe szczęście łuki portalu wznosił się na wschód od fortu, a zatem to ze wschodu! dobiegać będzie światło, umożliwiając Arkanianom podejście od ciemnego, zachodniego horyzontu, znad gór Cratak. Halesak nie miałby też nic przeciwko zasłonie chmur, ale tutaj nie można było na nią liczyć.

Ładunkowy klepnął go raz jeszcze w ramię. Tym razem mocniej. Halesak energicznie skinął głową. Smok przeleciał tuż nad palisadą fortu, na wysokości ledwie pięćdziesięciu stóp i zawisł w powietrzu nieruchomo. Ładunkowy uruchomił zakłęcie lewitacyjne.

Czar nie mógł podtrzymać w powietrzu ciężkiego, smoczego cielska dłużej niż przez kilka minut, ale to w zupełności wystarczało Iftarowi Halesakowi i jego ludziom.

Podzbrojny Lyntail chan Turkan nie cierpiał pełnić straży o świcie.

Chan Turkan był szeroko znany w SZZP jako „oferma batalionowa”. Co więcej, starszy zbrojny Karuk, najstarszy podoficer w Forcie Ghartoun chętnie używał mniej delikatnych, a za to bardziej zwięzłych określeń w swoim rodzimym arpathiańskim, zwłaszcza, gdy udzielał porad chan Turkanowi. Między innymi, dlatego właśnie chan Turkanowi tak często trafiała się akurat wczesnoporanna służba. Karuk, bowiem był wyznawcą teorii, w myśl której, nieprzyjemne doznania stanowiły znakomity bodziec

do dalszego rozwoju żołnierzy. I kiedy regimentarz Velvelig z siebie tylko znanych powodów postanowił podwoić strażę, Karuk nie miał najmniejszego problemu z wyborem kandydata na tę konkretną porę.

Niemniej, po niemal ośmiu miesiącach bezskutecznych prób wywołania w chan Turkanie jakiegokolwiek „dalszego rozwoju”, nawet ktoś tak zdecydowany i twardy jak starszy zbrojny Karuk, miał prawo poczuć pierwsze, nieśmiałe zwiastuny beznadziei i rozpacz.

Starszy zbrojny, co prawda jeszcze nie rozpaczał, ale zaczął dawać wyraźnie do zrozumienia, że nadszedł już najwyższy czas, by podjąć bardziej drastyczne środki.

Chan Turkan nie miał pojęcia, na czym owe „bardziej drastyczne środki” miałyby polegać, ale gdy tak stał na wschodniej stronie palisady Fortu Ghartoun i patrzył na wstający z wolna za portalem świt, był pewien, że już wkrótce się przekona. Okazało się jednak, że nie miał racji.

Coś sprawiło, że się odwrócił. Mógł to być jakiś dźwięk, mogło być to coś innego. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanowić.

W niedowierzaniu otworzył szeroko usta. Ponad zachodnią palisadą fortu przeleciało jakieś stworzenie wielkości dużego wilka lub też niewielkiego kucyka. Chan Turkan nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Istota wyglądała jak nedorzeczny zlepek wielu zwierząt – jej łeb przypominał nieco głowę drapieżnego ptaka, tylne łapy wyglądały na lwie, lecz przednie pokryte były piórami i kończyły się potwornymi pazurami. Bestia miała też skrzydła.

Potwór przemknął nad murem, wypadł bez jednego dźwięku z zalegających na zachodzie ciemności. Żołnierz stojący na północno-zachodniej wieży nie zdążył nawet krzyknąć. Potworne stworzenie runęło wprost na niego i chwyciło go zakrzywionymi pazurami za ramiona. W mgnieniu oka mocne, tylne łapy strzeliły do przodu i rozplątały wartownika jednym strasznym szarpnięciem, od piersi po żołądek. Wtedy uderzył metalicznie pobłyskujący dziób. Tylko raz. Odrąbana głowa poleciała na bok, a okaleczone ciało stoczyło się w fontannie krwi i innych wydzielin na dziedziniec. Makabryczny zabójca natychmiast wzbił się jak strzała w powietrze.

Chan Turkan stał jak skamieniały. Nie był w stanie uwierzyć – uwierzyć, ani zrozumieć – co się dzieje. Tymczasem przez palisadę fortu przelewało się coraz więcej i więcej potworów. Niektórzy ze strażników zdążyli krzyknąć, zanim zalała ich ta nowa, śmiertelna fala. Ktoś nie tylko miał czas, ale i wykazał się przytomnością umysłu i szarpnął za sznur dzwonu alarmowego. Rozległy się jednak tylko dwa uderzenia. Potem któryś z potworów zabił dzwoniącego. Chan Turkan słyszał krzyki, słyszał wysokie, zawodzące wrzaski zabójców, którzy nie zachowywali się już cicho. Gdzieś rozległ się trzask karabinu czy pistoletu. To któryś z

wartowników zdołał oddać strzał. Chan Turkan zauważył, że jego własne ręce także zaczęły panicznie szarpać za skórzany pasek zawieszzonego na jego ramieniu karabinu.

Nadal jeszcze zmagał się z tym paskiem, gdy od tyłu spadł na niego jeden z gryfów lecących w drugiej fali ataku i błyskawicznie, niczym spadający na zająca jastrząb, złamał mu kark.

Gdy smok zawisł nieruchomo nad dziedzińcem fortu Halesak spojrzął na atak gryfów, które runęły na obrońców.

Od zawsze nienawidził tych stworzeń. Gryfy zwiadowcze były zupełnie inne. Po pierwsze niemal wszystkie były samicami, a do zadań szturmowych wykorzystywano samce. To jednak była najmniej istotna z różnic. Gryfy rozpoznania były także większe, silniejsze, mniej zwrotne, bardziej inteligentne... i dużo łagodniejsze. Niektóre z nich cechowały się wręcz zdolnością do uczuć i przywiązywały się do swoich treserów. Tymczasem, o ile Halesak wiedział,

żaden gryf szturmowy nie przywiązał się dotychczas do nikogo. Ich projektanci wbudowali im niemal szaleńcze poczucie terytorializmu, złośliwe usposobienie i niezaspokojony głód. Miały jedno, jedyne zadanie: zabić wszystko, co żywe na zaprogramowanym obszarze ataku. Gryfów szturmowych nigdy nie szkolono do wykonywania misji, jak to często bywało ze stworzeniami zwiadowczymi. Treserzy tych zwierząt polegali wyłącznie na zakłeciach, które przejmowały kontrolę nad pełnymi nienawiści mózgami gryfów, dzięki kryształkom sarkolisu, które wszczepiano im chirurgicznie cztery lub pięć dni po wykluciu. To właśnie był jeden z powodów, dla których Halesak ich nie cierpiał. Zawsze przecież istniała możliwość, że zakłęcia zawiodą, a teoretycznie „swoją” gryf, który wymknął się spod kontroli i zaczął zbierać krwawe

źniwo we własnych formacjach był ostatnią rzeczą, jakiej mógł chcieć w miarę zdrowy psychicznie żołnierz.

Teraz jednak zakłęcia wydawały się działać. Widać też było wyraźnie, że sharoniańscy strażnicy spodziewali się dziś w nocy wszystkiego, tylko nie ataku. Większość z nich poległa z bronią wiszącą jeszcze na ramionach. Tylko niewielu zdołało po nią sięgnąć.

Niewielu też zdołało zrobić przed śmiercią cokolwiek.

Bose stopy Namira Velveliga uderzyły w podłogę. Z pozbawionego marzeń snu wyrwała go brutalnie kakofonia krzyków, strzałów i dziwnych, wysokich, zawodzących wrzasków. Chwycił za pas z pistoletem, zapiął go w pasie nie myśląc nawet o spodniach, czy bluzie i wybiegł z kwatery. Ruszył do gabinetu, do

wychodzącego na dziedziniec okna.

Wyjrzał i zobaczył sceny rodem z koszmarnego snu.

Regimentarz ujrzał potwory o łbach jastrzębi rozszarpujące, rozdzierające ciała strażników. Zobaczył zniekształcone zwłoki swych żołnierzy porzrucane po całym forcie, porzucone przez morderców, jak zawadzające śmieci. Zobaczył też, jak zabójcy wzbijają się w powietrze i zaczynają krążyć nad koszarami, w których przebywała większość załogi Ghartoun.

Velvelig był Arpathianinem. Mimo swego najzupełniej współczesnego wykształcenia, mimo lat spędzonych w służbie w nowoczesnej armii, doskonale pamiętał opowieści szamanów, które przygotowały go na spotkania z diabłami i demonami, w sposób, jakiego nie rozumieli już inni Sharonianie. Racjonalna część jego umysłu przyglądała się rzezi za oknem w niedowierzaniu. Głęboko wewnątrz obudziły się w nim jednak właśnie te szamańskie, pradawne mity. Regimentarz nie musiał myśleć, by wiedzieć, co należy zrobić z demonami. Instynktownie też wyczuł, że rewolwer nie jest najlepszym narzędziem do tego starcia.

Odepchnął się od okna. Klucze nadal spoczywały w kieszeni spodni, których na sobie nie miał. Nie miał też czasu, by bawić się w subtelności. Jeden strzał z jego HW wystarczył do zniszczenia kłódki na łańcuchu przeplecionym przez spusty wiszących na stojaku strzelb.

Dłonie Velveliga poruszały się z niewiarygodną prędkością. Sięgnął po broń. Strzelba bojowa Model 17 była przeznaczona wyłącznie dla wojska, z odłączanym pięcionabojowym magazynkiem pudełkowym i możliwością osadzenia bagnetu. Strzelało się z niej amunicją w mosiężnym płaszczu o znacznie większej mocy, niż to było w wypadku standardowych ładunków przeznaczonych na rynek cywilny. Broń była ciężka, brzydka i nieporęczna, ale równie śmiertelna, jak niewygodna. Na dole stojaka czekały ułożone dwadzieścia cztery załadowane magazynki. W każdym z ładunków kryło się dziesięć kulek, z których każda była wielkości naboju Polshany kalibru.36. Velvelig otworzył komorę i przeładował. Nie miał większych złudzeń, co do swojej przyszłości, ale wrzucił do płóciennej torby jeszcze tuzin magazynków i przerzucił ją sobie przez ramię. Tak przygotowany wyszedł na zbitą z desek werandę, na zewnątrz biura.

Halesak jęknął. Zjechał po linie z platformy smoka i uderzył piętami w deski na palisadzie. Chrapliwymi okrzykami zaczął zbierać wokół siebie żołnierzy. Przykucnął, gdy tuż nad jego głową prześliznął się jeden z gryfów.

Na dole coś wybuchło. Uszy półsetnika natychmiast oznaczyły hałas jako dźwięk broni Sharonian, ale ten huk brzmiał inaczej, niż te, które zdążył już usłyszeć. Odwrócił się w stronę, z której doleciał go dźwięk i zobaczył samotnego mężczyznę,

ubranego tylko w luźną, białą bieliznę i pas z bronią. Stał na werandzie wybudowanej przy budynku, który według szkicu Neshoka był budynkiem biurowym. Obcy trzymał w rękach coś, co wyglądało jak standardowa broń długa Sharonian, ale po chwili Halesak zobaczył, jak mężczyzna strzela po raz drugi. Kolejny gryf zaskrzeczał boleśnie, zwinął się w powietrzu i wleciał łbem prosto w palisadę, po czym runął na ziemię w bezładnej płataninie sierści i piór. Lewa ręka obcego poruszyła się wzdłuż spodu broni i rozległ się następny strzał.

Padł trzeci gryf. Jego zabójca przeładował i łagodnym ruchem, niemal bez pośpiechu zaczął mierzyć do czwartej ofiary.

Velvelig wyczuwał, że nad murem wisi coś wielkiego i ciemnego. Bez względu jednak na to, co to było nie miał teraz możliwości się z tym zmagać. Skupił się, więc na tym, co mógł zrobić. Dach werandy zabezpieczał go od góry, ze swojego miejsca miał też doskonały widok na obłożony przez potwory budynek koszar. Regimentarz zawsze lubił polować na ptaki, a te bestie jakkolwiek się nie nazywały – były znacznie większe od gołębi. A nawet od jeleni. Nacisnął spust, kolba strzelby uderzyła go w ramię. Czwarte monstrum wbiło się w ściany koszar dwustoma kilogramami martwej masy.

Zwrócił się ku piątemu. Wystrzelił. Potem zajął się szóstym.

Zabiwszy pół tuzina morderczych bestii zwolnił blokadę magazynka. Pusty stuknął w podłogę werandy, regimentarz wsunął do komory nowy, przeładował broń i strącił z nieba siódmą ofiarę.

Iftar Halesak wiedział, że nigdy nie zapomni, że sharoniańscy rzeźnicy z zimną krwią zamordowali jednego z największych ludzi w dziejach Arkany. Taką nienawiść, jaka płonęła w jego sercu, mógłby zrozumieć chyba jednak tylko inny członek kasty garthan. A jednak, gdy tak patrzył na samotnego obrońcę, stojącego niewzruszenie wobec przeważającego wroga, gdy zobaczył jak żołnierz strzela raz po raz z lodowatą precyzją, poczuł mimowolny podziw. I – choć sami tylko bogowie wiedzą, ile potrzeba było zimnej krwi by tak się bić komuś, kto nigdy nie widział gryfów, ani nie podejrzewał nawet ich istnienia – nie chodziło przy tym wyłącznie o odwagę obcego. Halesak podziwiał raczej poczucie obowiązku... i jego niesłychaną skuteczność.

Na oczach półsetnika samotny Sharonianin uziemił siódmego i ósmego gryfa. Naturalna zajadłość drapieżników, wzmocniona jeszcze działaniem kontrolujących je zaklęć sprawiła, że zwierzęta skupiły się bez reszty na budynku koszar i wypełniały zaprogramowane polecenie nie wypuszczania nikogo na zewnątrz, niemal całkowicie ignorując przy tym zabijającego je metodycznie obrońcę budynku administracyjnego.

–Yirman! – krzyknął dowodzący pięćdziesięcioma. – Otwórz bramę! Reszta za mną!

Lansjer Yirman Farl, wraz z dwójką swych ludzi, zbiegł z hałasem po najbliższych schodach na dziedziniec. Pozostali żołnierze poszli w ślad Halesaka, który przemknął się wzdłuż palisady, szukając dogodnego miejsca do oddania strzału.

Velvelig strącił z powietrza kolejnego gryfa. Drugi magazynek także był już pusty. Wyrzucił go z broni i sięgnął po trzeci do torby wiszącej mu u boku.

I właśnie w tej chwili trafił go wyrzucony z kuszy bełt.

Pocisk wbił się w jego prawe biodro bez trudu, niczym rozżarzony kolec. Regimentarz jęknął głośno, czując gwałtowny, przenikliwy ból. Sama siła uderzenia wystarczyła, by zwalić go z nóg. Padając wypuścił strzelbę na ziemię. Lewą ręką sięgnął odruchowo do grubego jak kciuk, krótkiego pręta wbitego głęboko w pachwinę. Prawa dłoń regimentarza powędrowała jednak ku kaburze i po chwili poczuł w niej znajomy ciężar rewolweru HW. Teraz wreszcie dostrzegły go potwory rojące się wokół koszar. Jeden z nich ruszył prosto na nową ofiarę. Oficer uniósł broń, przez chwilę spokojnie śledził nadlatujący koszmar i wystrzelił.

Pocisk kalibru.46 trafił z odległości nieco większej niż piętnaście stóp, uderzył dokładnie w lewe oko potwora. Głowę bestii odrzuciło w tył, ale rozpędzone ciało leciało nadal naprzód, wprost w Sharonianina. W chwilę potem świat Namira Velveliga zasnuła czerń.

Iftar Halesak stał na środku dziedzińca zdobytego fortu. Rozglądał się wśród porzucanych dokoła ciał i kończyn, którymi zasłany był niemal cały, skrwawiony plac. Pod paroma względami jatka, jaka rozegrała się tutaj była jeszcze gorsza niż te, które oglądał wcześniej w

Forcie Shaylar i Forcie Brithik. Tam ciała poległych nie zostały tak okrutnie poszarpane. Nie były tak... podarte. Prawda, zwłoki wielu żołnierzy poległych w tamtych bitwach były spalone do tego stopnia, że zupełnie już nie przypominały ludzkich szczątków, ale to w pewien sposób łagodziło ohydną wymowę całości. Ciężko było o tych zwęglonych truchłach myśleć jak o czymś, co kiedykolwiek było człowiekiem. Z kolei, Sharonianie zabici przez gazową broń żółtych smoków leżeli nietknięci. Tutejsze ciała były jednak tknięte. Wyglądały dokładnie tak, jak można się było spodziewać, że będą wyglądać brutalnie zmasakrowane ciała ludzi, którzy zostali dosłownie rozszarpani na strzępy przez zajadłe, wygłodniałe, sporo większe od swych ofiar drapieżniki. „No i w zasadzie, co z tego?” – surowo zapytał sam siebie. – „Martwi, to martwi.

Bez względu na to, w jaki sposób zginęli. Śmierć zadana przed gryfa jest przynajmniej szybka! A poza tym, żaden z tych drani nie był starym, łagodnym cywilem, który został zamordowany zaraz po tym, jak uklęknął z podniesionymi rękoma.”

Na to wspomnienie o śmierci naukowca, głęboko w jego głowie odezwał się uparty, cichy głos. Halesak usłyszał jego zew, ale bezlitośnie zmusił do milczenia. Nie wiedział dokładnie, jaki los spotykał sharoniańskich jeńców wojennych, ale cokolwiek by się z nimi nie działo, jego ludzie nie mieli z tym nic wspólnego. Ponadto, nic już nie mogło odwrócić tego, co obcy rzeźnicy zrobili magistrowi Halathynowi.

Spojrzał na kawalerzystów zsiadających właśnie ze swych jednorożców. Jeźdźcy pojawili się tu chwilę temu, by zluzować i pozwolić odpocząć oddziałowi piechoty, który zdobył fort. Ludzie Halesaka i reszta sił desantowych otworzyli bramę i utrzymali ją do chwili, w której przybyła jazda i pomogła im uporać się z chaotyczną obroną około tuzina Sharonian, którzy pozostali na zewnątrz koszar i jakimś cudem przetrwali atak gryfów. Półsetnik stracił trzech ze swych ludzi, ale obrońcy byli tak oszołomieni, tak zszokowani tym, co się stało, że nie byli w stanie prowadzić jakichkolwiek bardziej skoordynowanych działań. Kontratakowali z determinacją, ale robili to pojedynczo, bądź parami, co było niewystarczającą siłą – nawet dla kogoś dysponującego ich bronią – do przebicia się przez zaporowy ogień kusz i smoków piechoty żołnierzy Halesaka.

Większość z tych, którzy spróbowali odbić bramę była teraz tak samo martwa, jak ci, których zabiły gryfy i... – Półsetniku Halesak!

Halesak odwrócił się na pięcie i zobaczył gnającego ku sobie przez dziedziniec Yirmana Farla. – O co chodzi? – spytał ostro oficer.

–Znaleźliśmy naszych! – oznajmił Farl z przejęciem. – Jeden z nich chce się z panem pilnie widzieć, Sir! – Ze mną? – Halesak aż zamrugał.

–Tak jest! – uśmiech Farla wyglądał tak, jakby miał za chwilę rozedrzeć twarz właściciela na dwoje. – To półsetnik Ulthar!

–Ulthar? – powtórzył szybko Halesak. – Gdzie on jest? – Proszę za mną, półsetniku.

Halesak poszedł za lansjerem, szybko i sprawnie wymijając zwłoki, prosto do budynku, który do chwili ataku musiał służyć w forcie za areszt. W celach przetrzymywano około tuzina ludzi. W świetle wczesnego poranka, wlewającego się przez zewnętrzne, zakratowane okienka, widać było, że cele nie były przepelnione. Sharonianie wyposażyli je również w odpowiednie poślania. Wszystko to Halesak zarejestrował kątem oka. Cała jego uwaga jednak skupiła się na wysokim, kościstym Andaraninie, który sam jeden zajmował następną celę.

–Therman! – Halesak chwycił dłoń szwagra. Półsetnik Ulthar wyciągnął ją pomiędzy sztabami. – Na bogów, człowieku! Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz!

–Jeszcze żyję – Halesak zauważył, że Ulthar jest bardziej blady niż zwykle. Stał też w dziwnie nieporadny sposób. Lewą rękę miał zawieszoną na temblaku. Ramię po tej

stronie miał przygięte pod dziwnym kątem i napuchnięte, tak, jakby pod bluzą opatrzone go wieloma warstwami bandażu. Na twarzy więźnia znać było zmarszczki, których Halesak nie pamiętał z ostatniego razu, gdy ze sobą rozmawiali.

–Dostałem w ramię – wyjaśnił Ulthar, który zauważył, na co patrzy Halesak. – Paskudna rana, a oni tu nie mają Uzdrowicieli. W każdym razie nie takich jak my. Robili, co mogli, ale...

Wzruszył zdrowym ramieniem. Halesak zacisnął mocniej zęby.

–Robili co mogli? Widocznie czasem im się zdarza – zazgrzytał wściekle. Ulthar uniósł brwi. – Co masz na myśli? – zapytał.

Halesak spojrzał zaskoczony. Więzień uśmiechnął się łobuzersko.

–Ja cię dobrze znam, Iftar. Takie pochopne wyciąganie wniosków jest do ciebie zupełnie niepodobne. Nie możesz przecież wiedzieć, jak nas traktowano w niewoli.

–Nie muszę tego wiedzieć, żeby pamiętać, jakimi obcy są rzeźnikami – syknął szorstko Halesak. Zdumienie Ulthara było oczywiste. Halesak wyszczerzył się złowrogo. – Wystarczy, że wiem o tym, że zastrzelili magistra Halathyna jak psa, w chwilę po tym, jak się im poddał. Żadnych więcej informacji naprawdę mi nie trzeba, Therman!

–Zastrzelili magistra Halathyna? – zaskoczenie Ulthara przeszło w zupełne zmieszanie. – O czym ty mówisz? Przecież to nie oni go zabili!

–Co?! – Halesak spojrzał z niedowierzaniem. Przez chwilę lub dwie umysł byłego garthan odmawiał przyjęcia nowej informacji. Po chwili, otrząsnął się gwałtownie. – Ale raporty wywiadu, przesłuchania... – Powtarzam ci. Sharonianie tego nie zrobili – powtórzył ponownie Ulthar. – To jakaś bzdura. On nie zginął od ich broni, tylko od naszej. Zabił go arkaniański smok piechoty. Miotacz błyskawic.

–Therman, jesteś tego pewien? Bez cienia wątpliwości?

–Jak niczego więcej na świecie – przytaknął Ulthar. – Obcy pozwolili nam pogrzebać umarłych. Widziałem ciało Halathyna na własne oczy, Iftar. Owszem, miał na ramieniu ranę, która wyglądała jakby była spowodowana ich bronią ręczną. Ale zabiła go bez wątpienia błyskawica.

–O bogowie – wyszeptał Halesak, doskonale pamiętając furię i nienawiść, którą czuł jeszcze niedawno. – Owszem, przyznawali, że tego nie można jeszcze potwierdzić, ale...

–Nie wiem, co „oni” wam powiedzieli – powiedział Ulthar – ale z tego co wiem,

Iftar, to ci ludzie traktowali wszystkich swoich jeńców, w tym mnie, z szacunkiem. Nie znam ani jednego przypadku, by potraktowali kogoś brutalnie, a ich uzdrowiciele – na miarę swoich możliwości – zrobili, co mogli, by wyleczyć naszych rannych. Pomimo tego, że to my oddaliśmy pierwszy strzał.

–Jak to? To my zaczęliśmy? – jęknął Halesak.

–Oczywiście, że my! – głos Ulthara stał się nagle szorstki i gorzki. – Setnik Olderhan miał rację od samego początku. Chciał, żebyśmy się wycofali z dala od portalu i odczekali do chwili, w której będziemy w stanie nawiązać pokojowy kontakt. Setnik Thalmayr miał jednak odmienne zdanie. Opowiadał mi o tym jeden z naszych, którzy pełnili wtedy straż przy portalu. Thalmayr rozkazał im otworzyć ogień do samotnego kawalerzysty, który pojawił się, żeby z nami negocjować. On z nami rozmawiał, Iftar!

Umysł Halesaka pracował na najwyższych obrotach, dopasowywał do siebie luźne strzępy informacji, fragmenty zasłyszanych pogłosek. Przypomniał sobie plotki o tym, w jaki sposób pięćsetnik Neshok prowadził swoje „przesłuchania” pojmanyh Sharonian... przypomniał też sobie, że dwutysięcznik Harshu nie zrobił nic, by ukrócić to postępowanie wywiadowcy.

–Słuchaj, Therman – powiedział szybko, pospiesznie, przysuwając się do krat i jednocześnie ścisząc głos. – Czy jesteś w stanie udowodnić, że to nie my zabiliśmy magistra Halathyna?

–Udowodnić? – Ulthar znów wydawał się zmieszany. Halesak pokręcił zdecydowanie głową.

–Wszystkie dostarczone nam przez wywiad raporty... mocno sugerowały, że to Sharonianie zabili magistra Halathyna i to już po tym, jak się poddał. Nie miałem – nikt z nas nie miał – żadnej podstawy by w to wątpić. Aż do dziś. Teraz mam ogromne wątpliwości i zastanawiam się, z jakiego powodu przyszło im do głowy, by „sugerować” nam wszystkim, że to właśnie obcy.

Ulthar popatrzył na niego przez chwilę i skrzywił się.

–Iftar, Magister Halathyn został pochowany trzy miesiące temu. W grobie, w podmokłej okolicy, bez żadnego zaklęcia konserwującego. Nie wiem, czy teraz ktokolwiek byłby jeszcze w stanie określić przyczynę jego śmierci. Wiem tyle, że widziałem jego ciało. Widziało je pewnie też ze dwóch innych chłopaków z oddziału. Żadnych innych dowodów jednak nie mam.

–A czy ktokolwiek inny, ktoś poza tobą, mógłby potwierdzić, że to my zaczęliśmy strzelać? – naciskał Halesak.

–Nie wiem – powiedział powoli Ulthar. – Żołnierz, z którym rozmawiałem – lansjer Tiris – umarł krótko po tym, jak trafiliśmy do niewoli. Ich Uzdrowiciele próbowali, ale nie dali rady go ocalić.

–Cholera – mruknął pod nosem Halesak. Ulthar pochylił głowę i spojrzął na szwagra swymi bystrymi, niebieskimi oczyma.

–Iftar, o co w tym wszystkim, u diabła chodzi?

–Słuchaj – Halesak mówił teraz jeszcze ciszej, niż dotąd. – Teraz to i ja nie mam pewności, co się tak naprawdę tu dzieje. Powiedziano nam, że za każdym razem to Sharonianie zaczynali. Podsunięto nam też te „niepotwierdzone raporty” wywiadu, w myśl których magister Halathyn został zamordowany z zimną krwią. No i są jeszcze te plotki – nie wiem, skąd się wzięły – o tym, że obcy dobijali naszych poddających się rannych.

–Gówno prawda! – wybuchnął Ulthar. – To...

–Zamknij się! – syknął Halesak. – Zamknij się i słuchaj!

Ulthar zdusił w sobie kolejne słowa. Halesak zaczerpnął głęboko powietrza.

–Już lepiej – powiedział i znów umilkł, rozważając w myślach słowa, którymi musiał wyrazić to, o czym myślał.

–Posłuchaj – zaczął ponownie – jesteś mężem mojej siostry i wujem mojej córki. Nie chcę po powrocie do domu musieć im przekazywać, że spotkało cię coś złego już po tym, jak cię uratowałem z niewoli. – Ale... – Posłuchaj mnie. Nie mówiono by nam tego wszystkiego, co usłyszeliśmy przed rozpoczęciem tej operacji, gdyby ktoś nie postanowił, że tak trzeba. I muszę przyznać, że jeśli to był sposób, by nas rozjuszyć, to im się udało – Halesak uśmiechnął się ponuro. – Wierz mi, Therman, nie chcesz wiedzieć, co mi przychodziło do głowy od chwili, gdy powiedziano mi, że magister Halathyn nie żyje. I na pewno nie byłem w tych uczuciach osamotniony. Ale jeśli się nie mylę i to wszystko zrobiono celowo, to jak myślisz, jak oni zareagują, jeśli zaczniesz dokoła rozpowiadać, że wszyscy zostaliśmy okłamani?

–Jeśli was okłamano, to moim obowiązkiem jest przekazać prawdę – Halesak zobaczył w niebieskich oczach Ulthara znajomy, uparty błysk i poczuł, że żołądek ściska mu się w ciasny węzeł. Zdusił w sobie nagłą chęć pochwycenia szczuplejszego od siebie szwagra za bluzę i potrząśnięcia nim, by odzyskał rozum.

–Cholera jasna, tym razem mnie posłuchasz, Thermanie Ulthar – powiedział zamiast tego lodowatym, ostrym, pełnym napięcia głosem. – Jestem garthan. Ludzie z mojej kasty, cholera, teraz to także i twoja kasta, wiedzą wszystko o byciu okłamywanymi i manipulowanymi. Na bogów, człowieku! Przecież te bydlaki z shakiry robią z nami

dokładnie to samo! Od tysięcy lat! A z tego, co mi właśnie powiedziałaś wynika, że mamy do czynienia z kłamstwem nad kłamstwami. Czy naprawdę nie wydaje ci się, że ten, kto jest za nie odpowiedzialny, bardzo będzie chciał zamknąć usta niewygodnemu półsetnikowi, który nie jest nawet w stanie uzasadnić swoich „niedorzecznych twierdzeń”? – Być może, tak się to odbywa w

Mythal – syknął ostro Ulthar – ale to jest przecież, do cholery, armia Unii!

–I dlatego nie mówię, że masz zamilknąć na zawsze – odparł Halesak. – Każę ci siedzieć cicho i spuścić głowę, dopóki nie będziesz mieć, kurwa, absolutnej pewności, że przełożony, do którego z tym pójdziesz, nie jest jednym z elementów skomplikowanego spisku, mającego na celu ukrycie prawdy! Rozumiesz mnie teraz, Therman? Nie chcę w domu powiedzieć Arylis, że jej durny mąż dał się zabić bawiąc się w swoje honorowe, andarańskie gierki z kimś, kto okazał się niegodny zaufania!

Ulthar rzucił mu gniewne spojrzenie, ale po chwili, stopniowo, wściekłość wypłynęła z jego niebieskich oczu i zastąpiło ją coś innego.

–Przepraszam, Ulthar – odezwał się już łagodniej Halesak. – Naprawdę bardzo mi przykro. I zgadzam się z tobą w tym, że kiedyś trzeba będzie ujawnić prawdę. Ale aby do tego doszło, musisz pozostać przy życiu. Poza tym, nie chcę cię stracić, nie teraz, gdy własnoręcznie wyciągam cię z niewoli. Rozumiesz mnie?

Ulthar przez długą, bardzo długą chwilę patrzył na szwagra w milczeniu. I wreszcie, powoli skinął głową.

–To dobrze – powiedział cicho Halesak, sięgnął przez kraty i uściśnął zdrowe ramię więźnia – bardzo dobrze.

Rozdział 5

–Pięknie, pięknie, pięknie... – mruczał Alivar Neshok, idąc z wolna wzdłuż szeregu posępnych, sharoniańskich jeńców, ustawionych na usianym martwymi ciałami dziedzińcu fortu. Niektórzy z nich odnieśli lekkie rany; wszyscy bez wyjątku mieli ręce skute za plecami. Gdyby spojrzeniami potrafili zabijać wszyscy ludzie – a nie tylko wyszkoleni w magii bojowej magistrowie – Neshok byłby już dopalającym się, zwęglonym zewłokiem. Ostatnia myśl bardzo go rozbawiła.

–Tych pięciu rzucił oszczepnikowi Porathowi. – I jeszcze... ten – dodał wskazując na niebieskookiego, lekko tłustawego, starszego zbrojnego. – Tak jest!

Neshok skinął głową i ruszył dalej. Ręce trzymał zapięte na plecach. Z cicha pogwizdywał. Wiedział, że może liczyć na to, iż Porath zajmie się jeńcami jak należy.

Beztroski gwizd zamarł, gdy zadowolenie Neshoka zmąciła ponownie jedna, bardzo

poważna niedogodność. Fakt, że dzięki jego przesłuchaniom odkryto, że arkaniańscy jeńcy wojenni przetrzymywani są tutaj, w Forcie Ghartoun, z pewnością przyczyni się do ogólnego uznania jego zasług. Przecież tylko dzięki niemu ci ludzie nie zginęli w nalocie wraz z obcymi. Ale fakt, że atak został przeprowadzony na ziemi, oznaczał, że wywiadowcy – inaczej niż to było poprzednio – dotarli na miejsce później niż piechota.

Z tego z kolei wynikało, że – przynajmniej na razie – ciężko ranny komendant fortu znajdował się, poza zasięgiem Neshoka.

Wywiadowca przeklął w myślach. Dowodzący Pięcioma Setkami Vaynair odtransportował tego obcego bydlaka do bezpiecznie oddalonego od frontu szpitala polowego. Osobiście, Neshok nie miałby nic przeciwko temu, by Sharonianin zmarł wskutek ran. Tak zresztą z pewnością by się stało, gdyby do akcji nie wkroczyli natychmiast Obdarzeni Uzdrowiciele. Śmierć dowódcy byłaby znakomitym przykładem dla pozostałych jeńców. A gdyby nawet obcy przeżył, Neshok mógłby go zastrzelić osobiście, co rzecz jasna stałoby się jeszcze bardziej wyrazistą przestrogą dla opornych. Vaynair jednak nie miał zamiaru dopuścić do niczego podobnego. Neshok raz jeszcze zlął w myślach świętoszkowatego Andaranina, który zdołał przerzucić rannego Sharonianina do Uzdrowicieli zanim zdołał go dopaść wywiad.

„Cóż. Póki co, będę musiał po prostu popracować nad tymi obcymi, których mimo wszystko dostałem. Kretynami, którzy rzucają mi kłody pod nogi zajmę się później” – pomyślał. – „Tym razem przynajmniej, dali mi więcej obcych niż poprzednio.”

Oficer wszedł do budynku, który wybrał na miejsce przesłuchania. Wcześniej była to stajnia, ale nieulepszone magicznie konie, które trzymano tutaj do tej pory, już od jakiegoś czasu nie potrzebowały żadnego dachu nad głową. Smoki i gryfy – a zwłaszcza bojowe smoki i gryfy – cechowały się bardzo szybką przemianą materii, a mięso koni i mułów smakowały im tak samo, jak wołowina i owce.

„Co więcej, oglądanie pożywiających się smoków i gryfów z pewnością otworzyło oczy Sharonianom, zwłaszcza po tym, jak widzieli, co te stworzenia zrobiły z tak wieloma ich towarzyszami” – zachichotał okrutnie pod nosem. – „Sam ten widok powinien rozwiązać języki kilku jeńcom.”

Przeszedł przez stajnię i przyjrzał się boksom. Uznał, że w razie potrzeby będzie można je wykorzystać jako klatki do przetrzymywania jeńców. Siodlarnia natomiast – zauważył – zapewni mu tego rodzaju prywatność i... intymność, które już wcześniej pozwoliły mu pracować tak bardzo skutecznie.

Rzucił okiem na Poratha, który wraz z dwoma innymi żołnierzami przygnał właśnie skutych jeńców do siodłami.

–No już, już, oszczepniku Porath – łagodnie napomniął podwładnego, wchodząc za żołnierzem do środka. – Z pewnością nie trzeba z nimi aż tak ostro. Przynajmniej na razie.

–Tak jest, pięćsetniku. Wedle rozkazu – odpowiedział Porath z idealnie odegranym odcieniem rozczarowania w głosie. Oficer pokręcił głową i pogroził podkomendnemu palcem, po czym zwrócił się do Sharonian.

–No dobrze – odezwał się do nich, używając swojego tłumaczącego KO. – Nazywam się Neshok, pięćsetnik Neshok z armii Unii Arkany. W ciągu najbliższych dni poznamy się nawzajem bardzo dobrze i przez ten czas udzielicie mi wszelkich informacji, o jakie poproszę.

Żaden z obcych, oczywiście, mu nie odpowiedział. Neshok uśmiechnął się blado.

–Być może, w tej chwili jesteście jeszcze odmiennego zdania – dodał – ale skoro tak, to tkwicie w poważnym błędzie. Zaufajcie mi. Grubo się mylicie.

Folsar chan Tergis spojrział na uśmiechniętego Arkanianina o pociągłej twarzy i poczuł ostre ukłucie strachu. Od Neshoka były tak intensywne emocje, że nawet pół-Głuchy Głos musiałby je odebrać, nawet bez fizycznego kontaktu. A chan Tergis nie był przecież na pół-Głuchym Głosem.

W każdym razie jego Talent był na tyle mocny, że zrozumiał, iż Arkanianin jest niemal klinicznym przypadkiem psychopaty.

„On to lubi” – zauważył w myślach chan Tergis. – „On to naprawdę lubi. Tu nie chodzi tylko o żądzę władzy. Dla niego to niemal erotyczne doznanie. Nie może się doczekać zabijania. Na Triadę, jak wielu z nich jest podobnych do niego?”

–A teraz – głos uśmiechniętego szaleńca zabrzmiał niemal pieszczotliwie – może któryś z panów raczyłby mi powiedzieć, kto tu jest Głosem?

Chan Tergis miał wrażenie, że krew zamarza mu w żyłach. Umysł telepaty pracował z gorączkową prędkością. Najwyraźniej obcy wiedzieli więcej o Talentach Sharonian, niż ktokolwiek przypuszczał. Powód ciszy panującej od jakiegoś czasu w dole łańcucha, stał się nagle przerażająco łatwy do odgadnięcia.

W tej konkretnej chwili, Folsar chan Tergis zobaczył to, co się za chwilę wydarzy równie wyraźnie, jakby był Calirathem. Nagle uderzyła go zupełnie inna myśl. Wiadomości o budzącym się Talencie Syraila Targala nie trzymał dotąd w tajemnicy. Co więcej – był ze zdolności chłopca dumny, więc o mocy jego Głosu rozповідаł na lewo i prawo. Jeśli ten Neshok okaże się na tyle... metodyczny i sumienny, jak można się tego było spodziewać, to prędzej czy później złamie kogoś, kto wie o Talencie dzieciaka. A wtedy...

„Syrail” – Krzyknął całym swym umysłem. – „Syrail, Usłysz mnie!”

Przez chwilę nie nadchodziła żadna odpowiedź. Po chwili, lelepada Zobaczył czyjeś dłonie nabierające z płóciennego worka porcję karmy dla zwierząt i podsuwające ją rozochoconym koniom o aksamitnych chrapach.

„Folsar?” – pojawił się Głos Syraila i wizja zniknęła. Chłopiec wydawał się zaskoczony i bardziej niż tylko trochę wystraszony. Najwyraźniej wraz ze Słowami chan Tergisa przedostało się do jego umysłu o wiele więcej emocji, niż starszy Głos zamierzał, ale to akurat mogło wyjść na dobre. – „O co chodzi? Co się stało?”

„Arkanianie” – Powiedział pospiesznie chan Tergis. – „Zdobyli fort.”

Wysłał przebłyski umysłowych wizji – przerażające obrazy przedstawiające atakujące gryfy, rogate jednorożce o uszach rysia i zatrważająco wielkie smoki. Przekazywał je z dokładnością i szybkością, z jaką mógł to robić jedynie świetnie wyszkolony Głos. Trzynastolatek, który odbierał je wszystkie, aż jęknął widząc nagą, surową przemoc Oglądanego i Słuchanego przekazu. Chan Tergis przez moment poczuł wyrzuty sumienia na myśl, że musi narażać chłopaka na tak ciężkie doznania, ale ktoś przecież musiał się o wszystkim dowiedzieć.

Po drugiej stronie, panowała przez chwilę pełna oszołomienia cisza. Szok tak zupełny, że telepata przestraszył się, iż chłopiec zupełnie zerwał połączenie. Gdyby tak się stało, nie miałby tego Syrailowi za złe, ale okazało się, że dzieciak ulepiony był z twardszej gliny niż wielu dorosłych, których chan Tergis miał okazję poznać.

„Co się dzieje teraz?” – Spytał zadziwiająco spokojnym Głosem. – „Co mam zrobić?”

„Na razie po prostu nie zrywaj połączenia” – Powiedział chan Tergis. – „Patrz i Słuchaj.”

„Czy mam przejść przez portal i spróbować nawiązać kontakt ze stacją przekaźnikową w Failcham?”

„Nie!” – chan Tergis praktycznie Wykrzyczał to jedno słowo. Zebrał się w sobie i skupił się, by to, co działo się w jego duszy, nie przedostało się do jego umysłu, ani do umysłu Syraila. – „Skoro obcy dotarli aż tak daleko w górę łańcucha i nikomu nie udało się nas ostrzec, to znaczy, że eliminowali po drodze wszystkich telepatów” – ciągnął już spokojniej, bardziej zrównoważonym Głosem. – „Wynika z tego, że wiedzą, czego szukać i najprawdopodobniej zrobią co w swojej mocy, by zlokalizować tę stację. Jeśli spróbujesz przejść przez portal, ściągniesz jedynie ich uwagę na siebie, a to ostatnia rzecz, jakiej chcemy. Zaufaj mi Syrail.”

„Dobrze” – teraz Syrail wydawał się posłuszniejszy, a może nawet bardziej przestraszony. Chan Tergis zacisnął mocniej szczękę. Zrozumiał, że chłopiec nie boi

się o siebie. Chciał powiedzieć Syrailowi, jak bardzo jest z niego dumny, a także jak bardzo ważną osobą stał się dla niego. Na to jednak nie było czasu. Nie było też zresztą potrzeby. Obaj telepaci połączeni byli w tej chwili bardzo głęboką więzią.

„To będzie...” zaczął chan Tergis, ale urwał, gdy zobaczył jak cztery stopy przed szeregiem jeńców staje człowiek, który przedstawił się jako Alivar Neshok.

–Być może – zauważył rozsądnie Neshok – niektórzy z was, a może nawet wszyscy, jeszcze mi nie dowierzacie. Być może sadzicie, że trzymając gęby na kłódkę uda się wam pozbawić nas jakichś szczególnie ważnych informacji. Ale trzeba wam wiedzieć, że w tym konkretnym wnioskowaniu kryje się błąd. Tym razem schwytailiśmy was bardzo wielu. Możecie mi wierzyć. Nawet, jeśli jednemu, czy drugiemu uda się zachować dla siebie coś, o co zapytam, odpowie na moje pytania kto inny. Zawsze ktoś mówi. To jedynie kwestia tego, jak wielu ludzi ucierpi przedtem. Znow nie odpowiedział mu ani jeden

Sharonianin. Coś w Neshoku zamruczało groźnie niczym w głębi wielkiego, ruszającego na łowy, kota.

Splótł dłonie na plecach, powoli zakołysał się na piętach w przód i w tył i przyjrzał się badawczo twarzom jeńców. Stwierdził, że wyglądają na mniej wstrząśniętych, niż większość obcych, których przesłuchiwał wcześniej. To była ciekawa i warta zapamiętania informacja. Najwyraźniej oglądanie towarzyszy broni rozdzieranych na strzepy przez gryfy było mniej szokującym doświadczeniem od przeżycia ostrzału ognistymi kulami, czy duszącymi oparami gazu. A może chodziło po prostu o to, że w tym formie liczba ofiar była dużo mniejsza niż w poprzednich?

–No proszę – odezwał się znow, niemal błagalnie. – Nie udawajcie, że nie rozumiecie, co do was mówię. Zastanówcie się też nad czymś jeszcze.

Wasza szóstka ma ten niefortunny przywilej, że jesteście pierwszymi ludźmi, którym zadam te pytania. Na zewnątrz czeka na mnie wielu waszych. A prawda jest taka, że będziecie niemal tak samo pożyteczni w charakterze... pouczającego przykładu, jak dobrymi bylibyście źródłami informacji. I mówiąc zupełnie otwarcie, nie obchodzi mnie, czy akurat to wy odpowiecie na te pytania, czy nie.

Jeńcy nadal milczeli. Neshok rozprostował ręce i odebrał od Poratha sharoniański rewolwer.

–Wróćmy zatem do mojego pierwszego pytania – dodał z promiennym, przyjaznym uśmiechem. – Kto w tym formie jest Głosem? Chan Tergis zeszywniał. Nie musiał się wcale odwracać, by wiedzieć, że żaden z jego towarzyszy nawet nie zerknął w jego kierunku. Wszyscy z zaciśniętymi szczękami patrzyli prosto przed siebie.

–Być może wydaje się wam, że ja żartuję, co do konsekwencji, jakie pociąga za sobą

uporczywa odmowa odpowiedzi – powiedział Arkanianin. Uniósł HW z miną człowieka, który potrafi się tą bronią posługiwać i wymierzył w głowę młodszego zbrojnego Erkama Varli, który stał na drugim końcu szeregu jeńców. – Uwierzcie mi – odciągnął kurek – nie żartuję.

Kroplisty pot zrosił czoło Varli, ale żołnierz jedynie mocniej zacisnął wargi. Neshok zaczął powoli naciskać spust. Nie wahał się. Aura uczuć, bijąca od niego i wypełniająca całą siodlarnię, biła w chan Tergisa niczym wściekłe, morskie fale gnane zimowym sztormem. Głos nie miał najmniejszych wątpliwości, że Arkanianin strzeli. – Stój!

Neshok zamarł, uniósł jedną brew i spojrzał w bok na chan Tergisa.

–Życzy pan sobie coś powiedzieć? – spytał uprzejmie.

–To ja jestem Głosem – przyznał chan Tergis ochryłym głosem.

„Nie, Folsar!” – Krzyknął Syrail z tyłu jego umysłu, ale chan Tergis nie zdjął nawet spojrzenia z oblicza Neshoka.

–Doprawdy? – Arkanianin rzucił okiem na tłumaczący kryształ. Kamień jaśniał niezmiennym błękitem i obcy skinął głową. – A rzeczywiście, jesteś – dodał. – No to świetnie. Spodziewałem się, że szukanie ciebie zajmie mi więcej czasu.

Chan Tergis nic nie powiedział. Po prostu patrzył. Neshok się uśmiechnął. – Czas na następne pytanie. Brzmi ono tak: Czy jesteś jedynym Głosem w okolicy, czy nie?

Myśli chan Tergisa gnały szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Sposób, w jaki Arkanianin spojrzał na kryształ sugerował, że ten kamień w jakiś sposób był w stanie mu powiedzieć, czy ma do czynienia z kłamstwem, czy nie. Musiał to być jeden z niewiarygodnych „czarów”, jakimi dysponowali ci ludzie. Pytanie brzmiało – jak dokładnie działało to zaklęcie?

–Jestem jedynym głosem pozostającym do dyspozycji regimentarza Velveliga – powiedział beznamiętnym, zdecydowanym głosem i kryształ znów zajaśniał na niebiesko.

–Owszem, jesteś – potwierdził Neshok. Chan Tergis Poczł przez umysłową więź wirujące emocje Syraila. Chłopiec wyczuł determinację, z jaką starszy telepata chce go ochronić.

–Obawiam się – ciągnął Neshok – że jak dotąd wymyśliliśmy tylko jeden sposób, w który możemy się upewnić, że wy, telepaci, nie urządacie sobie potajemnych pogawędek.

Chan Tergis poczuł, jak tężeją mu mięśnie twarzy, ale nie czuł zaskoczenia. Nie po tym, co już wcześniej odczytał w emocjach uśmiechniętego, mruczącego z zadowoleniem rzeźnika.

–Jestem pewien, że mnie rozumiesz – ciągnął Arkanianin przesuwając lufę pistoletu z Varli ku głowie chan Tergisa.

„Folsar!” – Krzyknął Syrail. – „Nie możesz...”

„Nie ma czasu, Syrail” – powiedział telepata niemal najzupełniej spokojnym głosem. – „Przepraszam cię. Powiedz rodzicom. Przekaż im, że ktoś jeszcze w forcie może pamiętać, że o tobie mówiłem. Każ im uciekać. Ukryjcie się. Nie pozwólcie im...”

Oślepiające światło z lufy rewolweru sprawiło, że Umilkł na zawsze.

–Mam tu podsumowanie informacji wywiadu dotyczących naszych dwóch następnych celów, Klayrman – poinformował tysięcznika Toralka, dwutysięcznik Harshu tego samego wieczora. – Na ile to rozumiem, kolejny przystanek nie powinien sprawić nam specjalnych kłopotów. Nazywają ten wszechświat Karys. Ale ten za nim, Traisum, okaże się chyba najcięższym wyzwaniem, z jakim się dotąd mierzyliśmy.

–Ach, tak? – Toralk ze wszystkich sił starał się ukryć swój niesmak, spowodowanym metodami, których użyto by zebrać wspomniane przez dwutysięcznika informacje wywiadu. Harshu jednak i tak zauważył, co nurtuje podwładnego i niecierpliwie pokręcił głową.

–Ja doskonale zdaję sobie sprawę, z tego, co myślisz o Neshoku, Klayrman. Szczerze powiedziawszy ja też myślę, że już czas trochę mu powściągnąć cugle. Zresztą już się nawet do tego zabrałem. Odebrałem mu kontrolę nad naszymi jeńcami i zatwierdziłem odmowę pięćsetnika Vaynaira, który nie chciał wydać mu rannych.

–A dlaczego, jeśli mogę spytać, dwutysięczniku? – odezwał się, bardzo ostrożnie Toralk.

–Głównie dlatego, że zaczynamy mieć do czynienia z bardziej zaludnionymi wszechświatami. Albo natkniemy się na nie już bardzo niedługo. Fort Mosanik w

Karys to jeszcze nic takiego. Twoje żółte smoki nie powinny mieć z nim najmniejszych kłopotów. Ale gdzieś po drugiej stronie natkniemy się na tę ich „kolej”. Z tego, czego zdołaliśmy się dowiedzieć, przy jej budowie pracuje wielu ludzi. Starają się ją podciągnąć tak daleko w głąb łańcucha, jak to tylko możliwe. Bez wątplenia mają tam ze sobą, co najmniej jednego telepate.

Już samo to spowoduje pewne problemy – ciągnął. – Ale kiedy się już z nimi uporamy, będziemy musieli jakoś rozwiązać kwestię Fortu Salby w Traisum. Wydaje

mi się, że informacje o portalu powinny być dla ciebie fascynującą lekturą. Ale portal portalem, a jest jeszcze sam fort i całkiem spora osada dokoła. Na domiar wszystkiego wydaje się, że obcy mają tam też sporo wiosek i farm. Wszystkie znajdują się podobno na trasie

łączącej Salby z następnym wszechświatem. Przy takiej ilości ludzi nie wydaje mi się, byśmy byli w stanie dalej tak skutecznie... neutralizować ich sieć Głosów. Zbyt duża jest szansa, że któryś z telepatów ukryje się przed nami pod jakimś krzakiem. To oznacza, iż stracimy element zaskoczenia, przez co poważniejsze postępy poza Fortem Salby mogą się okazać, co najmniej problematyczne.

Ale to też tak naprawdę nic strasznego – mówił dalej dwutysięcznik. – Jak sam wiesz udało się nam przejąć tu, w Ghartoun, nietknięte mapy Sharonian. Mam dwóch takich bystrych facetów w sztabie, którzy opracowali odpowiednie aplikacje do czytania obrazów. Co prawda, nadal nie mamy możliwości odczytywania ich dokumentów, ale możemy już przejęte mapy Wczytywać do naszych KO i porównać z własnymi mapami. Dzięki temu porównujemy cechy terenu, a potem, używając naszych map jako punktu odniesienia skalujemy obce mapy. Nie jesteśmy jeszcze w stanie odczytywać ich nazw, ale wiemy już z grubsza, jak wygląda dalsza część tego łańcucha. I mimo, że dałbym sporo żeby wiedzieć więcej o innych, zbadanych przez Sharonian ciągach portali, to i tak już jest niemal pewne, że to właśnie portal Traisum jest tym wąskim gardłem, które chcieliśmy znaleźć. I to z wielu powodów. –
Naprawdę, dwutysięczniku?

–Naprawdę – Harshu uśmiechnął się nieznacznie. – Mówiłem przecież, że będziesz pod wrażeniem. Sam portal musi być koszmarem dla ludzi, którzy nie posługują się smokami, a wszystkie prowadzące do niego drogi są niemal równie złe. Jedyne szlaki lądowe, jaki prowadzi do portalu Traisum, wiedzie przez dolinę, nad którą trzyma pieczę Fort Salby. Między innymi, dlatego tak bardzo zależy mi na tym forcie. Chcę móc kontrolować dolinę po to, żeby zatrzymać ich w miejscu, w którym będziemy mogli ich ostrzeliwać i zahamować wszelkie próby odbicia portalu. Biorąc pod uwagę, że oni nie potrafią latać, powinniśmy być przez cały czas w stanie atakować ich smokami i w razie potrzeby wycofać się za portal.

–Proszę o wybaczenie, dwutysięczniku, ale skoro ten portal jest tak dobrym miejscem do obrony jak pan sugeruje, to dlaczego mielibyśmy się wycofywać?

–Wydaje się, że wszyscy nasi jeńcy są zgodni, co do tego, że posiłki, których oczekiwał dowódca obrony portalu na bagnach, powinny znajdować się o jakiś tydzień drogi od Fortu Salby, w chwili, gdy my tam dotrzemy. Gdybym to ja był ich dowódcą i gdybym nie dysponował smokami, to prawdopodobnie długo i mocno bym się zastanowił, zanim pomyślałbym o przebijaniu się przez portal z Traisum do Karys. Z drugiej jednak strony, my nadal nie znamy możliwości ich ciężkiej broni, ani nie możemy w żaden sposób przewidzieć, jaką siłą ognia będą dysponować żołnierze z

tych posiłkowych oddziałów. Być może oni przypuszczają, że są w stanie odbić portal siłą. Możliwe też, że mają rację.

Zajmując Salby i przejmując kontrolę nad doliną prowadzącą do portalu zyskamy możliwość zaatakowania ich na długo wcześniej. Mam też nadzieję, że dzięki temu uda nam się też; wyczuć, do czego oni są zdolni i czym ich ewentualna nowa broń różni się od tej, z którą już mieliśmy do czynienia. Takie przetarcie jest mi niezbędne, zanim dojdzie do walki pierś w pierś tuż przy portalu. Jeśli natomiast okaże się, że ich zdolności bojowe są tak marne, jak to zakładają niektórzy z naszych optymistycznie nastawionych, młodszych oficerów, to może nawet nie uda im się przejść przez nas i nie dotrą do samego portalu. Tak czy inaczej, z tych zdobywczych map wynika, że kimkolwiek był facet wybierający lokalizację Salby, miał doskonale wycucie terenu. Fort zbudowali w najbardziej nadającym się do obrony miejscu doliny. Logika podpowiada więc, że i my powinniśmy się tam zahaczyć.

Zresztą, co będzie, to będzie – ciągnął. – Póki co, zakładam, że w momencie naszego ataku na fort, Sharonianie dowiedzą się o naszej ofensywie. W żaden sposób nie uda nam się zachować zajęcia Traisum w tajemnicy. Ale i tak nie planuję, byśmy posuwali się dalej. Dwutysięcznik wzruszył ramionami.

–W świetle tego wszystkiego, wartość informacji, które Neshokowi uda się tam wyciągnąć z ewentualnych jeńców, stanie się mocno ograniczona. I szczerze mówiąc, bardzo mnie to cieszy – przez moment twarz Harshu przybrała zmęczony, niemal wynędzniały wyraz. Jednak już po chwili dwutysięcznik spojrzał prosto w oczy Toralka. – Nie mogę usprawiedliwić tego, co on robi, o ile nie uzyskuję dzięki niemu kluczowych informacji. A tak już po prostu nie będzie.

–Nie będę udawał, że... nie czuję ulgi, słysząc o pańskiej decyzji – skomentował, po chwili tysięcznik.

–Wiem, że ci lepiej, Klayrman – Harshu sięgnął ponad szybującym w powietrzu stołem z mapami i poklepał oficera Sił Powietrznych po ramieniu. –

Wiem.

Przez moment panowała cisza. Wreszcie Harshu zdecydowanie nabrał powietrza i wręczył Toralkowi kopię raportu wywiadu.

–Gdy się już z tym zapoznasz, zrozumiesz, dlaczego uważam, że z Salby będziemy mieli problem – głos dwutysięcznika zabrzmiał żywiej. – Ciekawi mnie też, czy twoje wnioski, co do najlepszej metody ataku będą zbieżne z moimi. Nie chcę teraz ci niczego sugerować, ale przeglądając te informacje, pomyśl może o...

–Na bogów! Regimentarzu! Byłem pewny, że pana dostali.

–Jak widzisz, Silky, my Arpathianie jesteśmy naprawdę twardzi – spojrzenie Namira Velveliga było mroczniejsze i bardziej pozbawione wyrazu niż to, które kapitan Silkash widział kiedykolwiek przedtem. Niemniej w głosie starszego oficera widać było cień prawdziwego rozbawienia.

–Ale aż tak twardych ludzi nie ma – powiedział Silkash. – Wiem dobrze, bo sam pana taszczyłem.

–Tak? – Velvelig przechylił głowę na bok. – Dziwne. Nic takiego nie pamiętam.

–Być może dlatego, że był pan nieprzytomny, niemal zupełnie wykrwawiony i miał pan też poważny uraz czaszki. O zgruchotanym biodrze nie wspomnę. Jestem też pewien, że miał pan także pęknięty kręgosłup. Oznaczyłem pana na czarno. – Rozumiem.

Velvelig wyciągnął rękę i ścisnął ramię przyjaciela. Teraz już rozumiał, z jakiego powodu Silkash wyglądał tak, jak wyglądał. Czarny znak wskazywał, że leżący na pobojowisku pacjent, był człowiekiem, którego nie było sensu ratować, że nadszedł jego czas i należało się skupić na pomocy tym, którzy jeszcze mieli szansę przeżyć.

–Nie sądzę, żeby twoja diagnoza była błędna, jeśli to cię gnębi, Silky – powiedział, po chwili regimentarz. Silkash nadal spoglądał nieco sceptycznie i Velvelig parsknął śmiechem. – Słuchaj, nie zapominaj, że obcy posługują się magią. Czarami, Silky! I najwyraźniej te ich sztuczki nie ograniczają się wyłącznie do zabijania. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedział, co widziałem wcześniej, zanim jeszcze ich uzdrowiciele orzekli, że jestem na tyle zdrowy, by trafić razem z wami do aresztu.

–Jeśli potrafili pana tak pozszywać, to rzeczywiście są czarodziejami – ocenił

Silkash i skrzywił się. – Co?

–Zastanawiam się. Skoro potrafili pana wyleczyć, wyciągnąć tak szybko, z tak poważnego stanu, to nic dziwnego, że ten kretyn Thalmayr nie rozumiał, co z nim robiliśmy! Założę się, że oni wcale nie stosują chirurgii.

–Tego akurat nie byłbym pewny – Velvelig pokręcił głową. – Widziałem jak stosują pewne zabiegi, ale rzeczywiście chyba wyłącznie w wypadku lżejszych obrażeń. Wydaje mi się, że istnieją jakieś ograniczenia tych ich zaklęć. Chyba nie są w stanie wyleczyć naraz nieograniczonej liczby osób. Dlatego pewnie oszczędzają czary na poważniejsze sprawy, a te lekkie załatwiają konwencjonalnymi metodami. Ale zgadzam się, co do Thalmayra... tym bardziej, że widziałem jak wychodzi o własnych siłach z namiotu zabiegowego.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy i Velvelig zobaczył lustrzane odbicie swej własnej reakcji na widok czarodziejsko – dosłownie – uzdrowionego Hadrigna Thalmayra

spacerującego po Forcie Ghartoun. Oczywiście, Silkash był nawet bardziej wstrząśnięty niż regimentarz. W końcu był przecież Uzdrowicielem i złożona przez niego przysięga wymagała, by cieszył się z każdego uleczonego pacjenta.

Bez względu na to jak irytujący, obrzydliwy i po prostu nielubiany był to pacjent.

–Cóż, to z pewnością ciekawostka – odezwał się po chwili Silkash.

–Można to i tak ująć. Z drugiej strony, mniej mnie w sumie interesuje Thalmayr, niż to, co się dzieje tutaj.

–W zasadzie to wiem niewiele – odpowiedział Silkash powoli. Plecy

Velveliga zeszywniały, gdy oficer usłyszał, jak głos chirurga, w jednej chwili posępnieje. – Ale to, czego zdołałem się dowiedzieć, wcale nie nastraja optymistycznie.

W takim razie – oznajmił Velvelig tonem, którego spokój mógłby zwieść kogoś, kto nie znał Arpathian – chyba powinienesz mi o wszystkim opowiedzieć.

–Martwię się o konie, tato – powiedział Syrail Targal.

–Ja też – odparł ojciec chłopca i poklepał go po ramieniu. – Będą jednak musiały same o siebie zadbać przez jakiś czas. Tak samo jak my.

Syrail przytaknął skinieniem i uśmiechnął się. Ojciec przeczesał mu włosy dłonią w ten sam sposób, w jaki robił to, gdy synek był dużo młodszy. Kersai delikatnie popchnął dziecko w kierunku starannie ukrytego namiotu.

–Idź, pomóż matce przy kolacji – polecił cicho.

–Tak jest – Syrail znów skinął głową i posłusznie oddalił się do obowiązków.

Ojciec popatrzył za nim, starając się jak tylko potrafił ukryć swój lęk. Od upadku Fortu Ghartoun minęło niewiele ponad dwanaście godzin. Biorąc pod uwagę telepatyczny Talent, który Syrail wykazywał na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy, skrywanie przed nim strachu rodziców nie miało większego sensu. Ale żaden ojciec w multiwersum nie chce dokładać dziecku zmartwień. Zwłaszcza, pomyślał Kersai z zawziętym wyrazem twarzy, jeśli to dziecko Widziało to, co Zobaczył Syrail w ostatnich chwilach życia Folsara chan Tergisa.

Jakąś częścią siebie był wściekły na Głosa z Fortu Ghartoun za to, że obarczył jego syna tak wielkim ciężarem. Jeszcze inną, mniej szlachetną częścią duszy, gniewał się też za to, że chan Tergis rozpowiadał po całym forcie o rodzącym się, rzadkim Talencie Syrail. Gdyby telepata trzymał gębę na kłódkę, to Kersai Targal nie

musiałby się teraz kryć we wczesnozimowym lesie, modląc się, by rzeźnicy, którzy z zimną krwią strzelali do telepatów nie przyszli po jego syna.

Z dużo większą jednak siłą zdawał sobie sprawę, że wściekłość na chan Tergisa jest zupełnie irracjonalna. Głos nie mógł w żaden sposób przewidzieć tego, co się stało. Nie mógł nawet w snach spodziewać się, że duma z podopiecznego może okazać się kiedykolwiek dla Syraila niebezpieczna. A ostatnia wiadomość, jaką przekazał chłopakowi, z jednej strony była traumatyczna, z drugiej jednak stanowiła przecież ostrzeżenie dla Kersaia i Raysith.

„Ten człowiek ostrzegł nas dosłownie w ostatnich chwilach swojego życia. Kazał Syrailowi uciekać, kryć się, wiedząc, że zostanie za moment zamordowany” – pomyślał Kersai. – „Bogowie, rozmawiał z nim dokładnie w tej chwili, gdy tamten już do niego mierzył! Jak można być za coś takiego złym na kogokolwiek?”

Wszystko to wiedział dzięki podszeptom rozumu. Wiedzy tej nie chciały jednak przyjąć do wiadomości uczucia. Było to głupie i stanowiło powód, dla którego rozzłościł się także na siebie. Rozumiał wszystko, ale na emocje nic nie potrafił poradzić. Jeszcze nie teraz. Nie w chwili, gdy nad jego synem ciążył wyrok śmierci wydany przez tych barbarzyńskich rzeźników, którzy zmasakrowali zespół badawczy Konsorcjum Chalgin, a teraz bez powodu, zdradziecko wydali wojnę wszystkim Sharonianom, z którymi przecież jeszcze chwilę temu prowadzili dwulicowe, jak się okazało, rozmowy pokojowe.

Podniósł wzrok ku niebu i skrzywił się, zastanawiając, czy któreś z tych stworzeń przypominających skrzyżowanie orłów z lwami, jakie starał mu się opisać Syrail krążyło już i szpiegowało nad ich głowami. Co prawda, starał się ukryć obozowisko jak najlepiej potrafił, a wybierając miejsce skorzystał ze swojej znajomości terenu po to, by w razie potrzeby, mogli wybrać jedną z aż trzech dróg ucieczki, ale skoro tamci rzeczywiście potrafią latać...

Raz jeszcze skrzywił się nieładnie, po czym sięgnął do kieszeni płaszcza. Zacisnął w dłoni przedstawiający brązowego sokoła znaczek, który wyjął z szuflady w bielizniarce Syraila. Odwrócił się i ruszył z powrotem do namiotu.

Rozdział 6

Starszy miecznik Barcan Kalcyr wyciągnął swój kryształ nawigacyjny i spojrzał nań spode łba. Jednorożec z trudem przedzierał się przez niegościnniej teren.

Tutejsze góry, musiały w momencie powstania portalu ucierpieć bardziej niż inne okolice. Z pewnością widok był wtedy niesamowity, lecz Kalcyr cieszył się niezmiernie, że nie musiał tego oglądać osobiście. To, co stało się z górskimi zboczami, obdartymi teraz do gołej skały z drzew i gleby; to, jak wyglądały nagie,

skaliste klify, wznoszące się dokoła niczym gigantyczne szańce, wały naniesionego przez huraganowe wichry pyłu, które powstawały przed każdą barierą terenową – wszystko to sprawiało, że standardowe mapy, przedstawiające odpowiedniki tego miejsca w innych wszechświatach, przestawały być w jakikolwiek sposób użyteczne. Co gorsza, tworzące gęstą zasłonę drzewa, zdążyły już – po masakrze, jaką pojawienie się dysku wyprawiło krajobrazowi – odrosnąć i bardzo się to Barcanowi Kalcyrowi nie podobało.

„Pamiętaj, Barcan, żebyś, gdy już wrócisz do bazy, odpowiednio za tą przyjemną wycieczkę podziękował setnikowi Worce” – powiedział sobie w myślach.

Kryształ potrzebował chwili na opracowanie swej reakcji na polecenie miecznika. Działo się tak za każdym razem, kiedy urządzenie musiało odczytać informacje z kryształu wywiadowczego, w jakie wyposażano gryfy. Zakłęcia, które dostosowywały dane zwiadu powietrznego, tak, by mogły z niego korzystać standardowe kryształy naziemne, nigdy nie działały płynnie i natychmiast. Mimo wszystko, po kilku chwilach, pojawił się obraz. Miecznik prychnął i na jego twarzy pojawił się wyraz cynicznego rozbawienia.

„Ach, więc to tu jesteśmy. A w każdym razie tu byliśmy” – pomyślał, widząc czerwoną ikonę, migocącą w głębi kryształu.

Nie po raz pierwszy przyszło mu żałować, że nie istnieje jakiś sposób, pozwalający przesyłać do KO znajdujących się na ziemi, obrazy z kryształu zamontowanego na gryfie jeszcze wtedy, gdy zwierzę przebywało wciąż w powietrzu. Niestety, nikomu nie udało się opracować żadnej, umożliwiającej to technologii. Gryfy musiały, więc wracać do bazy, potem wydobywano kryształ z uprzęży zwierzęcia i dopiero wtedy przesyłano zapisane w nim dane do KO tych, którzy odpowiednich informacji potrzebowali. Wskutek tej procedury wszystkie obrazy, otrzymywane dzięki zwiadowi powietrznemu, zawsze pochodziły sprzed jakiegoś czasu.

„Oczywiście to i tak jest o wiele lepszy system, niż cokolwiek, co mają do dyspozycji Sharonianie” – pomyślał i zacisnął mocniej zęby.

Przed rozpoczęciem właściwej inwazji nie interesował się zbyt obcymi. Do tego, by zrozumieć, że są to zwykli barbarzyńcy wystarczyły mu informacje, przekazywane przez wywiad wojskowy. Potem doszła do tego jeszcze kwestia śmierci magistra Halathyna, czy też raczej popełnionego na nim z zimną krwią morderstwa. Była to zbrodnia, której nikt i nigdy nie mógł przebaczyć. Rzecz jasna, odnalezienie poparzonych, zniekształconych w pożarze, ciał półsetnika Narshu i jego żołnierzy, także nie poprawiło opinii, jaką Kalcyr miał o Sharonianach. Ta sprawa była zresztą nieco zagadkowa. Wiedzieli przecież, że Narshu ze swoimi ludźmi musiał wykończyć, co najmniej kilku obcych, ale po sharoniańskich ciałach nie było nawet śladu.

„Naszym ludziom pozwolili się usmażyć, a swoich zabrali ze sobą” – Kalcyr, po raz kolejny poczuł, jak wzbiera w nim – tak często ostatnio odczuwana – wściekłość. Szczęka mu stężała. Zanim udało im się zidentyfikować na pół spalone zwłoki Uthika Dastiriego upłynęło sporo czasu. Kiedy już jednak potwierdzili tożsamość dyplomaty, stało się jasne, iż zginął od oddanego z bardzo bliska, strzału prosto między oczy. To oczywiście jedynie potwierdzało, że Sharonianie nie zrezygnowali ze swej taktyki mordowania arkaniańskich jeńców zaraz po ich schwytaniu.

Kalcyr usłyszał zgrzytnięcie własnych zębów i zmusił się, do rozluźnienia mięśni twarzy. A nie było to łatwe. Nie było łatwe, zwłaszcza, że zaczął się właśnie zastanawiać, co Sharonianie zrobili – i co mogli wciąż robić – Rithmarowi Skirvonowi i pozostałym dwóm zaginionym członkom towarzyszącego dyplomatom oddziału.

„No cóż, sami sobie ustalili reguły tej gry” – pomyślał chmurnie starszy miecznik Kalcyr – „i teraz będą musieli do końca grać zgodnie z nimi.” – No dobra – zawołał do reszty oddziału, który przydzielił mu setnik Worka. – Według tego – pomachał nad głową kryształem nawigacyjnym – jesteśmy już bardzo blisko. Myślę, że oni siedzą tam, na górze, tuż pod tą przewieszką.

Kersai Targal zmełł w ustach szpetne przekleństwo.

Miał wcześniej nadzieję, że uda się im uniknąć wykrycia. Teraz okazało się, że były to płonne nadzieje.

„Założę się, że to przez jednego z tych orłolwów, o których opowiadał mi Syrail” – pomyślał posępnie.

Do tej pory nie był w zbyt dobrym nastroju. Teraz, kiedy przyglądał się szybkości i zwinności, z jaką poruszały się te niesamowite, rogate konie, na których jechali poszukujący ich Arkanianie, jego humor zdecydowanie się pogorszył. Patrząc na te zwierzęta zrozumiał, iż nie było najmniejszej szansy, by Raysith, Syrail i on sam, zdołali umknąć obcym piechotą. Na pewno nie przed przeciwnikiem, który dysponuje latającymi szpiegami, informującymi go dokładnie o miejscu, w którym znajdują się uciekinierzy.

Kersai spojrzął na trzymany w dłoniach karabin. Kusilo go – bardzo go kusilo – by z niego skorzystać, ale Arkanianie musiało być, co najmniej czternastu, może piętnastu. Możliwe, że udałoby mu się wykończyć kilku, ale na pewno nie wszystkich, a gdyby już zaczął strzelać, to wynik takiego starcia mógł być tylko jeden. – Syrail – odezwał się cicho. – Tak, tato?

–Weź ten karabin. Weź go i zaprowadź matkę w górę wąwozu. Ukryjcie się tam. – Ale...

–Bez dyskusji, Syrail. Nie mamy na to czasu – Kersai obrócił się i spojrzął na syna.

Bardzo żałował, że tego czasu nie mieli. Żałował, że akurat dzisiaj, w to wietrzne, naznaczone słońcem popołudnie, musi tak szorstko rozmawiać z tym chłopcem, z dzieckiem, które kochał z całego serca.

–Musisz już ruszać, synu – dodał łagodniejszym już tonem. – Chcę, żebyś zaopiekował się swoją matką. Idź już. Zajmij się nią porządnie, rozumiesz?

–Tak, tato – głos Syraila był cichy i nieznacznie rozedrgany, mimo, że chłopiec wyraźnie starał się zachować pozory spokoju. Kersai otoczył syna ramieniem i lekko przytulił. – Kocham cię, Syrail. Bardzo cię kocham.

Chłopiec podniósł na niego oczy. Wargi mu się trzęsły. Nie był w stanie powiedzieć ani słowa. Kersai uściśnął go raz jeszcze.

–No, idź – powtórzył szeptem i Syrail usłuchał.

Kersai patrzył przez chwilę za odchodzącym, po czym spojrzał znów na konnych – o ile tym terminem można było określić ludzi jadących na tak dziwacznych stworzeniach. Obcy stopniowo zbliżali się do jego pozycji. Kersai wiedział, że zanim Syrail i Raysith dotrą do następnej, przygotowanej przez niego kryjówki, musi upłynąć jeszcze trochę czasu. Nie spieszył się. Do tego, co musiał zrobić, nie musiał się wcale spieszyć.

Leżał wyciągnięty na skale i cieszył się pieszczotą, zaskakująco jak na tę porę roku ciepłego słońca muskającego mu ramiona.

Czekał.

Kalcyr ze swoimi jeźdźcami znalazł się niemal dokładnie w miejscu wyznaczonym współrzędnymi ze zdjęcia wykonanego przez kryształ gryfa. Wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, nieco przed nimi podniósł się z ziemi obcy mężczyzna.

Kalcyr ściągnął wodze swego jednoroźca tak gwałtownie, że zwierzę zarżało, łypnęło ślepiami i szarpnęło buńczucznie łbem. Stojący przed nimi, samotny Sharonianin miał na sobie cywilne ubranie. Kalcyr nie dostrzegł ani śladu pistoletu, czy karabinu. To jednak nie była najbardziej istotna informacja. W końcu, pomiędzy okolicznymi skałami i drzewami, mógł się czaić jeszcze tuzin obcych, z których każdy miałby ze sobą sztukę tej ich przeklętej broni i czekałby tylko, by strącić z siodeł miecznika i jego ludzi.

Sharonianin – młody, rudowłosy człowiek – trzymał ręce w taki sposób, by mogli je wyraźnie widzieć i stał nieruchomo, patrząc prosto na Kalcyra. Na jego twarzy malował się godny podziwu spokój, ale miecznik zauważył pulsujące w ramionach obcego napięcie. Zrozumiał, że mężczyzna zmusza się do tego, by nawet nie drgnąć, ogromnym wysiłkiem woli.

„Świetnie” – pomyślał oschle Kalcyr. – „Postój tak sobie, to się spocisz, bydlaku!”

Wreszcie Sharonianin przemówił. Z jego ust potoczył się potok niezrozumiałych dźwięków. Miecznik sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej KO, w którym miał zapisane dostarczone przez pięćsetnika Neshoka zaklęcia tłumaczące. – Co? – warknął. – Co powiedziałaś?

Folsar chan Tergis opowiadał Syrailowi o prowadzonych na Polanie Powalonych Drzew negocjacjach wszystko, co tylko nie zostało przez dyplomatów utajnione. Chłopak dzielił się tymi informacjami ze swymi rodzicami. Dzięki temu Kersai słyszał już wcześniej o magicznych kamieniach Arkanian, które potrafiły tłumaczyć. Mimo to, teraz, gdy zobaczył i usłyszał to urządzenie na własne oczy, poczuł się bardziej zaskoczony, niż się tego spodziewał. Niemniej, zdołał się opanować i zaczerpnął głęboki oddech.

–Zapytałem, czego tu szukacie – powtórzył najspokojniejszym głosem, na jaki był w stanie się zdobyć.

–A jak myślisz, czego tu szukamy? – odwarknął obcy, który – jak się wydawało

–przewodził całemu oddziałowi. Jego słowa pobrzmiwały złością i Kersai zaczął się modlić, by ten ton okazał się tylko sztuczką tłumaczącej skałki.

–Nie wiem – odpowiedział rzeczowo. – Rozumiem, że jesteście żołnierzami. Ja nie jestem. Jak sami widzicie, nie jestem nawet uzbrojony.

Cały czas pamiętając o wymierzonych w siebie bełtach tuzina kusz, rozsunał połę płaszcza. Przytrzymał je i pokazał obcym, że nie skrywa pod nim kabury z pistoletem, ani żadnej innej broni.

–Nie jesteś żołnierzem, tak? – rzucił jeździec, spoglądając wzgardliwie.

–Nie. Oczywiście, że nie – odpowiedział Kersai.

–Skoro, zatem nie jesteś żołnierzem, to czemu się tu ukrywasz?

–Dlaczego? – tym razem w głosie Kersaia pojawiła się nuta niedowierzania.

–Zaatakowaliście nas. Wydawało mi się oczywiste, że lepiej będzie zejść wam z drogi.

Kalcyr musiał przyznać, że obcy miał trochę racji. Co więcej miał jej więcej, niż się tego sam spodziewał.

Któryś z żołnierzy za jego plecami poruszył się niespokojnie. Kalcyr wyczuł ruch i

odwrócił głowę, by skarcić podwładnego surowym spojrzeniem. Jeździec zamarł.

„Tchórzliwy drań” – pomyślał Kalcyr. – „Pewnie to jeden z facetów, którzy co noc płaczą nad łamaniem Postanowień Kerelli. A to przecież te obce bydłaki zaczęły masakrę. Pięćsetnik Neshok ma rację. Z tymi ich Talentami nie ma żartów. Nie stać nas na podejmowanie żadnego ryzyka.”

–A zatem, cywilu – rzucił kpiąco. – Jak się nazywasz?

Kersai popatrzył na dowódcę kawalerzystów. Arkanianin nie odpowiedział mu własnym spojrzeniem. Wydawał się pochłonięty trzymanym w ręku kryształem. Kersai zmrużył oczy, przypomniał sobie to, co Syrail opowiedział mu z ostatniego przekazu chan Tergisa. Przypomniał sobie o kryształach, który błyskał niebieskim światłem i zachowywał się jak nieożywiony odpowiednik Wykrywacza.

–Syrail – odpowiedział cicho i szczerze. – Syrail Targal. Kalcyr mruknął zadowolony. Weryfikujące zakłęcie w kryształach osobistym zabłysło potwierdzająco niebieskim światłem. Sharonianin wyglądał na starszego, niż się tego spodziewali, ale przecież człowiek, od którego pięćsetnik Neshok wyciągnął to nazwisko mógł nie być podczas przesłuchania w najlepszym stanie. Poza tym, nikt w całym forcie, poza stacjonującym tam wojskowym telepatą, nigdy tego całego Syraila nie widział na oczy.

–Nie ruszaj się – zakomenderował i skinął głową na dwóch jeźdźców.

–Przyjrzyjcie mu się bliżej – powiedział.

Wyznaczeni żołnierze zsiadli z jednorożców, podali uzdy jednemu ze swoich towarzyszy i ruszyli do Sharonianina. KO Kalcyra przetłumaczył obcemu wydany im rozkaz i cywil wiedział, czego powinien się spodziewać. Nie opierał się ani trochę, choć ludzie miecznika byli delikatni tylko do tego stopnia, do jakiego musieli. Przeszukali go bardzo dokładnie i wreszcie któryś z nich skrzywił się i zamachał w powietrzu tryumfalnie małym, brązowym znaczkiem w kształcie sokoła.

Kalcyr pochylił się i odebrał odznakę. Przyjrzał się jej, gdy leżała na jego otwartej dłoni. Po chwili, z powrotem spojrzał na mężczyznę, któremu ją zarekwirowano. – A więc jesteś Głosem. Targal milczał.

A nie było to proste. Serce łomotało mu w piersi jak oszalałe. Wyraźnie czuł powietrze wpadające i opuszczające płuca. Doskonale wiedział, co się zaraz wydarzy. Na skronie wystąpiły mu kropelki potu.

Jakąś częścią siebie pragnął szczerze odpowiedzieć Arkanianinowi na pytanie. Z drugiej strony, jeszcze bardziej rozpaczliwie, chciał skłamać. Ale prawda i tak najprawdopodobniej okazałaby się bezużyteczna... a kłamstwo zostałoby

niewątpliwie wykryte.

Zacisnął pięści po bokach. Jego ramiona nadal trzymali dwaj żołnierze, którzy wcześniej go przeszukali, a teraz zajęli miejsca z dwóch stron. Właśnie z myślą o tej chwili, zabrał ze sobą tę odznakę, choć miał oczywiście nadzieję, że brązowy sokół nigdy mu się nie przyda. Ale oto właściwy moment nadszedł. Kersai skupił się na miłości, którą czuł do syna i żony i w milczeniu spojrzął w zacięte, nieprzyjazne oczy Arkanianina.

–Widzę, że gryf wyżarł ci język z gęby, mam rację? Co cywilu? – zapytał z naciskiem Kalcyr. Sharonianin nadal tylko patrzył mu w oczy. Starszy miecznik poczuł zimne i ostre jak stal zadowolenie. Już samo milczenie obcego niezbitcie dowodziło, że jest tą osobą, w poszukiwaniu której Kalcyr został wysłany. Oczywiście wypieranie się prawdy także nie przyniosłoby mu większego pożytku. Nie teraz, gdy w KO kawalerzysty czekało załadowane przez pięćsetnika Neshoka zaklęcie weryfikujące.

–Widzę, że nie jesteś zbyt rozmowny – ocenił wsuwając kryształ z powrotem do kieszeni. Nie potrzebował już zaklęć. Sharonianin nadal nie odzywał się ani słowem i miecznik wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru wylewać łez i rozdzierać szat z powodu tego, co trzeba było zrobić. Co więcej, nawet nie próbował przed sobą udawać, że nie czuje z tego powodu głębokiej, osobistej satysfakcji. W odróżnieniu jednak od Sharonian, Kalcyr nie widział powodu do zbytnej brutalności.

Popatrzył na dwóch kawalerzystów stojących po bokach jeńca i skinął głową.

„Szybko i czysto” – pomyślał z aprobatą, spoglądając na fontannę krwi, buchającą z poderżniętego gardła Głosa. – „Szybko i czysto.”

Przyjrzał się wygiętym nienaturalnie zwłokom. Jak większość martwych ludzi telepata wyglądał teraz na drobniejszego niż za życia. Po chwili, uniósł oczy ku niebu i przypomniał sobie inny dzień i inne ciała.

–Zostawcie go i wsiadajcie – rozkazał beznamiętnie. Spieszeni jeźdźcy zawahali się tylko przez chwilę, po czym, wykonali polecenie. Kalcyr raz jeszcze rzucił okiem na obcego, po czym szarpnięciem uzdy zawrócił swego jednorożca i ruszył drogą, którą tu przyjechali. Zwłoki zostawił na pastwę padlinożerców.

„Skoro można tak było postąpić z półsetnikiem Narshu i jego ludźmi, to z tym bydlakiem też” – pomyślał i ani razu już się nie odwrócił.

–W ogólnych zarysach twój plan ataku bardzo mi się podoba, Klayrman – powiedział dwutysięcznik Harshu. – Jedynym punktem, który budzi moje wątpliwości są gryfy. Być może niegłupio by było wysłać je przodem. W Forcie Ghartoun wykazały się ogromną skutecznością.

–Tak, to prawda, dwutysięczniku – zgodził się Toralk. – Ale z drugiej strony straciliśmy ich tam aż dwanaście.

–Racja, ale praktycznie wszystkie zabił ten jeden cholerny wariat z... zaraz, jak się to nazywa? Ze strzelbą – zauważył Harshu.

–Owszem – Toralk skinął głową. – Niemniej ten jeden obcy utracił nam dziesięć procent całkowitego stanu gryfów. Resztę chciałbym oszczędzić, zwłaszcza na wypadek, gdybyśmy ich mieli potrzebować w Forcie Salby.

Harshu pochylił głowę na bok i zmarszczył nieznacznie brwi. Płócienne klapy namiotu dowodzenia lekko łopotały w rześkim, wczesnopołudniowym wietrzyku.

–To całkiem logiczny argument, Klayrman. Powiedz mi tylko, dlaczego mam wrażenie, że chodzi ci o coś jeszcze? – Bo to prawda. Jest jeszcze coś – przyznał Toralk po raz kolejny uświadamiając sobie, że za wpatrzonymi w niego intensywnie oczyma kryje się wysoce inteligentny, spostrzegawczy umysł. – Tego drugiego nie nazwałbym może argumentem logicznym, niemniej jedna kwestia nieco mnie niepokoi. – A zatem? O co dokładnie chodzi?

–O to, że niektórzy treserzy gryfów złożyli mi raporty, w których utrzymują, że zakłęcia stosowane do sterowania tymi drapieżnikami nie działają ze stuprocentową skutecznością.

–Co takiego? – oczy Harshu zmieniły się w wąskie szparki. – Jak to możliwe?

–No właśnie, dwutysięczniku. Twierdzą przy tym, że nie są w stanie ustalić, co dokładnie dzieje się z tymi zaklęciami. Prawdę mówiąc, to bardziej ich... przeczucie. Tak chyba można to nazwać. Harshu spojrział z nieco większym niż tylko lekkim niedowierzaniem. Toralk wzruszył ramionami.

–Nie powiedziałem, że sam zauważyłem jakieś problemy, dwutysięczniku. Powiedziałem tylko, że poinformowali mnie o swoim niepokoju treserzy gryfów. Nie wszyscy. I – jeżeli mogę powiedzieć zupełnie otwarcie – sam nigdy nie byłem treserem gryfów, ale wiem, że osoby, które zajmują się tym z powodzeniem przez dłuższy czas, rozwijają w sobie szczególnego rodzaju instynkt, co do tych stworzeń. Być może, więc treserzy dostrzegają coś, czego ja nie jestem w stanie zauważyć. Bez względu jednak na rzeczywiste przyczyny, coś ich martwi. I nie dziwię się, bo – spójrzmy prawdzie w oczy – ich praca nie jest najbardziej bezpiecznym kawałkiem chleba. Tym razem Harshu powoli skinął głową.

Toralk miał rację. Zajęcie tresera gryfów należało do obarczonych największym ryzykiem specjalności w Siłach Powietrznych. Nie było roku, by któryś z treserów nie został zaatakowany przez bojowego gryfa. Dlatego też, zajmujący się nimi ludzie musieli być szczególnie wyczuleni na wszystko, co mogło świadczyć o tym, iż jedno

lub kilka z tych hiperagresywnych stworzeń znajdowało się na krawędzi uwolnienia spod mocy zaklęć, które zazwyczaj hamowały ich żarłoczność.

–Naprawdę uważasz, że mamy jakiś problem? – spytał dwutysięcznik. – Czy im się tylko wydaje?

–Szczepnie przyznam, że nie wiem, dwutysięczniku. Jedyne, co wiem na pewno to, że kilku ludzi czymś się niepokoi i dlatego wolałbym, póki co, gryfów nie ruszać. Jeżeli będziemy ich rzeczywiście potrzebować, to z nich skorzystamy, ale jeżeli nie ma bezpośredniej konieczności, to czemu nie dać treserom szansy rozpoznania sytuacji, zanim wpakujemy się w coś gorszego?

–Z tym raczej nie mogę dyskutować – przytaknął Harshu. – Zwłaszcza, jeśli takie słowa padają z ust faceta, który bez trudu zdobył wszystkie, napotkane przez nas do tej pory forty.

Toralk nieznacznie skinął głową w podzięcie za komplement, po czym wskazał ręką rozłożoną na stole mapę.

–Jak widać – powiedział wskazując na czerwoną pinezkę – nasze szpice zlokalizowały odpowiednie miejsce, by zorganizować tam przystanek dla naszych sił. Niemniej i tak będziemy musieli przelecieć nad ogromnym akwenem, dwutysięczniku, i przez to nasze możliwości wykorzystania transportu powietrznego będą mocno ograniczone. Dlatego też mój plan zakłada pozostawienie z tyłu, przynajmniej na jakiś czas, naszej ciężkiej kawalerii. Do samego zdobycia fortu i tak nie byłiby szczególnie przydatni, a bez nich smoki łatwiej pokonają taką odległość bez lądowania.

–Zgoda – Harshu przytaknął skinieniem.

–Zanim będziemy mogli zaatakować Fort Salby, powinniśmy jeszcze odczekać ze dwa dni, mam nadzieję, że to zrozumiałe? Należy wcześniej zdobyć jeszcze Fort Mosanik i dopiero potem będziemy mogli pchnąć siły w dalszą drogę do Traisum. – Jasne – powiedział Harshu.

–Jedynym otwartym pytaniem pozostaje więc, co dokładnie zrobimy z tym tutaj, gdy już zdobędziemy Mosanik – Toralk postukał palcem w inną pinezkę i podniósł wzrok na swojego oficera. – Zapoznałem się z obrazami dostarczonymi przez gryfy. Obcy nie dysponują oczywiście magią, ale kiedy patrzę na ich zdolności inżynieryjne, cóż, jestem pod wrażeniem. I chciałbym pańskiej rady, dwutysięczniku. Jak mamy się za to zabrać?

–Żałuję, że nie mogę się z tobą zabrać, Iftar – powiedział cicho Therman Ulthar, przyglądając się swojemu szwagrowi, który zapinał paski plecaka.

–Nie bądź niemądry, Therman – Iftar Halesak podniósł na niego oczy i pokręcił głową. – Jeżeli ktokolwiek z nas zasłużył na dodatkową chwilę odpoczynku, to właśnie ty! – Możliwe.

Ulthar poruszył ostrożnie swoim świeżo wyleczonym ramieniem. Pobyt w charakterze jeńca wojennego w rękach ludzi, którzy nie dysponowali magistronami, przepelnił go świeżym szacunkiem dla postępów nowoczesnej medycyny. Fakt, że jego ramię odzyskało swą pełną sprawność w przeciągu zaledwie jednej nocy był cudowny sam w sobie, ale dodatkową radością było to, iż wreszcie, po raz pierwszy od długich miesięcy nie czuł żadnego bólu. To uczucie wprawiało go w pyszny nastrój, lecz ta sama myśl przywodziła go jednocześnie do tego, co ostatnio niepokoiło go najbardziej.

–Ale martwię się czymś jeszcze – wyznał i Halesak zmarszczył czoło.

–Czym takim, jeśli mogę spytać? – zapytał garthan. – Chyba nie czujesz nadal winy z powodu tego, co zrobił ten drań Neshok?

–Prawdę mówiąc, właśnie o to chodzi – wyraz twarzy Ulthara nie był miną człowieka szczęśliwego. – Powinienem być coś powiedzieć, powstrzymać go...

–Dwutysięcznik Harshu i tysięcznik Toralk położyli temu kres zanim jeszcze wypuścili cię z rąk Uzdrowiciele – przypomniał Halesak. – Przynajmniej tym razem – dodał.

Ulthar zacisnął usta. Halesak pokręcił głową.

–Mówię ci, Therman. Daj temu spokój. Póki co. Nie wiem, co tu się dzieje, ale wydaje mi się też, że dwutysięcznik wziął się na Neshoka nie na żarty. Jeżeli mam rację, to ta gnida już nie zabije, ani nie będzie już torturować żadnego jeńca. I tym samym, ty nie musisz odgrywać szlachetnego paladyna z Andary, który zbawia świat w swojej lśniącej zbroi i głupio przy tym ginie.

–Być może to nie Neshoka trzeba będzie teraz powstrzymać.

–A to, co miało oznaczać? – zapytał Halesak. – Dowództwo tutaj obejmie Thalmayr.

–Thalmayr? – zaskoczony Halesak zmarszczył brwi. – Komu Odbiło?

–Wydaje mi się, że to pomysł pięćsetnika Isriana.

–No to cudownie – Halesak zrobił minę równie zniesmaczoną jak ton, którym mówił.

Chalbos Isrian był jednym z dowódców batalionów u dwutysięcznika Harshu. Był także jednym z grupy oficerów, którzy najżarliwiej popierali plan Neshoka, zmierzający do rozwiązania „kwestii Sieci Głosów”. – No właśnie.

–Ale może nie będzie aż tak źle – powiedział Halesak, choć mówił tonem człowieka, który stara się przekonać nie swojego szwagra, a samego siebie. Z czego zresztą zdawał sobie sprawę.

–Też mam taką nadzieję – zgodził się ponuro Ulthar. – Prawda jednak jest taka, że Thalmayr momentami zachowuje się jak kompletny idiota. I mam przeczucie, cholernie złe przeczucie, Iftar, że on się bardzo cieszy na tę okazję. Cały czas wini Sharonian za to, co nas spotkało, zamiast winić własną głupotę. I wydaje mi się też... Urwał, wzruszając ramionami.

–Co ci się wydaje? – spytał ostro Halesak.

–Wydaje mi się, że on nigdy nie da wiary, iż Sharonianie naprawdę chcieli mu pomóc. Ja wiem, że ich Uzdrowiciele zostali przesłuchani przy użyciu zaklęć i wiem też, że nikomu jak dotąd nie udało się oszukać czarów weryfikujących. Jestem stuprocentowo przekonany, że robili, co w ich mocy, żeby mu ulżyć. Ale z drugiej strony nie sądzę, żeby cokolwiek w multiwersum zdołało przekonać o tym samego Thalmayra. A najbardziej ze wszystkiego przeraża mnie to, jaką głupotą się wykazał zanim został ranny. Tylko bogowie wiedzą, do czego jeszcze okaże się zdolny!

–No to cudownie – powtórzył z westchnieniem Halesak i pokręcił głową. – Wielkie dzięki, Therman. Doprowadziłeś do tego, że sam prawie żałuję, że się z nami nie zabierasz.

–No dobrze – powiedział Dowodzący Pięcioma Setkami Cerlohs Myr, po raz ostatni, przyglądając się twarzom ludzi, którzy stanęli półkolem w namiocie sztabowym. Pod płóciennymi ścianami namiotu było ciemno, choć oko wykol, lecz zasilane zaklęciami świetlne kule doskonale wypełniały swoje zadanie. – Wszyscy wiecie, co do was należy. A teraz rozejść się do zadań. Jasne? – Jasne.

Jednobrzmiąca odpowiedź dobiegła naraz z wielu pewnych siebie, zdecydowanych gardeł. Myr skinął głową. Był zadowolony. No... prawie.

Znów przyjrzał się obliczom swoich dowódców lotów i napadów. Straty, jakie ponieśli w pierwszym ataku były szokiem dla nich wszystkich. Od tamtej pory jednak, doświadczali nieprzerwanego szeregu zwycięstw. W ledwie jedenaście dni posunęli się naprzód niemal trzy tysiące mil i to nie tracąc ani jednego smoka. Operacja, w której uczestniczyli należała do tych, do których przygotowywali się latami, i choć nigdy nie spodziewali się, że rzeczywiście przyjdzie im tego typu wojnę prowadzić, zdawali sobie sprawę, że jak dotąd wszystko robili doskonale. To właśnie stanowiło

powód, dla którego ich wiara w siebie już dawno przekroczyła punkt zwykłej pewności. Zaczęli się uważać za elitę. Stali się arogancy i butni.

„To i dobrze” – pomyślał Myr. – „Piloci smoków powinni być pewni siebie jak cholera. To muszą być faceci o jajach z żelaza. Muszą wiedzieć, że są najlepszymi z najlepszych.”

Niemniej, na jego zadowoleniu widniała jedna, maleńka, skaza. Obawiał się, że ta ogromna ufność we własne możliwości, może spowodować, iż podejmą o jedno ryzyko zbyt wiele, że przekroczą pewną granicę.

„No, ale co niby mógłbyś z tym zrobić, Cerlohs?” – spytał w duchu sam siebie. – „Chciałbyś może popsuć im humor? Tuż przed wydaniem rozkazu do ataku?” Zdawał sobie sprawę, że na to pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź. Nie mógł się nie uśmiechnąć myśląc o własnej pokrętności. „To wszystko przez tę twoją wrodzoną zrzędlivość i krnąbrność” – złązał się w myślach. – „Nawet gdybyś wpadł do kadzi pełnej piwa, znalazłbyś sobie jakiś powód do zmartwienia.” – No dobrze, panowie – powtórzył. – Mamy do spalenia kolejny fort. Dajmy naszym smokom trochę polatać!

Rozdział 7

Janaki chan Calirath siedział w maleńkim saloniku, stanowiącym część przydzielonej mu kwatery i wyglądał przez okno na łososiowej barwy świt, wstając nad Fortem Salby.

Niedobór okolicznych drzew wymusił na budowniczych Fortu Salby zastosowanie nieco innego projektu niż zwykle. Skorzystano przy tym z materiałów i siły roboczej KTT, które podówczas prowadziły prace nad budową Szczeliny Traisum. Zamiast, więc drewnianej palisady, w rodzaju tych, jakie strzegły większości przyportalowych fortów, przynajmniej do momentu, gdy forty te nie przeradzały się w osady ludzkie z prawdziwego zdarzenia, Salby od samego początku zbudowano z kamieni i skał łączonych ze sobą zaprawą murarską. Także same rozmiary fortu przewyższały te standardowe, ponieważ od samego początku zakładano, że w Salby na stałe zagości centrum administracyjne, zarządzające eksploatacją pobliskiego portalu. W efekcie zarówno mury otaczające fort – jak i ściany wszystkich jego zabudowań – były mocniejsze i grubsze niż to miało miejsce gdzie indziej. Dzięki temu, nawet w najgorsze upały, we wnętrzach panował przyjemny chłód.

„A poza tym, to wszystko jest dużo bardziej wytrzymałe, niż w naszych pozostałych garnizonach” – pomyślał prawie spokojnie książę. Prawie.

Ranek był wciąż jeszcze rześki, surowy. Suche, półpustynne powietrze dopiero czekało na słoneczny żar. Dokoła było bardzo cicho i Janakiego ogarnęło przemożne poczucie spokoju. Poczucie w dziwny sposób wzmacniane chaosem, jaki czuł

wewnątrz siebie.

Taleena spała na żerdzi zamocowanej tuż przy oknie. Książę popatrzył na ptaka. I w jego szarych oczach pojawiły się duchy. Duchy, których nie było tam jeszcze dzień wcześniej. Te same duchy, które od tysiącleci nękały niejednego dziedzica Calirathów.

„Pewnie nie ma czegoś takiego, jak słabo rozwinięty Talent Calirathów... prawdopodobnie, nigdy też nie wskazuje on na coś nierzeczywistego” – myślał Janaki. – „Szkoda. Jest kilka rzeczy, o których wolałbym się nigdy nie dowiedzieć.”

Przebłysk nie stał się jeszcze całkowicie wyraźny, ale z każdą godziną nabierał jasności i w miarę, jak pojawiała się w nim coraz więcej szczegółów, książę coraz lepiej rozumiał skąd brała się jego niezwykła intensywność.

„Muszę przecież o tym powiedzieć regimentarzowi chan Skrithikowi. Ale jeśli mu rzeczywiście powiem...”

Janaki skrzywił się brzydko. Problemem było to, że tego akurat nie mógł powiedzieć komendantowi fortu. A już z całą pewnością nie mógł mu powiedzieć wszystkiego. Sam musiał dowiedzieć się jeszcze więcej, musiał wydusić z Przebłysku więcej informacji. A na to istniał tylko jeden, jedyny sposób.

Wstał i podszedł do okna. Z ponurym wyrazem twarzy oparł się o szeroki parapet.

„Co oni panu zrobili, regimentarzu?” – pomyślał.

Pytanie pomknęło w ciemne głębiny jego umysłu. Odpowiedzi – rzecz jasna – nie otrzymał. Poczul krótkie, intensywnie bolesne ukłucie. Jeśli to, co wyjawiała mu wizja do tej pory rzeczywiście miałyby się spełnić, to wysyłanie ostrzeżenia do regimentarza Velveliga nie miało najmniejszego sensu. Nie teraz. Gdyby Przebłysk objawił mu się kilka dni wcześniej – albo, choć jeden dzień. Może wtedy udałoby mu się ostrzec ludzi stacjonujących w Forcie Ghartoun. Może mógłby cokolwiek odmienić.

Ale wizja nie przyszła do niego wystarczająco wcześnie i w tej chwili nie był już w stanie zrobić niczego. Ani dla Velveliga, ani dla Fortu Ghartoun. Nie był także w stanie w żaden sposób pomóc załodze Fortu Mosanik. Przyszło mu do głowy, że to wszystko po prostu musiało się wydarzyć.

Zebrał się w sobie, zaczerpnął głęboki haust chłodnego powietrza i wyprostował ramiona.

–Śpij. Śpij, najdroższa – szepnął, delikatnie gładząc złożone skrzydła śpiącego sokoła. – Ja muszę z kimś porozmawiać.

Rof chan Skrithik nie był w najlepszym nastroju.

Ściśle rzecz biorąc, zwłaszcza w świetle niecodziennych rozkazów, które otrzymał dziś wcześniej rano, jego gość nie był już młodszym kapitanem, czyli należałoby go traktować z honorami godnymi księcia koronnego Ternathii. A w zasadzie dziedzica tronu całej Sharony, choć oficjalna koronacja jego ojca miała się odbyć dopiero za dwa tygodnie. Bez względu jednak na urzędowy i dynastyczny status młodzieńca – ktoś, kto pukał do drzwi regimentarza zanim ten jeszcze miał czas, by zjeść przyzwoite śniadanie – czy choćby wypić kubek mocnej kawy, która pomogłaby mu o tej nieludzkiej godzinie zebrać myśli – każdy taki gość musiał się liczyć z tym, że komendanta zirytuje. Co najmniej zirytuje.

–Bardzo przepraszam regimentarzu, że nachodzę o tak wczesnej porze – powiedział Janaki chan Calirath, zupełnie, jakby potrafił czytać chan Skrithikowi w myślach. – Nie niepokoiłbym pana, gdyby czas nie był w tej sprawie czynnikiem najwyższej wagi.

–O co, więc chodzi? – chan Skrithik zdołał jakimś cudem powstrzymać pałającą w sobie żądzę mordy.

–Regimentarzu – księżę głęboko zaczerpnął powietrza. – Przeszedłem pana poinformować, że doznałem Przebłysku. Bardzo silnego Przebłysku.

Cała irytacja chan Skrithika, w jednej chwili uleciała. Przepędził ją precz powiew arktycznego wichru, który powiał z szarych oczu Janakiego.

–I czego ów Przebłysk dotyczył, Wasza Wysokość? Zapytał komendant tonem całkowicie odmiennym od tego, którym mówił jeszcze chwilę temu.

–Wizja jeszcze nie jest kompletna, regimentarzu – przyznał księżę, krzywiąc się z niezadowolenia. – Szczerze powiedziawszy, mój Talent nie jest tak silnie rozwinięty jak u mojego ojca, jest także dużo słabszy, niż ten, który wykształcił się u mojej siostry, Andrin. Przebłysk wciąż się jeszcze ukonkretnia i zanim stanie się zupełnie wyraźny, czy też, choć nieco wyraźniejszy, z pewnością upłynie jeszcze trochę czasu. Przebłyski nigdy nie bywały tak oczywiste i wyraźne, jak zwykle wieszczące wizje Prekognitów.

–Rozumiem, Wasza Wysokość, a jednak – chan Skrithik zdobył się na nieznaczny uśmiech – nie wydaje mi się, że mówiłby mi pan o tym, nie posiadając jakiegokolwiek bardziej konkretnej informacji wynikającej z tego Przebłysku. Tak samo, jak nie sądzę, że mówiłby mi pan o nim – spojrzenie regimentarza zabłysło ostrzej – gdyby ta wizja w jakiś sposób nie dotyczyła Fortu Salby.

–To prawda, regimentarzu, dotyczy. To znaczy owszem, chodzi tu o Fort Salby – nozdrza Janakiego zadrgały. – Wiem, że zabrzmiało to niedorzecznie, przynajmniej w pierwszej chwili, ale... no cóż. Fort Salby wkrótce zostanie zaatakowany.

–Co takiego??? – mimo całej swej ufności w moc Talentu Calirathów, Rof chan Skrithik poczuł, że w to jedno uwierzyć nie jest w stanie. Janaki z pewnością nie mówił tego poważnie! Po chwili jednak, kiedy komendant przyjrzał się bliżej młodej twarzy księcia, twarzy do złudzenia przypominającej młodszą wersję oficjalnego portretu cesarza Zindela, który wisiał w jego gabinecie, cała pokusa by podać słowa arystokraty w wątpliwość, zniknęła.

–Zaatakowany... Ale przez kogo, Wasza Wysokość? – zapytał zamiast się spierać. I zaraz potem, z malującą się na twarzy irytacją, pokręcił głową. – Zadałem chyba dość głupie pytanie, nieprawdaż? No bo, któż inny mógłby to zrobić?

–Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, regimentarzu – powiedział Janaki – ale niektóre ze szczegółów, które udało mi się wyłowić z Przebłysku mogą pomóc nam wyjaśnić, w jaki sposób Arkanianie mogli w tak krótki czasie dotrzeć tak daleko w górę łańcucha. Oczywiście, nie mam najmniejszego pojęcia jak udało im się sprawić, że nikt nie zdołał nas o inwazji ostrzec, ale to, co Zobaczyłem wskazuje, że obcy dysponują zwierzętami, dla których najlepszym, znanym mi określeniem byłoby... smoki.

–Smoki? – powtórzył chan Skrithik bardzo wyraźnie i powoli. Janaki parsknął krótkim, wypranym z wszelkiej wesołości, śmiechem.

–Uprzedzałem, że to, co mam panu do powiedzenia, zabrzmii nedorzecznie – przypomniał komendantowi Fortu Salby. – Niestety, naprawdę nie wiem, jak można by te stworzenia inaczej nazwać. Są bardzo duże – szczerze mówiąc, są cholernie wielkie. Co więcej – latają. I na tym nie koniec. Zieją ogniem i... jeszcze czymś innym.

Chan Skrithik siedział na krześle, przyglądając się bacznie obliczu swego przyszłego cesarza. Po chwili, sam zaczerpnął głęboko powietrza i wskazał na siedzenie po drugiej stronie stołu.

–Zechce pan wybaczyć, Wasza Wysokość. Jeszcze tego ranka nie jadłem, a mój mózg odmawia podejmowania zbyt wyczerpującego wysiłku bez swojej porannej dawki kofeiny. Może zasiądzie pan ze mną do śniadania i opowie dokładniej, co się tu, na Vothana, będzie działo?

–...w przeciągu następnych kilku dni, kapitanie – powiedział Janaki kilka godzin później. – Żałuję, że nie mogę podać bardziej dokładnego terminu, ale taka już jest po prostu natura samych Przebłysków. W każdym razie moich Przebłysków. Wiem tylko, że atak się zbliża nieuchronnie i, że obcy w jakiś sposób zapobiegli wydostaniu się informacji o napaści na nas w górę łańcucha. Wiem także, że podkapitan chan Darma – księżę wskazał ruchem głowy na jedyne z obecnych, młodszego stopniem od siebie – nie zdołał dziś rano skontaktować się z Głosem stacjonującym w Forcie Mosanik.

–Rozumiem – kapitan Vargan zmarszczył z namysłem czoło i po chwili wzruszył ramionami. – Cóż, Wasza Wysokość, wszystkiego mieć nie można. I tak prawdziwym cudem jest to, że dowiedzieliśmy się o nadciągającym ataku z wyprzedzeniem.

Regimentarz chan Skrithik przytaknął mu skinieniem. On, Vargan i podkapitan Kaliya chan Darma – Głos komendanta – a także Słoneczny Lord Markan – słuchali Janakiego, siedząc na krzesłach rozstawionych szeregiem, przed wielką i bardzo szczegółową mapą topograficzną przedstawiającą Fort Salby i jego najbliższe okolice. Janaki czuł się niemal zupełnie tak, jak student pierwszego roku poproszony o odczytanie swej pracy rocznej akurat w trakcie wizytacji przedstawicieli rady wydziału.

Z których nie wszyscy byli tą prezentacją zachwyceni.

–Jak już zauważył kapitan Vargan mamy szczęście, że dowiedzieliśmy się aż tyle – dodał po chwili Słoneczny Lord Markan, lecz jego twarz zdradzała mniej emocji niż oblicze Shurkhalianina. Uromathianin przyglądał się Janakiemu przez chwilę swym chłodnym, inteligentnym spojrzeniem, po czym przechylił głowę w bok. – Proszę o wybaczenie... Wasza Wysokość, ale natura Talentu pańskiego rodu jest mi bardziej obca, niż obecnym tu kolegom. W zasadzie może powinienem powiedzieć, że o wiele mniej od nich wiem na temat jego ograniczeń. Czy mógłbym zadać panu jedno lub dwa pytania?

–Oczywiście, Panie Koni – odpowiedział Janaki.

Całe spotkanie, od początku przebiegało w dość niezręcznej atmosferze. Po części, było to rezultatem niedokładności i fragmentaryczności Przebłysku księcia. Po części też, ponieważ mimo oficjalnego wydalenia ze służby w SZZP Janaki nadal miał na sobie mundur Imperialnej Piechoty Morskiej (i miał go nosić aż do powrotu na Sharonę, gdzie czekały na niego oficjalne dokumenty zwalniające ze służby wojskowej), co sprawiało, że był – mimo swego pochodzenia – prawie najmłodszym stopniem żołnierzem w pomieszczeniu. I po części, także dlatego, że dwuznaczny stosunek Markana do jego osoby był wyraźnie widoczny już od samego powitania. Słoneczny Lord przez cały czas zachowywał się i wypowiadał z dużą rezerwą, sceptycznie, jakby podejrzewając, iż Janaki – będący dziedzicem tronu monarchii, której Uromathia nigdy nie była w stanie przyćmić (ani choćby jej dorównać) – próbuje go w jakiś sposób wykorzystać i zmanipulować. Jego ostatnia uwaga bardzo się księciu nie spodobała, ale nie było też sensu udawać, że nie miała miejsca. Nie było też sensu oczekiwać jakiegokolwiek innej reakcji od wysokiego rangą arystokraty, pochodzącego z kraju będącego najpoważniejszym rywalem Cesarstwa Ternathii.

–Usłyszeliśmy, że Przebłysk wskazuje, iż zostaniemy tu niedługo zaatakowani – odezwał się Markan doskonałą, choć wymawianą z lekkim, obcym nalotem i nieco zbyt staranną, ternalthiańszczyzną. – Rozumiem, że nie możemy się dowiedzieć,

przynajmniej na razie, kiedy ta napaść nastąpi. Chciałbym jednak zapytać, czy sam fakt, że udało się Waszej Wysokości nas ostrzec nie zmienia przyszłości? Czy nie wpłynie na kształt wypadków ukazanych w tym Przebłysku, tym samym fałszując tę wizję? W jej części lub całości?

–Rozumiem, o co pan pyta, Słoneczny Lordzie – Janaki przyjrzał się Uromathianinowi przez kilka chwil, jednocześnie zastanawiając się, w jaki sposób najlepiej odpowiedzieć na jego pytanie.

–Przede wszystkim, cokolwiek, co mogłoby się odmienić, wydarzyłoby się już po samym ataku – odpowiedział wreszcie. – Podjęta przez Arkanian decyzja o inwazji, trasa, którą prawdopodobnie do nas podejda, a wreszcie pora przeprowadzenia ataku – wszystko to w żaden sposób nie zależy od okoliczności, na które my moglibyśmy wpłynąć jeszcze przed bitwą. Moje ostrzeżenie nie jest tu w stanie niczego zmienić. Absolutnej gwarancji na to nie dam, ale prawdopodobieństwo, że mam rację jest bliskie pewności.

Po drugie – ciągnął Janaki – Przebłyski nigdy nie są tak wyraźne, jak zwykła Prekognicja. Sam fakt, iż dotyczą one decyzji podejmowanych przez istoty ludzkie, sprawia, że informacje uzyskiwane dzięki nim są bardziej... elastyczne. Czy, może lepiej, bardziej amorficzne, bezkształtne. Nigdy żaden Przebłysk nie konkretyzuje się, nie zostaje na trwałe, przed wystąpieniem wieszczzonego wydarzenia. To jeden z powodów, dla których tak trudno jest niekiedy opowiedzieć innym treść własnych Przebłysków. Dlatego także zdarza się, iż niezwykle trudno je interpretować. Istnieją jednak w

Przebłyskach elementy, które nie zmieniają się przez cały czas od początku. Nazywamy je „rdzeniem”. Według najnowszej teorii próbującej wyjaśnić sposób działania Przebłysków, osoby obdarzone moim Talentem, tak na prawdę Widzą najbardziej prawdopodobny wynik ludzkich działań i decyzji, w potencjalnie największej liczbie wszechświatów równoległych, położonych blisko naszego – książkę wzruszył ramionami. – Nie mam pewności, czy ta teoria jest prawdziwa, ale wydaje się, że trzyma się kupy, więc według niej, wspomniany „rdzeń” Przebłysku stanowią te wydarzenia, które we wszystkich wszechświatach są do siebie najbardziej podobne, czyli innymi słowy te, które cechują się największym stopniem prawdopodobieństwa. Te inne, mniej wyraźnie przedstawione w wizji wydarzenia, miałyby być tymi, których drzewa prawdopodobieństwa mają więcej rozgałęzień, a zatem nie wystąpią z tak bezwarunkową koniecznością jak te, tworzące rdzeń.

Urwał, nadal obserwując twarz Markana. Po kilku chwilach, Uromathianin skinął, dając znak, że zrozumiał i Janaki zaczął mówić dalej.

–Teraz, aż do chwili ataku, drzewka decyzyjne obcych mają już całkiem niezłe określony kształt. Oczywiście, istnieje możliwość, że jeżeli zrobimy coś, o czym oni

się dowiedzą, to zmieniają swój plan. Uważam, że jest to jednak wysoce nieprawdopodobne. Sprawy się komplikują dopiero od momentu ataku. I od tej chwili, nasze poczynania będą już mieć niewątpliwy wpływ na decyzje i działania naszych przeciwników, ponieważ zaczną wtedy odpowiadać na to, co my zrobimy w reakcji na atak. Aczkolwiek tu już wkraczamy w to, co członkowie mojej rodziny nazywają „stanem anamnezyjnym” naszego Talentu.

Rof chan Skrithik poruszył się nieznacznie w swoim krześle. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale Janaki spojrział na niego w taki sposób, w jaki młodszy oficerowie z pewnością nie powinni patrzeć na regimentarzy i komendant fortu nie zdecydował się otworzyć ust. Nadal jednak wyglądał na mocno niezadowolonego, z jakiegoś powodu i książkę rozumiał dlaczego. O niektórych sprawach związanych z Talentem Calirathów nie rozmawiano zbyt często. Tak było i z tą kwestią.

–Stan anamnezyjny, Wasza Wysokość? – powtórzył Markan. Janaki pomyślał, że wielu ludzi dałoby się zwieść i słysząc uprzejmy, pytający ton Uromathianina stwierdziłoby, że Słoneczny Lord nie zauważył konsternacji chan Skrithika.

Nikt nie jest w stanie wywołać Przebłysku rozmyślnie, Słoneczny Lordzie. I mimo, że członkowie mego rodu doświadczają tego rodzaju wizji już od bardzo dawna, to nadal nie wszystko, co się z nimi wiąże zostało zadowalająco wyjaśnione. Tak samo, nigdy nie nauczyliśmy się sprawiać, żeby nasz Talent działał na zawołanie. Istnieją rzecz jasna pewne okoliczności, w których prawdopodobieństwo wystąpienia Przebłysku jest wyższe niż w innych, ale nikt jeszcze nie sprokurował jego wystąpienia świadomie. Niemniej, jedno wiemy już na pewno. To mianowicie, że jeśli ktoś dozna silnego, intensywnego Przebłysku, to niemal zawsze doświadcza potem pewnego rodzaju... ciągłego, Przebłysku wtórnego. Zwłaszcza, jeśli jest osobiście zaangażowany w mające nastąpić wydarzenia.

Oczy Markana zwięziły w cienkie szparki. Arystokrata intensywnie się nad czymś zastanawiał. Janaki uśmiechnął się do niego cierpko.

–Tak, to prawda, Słoneczny Lordzie – przyznał. – To właśnie dlatego Przebłyski dotyczące przebiegu bitew, okazywały się nieraz tak pożyteczne. Oczywiście nie zdarza się to zawsze. Prawdę powiedziawszy sytuacje, w których osoby doznające Przebłysków osobiście występują w wieszczonych wydarzeniach są rzadkie. Nawet bardzo rzadkie. Ale w tym wypadku istnieją wielkie szanse, że moje osobiste zaangażowanie w to, co wydarzy się tutaj, wywoła stan anamnezyjny, który pozwoli mi – z przynajmniej kilkuminutowym wyprzedzeniem – przewidzieć, jak będą zmieniać się wydarzenia w stosunku do wizji, z mojego pierwotnego Przebłysku.

–Wasza Wysokość, z całym należnym szacunkiem – zaczął chan Skrithik. – Nie wydaje mi się, by pana obe...

–Regimentarzu – Janaki uciął chan Skrithikowi ostro, niczym nożem. Dowódca Fortu Salby popatrzył księciu prosto w oczy. Janaki wytrzymał jego przeciągłe spojrzenie. – Nawet jeżeli doliczymy do pańskich sił, żołnierzy Słonecznego Lorda Markana nie mamy nawet czterech tysięcy ludzi – wyliczył książę koronny Ternathii. – A tutaj, w samym Salby musi pan zapewnić ochronę dwóm tysiącom cywilów. Nie licząc brygad KTT, które pracują przy budowie linii kolejowej.

–Co w związku z tym, Wasza Wysokość? – dopytał się chan Skrithik, gdy Janaki na chwilę urwał. – Co w związku z tym? W tę stronę zmierza przynajmniej jakieś osiem, dziesięć tysięcy Arkanian – wyjaśnił beznamiętnie Janaki. – Żołnierzy prowadzących ze sobą smoki, te koszarne orłolwy i bogowie tylko raczą wiedzieć, jakie jeszcze inne, magiczne rodzaje broni. Jeżeli chce pan spróbować utrzymać ten fort i ochronić powierzonych sobie ludzi – ochronić sharoniańskich cywilów – to będzie mnie pan tu potrzebować. – Ale...

–Nie będziemy na ten temat dyskutować, regimentarzu – tym razem to Janaki popatrzył chan Skrithikowi prosto w oczy. – Ochrona ludności to zadanie dla Imperialnej Piechoty Morskiej. To zadanie dla każdego arystokraty naszego Cesarstwa. I zadanie dla Caliratha. Musimy chronić życie cywilów, bez względu na to, kim są, skąd pochodzą i ilu ich jest.

Chan Skrithik wyglądał, jakby był gotów do kolejnego protestu, ale po chwili zamknął usta. Popatrzył przez kilka chwil na Janakiego i książę zastanowił się, co dokładnie w tej chwili regimentarz zobaczył. Z jednej strony był przecież podkomendnym chan Skrithika, młodszym stopniem oficerem, którego regimentarz, gdyby tylko zechciał, mógłby zjeść na śniadanie. Ale z drugiej strony był też przecież księciem koronnym Ternathii, człowiekiem, który już wkrótce miał zostać księciem koronnym Sharony. A to, co przed chwilą powiedział, stanowiło część liczącej sobie wiele tysięcy lat, tradycji dynastii Calirath.

Chan Skrithik zobaczył właśnie ten długi, przyprószony wiekowym kurzem, szereg przodków. To oni stanęli w tej chwili za Janakim. Tak przynajmniej pomyślał książę. Zdarzały się momenty, gdy bycie dziedzicem najstarszej linii dynastycznej w dziejach ludzkości, okazywało się całkiem przydatne.

–Nie zapominając o wszystkim, co przed chwilą od Waszej Wysokości usłyszeliśmy – powiedział regimentarz zamiast tego, co chciał powiedzieć jeszcze przed chwilą – pozostaje faktem, że nie jest pan pewien, czy wydarzenia, jakie się tu rozegrają rzeczywiście wprawia pana w stan anamnetyczny. Jeśli tak się nie stanie, pański pobyt w forcie, okaże się bezcelową, a możliwe, że i wysoce kosztowną, pomyłką.

–Zgadza się – odpowiedział spokojnie Janaki. – Rzeczywiście, jak już powiedziałem, nie mogę niczego zagwarantować. Ale dotychczas doznane Przebłyski ukazywały mi mnie samego w stanie anamnezji – niechętnie się do tego przyznawał,

ale nie widział innej metody przekonania chan Skrithika. – Dlatego uważam, że istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że tak się jednak wydarzy. Co więcej, te same, urwane fragmenty Przebłysku, które Oglądałem do tej pory, pokazały mi, że jeżeli mamy mieć jakąkolwiek nadzieję na obronę fortu, to muszę w nim pozostać.

Chan Skrithik lekko się skrzywił. Po chwili, powoli i z nieszczęśliwą miną, skinął głową.

Janaki odpowiedział mu własnym skinieniem, ciesząc się, że niektóre z cech Talentu Calirathów były tak pilnie strzeżone. Chan Skrithik naprawdę nie musiał wiedzieć, co tak naprawdę oznaczały ostatnie słowa księcia.

–Zakładając, że Przeblyski Jego Wysokości są rzeczywiście precyzyjne – odezwał się, po chwili Markan – oczywistym jest, że musimy ostrzec dowództwo i czynniki wyższe, i przekazać im wszystko, czego się do tej pory dowiedzieliśmy.

–Zgoda, Słoneczny Lordzie – przyznał chan Skrithik rzucając okiem na chan Darmę. – Musimy też ostrzec Olvyra Banchu i wszystkich jego pracowników.

–Nie tylko musimy ich ostrzec, regimentarzu – powiedział Vargan. – Nie ma najmniejszej możliwości, żebyśmy zdołali ściągnąć ich tutaj na czas. A skoro tak, to według mnie wynika z tego, że musimy tam posłać kogoś, kto pomógłby im się obronić.

–Ale czy, jeżeli oni, tam na budowie, będą się w oczywisty sposób spodziewać ataku – wtrącił zupełnie wypranym z emocji głosem Markan – i Arkanianie to zauważą, to czy nie zmienią swych planów; a razem z nimi wydarzeń, które

Jego Wysokość zobaczył w Przebłysku?

Twarz Vargana stężała, ale zanim kapitan zdążył się odezwać Janaki uniósł rękę.

–Obawiam się, że obserwacja Słonecznego Lorda jest słuszna, kapitanie. Z drugiej jednak strony, niektóre obrazy, które Widziałem sugerują, że Arkanianie nie zamierzają atakować linii kolejowej, zanim nie rozprawią się z Fortem Salby.

–Za pozwoleniem, Wasza Wysokość? – odezwał się, podkapitan chan Darma, zanim Vargan miał szansę odpowiedzieć. – Słucham?

–To, co pan przed chwilą powiedział, brzmi bardzo rozsądnie.

–To znaczy? – Vargan popatrzył na niego sceptycznie. Chan Darma z ponurym wyrazem twarzy wzruszył nieznacznie ramionami. – Jak już Jego Wysokość wspomniał, obcym udało się w jakiś sposób zapobiec wydostaniu się w górę łańcucha informacji o inwazji. To nie mógł być przypadek. Wynika z tego logicznie,

że Arkanianie wiedzą o istnieniu Sieci Głosów... i, że w jakiś sposób, w miarę swych postępów, eliminują, lub przynajmniej wyciszają, kolejne ogniwa tego łańcucha. Skoro tak, to, kiedy zobaczą ilu pracowników ma tam na kolei inżynier Banchu, bez wątplenia wydedukują, że jest tam z nimi Głos. I szczerze wątpię, by zakładali, że za jednym zamachem zabiją aż tylu ludzi, na dodatek tak rozproszonych, zanim telepata zdoła przekazać ostrzeżenie.

–On ma rację, Orkam – powiedział chan Skrithik. – Z pewnością planują zerwać Sieć Głosów tutaj, w Salby. Ewentualnie zechcą przerzucić jakiś mały oddział bokiem i zlikwidować kolejną stację przekaźnikową. Nie zaryzykują jednak ataku na budowę. Nie pozwolą, by pracownicy KTT mieli możliwość ostrzeżenia nas.

–Zgoda, ale nadal sądzę, że powinniśmy wzmocnić ich ochronę, regimentarzu – odparł po dłuższej chwili Vargan. – Wiem, że większość z nich ma ze sobą broń. Wiem także, że mają tyle ciężkiego sprzętu, który pomoże im się okopać, że chyba tylko bogowie wiedzą dokładnie ile. Wiem też, że to w przytłaczającej części doświadczeni weterani. Niemniej, to przecież są cywile.

–To się oczywiście da zrobić – zgodził się chan Skrithik, po czym wyszczerzył się w nieprzyjemnym uśmiechu. – A może byśmy im podrzucili kilka Yerthaków? Zamontujemy je na platformach kolejowych i pchniemy Bachu w prezencje? Dorzucilibyśmy do tego oczywiście kompanię piechoty. I może młodszego kapitana chan Moraka?

Vargan zastanowił się nad propozycją. Młodszy kapitan Harek chan Morak był adiutantem kapitana Merisa Nalkhara. Nalkhar natomiast, dowodził w Forcie Salby wojskami inżynieryjnymi.

–Według mnie to świetny pomysł, regimentarzu – odpowiedział, po chwili.

–Świetnie – ucieszył się chan Skrithik i zwrócił swą uwagę na powrót do Janakiego. Regimentarz z pewnością nadal nie był szczęśliwy na myśl o tym, że następca tronu nie opuści Fortu Salby, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że nie ma już na to żadnego wpływu i postanowił w pełni wykorzystać tę narzuconą mu siłą okazję.

–Dobrze zatem, Wasza Wysokość. Czy pański Przebłysk zawierał jakiegokolwiek informacje, co do ich planu ataku? – Cóż, regimentarzu. Z tego, co do tej pory Zobaczyłem wynikałoby, iż jako pierwsze zaatakują te ich smoki. Nadleca stąd odwrócił się i nakreślił na mapie linię wiodącą od portalu Traisum-Karys, poprzez góry, aż do Salby. – Jak się wydaje użyją też tych różnych... sposobów ziania. O ile można to tak określić. Tyle, że zasięg tej broni jest dość ograniczony. Żeby smoki mogły ziać, muszą znaleźć się blisko celu. Myślę, więc, że liczą na element zaskoczenia. To, z kolei znaczy, że...

Książę mówił dalej, opowiadając zebrany to, co wiedział już sam. Gdy tak mówił kolejne fragmenty Przebłysku przemykały w jego umyśle niczym niespokojne duchy.

„Cierpliwości” – powiedział im. – „Cierpliwości... Już niedługo do was dołączę.”

Rozdział 8 – Generale! Proszę się zbudzić!

Generał dywizji chan Geraith obudził się gwałtownie. Otworzył raptownie oczy, a jego prawa dłoń wystrzeliła w górę i chwyciła nadgarstek ręki, która delikatnie, lecz nieustępliwie trzęsła jego ramieniem. – Co?

Zamrugnął wydobywając się z głębin snu, po chwili szybko usiadł w łóżku i zmrużył oczy, widząc, że nie obudził go jego ordynans, tylko kapitan chan Korthal.

–O co chodzi? – zapytał swojego sztabowego telepatę ostrzejszym tonem.

–Generale, otrzymałem przed chwilą pilną wiadomość. Mam ją przekazać bezpośrednio panu. Nadawcą jest książę koronny Janaki. Na twarzy chan Geraitha nie drgnął nawet jeden mięsień, lecz w duchu aż otworzył usta ze zdziwienia.

–Książę koronny? Do mnie? – powtórzył tonem człowieka, który chce się upewnić, że nie zwodzą go własne uszy. – A nie od cesarza?

–W rzeczy samej, generale – chan Geraith zauważył, że chan Korthal patrzy z napięciem, wyraźnie mocno czymś zaniepokojony. Sam także zaczął się denerwować nieco bardziej niż przed chwilą.

Ruszył ręką, w miejsce, gdzie przy jego domowym łóżku stała lampa naftowa, żeby podkręcić knot, ale prychnął, zirytowany na własne rozkojarzenie i odsłonił okno nad swoją kuszetką.

Podobnie jak większość osób podróżujących koleją na długich, międzywszechświatowych trasach, żołnierze z dywizji chan Geraitha nie kłopotali się przestawianiem zegarków. Ani tych naręcznych, ani własnych zegarów biologicznych. Nigdy nie zabawiali w jednym wszechświecie na tyle długo, by mogli choćby próbować przystosować się do lokalnego czasu, czekali więc z tym, aż dotrą do celu podróży. W związku z tym, organizm chan Geraitha znajdował się w samym środku nocy. Zza krawędzi zasłonki, do przedziału wlewało się jednak jaskrawe światło dnia, kołysząc się i podskakując wraz z drgnięciami całego wagonu sztabowego.

Generał odsłonił zasłonkę o ułamek cala, wpuszczając akurat tyle światła, by rozjaśnić przedział i wstał. Zakładając na siebie szlafrok, który ordynans przygotował wcześniej i zostawił na krześle, pomyślał, że po tak długotrwałej jeździe pociągiem z pewnością poczuje się nienaturalnie, gdy ziemia pod jego stopami wreszcie

przestanie się trząść i kołysać. Zasznurował pasek szlafroka i zwrócił się na powrót do chan Korthala.

–No dobrze, Lisar, cóż to za wiadomość?

Chan Korthal popatrzył na dowódcę jeszcze przez chwilę, po czym zamknął oczy. Chan Geraith nie dysponował żadnym, najslabszym nawet Talentem. Wymagał więc towarzystwa szczególnie uzdolnionego Głosa, który to warunek Lisar chan Korthal spełniał z nawiązką. Kiedy odezwał się chwilę później, nie mówił już własnym głosem. Chan Geraith usłyszał, doskonale odtworzony, głos przyszłego cesarza.

To była pierwsza myśl generała. Potem dotarło do niego znaczenie tych, tak doskonale przekazanych słów i oblicze chan Geraitha stężało, jakby krew w jego żyłach przemieniła się w lód.

–...i tak właśnie przedstawia się sytuacja, generale – mówił ustami chan Korhala Janachan Calirath niemal piętnaście minut później. To, co Zobaczyłem do tej pory mówi nam wiele o zdolnościach bojowych i logistycznych Arkanian, ale nadal nie mam pojęcia, dlaczego się na tę inwazję zdecydowali. Fakt, że nie napłynęły żadne raporty od kapitana chan Tesha, regimentarza Velveliga, ani z żadnego z naszych pozostałych posterunków zdaje się, moim zdaniem, dowodzić, że mamy do czynienia ze starannie zaplanowaną, doskonale przemyślaną ofensywą, której szczegóły dopracowywali przez cały czas, gdy prowadzili z nami negocjacje pokojowe. Nie jestem jednak gotów w tym momencie spekulować, co to może oznaczać w kontekście ich zamiarów i celu, jaki ostatecznie zamierzają osiągnąć. Nie jestem też pewien, czy oznacza to, że nie ma już sensu próbować rozwiązań dyplomatycznych, czy nie.

Przekazałem pańskiemu Głosowi tak wiele szczegółów dotyczących doznanych przeze mnie Przebłysków, na ile tylko byłem w stanie. Niestety sam Przebłysk nie jest jeszcze kompletny. Dalsze informacje postaram się nadsyłać w miarę, jak będą się pojawiać. W tej chwili, według moich szacunków, zostaniemy zaatakowani w przeciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Prawdopodobnie wcześniej. Przygotowania do obrony fortu trwają. Według mnie i tego, co już ukazały mi Przeblyski, moja obecność w Forcie Salby jest niezbędną, jeżeli mamy mieć jakąkolwiek nadzieję na odparcie przeciwnika.

Oblicze chan Geraitha sprawiało wrażenie wykutego z kamienia. Młodzieniec, który przesłał mu tę wiadomość był osobą kluczową dla zjednoczenia całej planety. Jego życie, rola, jaką miał odegrać w procesie unifikacji była dużo bardziej doniosła niż obrona jednej, przyportalowej fortecy i pobliskiego miasteczka. Co do tego, Arlos chan Geraith nie miał najmniejszych wątpliwości i w odróżnieniu od regimentarza chan Skrithika, był generałem dywizji, więc...

–Więcej nic nie mogę panu w tej chwili powiedzieć – mówił Janaki. – Chciałbym dodać jeszcze tylko to: Chunika s’hari, Halian. Sho warak.

Generał zamknął oczy. Jego kamienną twarz przeszył skurcz. Przez mgnienie oka wyglądał, jakby przybyło mu, co najmniej dwadzieścia lat. Po chwili, odetchnął głęboko i skinął głową.

Sho warak, Wasza Wysokość – powiedział cicho.

Chan Korthal otworzył oczy. Podobnie jak inni telepaci z monumentalnie wręcz wysokim poziomem uprawnień i dostępu do tajnych informacji, które kapitan musiał otrzymać, by podjąć służbę jako Głos w sztabie chan Geraitha, wiedział, że na niektóre pytania nigdy nie otrzymuje się odpowiedzi. Rozumiał, że zawsze będzie tak, iż wiele spośród wiadomości, które przekazywane były przy jego pomocy będzie znaczyło bardzo wiele dla nadawcy i odbiorcy, ale dla niego będą to tylko puste słowa. Chan Geraith spojrział telepacie w oczy i spostrzegł trawiącą telepatę ciekawość... a także świadomość, że nie inaczej będzie i tym razem i, że nie dowie się, co znaczyły te słowa. I miał rację.

–Dziękuję, Lisar – powiedział cicho generał. – Poproś, proszę, regimentarza chan Isaila, żeby budził ludzi. I upewnij się, by nie pominął generała brygady chan Quaya.

–Tak jest – odpowiedział równie cicho Korthal i wyszedł z przedziału.

Chan Geraith zapatrzył się w drzwi, które zamknęły się za Głosem, ale myślami był bardzo daleko. Myślał o młodym człowieku, który zakończył swój przekaz zdaniem w języku tak starym, że prawdopodobnie na całej Sharonie potrafiła się nim posługiwać jedynie garstka ludzi. Chunika s’hari, Halian. Sho warak.

„Jestem twoim synem, Halianie. Pamiętam.” Chan Geraith raz jeszcze zamknął oczy i pozwolił antycznym słowom rozbrzmiewać w swej głowie. Słowom, które absolutnie uniemożliwiały mu odwołanie Janakiego chan Caliratha z Fortu Salby jeszcze przed spodziewanym, potężnym atakiem nieprzyjaciół.

–Sho warak – szepnął ponownie generał, po czym wyprostował się i nacisnął guzik, którym przywołał ordynansa z mundurem.

Ahvar Neshok siedział w swoim namiocie i gniewnie patrzył na słowa raportu, które jarzyły się blado we wnętrzu jego kryształu osobistego. Na zewnątrz obóz sił ekspedycyjnych tętnił życiem. Kolejne eskadry smoków transportowych, które miały dowieźć zapóźnione oddziały ciężkiej kawalerii miały przybyć dopiero za kilka godzin, ale przygotowania do ataku na Fort Salby trwały już pełną parą.

„Trwają pełną parą wyłącznie dzięki informacjom, których ja im dostarczyłem” – pomyślał Neshok z goryczą. – „Trwają pełną parą, dlatego, że dotarli aż tutaj, w

oparciu o dane, które dostali ode mnie!”

Jakimś cudem udało mu się nie zazgrzytać zębami. Nie było to jednak najłatwiejszym zadaniem w jego życiu. Dobrze wiedział, komu zawdzięcza decyzję, tak niespodziewanie podjętą przez dwutysięcznika Harshu, który postanowił, jak to czule ujmowała nota przełożonego: „zdjąć ci z ramion ciężar zadań, które tak znakomicie do tej pory wypełniałeś”. Dziękować należało tysięcznikowi Toralkowi i temu świętoszkowatemu Uzdrowicielowi, Vaynairovi. To oni do tego doprowadzili. „No dobrze, jeszcze zobaczymy, jak sobie poradzą ze swoimi cholernymi wojenkami, bez Neshoka wycierającego im tyłki.”

Nozdrza mu zadrgały, ale równocześnie z ostatnią myślą, gdzieś głęboko w nim odezwał się cichy głosik, mówiący, że w zasadzie powinien był się tego spodziewać od dawna, że tak naprawdę problemem był Harshu, a nie Toralk, czy nawet ten bydlak Vaynair. Zaczynał rozumieć, że dwutysięcznik wykorzystał go do odwalenia brudnej roboty. Skorzystał z jego osoby, by nie uwaląć sobie swoich, nieskazitelnych niczym lilie, rączek i teraz, po prostu stwierdził, że wywiadowca nie jest mu już do niczego potrzebny, że cała wdzięczność i poparcie, jakiego się Neshok wcześniej spodziewał, na jakie liczył, mogły zostać teraz zastąpione przez coś diametralnie odmiennego, o ile tylko Harshu, ten „szlachetny” Andaranin, będzie mieć w tej sprawie jeszcze coś do powiedzenia.

Ale Neshok miał odpowiedź dla tego głosu. I odpowiedział mu od razu. Miał przecież jeszcze jednego opiekuna, i to poważniejszego niż Harshu. Dwutysięcznik muł Gurthak z pewnością doceni i zapamięta to, co Neshok do tej pory dla niego uczynił.

„A w każdym razie, lepiej by było dla niego, gdyby tak zrobił” – pomyślał ponuro Neshok. – „Bo jeśli nie, jeśli spróbuje wylać mnie razem z pomyjami, to bardzo mu się nie spodoba to, co powiem Inspektorowi Generalnemu. Oj, bardzo mu się to nie spodoba.”

Na zewnątrz jego namiotu ktoś wykrzykiwał kolejne rozkazy, w pobliżu przebiegł oddział piechoty. Ekwipunek żołnierzy dźwięczał metalicznie. Z miejsca położonego po drugiej stronie obozu dobiegały go podenerwowane pomruki smoków, które niecierpliwiły się w oczekiwaniu na porę karmienia. Wszyscy coś robili. Także i on zajął się pracą. Kończył swoją rutynową, papierkową robotę, niczym grzeczny, posłuszny przełożonym urzędniczyna. Porządkował swoje dokumenty, starannie uważając, by każda rubryka została wypełniona. Starannie przejrzał – i odpowiednio przerobił – swoje raporty dotyczące stosowanych metod przesłuchania.

Przez kilka sekund popatrzył jeszcze na kryształ. Westchnął głęboko i wrócił do zajęć.

–To jest naprawdę cholernie upierdliwe zajęcie – mruknął pod nosem podzbrojny

Kardan Verais.

Kiedy młodszy zbrojny Paras chan Barsak zdzielił go otwartą dłonią w tył korkowego hełmu zrozumiał, że odezwał się jednak głośniejszym, niż zamierzał.

–Mniej kwękania, więcej kopania – zalecił mu chan Barsak. Młodszy zbrojny znany był z tego, że zupełnie nie rozumie nikogo, kto wykonuje zleczone sobie zadania z zapalem mniejszym od maksymalnego. Verais się tym jednak szczególnie nie przejmował. Biorąc pod uwagę jak szczodrze jego nagi tors pokryty był mieszaniną kurzu, piachu i potu, miał wszelkie prawo spodziewać się, że chan Barsak będzie z niego w miarę zadowolony.

„Oczywiście” pomyślał Verais chwilę potem, „w miarę zadowolony” to jednak nie to samo, co „zupełnie zadowolony”.

–Nie przeszkadza mi samo kopanie. Wkurzają mnie te przeklęte kamulce – burknął, odrzucając na bok kolejny głaz wielkości ludzkiej głowy. – Poza tym, to durne miejsce na kopanie dziur.

–Tak uważasz? – Chan Barsak był równie umorusany jak Verais, co zresztą nie powinno zaskakiwać, ponieważ to on kopał, do momentu, kiedy dziesięć minut temu się zmienili. – Nie podoba ci się jak piękne pole rażenia będziemy stąd mieć?

–Ależ to akurat mi się podoba... chyba – Verais przeciągnął przedramieniem po swej spoconej twarzy, splunął i przyjrzał się, jak ciemna od kurzu ślina znika za krawędzią widniejącej przed nimi, niemal pionowej przepaści. – Daleko stąd do drogi, choć z drugiej strony nadal mamy ją chyba w zasięgu. Ale moglibyśmy okopać się bliżej, przez co nie musielibyśmy dźwigać tych pieprzonych dział i skrzyń z amunicją aż tutaj. Nie mówiąc już – znów zaczął mocno pracować łopatą, kolejne słowa wyrzucając z siebie pomiędzy wymachami ramion – o tym, że tam się dużo łatwiej kopie!

–Tak? – chan Barsak spojrział na innych żołnierzy SZPP, pracujących nad okopaniem drużyny. Większość z nich, podobnie jak Verais, rozebrała się już do pasa. Połowa zajęta była ryciem w twardej, skalistej, spieczonej słońcem glebie pokrywającej górskie zbocze. Wydierali podłożu stanowiska na działa, które zresztą i tak, choćby nie wiadomo jak bardzo się przykładali, miały być płytsze, niż to stanowiły regulaminy. Reszta pakowała wykopaną ziemię do worków, którymi fortyfikowano przygotowane już wcześniej stanowiska i okopy. Wszyscy potwornie się pocili smagani promieniami bezlitosnego słońca. Co więcej – w odróżnieniu od chan Barsaka – większość z nich nie pochodziła z Ternathii.

–Słuchaj – zagaił młodszy zbrojny, szukając w głowie najlepszego sposobu wytłumaczenia sprawy nieTernathianinowi – skoro księżę koronny Janaki mówi, że

ciągnie na nas coś śmierdzącego, to lepiej jest uwierzyć. Także i w to, że gównu, jakie na nas rzucą będzie szczególnie paskudne. Zaufaj mi. Co? Może myślisz, że jego rodzina utrzymałaby się tak długo na swoim stołku, gdyby nie radziła sobie z takimi sytuacjami? – No tak, ale...

–Żadnych „ale” – przerwał chan Barsak. – Jeżeli regimentarz po rozmowie z księciem, zdecydował, że mamy się okopywać właśnie tutaj, to nie ma siły, no po prostu nie ma, żeby to była zła decyzja. A jeżeli ja tak uważam, to uważać tak musisz i ty. – Tak, tak, tak. Łapię, łapię – mruknął

Verais i zaczął machać łopata z jeszcze większym zaangażowaniem. – No i dobrze.

Andrin Calirath gwałtownie usiadła na łóżku. Tak nagle, że Finena podskoczyła na swojej żerdzi i instynktownie zamachała skrzydłami.

Dziewczyna jednak nawet nie widziała swojej ukochanej sokolicy. Jej szare jak morze oczy, rozszerzonymi źrenicami wpatrywały się ślepo w dal. Księżniczka Patrzyła za pomocą innego zmysłu, Widziała swoim Talentem.

Nie miała pojęcia jak długo siedziała tak w bezruchu, chłonąc w siebie przerażające obrazy i dźwięki, które pojawiały się znikąd w jej umyśle. Wreszcie jednak zamknęła na powrót swoje nawiedzone oczy. Nadal się nie poruszyła, tkwiła po prostu w przytulnej ciszy Pałacu Calirathów. Siedziała z pobladłą, spiętą twarzą.

–Janaki – wyszeptała w mroki nocy. – Och, Janaki.

–Jesteś tego pewny młodszys kapitanie? To znaczy, czy jest pan tego pewny, Wasza Wysokość? – spytał kapitan Lorvam Mesaion.

Dowódca artylerii Fortu Salby stał na zachodniej ścianie palisady i przyglądał się, pracującym zawzięcie żołnierzom pododdziałów gospodarczych, wzmocnionych teraz siłami niemal wszystkich cywilów powyżej dwunastego roku życia. – Czy jestem pewny czego, kapitanie? – odpowiedział pytaniem Janaki.

Księżę przyszedł na ten odcinek muru pomiędzy dwoma wysuniętymi bastionami, strzegącymi głównej bramy i wspiął się na puste gniazdo artyleryjskie, żeby popatrzeć w stronę portalu. Mesaion nie był pewien, co takiego tak nieodparcie, raz po raz, przyciągało księcia koronnego Ternathii, w to akurat miejsce. Z jego punktu widzenia był to idealny punkt do nadzorowania przygotowań, za które był osobiście odpowiedzialny. Artylerzysta wiedział też jednak, że regimentarz chan Skrithik znajdował dla Janakiego wiele zajęć. Można by nawet pomyśleć, że zbyt wiele, by księżę miał czas pojawiać się tu na górze mniej więcej, co godzina.

–Czy jest pan pewien, że powinniśmy to tam rozmieszczać – wyjaśnił Mesaion i wskazał ruchem głowy spoconych, klnących żołnierzy SZZP, którzy za pomocą

młotów pneumatycznych montowali podstawy dziesięciu ciężkich dział Yerthak, w mocnych szczytach wież i bastionów. Chociaż właśnie do tej ich mocy można było mieć zastrzeżenia. Mesaion miał swoje prywatne wątpliwości, co do tego, jak fortyfikacje zniosą napięcia spowodowane długotrwałym prowadzeniem ognia. Wciągnięcie półtonowych cielsk Yerthaków na wieże nie było zadaniem prostym, tym bardziej, że większość pracy musieli wykonywać za pomocą najprostszych narzędzi i siły ludzkich mięśni.

Mesaion miał ogromną nadzieję, że mu się ten wysiłek opłaci. I że zdołają jednak oddać więcej niż tylko kilka strzałów z każdego z Yerthaków, zanim nie zdradzi ich kruchość murarki, lub tych prowizorycznych, wykonywanych teraz naprędce, wzmocnień.

Janaki spojrział najpierw na działa, po czym odwrócił się i pytająco uniósł brwi. Mesaion wzruszył ramionami.

–W ich zasięgu znajdzie się całe podejście z tej strony. Tak samo doniosą tu Yerthaki z zachodnich wież. Ale o ile się pan nie myli, co do kierunku, z którego mają nadejść obcy, to rozmieszczanie dział na wschodzie nie ma większego sensu.

–Nie miałyby, gdybyśmy mieli do czynienia tylko z celami naziemnymi.

Mesaion otworzył szeroko usta. Po chwili, opamiętał się i zamknął je na powrót. Artylerzysta pochodził z Nowej Farnalii, a nie z Ternathii. Niemniej czytał w życiu wystarczająco wiele, by wiedzieć, że Talent Calirathów służył dynastii nieomylnie przez wiele tysięcy lat. Ale z drugiej strony, smoki? I jakieś latające monstra o głowach i skrzydłach orłów i lwich tułowiach?

–Zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi jak urojenia szaleńca, kapitanie – przyznał Janaki ze zmęczonym uśmiechem. – Ale proszę mi po prostu zaufać.

–Skoro tak pan mówi, Wasza Wysokość – odpowiedział Mesaion, po chwili.

–Jak idą przygotowania na pozostałych stanowiskach, kapitanie? Jeśli wolno spytać?

–Nie będziemy gotowi przed świtem, jeśli o to chodzi, Wasza Wysokość. Poza tym, że nie mamy na nic czasu, wszystko jest w najlepszym porządku. – Świetnie, kapitanie. Bardzo dobrze.

Janaki skinął Mesaionowi głową, podszedł do blank i oparł się o nie łokciami. Wyrzwał na miasteczko Salbyton, za którym majaczyła ogromna tarcza portalu. Chan Skrithik wsadził wszystkie kobiety i dzieci, dla których znalazło się miejsce, do pozostających do jego dyspozycji wagonów i odesłał je pełną parą ku Salym. Niestety, mógł ewakuować w ten sposób, jedynie niecałych ośmiuset ludzi, a

konieczność zapewnienia schronienia wszystkim pozostałym, jednocześnie spowodowała, że fort dosłownie pękał w szwach. Niemniej nie było wyjścia. Nie mogli przecież w obliczu nadchodzącej burzy zostawić tych ludzi bez żadnej ochrony.

Oczywiście wszystko to opierało się na założeniu, że zdołają zapobiec temu, by skrzydlate potwory z Arkany zamieniły fort w ciasną i wydajną, przemysłową rzeźnię.

Janaki pomyślał o niewysłowionym koszmarze, jaki mógł spaść na ludzi, za których był odpowiedzialny. On sam i cała jego rodzina. Zacisnął mocniej zęby. Po chwili rozluźnił się jednak i popatrzył na kurz wzbijający się z ziemi po obu stronach srebrnej wstęgi linii kolejowej, która wiała się przez dolinę w stronę portalu.

Kapitan Mesaion miał pewne wątpliwości, co do sposobu rozmieszczenia stanowisk artyleryjskich, na jakie zdecydował się regimentarz chan Skrithik, pod wpływem informacji z Przebłysku młodszego kapitana chan Caliratha, ale to nie znaczyło, że nie starał się wykonać rozkazów jak najszybciej. Niestety, Fort Salby, mimo, iż mury miał grube, nie został zbudowany z myślą o obronie przed atakiem przeprowadzonym ciężką, współczesną bronią. Parapety murów nie były głębokie na tyle, by można było zamontować na nich przyzwoite działa – zwłaszcza nie można było tu rozstawić dział na ciężkich lawetach. Tak zwane stanowiska artyleryjskie fortu zaprojektowano z myślą o rozmieszczaniu w nich broni nie cięższej niż karabiny maszynowe. W związku z tym, artyleria polowa Mesaiona musiała znaleźć się poza murami fortu, wzdłuż – przypominającego schodek – urwiska, nad którym górował Salby. Inaczej wcale nie można by ich było użyć.

Stąd właśnie brały się słupy wirującego w powietrzu pyłu i piachu, na który patrzył Janaki. Gniazda pod działa miały być nieznacznie tylko głębsze niż zazwyczaj, lecz chan Skrithik – czy, jeśli być ścisłym do przesady, Janaki – nalegał na zapewnieniu im jak najlepszej i najgrubszej osłony od góry. Prowadzenie ostrzału z czterocalowych dział, z dachem ciężkich worków z piaskiem wiszącym artylerzystom ledwie kilka stóp nad głowami, mogło się okazać przeżyciem... niezapomnianym. Jednak nie tak bardzo „niezapomnianym”, jakim okazałoby się zapewne doznanie ognia lub błyskawicy, którymi smoki bez wątpienia zasypałyby niechronione stanowiska.

Janaki żałował, że chan Skrithik nie dysponuje większą liczbą takich dział polowych. Nawet z lekkimi, kawaleryjskimi działkami, które przywieźli ze sobą Słoneczny Lord Markan i Wietrzny Lord Garsal, regimentarz nie miał ich więcej niż tuzin. Spędzili z Janakim kilka pracowitych godzin, w trakcie których, zgięci w pół nad mapą, starali się wybrać najlepsze i jak najbardziej odpowiadające informacjom z Przebłysków księcia miejsca pod te działa, które mieli, lecz żaden z nich nie był zadowolony z tego, iż było ich tak niewiele. Samotna, trójelementowa sekcja haubic kalibru 4.3, oraz dziewięciu ciężkich moździerzy, które miał na stanie Mesaion, prawdopodobnie wystarczyłyby do załatwienia problemu przynajmniej częściowo. Ich jednak nie

można było używać w zadaszonych gniazdach i dlatego rozmieszczono je na terenie samego fortu. Ze swoich stanowisk na dziedzińcu, mogły prowadzić ostrzał we wszystkich kierunkach, przynajmniej do momentu, w którym ich cele nie znajdą się zbyt blisko murów, a jednocześnie w tym miejscu miały częściową osłonę przed pociskami wroga.

Oczywiście, gdyby arkaniańskie smoki przedarły się aż do fortu...

Nad murami fortu rozstawiono blaszane dachy – płachty metalu rozłożono na przyciętych odpowiednio podkładach kolejowych i wzmocniono od góry workami z piaskiem. Nie były, co prawda tak solidne jakby sobie tego życzył Janaki, niemniej w walce przeciw zięjącym ogniem smokami była to znacznie lepsza osłona niż żadna. Taką przynajmniej miał książę nadzieję.

Na zewnątrz murów znajdowały się też liczne – również starannie zadaszone – stanowiska karabinów. Ich zadaniem było osłanianie artylerzystów oraz zabezpieczanie lądowego podejścia do fortu. Teraz pracowali przy nich wymachujący łopatom, kilofami i siekierami kawalerzyści.

Słoneczny Lord Markan i kapitan Vargan, w niecodziennym przejawie jednomyślności, który ich samych zaskoczył prawdopodobnie jeszcze bardziej niż chan Skrithika, zgodnie poczuli się mocno dotknięci, słowami Janakiego, który obwieścił im, że sharoniańska kawaleria nie ma czego szukać na polu tej samej bitwy, na której mieli się pojawić ich odpowiednicy z Arkany. Jeszcze bardziej zdumieni byli informacją, że Arkanianie nie używali żadnej nowoczesnej broni ręcznej. Jedynie głupcy – do których, mimo wzajemnej antypatii, nie zaliczał się ani Markan, ani Vargan – mogliby choć pomyśleć o pchnięciu jazdy na okopanych piechurów z karabinami, karabinami maszynowymi i artylerią. Z drugiej jednak strony, zarówno Markan jak i Vargan, należeli do kawalerzystów w starym stylu i obu im stanęła przed oczyma perspektywa ostatniej, anachronicznej, wspaniałej szarży z szablami na kusze.

Tę ideę Janaki wykopał im z głów obydwoma swoimi ciężkimi buciorami. Vargan przyjął jego veto z czymś, co przez szczególnie przychylnie nastawionego obserwatora, mogłoby zostać nazwane robieniem dobrej miny do złej gry. Markan, z kolei zaakceptował sprzeciw młodszego kapitana z pewnym rodzajem lodowatej uprzejmości. Z tych dwóch, Janakiemu bardziej spodobała się reakcja Vargana.

Niemniej, Słoneczny Lord zgodził się, że w obecnych warunkach jego cenne wierzchowce liczą się mniej niż ludzkie istnienia. Stajnie w Forcie Salby zostały opróżnione i konie przeniesiono do padoków zbudowanych naprędce dokoła oazy, znajdującej się kilka mil na wschód. Opustoszałe budynki stały się domem, dla kolejnej grupy cywilnych uchodźców spoza fortu. A ludzie, którzy w innej sytuacji jeździliby na wydalonych rumakach, pracowali teraz z łopatom lub okopywali się

wraz z piechurami. Janaki musiał też przyznać, że jakkolwiek Markan tęsknił do swojej wymarzonej, ostatniej szarży, to podjął się zadania przekształcenia swych ludzi w piechotę, z niemałym zaangażowaniem i wcielał w życie obronny plan chan Skrithika z całą mocą, nawet mimo tego, że realizację swych snów o pędzie na końskim grzbiecie musiał odłożyć przynajmniej na jakiś czas. „Teraz musimy już tylko poczekać i wkrótce przekonamy się, czy nasz plan cokolwiek zmieni w naszym losie” – pomyślał ponuro Janaki.

–Wolałbym, żebyśmy mogli uderzyć na nich trochę wcześniej, tysięczniku – powiedział Dowodzący Pięcioma Setkami Myr.

Stał razem z Klayrmanem Toralkiem przed namiotem sztabowym. Obaj przyglądali się prowizorycznemu lądowisku smoków. Zwierzęta transportowe zaczynały wykazywać pierwsze oznaki, zbierającego się przez dłuższy czas w ich mięśniach, zmęczenia. Toralk zauważył to już kilka dni temu. Ponadto – na swój sposób – dawały znać o własnym zmęczeniu niektóre ze smoków bojowych. Niefortunnym zbiegiem okoliczności było to, że bestie były jeszcze bardziej rozdrażnione niż zazwyczaj.

–Jestem cię w stanie zrozumieć – przytaknął Toralk i nie skłamał. Ale nawet smocze oczy potrzebowały światła. Fort Salby, mógł się okazać paskudnym wyzwaniem i ciężkie mogło się okazać już samo podejście do niego. Na pewno nie była to okazja, przy której mogli sobie pozwolić na to, by smoki bojowe wpadły na jakąś górę, tylko dlatego, że ani one ani ich piloci nie zdołali zauważyć jej na czas. Niedobrze by też było, gdyby okazało się, że jest za ciemno nawet dla smoków i ogniste kule nie trafiają celu.

–To nie jest jeszcze jeden, z tych ich cholernych, drewnianych forcików obsadzonych garstką ludzi – zauważył Myr tonem, którego Toralk żadną miarą nie mógł nazwać zachęcającym. – Widział pan plany.

–Tak, widziałem – ponownie przytaknął Toralk. Szczegółowe mapy łańcucha wszechświatów, które zdobyli w Forcie Ghartoun, obejmowały także i Traisum. Okazało się też, że zmodyfikowane odpowiednio zaklęcia odczytujące mapy działały naprawdę doskonale. Arkanianie wiedzieli dokładnie, gdzie leży Fort Salby i szczegółowo znali też ukształtowanie otaczającego sharoniańską fortecę terenu. Udało im się przechwycić nawet plan, w którym jeden z jeńców rozpoznał szkic samego Salby. Okazało się przy tym, iż

„trudny orzech do zgryzienia” było w odniesieniu do tego fortu poważnym niedomówieniem.

Mury Fortu Salby były wyższe, grubsze i mocniejsze niż to miało miejsce chociażby w Forcie Ghartoun. Wiadomo też już było, że z pewnością są o wiele wytrzymalsze na działanie ognia. Z tego samego, co mury materiału wzniesiono także budynki wewnątrz fortu, przez co broń smoków czerwonych nie mogła zadziałać ze swoją zwykłą skutecznością. Arkanianie rozumieli też, że jeśli trzeba będzie te wszystkie mury i budynki zdobywać w walce wręcz, to cały atak okaże się krwawą wycieczką. Bardzo krwawą.

Ponadto, mapa nie ukazywała też żadnych podziemnych przejść lub piwnic, które również mogły przecież stanowić integralną część fortu. Jakies istniały na pewno i

one stanowiły poważny problem same w sobie. I to bez względu na to, w jaki sposób siły ekspedycyjne podeszłyby do ataku.

–Posłuchaj, Cerlohs – powiedział Toralk, odwracając się przodem do dowódcy kła. – Wiem, co masz na myśli. I zgadzam się też, że gdybyśmy zaatakowali w całkowitej ciemności, mielibyśmy większe szanse na uzyskanie przewagi zaskoczenia. Ale zarazem zwiększyłoby się też zagrożenie, że stracimy, przy podejściu smoka. Albo dwa lub trzy.

Myr nie wyglądał na zadowolonego, ale z tym dyskutować nie mógł. Podejścia mieli dokonać, wykorzystując górzysty teren pomiędzy portalem i celem. Szczyty miały skryć ich obecność przed oczyma obrońców, aż do ostatniej chwili. I mimo, że smoki bojowe specjalnie szkolono do lotów na najmniejszych nawet wysokościach, to i tak dolina przed Fortem Salby nie była miejscem, w którym nocą można było latać pewnie i bezpiecznie.

–Zakładając, że wszystkie twoje smoki wyjdą cało z podejścia – ciągnął Toralk – nadal będziesz się musiał zmierzyć z tym, że jak sam zauważyłeś, ten konkretny cel będzie naprawdę trudny. Obcy mają tam garnizon przynajmniej cztery do pięciu razy większy niż najliczniejszy, na jaki natknęliśmy się do tej pory. Mają też artylerię i te swoje cholerne „karabiny maszynowe”. Jeśli damy im dość czasu, by użyli ciężkiej broni, to dostaniemy po dupie. Pamiętasz przecież, co się stało z twoimi czerwonymi przy portalu na bagnach.

–Dokładnie o tym teraz myślę, tysięczniku – odparł Myr. – Jeśli uderzymy wystarczająco szybko i odpowiednio ich zaskoczymy, powinno się nam udać, wskoczyć im na karki i wyłączyć tę cięższą broń zanim oni się połapią, co się dzieje. Nie mieliby w takim wypadku szansy, by użyć tej broni i szczerze mówiąc, ta wizja podoba mi się o wiele bardziej, niż jej alternatywa.

–Owszem, tylko żeby to się powiodło, trzeba ich trafiać. I to dokładnie – zauważył Toralk. – A żeby smoki mogły trafić w cokolwiek, muszą to wcześniej widzieć.

Myr zaczął otwierać usta, ale Toralk pokręcił głową.

–Powtarzam, rozumiem twoje zastrzeżenia Cerlohs. Ale spójrz na to inaczej. O ile wiemy, im nadal nie udało się przekazać ostrzeżenia. A dzięki tym zdobyczym mapom nie musieliśmy wysyłać lotu zwiadowczego, bo i tak znamy teren. Nie ma, więc najmniejszej szansy na to, że oni wiedzą o naszym pochodzie.

Przez chwilę, Myr patrzył na dowódcę tak, jakby i z tym chciał dyskutować. Potem jednak skrzywił się i sam pokręcił głową. Nie wysyłali gryfów do Traisum, ale jeden, lecący na dużej wysokości gryf został wysłany nad to, co Sharonianie nazywali „torami kolejowymi”, około trzysta mil w górę łańcucha od ruin Fortu Mosanik. Co

prawda, specjaliści wywiadu nadal jeszcze pracowali nad właściwą interpretacją wydobytych z kryształu obrazów, ale sam fakt, że robotnicy nadal tam byli i nadal pracowali przy użyciu tych wielkich, skomplikowanych, dziwacznych maszyn, dowodził jednoznacznie, że obecność Arkanian w Forcie Mosanik wciąż nie została odkryta.

–Skoro, zatem oni nie mają pojęcia, że ich zaatakujemy i ponieważ nie znają smoków ani gryfów, tak jak nie znali ich

Sharonianie, z którymi walczyliśmy wcześniej, to i tak pozostanie nam w rękach sporo elementów, które można by nazwać sprzyjającymi zaskoczeniu – ciągnął Toralk. – Może nawet zauważą was na kilka sekund, albo nawet minut przed atakiem, ale co im właściwie z tego przyjdzie? Przecież jeszcze nie wiedzą, że trwa wojna, więc nie są w stanie podwyższonej gotowości bojowej. Zanim zdołają zmontować jakiś poważniejszy opór upłynie sporo czasu. Naprawdę uważasz, że uda im się wyciągnąć ciężką broń z ukrycia, przygotować ją i wprowadzić do akcji zanim dwa czy trzy razy przeleciecie nad nimi żółtymi?

Myr pokręcił głową. Toralk parsknął niewesołym śmiechem.

–Ja też uważam, że tak się nie stanie. Ale – powtarzam – żeby te dwa czy trzy naloty odniosły zamierzony skutek, musicie celować! Celować przy świetle. Bo jeśli chybiecie za pierwszym razem, to przy kolejnym przejściu natkniecie się na o wiele silniejszy ogień, a przecież oni mogą wyrzucić sporą krzywdę nawet tymi swoimi podstawowymi karabinami.

–W porządku, tysięczniku – Myr uśmiechnął się zbójcko. – Punkt dla pana. Choć chciałem przypomnieć, że sprawę godziny ataku podnieśli moi ludzie. Ale myślę, że trzeba to złożyć na karb nocnych koszmarów.

–Nie myśl, że tylko wy je miewacie – powiedział oschle Toralk. – Szczerze powiedziawszy, będę o wiele szczęśliwszy, gdy już będziemy w stanie się gdzieś okopać i przejść do defensywy, zamiast ciągle iść naprzód w nieznaną, jak dotąd. Wiem, że takie słowa nie powinny paść z ust dzielnego i bitnego oficera Sił Powietrznych, zwłaszcza nie w sytuacji, gdy może go podsłuchać jakiś piechociarz. Ale, wiesz co, Myr? Tak daleko od domu, na samej szpicy, zaczynam się po prostu czuć trochę samotny.

Rozdział 9

Kapitan Silkash usilnie starał się ukryć swój niepokój. Dwóch arkaniańskich strażników o zaciętych obliczach, prowadziło go przez dziedziniec Fortu Ghartoun. Oczy chirurga omiatały szybkimi ruchami otoczenie, oficer starał się zapamiętać wszystko, co tylko się da i przeanalizować umysłem, który w tej chwili był równie

zajęty, co wzrok.

Arkanianie przerobili stajnię na prowizoryczne więzienie, w którym umieścili większą część, pojmanych przez siebie jeńców. Mimo ciężkich strat, jakie spowodował atak orłolwów, do niewoli dostało się ponad czterystu ludzi i wyszukanie dla nich odpowiedniego miejsca nie było wcale łatwym zadaniem. W normalnych warunkach, Silkash nie uznałby stajni za szczególnie dobre więzienie, ale Arkanianie byli na taką ewentualność świetnie przygotowani. Chirurg nadal nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób działają „czary”, którymi posługiwali się obcy, ale lśniąca sieć, która została rozpięta dokoła budynku wyglądała na niepokojąco skuteczną. Jej lśnienie widać było nawet w dziennym świetle. Ponadto, Arkanianie otoczyli stajnię swoimi połyskującymi rurami – miotaczami ognistych kul, milcząco ostrzegającymi teraz wszystkich Sharonian, by nawet nie myśleli o próbie przedarcia się przez gęste, świecące ogrodzenie.

Jednak pojmanych oficerów nie przetrzymywano ze zwykłymi szeregowymi i podoficerami. Silkash pomyślał chmurnie, że dzięki temu mieli nieoczekiwaną okazję doświadczenia na własnej skórze gościnności Fortu Ghartoun z tej samej perspektywy, co ich niedawni „goście”. Jedyną różnicą było to, że Sharonianie cierpieli o wiele większy ścisk niż ich arkaniańscy jeńcy.

Oczywiście ich doświadczenia różniły się znacznie od tego, co przechodzili obcy. Oczy oficera pociemniały.

W medyku tliła się wściekłość. Płonęła powoli, niczym dymiąca lawa. Nie było okazji, by ktokolwiek mógł złożyć jemu albo regimentarzowi Velveligowi formalny raport, ale zdarzyło się kilka sytuacji, w których oficerowie nawiązali kontakt z resztą jeńców. Wiedzieli, więc, co stało się z chan Tergisem i to także, że Głos nie był jedynym Sharonianinem, który został z zimną krwią zamordowany już po złożeniu broni. Takie traktowanie ludzi Velveliga, zwłaszcza po tym, jak on sam usilnie nalegał na okazywanie obcym jeńcom szacunku i nie naruszanie ich godności, przepełniło Arpathianina rozgrzanym do białości gniewem. Mimo całej samokontroli, jaką wykazywał się przy tym regimentarz, Silkash wyczuwał ten gniew bardzo wyraźnie.

A potem, równie nagle jak się zaczęło, brutalne traktowanie się skończyło. Nie wygasło powoli. Po prostu urwało się, tak jak zatrzymałaby się pozbawiona pary lokomotywa. Silkash miał nadzieję, że oznaczało to, iż te dzikie sposoby obchodzenia się z jeńcami nigdy nie zostały autoryzowane przez wyższą kadrę oficerską obcych i kiedy góra się o tym dowiedziała, rozkazała natychmiast zaprzestać oburzających praktyk. Pewności, czy tak było w istocie jednak nie miał.

Tymczasem, wydawało się jasne, że większa część sił najeźdźców ruszyła już dalej. Silkash zdawał sobie sprawę, że oznaczało to niemal na pewno, że do tej chwili, zdołali już zaatakować Fort Mosanik. Nadal jeszcze wydawało się to niemożliwe, ale

skoro w tak krótkim czasie zdołali dostać się z Wrót Piekieł do Fortu Ghartoun...

Nagle szturchnięcie wyrwało go nagle z zamyślenia. Strażnicy popchnęli go w górę, po stopniach wiodących na werandę kwater oficerskich. Nie zachowywali się przy tym szczególnie delikatnie. Co gorsza, niewygodnie mu się szło z kajdankami, którymi skuto mu ręce na plecach. Przez chwilę zaczął się zastanawiać, czy nie powinien w jakiś sposób zaprotestować, lecz doszedł do wniosku, że nie byłby to najmądrzejszy postępek.

Arkanianie wepchnęli go do budynku i poprowadzili krótkim korytarzem do pomieszczenia, w którym przed atakiem znajdował się gabinet Velveliga. Otworzyli drzwi i popchnęli go naprzód. Usta Silkasha drgnęły i zacisnęły się odruchowo. Oficer zobaczył siedzącego za biurkiem komendanta, Hadrigna Thalmayra.

Obaj strażnicy cofnęli się, zostawiając Silkasha stojącego samotnie przed nowym dowódcą fortu. Thalmayr znacząco zignorował obecność jeńca i nie podniósł wzroku znad jednego z tych wszechobecnych kryształów, które obcy zdawali się zabierać ze sobą wszędzie. W głębi tego konkretnego kamienia, jakby zawieszony w powietrzu, lśniły słowa i litery obcego alfabetu. Silkash zastanowił się, co takiego czyta Thalmayr chcąc tak obcesowo podkreślić jak bardzo nieistotna jest osoba jeńca.

„Pewnie czyta listę zakupów” – pomyślał z goryczą chirurg. – „Przecież jest za głupi, żeby zdobyć się na jakąś poważniejszą lekturę.”

Wiedział, że w tej sytuacji ironia jest tylko kolejnym mechanizmem obronnym, jedyną tarczą, którą mógł się obronić przed poczuciem niepewności i majaczącym mu coraz wyraźniej w głębi duszy strachem. Ku swemu zaskoczeniu jednak, poczuł się o niebo lepiej.

Stał tak przez kilka minut. Potem drzwi znów się otworzyły i Silkash poczuł jak ściskają mu się mięśnie brzucha. Kolejnym wepchniętym do gabinetu okazał się młodszy kapitan Tobis Makree. Tym razem strażnicy już nie wyszli, tylko stanęli pod ścianą, za plecami więźniów. Silkash z ponurym przeczuciem odnotował wiszące u boku Arkanian ciężkie pałki.

Thalmayr kazał dwójce Sharonian czekać jeszcze przez kolejne pięć minut. Potem, wreszcie spojrzął na nich znad kryształu. Odchylił się w krześle Velveliga i uśmiechnął. Zimno i paskudnie.

–Proszę, proszę – powiedział po chwili. A w każdym razie to właśnie powiedział stojący na jego biurku, tłumaczący kryształ. Silkash, którego zdejmował coraz większy niepokój, pomyślał, że to, że obcy wreszcie poczuł ochotę się do nich odezwać nie był niczym szczególnie pocieszającym.

–A więc wreszcie jesteśmy w komplecie – dodał po kilku chwilach Thalmayr. – Nie

mogłem się tego poranka doczekać. Domyślcie się może, z jakiego powodu?

Nie odpowiedział mu żaden z Sharonian. Uśmiech Thalmayra stał się jeszcze bardziej zimny niż dotąd. Po chwili, skinął brodą strażnikom i Silkash odruchowo krzyknął, gdy ciężka pałka uderzyła go w nerki. Potworny ból rzucił oficera na kolana.

–Zadałem wam pytanie – powiedział Thalmayr. – Czy wiecie, dlaczego tak bardzo czekałem na dzisiejszy ranek?

Silkash podniósł oczy przyćmione mgłą cierpienia i jęknął głucho, gdy ciężki but wbił się w jego żebra. Upadł i spróbował zwinąć się, w dający, choć trochę ochrony miękkim narządom kabłąk. But uderzał go raz po raz. I jeszcze raz.

–Nie! – doleciał go krzyk Makree. – Nie wiemy, dlaczego!

–Doprawdy? – rozbawienie w głosie Thalmayra było paskudne i pobrzmiwało dziwnym głodem. Niemniej twarde, wojskowe buciory strażnika przestały kopać i deptać Silkasha. – To zdumiewające – ciągnął Arkanianin. – Wy dwaj, tacy pełni sumienia, „uzdrowiciele”. Tak przejęci moim zdrowiem, tak rozpaczliwie walczący o moje życie, o wyleczenie moich obrażeń. Nie wierzę, że tacy pełni współczucia, wrażliwi mężczyźni nie wiedzą, dlaczego przez cały dzisiejszy ranek nie mogłem się doczekać naszego spotkania.

Głos Thalmayra zdawał się dochodzić z wielkiej odległości. Silkash zmuszał się potwornym wysiłkiem woli, by nie załkać, czując zalewające go kolejne fale bólu.

–No cóż – powiedział Thalmayr i wstał przy wtórze skrzypienia trącego o podłogę krzesła. Przeciągnął się powoli, by tym gestem podkreślić, swoją świeżo odzyskaną zdolność poruszania się, a odpowiedź jest w zasadzie dość prosta. Choć ja nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, wy panowie, zrobiliście dla mnie, co tylko w waszej mocy. Czuję się naprawdę zażenowany, że wtedy tego nie rozumiałem. Na szczęście już mi to wszystko wyjaśniono i zapewniam was, że jestem wam bardzo wdzięczny. Tak wdzięczny, że nie zdołają tego wyrazić żadne słowa.

Arkanianin spoglądał na nich nieładnym spojrzeniem i powolnym ruchem naciągnął na dłonie parę skórzanych rękawiczek.

–Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym okazać panom, jak bardzo jestem wobec nich zobowiązany – ciągnął wygładzając skórę rozciągniętą na nadgarstkach. – Niestety, nawet z pomocą mojego kryształu nie udałoby mi się tego wszystkiego wyrazić werbalnie. Pomyślałem więc, że najlepiej będzie – wyciągnął rękę i jeden ze strażników podał mu pałkę – jeśli wam to pokażę.

Palce setnika Geyrsofa, spoczywały pewnie w zagłębieniach sterowniczych Szarej

Chmury. Smok prowadził 3012. Napad na drugą stronę portalu.

Żółty smok leciał naprzód popychany mocnymi, zdecydowanymi uderzeniami skrzydeł. Dzielił ze swym pilotem ochotę do walki. Geyrsof leżał wyciągnięty w kokpicie i przyglądał się obrazom wyświetlanym na szybcie hełmu. Przed nimi, na wschodnim niebie widać było światła zbliżającego się świtu. Płożące się na ziemi cienie, były jednak nadal na tyle gęste, by setnik wciąż czuł lekkie zdenerwowanie. Otaczające ich góry nie były może szczególnie wysokie w porównaniu z innymi, potężniejszymi łańcuchami, jakie Geyrsof oglądał w życiu, ale był pod ogromnym wrażeniem – niemal w zachwycie – rozmiarów klifów, nad którymi smok musiał się wzbić po to, by się tu znaleźć. A poza tym, mimo, że w multiwersum zdarzały się wyższe góry to i tak te tutaj były wystarczająco twarde, by mógł zabić się o nie każdy smok, nieostrożny na tyle, by z jedną z nich się zderzyć.

„Sztabowcy mieli rację, każąc nam czekać z atakiem do świtu” – pomyślał nie przestając się skupiać na stromych, nagich, słabo widocznych zboczach gór, mknących po obu stronach skrzydeł Szarej Chmury. – „Może i udałoby się to zrobić po ciemku... ale wtedy bardzo by mi się to nie podobało.”

Gdzieś z tyłu głowy wypłynęło mu potoczne powiedzonko o tym, że „prawdziwych pilotów już nie ma.” Po chwili, poczuł jak spina się w sobie. Wykonał ostatni zakręt i rozpoczęli właściwe podejście do celu.

– „Tam są!” – Geyrsof zmrużył skryte za osłoną oczy. Przed sobą zobaczył fort. Dokładnie w miejscu, w którym powinien znajdować się według map. Spojrzał oczami smoka, drgnął celownik. Jednocześnie zaczął się wznosić na odległość umożliwiającą otwarcie ognia bezpośrednio na dziedziniec fortu. Ale wtedy zauważył kątem oka coś dziwnego. Spojrzał w cień tuż pod murami fortu.

„Co to jest? Tego tam nie powinno być... Cokolwiek to jest, to...”

Nadal jeszcze wpatrywał się wzrokiem Szarej Chmury w cienie i starał się domyślić, czym były te ledwie widoczne kształty i blizny na ziemi, gdy dwa towarzyszące mu żółte smoki w eskorcie czerwonych wpadły w ostatni fragment prowadzącej do celu doliny...i wtedy, okopane po obu jej stronach, tuż pod szczytem, karabiny maszynowe Faraika II otworzyły ogień.

Janaki chan Calirath stał z Taleeną na ramieniu na podwyższonym stanowisku działa, pomiędzy wieżyczkami strzegącymi bramy. Stał tak od dwóch godzin. W niemal zupełnym bezruchu, patrząc spokojnie na zachód. Obok niego, tak samo cicho i nieruchomo stał Rof chan Skrithik z Błyskaczem Fortu Salby – starszym zbrojnym Orekiem Isią – przy boku.

Regimentarz czuł się... niezręcznie. Pomyślał po chwili, że „niezręcznie” to jednak

żałośnie słabe słowo do opisania targających nim w tej chwili emocji. Częścią siebie rozpaczliwie żałował, że nie postawił sprawy jasno i nie odesłał stanowczo Janakiego na tyły. Z drugiej jednak strony – tą częścią siebie, na której spoczywała troska o tysiąc dwustu cywilów, w tym i jego żonę – szalenie się cieszył, że księżę został, wraz ze swoim Talentem, w forcie. Jeszcze innym fragmentem umysłu zastanawiał się, czy Janaki opuściłby Salby, nawet po otrzymaniu bezwzględnego rozkazu.

„Bo niby komu byś rozkazał przymusić księcia do odejścia, gdyby odmówił wykonania rozkazu Rof?” – spytał sam siebie i rzucił spojrzenie na żołnierza, trzymającego się z szacunkiem za plecami oficerów. Zbrojny chan Braikal wyglądał na mocno niezadowolonego, ale chan Skrithik nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo by piechur posłuchał, gdyby musiał wybierać między regimentarzem, a księciem koronnym Ternathii.

Poza tym, skoro już o tym mowa, Rof chan Skrithik sam był przecież Ternathianinem. Wiedział, jak bardzo cenne jest życie Janakiego. Ale przypomniał sobie też motto, jakim kierowali się Calirathowie... cytat przypisywany cesarzowi Halianowi, którym ponad tysiąc pięćset lat temu odrzucił wszelkie argumenty, którymi przekonywano go do porzucenia bolakińskich sojuszników na pastwę nadciągającego wroga.

–Cesarza można wykształcić w dwadzieścia lat – powiedział wtedy Halian. – Ale stworzenie imperium, któremu zaufa cały świat, zajmuje dwadzieścia stuleci.

Janaki chan Calirath dobrze sobie przyswoił znaczenie słów, które jego przodek wypowiedział tyle stuleci temu. Tak przynajmniej pomyślał chan Skrithik. – Co to? – spytał w pewnej chwili chan

Braikal. – Tam, nad południowym grzbietem?

Chan Skrithik nie widział tego, o czym mówił żołnierz. Odpowiedział mu jednak Janaki. Księżę nawet nie obrócił głowy. Nie musiał. Tak samo, jak chan Skrithik nie musiał spoglądać w szare oczy Janakiego, by wiedzieć, że pojawiły się w nich cienie.

–Zaczęło się, zbrojny – powiedział cicho księżę koronny.

–Nadal uważasz, że to głupie miejsce na karabin maszynowy?! – krzyknął Paras chan Barsak prosto w ucho Kardana Veraisa.

–Kurwa, nie! – odpowiedział równie głośnym okrzykiem Veraisa. Musieli krzyzczeć, choć ich głowy były od siebie oddalone może o stopę. Mimo tej bliskości i tak z trudem słyszeli się nawzajem. Kakofoniczny ryk czterech karabinów maszynowych kaliber.54, stanowczo utrudniał wszelkie próby konwersacji. Ciężkie Faraiki nie mogły, co prawda wytrzymać bez przegrzania, zbyt długiego strzelania z maksymalnym napięciem, ale też wcale nie musiały.

Każde z czterech stanowisk karabinów, rozmieszczonych po obu stronach doliny, zasypało potworne, nadlatujące w kierunku fortu bestie seriami, na które złożyło się, co najmniej po dwieście pocisków. Żaden z ich celów nawet nie spróbował wykonywać uników.

Cerlohs Myr zdjęty najwyższym przerażeniem patrzył jak oba z pozostałych mu żółtych smoków wpadają prosto pod zmasowany ogień sharoniańskiej broni, której przecież nie powinno tam być. Geyrsorf i jego skrzydłowy skupili się na wyznaczonych sobie celach, a nie na wypatrywaniu karabinów maszynowych rozmieszczonych na szczytach gór, co najmniej półtorej mili przed celem. Celem, który przecież nie miał prawa wiedzieć o ich natarciu. Myr nie miał pojęcia skąd się tam wzięły te karabiny. Co gorsza, nawet i teraz ledwie potrafił je dostrzec! Jaskrawe płomienie, wypluwane z ich luf rozświetlały cienie dokoła ich pozycji niczym błyskawice, ale same stanowiska były okopane tak solidnie, chronione tyłoma workami z piaskiem i pokryte tak pokaźną warstwą ziemi, że poza ogniem, którym zalewały okolicę karabiny, nie widział zupełnie nic. Oczywiście wyraźnie za to widział skutki ich ognia.

Szara Chmura i Zguba z Nieba zachwiały się w locie. Ostrzał nie dochodził spod spodu, gdzie pociski uderzałyby w najgrubsze na ich ciałach łuski. Potężne kule łatwo przebijały smocze boki, niczym rozżarzone do białości sztylety. Jedno ze zwierząt – Myr nie miał pojęcia, które – zdołało jeszcze wydać z siebie przepojony śmiertelnym cierpieniem ryk, po czym oba runęły ku ziemi. Spadły z nieba i zmieniły się w krwawą, potrzaskaną masę, która odbijając się od skał, staczając po zboczach, opadła bezwładnie na dno doliny. Zestrzelone smoki przypominały zepsute zabawki. Ich poszarpane, rozpaczliwie łopocące skrzydła furkotały słabo, jak żalosne, podarte sztandary.

Piloci lecących tuż za nimi czerwonych smoków nie zdążyli nawet zareagować i ich bestie spotkał ten sam los. Pozostałe, biorące udział w nalocie smoki, zareagowały instynktownie, wzbijając się do stromej ucieczki w niebo. Zabójczy ogień z, boków jednak nie ustał, uniósł się za zwierzętami i zanim smoki znalazły się w bezpiecznej odległości, na skały spadł jeszcze jeden z czerwonych i jeden czarny. Kiedy Skrzydlaty Miecz, jego własny smok, także skoczył ku górze, Myr obejrzał się i zobaczył ciała siedmiu – siedmiu! drogocennych smoków i ich pilotów, rozrzuconych w groteskowych pozycjach na skalistym podłożu doliny. Okrzyki radości wprost ogłuszały.

Rof chan Skrithik, po chwili stwierdził, że sam także krzyczy, łącząc swój głos z tryumfalnym rykiem własnych żołnierzy.

Zdawał sobie przy tym sprawę, że wrzeszczą tak głośno, także dlatego, że widzieli jak wielkie są te uskrzydłone koszmary, na których atakowali Arkanianie. Nie cieszył się tylko Janaki.

Książę koronny sięgnął ręką do tyłu i chwycił chan Skrithika za kłapy jego munduru. Zaskoczony regimentarz otworzył szeroko oczy. Zdziwiła go siła chwytu Janakiego, jak i to, że dziedzic korony dosłownie szarpnął nim ku sobie. Już chciał coś powiedzieć, ale wtedy książę obrócił się, spojrzął na niego i chan Skrithik zamknął usta na powrót.

Regimentarzowi już wcześniej zdawało się myśleć, że szare oczy arystokraty nawiedzane są przez duchy. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

Oczy Janakiego były wielkie, jego źrenice rozszerzyły się zanadto, by mógł być to skutek coraz jaśniejszego światła poranka. Nie patrzyły na nic, co pochodziłoby z tego świata. Nie wydawało się, by książę patrzył gdzieś obok, i chan Skrithik odniósł nieprzyjemne wrażenie, że Janaki nie patrzy także na niego – książę spoglądał na wskroś regimentarza.

–Tak łatwo to oni nie zrezygnują – oznajmił książę koronny Ternathii wyraźnym, choć dobiegającym jakby z wielkiej odległości głosem Caliratha w stanie anamnezy. – Wrócą tu. I to niedługo – wskazał prosto nad siebie. – Tam.

Chan Skrithik skinął głową i popatrzył na starszego zbrojnego Isię.

–Obserwować niebo – rzucił szorstko. – Pierwszy stopień gotowości! – Tak jest!

Isia zasalutował ostrym, zdecydowanym ruchem, po czym zamknął oczy i jeden z małych, stojących na murze zasobników, z uprzednio rozpisanymi rozkazami, zniknął. Potem rozplynął się kolejny.

Niemal jednocześnie, zasobniki zaczęły się materializować w miejscach przeznaczenia. Kapitan Mesaion rzucił okiem na swój egzemplarz i zaczął wykrzykiwać odpowiednie rozkazy.

Cerlohs Myr, nadal nie wierząc w to, co stało się przed chwilą, zaczął liczyć pozostałych przy życiu. Smoki, które wyszły cało z ostrzału krążyły w powietrzu, spory kawałek drogi na zachód, daleko od plujących morderczym ogniem karabinów maszynowych.

Po przeprowadzeniu odpowiednich przesunięć i dokonaniu lekkiej reorganizacji, która miała zaleczyć rany powstałe w poprzednich bitwach, 3012.

Napad ruszył dziś do boju w składzie jedenastu smoków. Teraz, zostało ich jedynie cztery... a co gorsza padły oba, jakże cenne żółte. Dosłownie rozerwane na strzępy.

Leżał w swoim kokpicie i starał się myśleć tak rzeczowo i jasno, jak tylko potrafił, pomimo ciężkiego szoku i targających nim spazmów wściekłości. Strata siedmiu – siedmiu! – smoków bojowych i to jeszcze zanim którykolwiek z nich zdołał oddać

choć jeden strzał, była czymś gorszym niż tylko katastrofa. Stracili przecież niemal połowę całej swej siły bojowej... i jedną trzecią wszystkich zwierząt szturmowych, którymi siły ekspedycyjne dysponowały w tym łańcuchu.

O długoterminowych skutkach tak poważnej klęski – zwłaszcza o tym, co oznaczała w świetle całkowitej, dostępnej

Siłom Powietrznym, liczby smoków – z premedytacją nie chciał nawet myśleć. Jeszcze nie teraz. Na to zawsze znajdzie się czas później, a ponadto wcale mu się do tego nie paliło.

Jednak o bardziej bezpośrednich skutkach tej porażki musiał myśleć już teraz. Cały plan ataku opierał się na założeniu, że w jak najkrótszym czasie skoncentrują na Forcie Salby, jak największą możliwą siłę ognia. Pierwsze miały oddać swoją salwę żółte. Powinny one pokryć ewentualnych obrońców, przebywających na zewnątrz budynków, zabójczym całunem trującego gazu. Gdyby im z jakiegoś powodu się to nie powiodło, do akcji miały wkroczyć eskortujące je smoki czerwone, które zarzuciłyby dziedziniec fortu ognistymi kulami, a żółte spokojnie mogłyby wtedy zawrócić i ponowić atak.

Teraz, kiedy najslabsza jednostka – 5001. Napad setnika Heliki został oddelegowany do wsparcia marszu tysięcznika Carthosa przez poboczny łańcuch wszechświatów, Myr miał do dyspozycji tylko cztery zszokowane smoki z 3012. Napadu Geyrsofa – wszystkie czarne – oraz sześć smoków czerwonych i dalsze cztery czarne, z dowodzonego przez Dowodzącego Setką Sahlisa Desmara Napadu 2029.

Część jego umysłu usilnie namawiała go do przerwania ataku i wycofania się. Słyszał w głowie, że straty, które poniósł, już w tej chwili były zbyt poważne, by można je było usprawiedliwić zdobyciem kolejnego, sharoniańskiego fortu. Tyle, że to nie był jeszcze jeden, zwyczajny, fort obcych. Tu walczyli o zdobycie doskonałej pozycji do rozpoczęcia defensywnej fazy całej swojej operacji. Takiego właśnie miejsca szukał dwutysięcznik Harshu, od kiedy Siły Ekspedycyjne rozpoczęły swoją kampanię. Poza tym – Myr chciał zemsty.

Nie miał pojęcia, dlaczego obcy umieścili karabiny maszynowe w tak nieprawdopodobnym miejscu. Przeprowadzone przez wywiad testy zdobyczej broni, pozwoliły im ustalić przybliżony zasięg ciężkiej broni automatycznej obcych. Stąd Myr wiedział, że karabiny miały w swoim zasięgu linię kolejową i drogę, łączącą portal z fortem i przyległym doń miasteczkiem. Jasne też było, że biorąc pod uwagę pierwszy, wrogi kontakt Arkanian z Sharonianami, zabezpieczenie podejścia do Salby od strony Wrót Piekieł także nie było pociągnięciem pozbawionym pewnej logiki. Z drugiej strony jednak, Myr zdawał sobie sprawę, jak ciężkie były tego rodzaju karabiny i rozumiał jak poważnym problemem logistycznym – a w zasadzie potworną upierdliwością – musiało być wciągnięcie ich na górę i późniejsze zapewnienie im

stałych dostaw amunicji i obsługi.

„Te cholerne wzniesienia dają im panowanie nad całą okolicą” – pomyślał rozgoryczony Myr. – „Ale dlaczego akurat tu, a nie gdzie indziej?”

Do głowy przyszła mu jeszcze jedna ewentualność, ale ta była wprost śmieszna. Gdyby obcy mieli choćby blade pojęcie o tym, że najeźdźcy z Arkany są tak blisko Traisum, to na pewno nie zostawiliby wszystkich tych robotników i ciężkiego sprzętu, praktycznie na progu Fortu Mosanik. Zresztą, nawet gdyby wiedzieli, to czy zdołaliby rozmieścić swoją broń tak perfekcyjnie? Mając do wyboru tyle możliwych dróg, którymi mogły nadlecieć smoki, to czy wybraliby akurat tę?

„Nie, to niemożliwe!” – pokręcił skrytą w hełmie głową. – „Bez względu na to, jak do tego doszło, tym draniom musiało się po prostu poszczęścić” – zacisnął ponuro usta. – „No cóż, jak dotąd wszystko szło jak po maśle. Więc, chyba rzeczywiście już czas na jakiś poważniejszy problem. Ale nie pozwolę, żeby tym bydlakom uszło na sucho masakrowanie moich smoków i ludzi! Nie w ten sposób!”

Za pomocą przechowywanego w kryształce hełmu zaklęcia wystrzelił dwie flary – białą i bursztynową. Jeden z ocalałych czarnych smoków Geyrsofa posłusznie wzbił się i wyrównał swój lot z jego. Pilot spojrzał na dowódcę i Myr kilkoma znakami, jakimi posługiwali się lotnicy, nakazał mu wracać i zdać raport tysięcznikowi Toralkowi i dwutysięcznikowi Harshu. Podwładny skinął głową i jego smok pochylił się na skrzydło. Myr popatrzył przez chwilę za odlatującym, po czym, z ponurą miną, zajął się czekającym go zadaniem. Toralk i Harshu bez wątpienia będą mieli własne zdanie na temat tego fiaska i Myrowi wcale nie spieszyło się, żeby z nimi o tym rozmawiać. Ale zanim jego przełożeni będą mogli podzielić się z nim wrażeniami, z jego najnowszych dokonań, musiał zamienić ten fort w dymiące ruiny.

Tyle przynajmniej był Cerlohs Myr winien Pierwszemu Tymczasowemu Kłui i Napadowi numer 3012.

Kapitan Mesaion trwał w napięciu na swoich pozycjach. Nie odrywał lornetki od oczu. Przez cały czas obserwował wczesnoporanne niebo nad Fortem Salby.

Obok niego stał zbrojny Wesiar chan Forcal, ale w odróżnieniu od Mesaiona, chan Forcal chronił się pod najgrubszą z dostępnych osłon, jakimi tylko mogli go obdarzyć. Dach nad jego głową wykonany został z dwóch skrzyżowanych warstw podkładów kolejowych, wydatnie wzmocnionych jeszcze wykładziną z worków z piaskiem. Po zachodniej stronie jego osobistego bunkra, znajdował się mur fortu, a od północy chroniła go betonowo-skalista ściana jednej z wieżyczek strzegących bramy. Południową ścianę tworzyła ściana z worków z piaskiem, u podstawy gruba na cztery worki, u szczytu na dwa. Odslonięty był tylko od wschodu, ale tylko na tyle, by mógł komunikować się z Mesaionem.

Oczywiście istniał powód, dla którego zbrojny był chroniony z taką starannością, a jego przełożony stał praktycznie bez

żadnej osłony. Inaczej niż kapitan Mesaion, zbrojny chan Forcal nie potrzebował lornetki. Stał z zaciśniętymi oczyma i lekko pochyloną głową, w pozycji świadczącej o niezwykłym skupieniu. Był jednym z najcenniejszych sojuszników, o jakich mógł pomyśleć dowolny dowódca artylerii. Był wysoko wyspecjalizowanym, świetnie wyszkolonym Dalekowidzem.

–Nadlatują! – oznajmił zniecka. – Kołują ku północy i wzbijają się!

Mesaion obrócił się w tamtą stronę wraz ze swoją lornetką i zobaczył w oddali róż czarnych kropek, wznoszących się ciasnym korkociągiem, łopocących mocno skrzydłami. Z tej odległości, nawet mimo pomocy lornetki nie widział zbyt wielu szczegółów, ale też i nie musiał.

„Wybacz Wasza Wysokość, że choć przez chwilę wątpilem” – pomyślał artylerzysta i oderwał lornetkę od oczu.

–Nie wychylaj się Wesiar – powiedział. – Nie możemy pozwolić, żeby przytrafiło ci się coś złego, prawda?

Uśmiechnął się do Utalentowanego podwładnego i obrzucił spojrzeniem żołnierzy, stanowiących obsługę dział i karabinów maszynowych rozstawionych na murach fortu.

–No dobra, chłopaki! Księżę postarał się, żebyście siedzieli wygodnie na najlepszych miejscach do tego widowiska. I za jakąś minutę pokażcie tym draniom, jak bardzo jesteście mu wdzięczni.

Wargi setnika Myra odsunęły się ku górze w uśmiechu, gdy lot 2029. osiągnął wyznaczony pułap. Miał rację. Owszem, obcy zabezpieczyli swoimi karabinami maszynowymi tory kolejowe i lądowe drogi prowadzące do fortu, ale w tych nagich, całkowicie bezludnych górach nie mieli ani jednego. Teraz Arkanianie, na wysokości zabezpieczającej ich przed przekłętą bronią Sharonian, mknęli na swych smokach w kierunku celu.

Myr spojrział w dół oczyma Skrzydlatego Miecza, zobaczył fort, który przybyli tu spalić i skrzywił się.

„Nie trzeba było się spierać. Powinienem być jednak zgodzić się na wysłanie tych gryfów rozpoznawczych” – pomyślał z goryczą. – „Obcy najwyraźniej też nie uważają tego miejsca, za ‘jeszcze jeden, przeciętny, fort przy portalu’. Na murach jest chyba z tuzin tych cholernych karabinów!”

Gdy zdał sobie z tego sprawę, ścisnęły mu się mięśnia brzucha. Palce jednak nadal, niezmiennie, spokojnie i pewnie spoczywały w zagłębieniach sterowniczych. Tak, obcy dysponowali potężną siłą ognia i nikt nie zamierzał jej lekceważyć. Nie po tym, co stało się z lotem 3012. Tym razem jednak, Sharonianie nie mogli już strzelać w boki spokojnie lecących stałych kursem, nie spodziewających się niczego smoków. O nie. Ci obrońcy będą musieli strzelać prosto ku górze, w wyszczerzone pyski tuzina czterdziestotonowych smoków, lecących prosto na nich i plujących ogniem i błyskawicami.

„I ten rodzaj walki ze smokami, moi drodzy sharoniańscy przyjaciele” – pomyślał z dziką satysfakcją Myr – „może się wam wydać zupełnie odmiennym przeżyciem.”

Spokojnie – Mesaion mruknął do siebie, o wiele zbyt cicho, by mógł go usłyszeć którykolwiek z jego artylerzystów. – Spokojnie... spokooojnie... spokooooojnie...

Smoki znalazły się, w tej chwili niemal tuż nad ich głowami. Nie było wątpliwości, że wkrótce wejdą w lot nurkowy i przejdą do ataku.

Artylerzysta wykorzystał ten jeden moment, by rzucić spojrzeniem na podstawę jednego z ciężkich dział, przy której stali książę koronny Janaki i regimentarz chan Skrithik. Książę niestety nie patrzył w stronę kapitana. Szkoda. Mesaion chciałby móc przynajmniej skinąć mu głową, w oznace szacunku.

Ciężkie działo Yerthak zostało pierwotnie zaprojektowane jako działo morskie i jako takie służyło Sharonianom już od dziesięcioleci. Co więcej, zupełnie niedawno uznano je za sprzęt przestarzały i flota stopniowo wycofywała je z użycia. Dowódcy woleli posługiwać się lekką, bardziej szybkostrzelną bronią taką, jak na przykład montowana na okrętach, morska wersja działek artylerii polowej kalibru 3.4. Ciężkie pociski Yerthaków przestały się sprawdzać w realizacji swych podstawowych zadań. Niemniej jednak, nadal była to skuteczna broń, która z powodzeniem mogła przysłużyć się w prowadzeniu wielu innych rodzajów misji, przez co podjęta przez Cesarską Marynarkę Wojenną decyzja o wymianie uzbrojenia okrętów na nowsze modele, oznaczała między innymi i to, że wiele z ciężkich dział trafiło na wyposażenie SZZP.

Yerthaki pod wieloma względami przypominały Faraikę, z tym, że zamiast dwóch lub czterech luf umieszczonych w pojedynczej tulei, Yerthaki – w zależności od kalibru – dysponowały czterema lub sześcioma lufami, które obracały się dokoła własnej osi. Zamiast amunicji podawanej na pasie, pociski do dział Yerthak ładowało się za pomocą wielkich zasobników, przypominających nieco znacznie przerośnięte magazynki do karabinów maszynowych. Każda z luf strzelała w momencie, gdy osiągała najwyższy położony punkt obrotu. To ciężkie działo strzelało wolniej, niż lżejsze Faraiki i nie mogło wypluwać z siebie pocisków z maksymalną częstotliwością dłużej niż przez chwilę, ale to akurat Mesaionowi nie przeszkadzało. A to dlatego, że

w odróżnieniu od Faraiki, Yerthaki były prawdziwą bronią artyleryjską.

Zakłady Zbrojeniowe Yerthak, produkowały broń tego typu w kilku kalibrach. Najbardziej rozpowszechnione modele, miały kaliber jeden przecinek pięć cala i dwa przecinek pięć. Wersja dwuipółcalowa, której kilka egzemplarzy strzegło teraz murów Fortu Salby, dysponowała czterema lufami i dzięki wynalezionemu niedawno, bezdymnemu prochowi, strzelała pociskami z prędkością tysiąca sześciuset stóp na sekundę. W odróżnieniu od półtoracalowej wersji, te działa były w stanie strzelać nie tylko zwykłą amunicją, ale także kartaczami.

Projektowano je z myślą o prowadzeniu walki na krótkich dystansach. Zgodnie z zamierzeniami twórców, działa te miały zasypywać ulewą niewielkich eksplozji niezbyt duże kutry torpedowe. W związku z tym, nie przewidziano możliwości unoszenia ich luf pod szczególnie wysokim kątem. Jednakże, dzięki ostrzeżeniu otrzymanemu od Janakiego, dostępne obrońcom Salby Yerthaki rozmieszczone zostały szerokim pierścieniem i zamontowane na specjalnych podstawach, umożliwiającym obracanie lufy dokoła w promieniu pełnych trzystu sześćdziesięciu stopni. Co prawda, nijak nie wpływało to na rozwiązanie problemu z ograniczonymi możliwościami unoszenia lufy, ale inżynierowie z fortu popracowali trochę nad mechanicznymi ogranicznikami i umożliwili działom podnoszenie wylotów luf jeszcze o kilka dodatkowych cali w górę. W połączeniu z przemyślanym rozstawieniem, pozwalało to im objąć swoim zasięgiem dużo większy zakres przestrzeni, niż byłoby to możliwe w normalnych warunkach. Co więcej, Janaki z chan Skrithikiem wymyślili sposób, który pozwalał pokryć ogniem także wszelkie ewentualne luki pomiędzy polem ostrzału poszczególnych Yerthaków. Na mury Fortu Salby, trafiły bowiem również wszystkie Faraiki, które nie zostały wykorzystane do obsadzenia okolicznych szczytów i wzgórz. A lufy Faraik można było unosić bardzo wysoko.

I w tej chwili, obsługa wszystkich tych karabinów i dział, spoglądała przez wizjery swoich celowników, na zmierzający z nieba wprost ku nim, łańcuch potworów.

Myr wiedział, że ciśnięta przez czarnego smoka błyskawica uderzy w obrońców z o wiele mniejszą skutecznością niż uczyniłaby to wypluta z paszczy czerwonego, ognista kula. Niemniej, po poniesionych ostatnio stratach, potrzebował w tej bitwie każdego dostępnego smoka. Zresztą nawet, gdyby nie to, Myr był przecież, przede wszystkim pilotem. I nie mógł pozwolić, by kto inny, poleciał na czele tego ataku. Nie po tym, co spotkało 3012. Wyraźnie czuł determinację Skrzydlatego Miecza. Widział ją w sposobie, w jaki smok złożył skrzydła i runął jak strzała, prosto, niemal pionowo w dół. Mimo wszelkich, doznanych wcześniej porażek, mimo groźby, że zginie jeszcze więcej smoków, Cerlohs Myr nigdy wcześniej nie czuł tak intensywnie, że żyje. Nigdy przedtem nie czuł się tak pewnie, nigdy jeszcze nie był do tego stopnia przepełniony mocą, ani tak bardzo skupiony.

„To nie jest karabin maszynowy!” – pomyślał nagle. Nie miał jednak czasu na

rozwiązywanie nowej zagadki. Nie wiedział, czym „to” było, pewne było jedynie to, że ta nowa broń była większa i bardziej zwalista od karabinów. Co więcej Sharonianie zaczęli kierować jej lufę ku górze.

„Skoro jest większa, to prawdopodobnie jeszcze bardziej paskudna” – usłyszał wśród gonitwy własnych myśli i przesunął celownik z wytypowanego już wcześniej karabinu, na jedno ze stanowisk tej nieznannej broni. Ledwie starczyło mu czasu. Wskaźnik przestał migotać, gdy tylko najechał nim na nowy cel. Skrzydlaty Miecz znalazł się w zasięgu, z jakiego mógł zacząć atakować.

–Kershai! – zawołał Myr i gruba niczym ramię dorosłego mężczyzny błyskawica pomknęła z trzaskiem w dół. Ogromny słup elektrycznego wyładowania przeciął niebo. Kapitan

Mesaion skrzywił się i zmrużył oczy. Piorun był niemal oślepiająco jasny, nawet teraz, w pełnym świetle dnia, który zdążył już nastać nad Fortem Salby. Grzmot, który nastąpił chwilę potem, także okazał się prawie dosłownie ogłuszający.

Okazało się jednak, że ta nowa broń Arkanian nie jest w stanie razić naraz zbyt rozległego obszaru. W polu jej rażenia znajdował się, zakreślony wokół celu, okrąg o średnicy nie większej niż osiem do dziesięciu jardów. Wewnątrz tego koła jednak, broń była zabójczo wręcz skuteczna. Co gorsza, okazała się przy tym diabelsko celna. Błyskawica uderzyła precyzyjnie w jednego z Yerthaków Mesaiona. Obsługa działa nie miała nawet czasu, by zakrzyknąć, Piorun szarpnął ciałami artylerzystów, ich włosy i ubrania zaczęły dymić i właśnie wtedy eksplodowała rozgrzana amunicja w magazynku broni, rozrywając działo na strzępy.

Mesaion zarejestrował to wszystko kątem oka. Niemal, w tym samym momencie jego ludzie otworzyli ogień.

Myr zobaczył mknące ku górze pociski smugowe dokładnie w chwili, w której Skrzydlaty Miecz zaczął wychodzić ze swego szaleńczego lotu nurkowego. Wielki smok pochylił się na jedno skrzydło i pomknął w bok, zamieniając tym manewrem siłę nośną na moc skrętu. W tak trudnym terenie, tak blisko gór i na tak niewielkiej wysokości, przy tak znacznej prędkości była to zabawa niezwykle niebezpieczna, ale Miecz był doświadczonym weteranem. Myr poczuł ekstatyczny zachwyty i uniesienie. W jego

żyłach krążyła czysta adrenalina. Tak. To do tego – do tego właśnie – się urodził!

I wtedy, Skrzydlaty Miecz zadrgał i chrapliwie ryknął. Pęd powietrza zniósł go tuż nad jedno z dział. Na obracającej się wokół własnej osi lufie wykwitły płomienie, blask oświetlił oblicza i mundury wszystkich, znajdujących się w pobliżu ludzi, opatrzone odlanym z brązu płaszczem ładunki wyskoczyły w powietrze. Dwa z nich trafiły

prosto w smoka.

Wybuchowe pociski wbiły się w pokrywające brzuch bestii łuski, które nie zdołałyby powstrzymać nawet o wiele lżejszych kul z karabinów maszynowych. Dotarły głęboko i eksplodowały.

Cerlohs Myr i jego smok zderzyli się z dachem jednego z budynków miasteczka Salbyton przy prędkości niemal trzystu mil na godzinę.

Mesaion nigdy potem nie potrafił przypomnieć sobie wszystkich tych wydarzeń zbyt dokładnie. Następowaly po sobie zbyt szybko, jedno ścigało drugie w zbyt krótkich odstępach, by ludzki umysł był w stanie połapać się w rozpętanym dokoła fortu chaosie.

Karabiny maszynowe i ciężkie działa grzmiały i huczały opętańczo. Niebo nad Salby przesłaniały ogromne stworzenia, wielkie potwory, w które strzelcy miotali całą swą nienawiść opakowaną w powlekane miedzią pociski.

Arkaniańscy piloci, nigdy przedtem nie mieli do czynienia z czymś takim. Po raz pierwszy padli ofiarą zmasowanego ostrzału, ognia prowadzonego z dobrze przygotowanych, świetnie obsadzonych pozycji. Co gorsza, niewielki zasięg broni oddechowej ich smoków, zmuszał ich do wlatywania wprost pod lufy obrońców.

Z nieba ku ziemi mknęły kolejne błyskawice. Ognistych kul, które wymagały większego zbliżenia się do pozycji wroga, Arkanianom udało się jednak odpalić tylko kilka. Z tych kilku, dwie chybiły celu. Ziejące nimi smoki, sieczone ciężkim ogniem Sharonian nie były w stanie precyzyjnie celować. Zwierzęta ryczały głucho i umierały. Te kule, które spadły w obrębie fortu eksplodowały potężnie i jakimś, niewielkim zakątkiem umysłu Mesaion gorąco podziękował księciu Janakiemu za to, że z taką mocą nalegał na zapewnienie osłony mózdzierzom i haubicom także od góry. Właśnie teraz okazały się rzeczywiście niezwykle potrzebne. Równie skuteczne i potrzebne okazało się zadaszenie murów, na którego zbudowanie Janaki nalegał z równym zacięciem, czy wręcz fanatyzmem. Ogniste kule rozpryskiwały się wściekle i bił od nich niebyswały wprost żar. Nie potrafiły jednak przebijać swego celu, nie były w stanie spenetrować grubych warstw worków z piaskiem.

Zupełnie inaczej jednak miała się sprawa z artylerzystami walczącymi na odsłoniętych pozycjach.

W niecałe dwie, koszmarnie, wypełnione krzykiem i brutalną walką minuty, zginęło pięćdziesięciu trzech żołnierzy Lorvama Mesaiona. Kolejna osiemnastka odniosła obrażenia tak straszliwe, że śmierć byłaby dla nich błogosławieństwem. Dalszych siedemnastu wyłączyły z walki lżejsze rany. Zniszczone – lub poważnie uszkodzone – zostały cztery Yerthaki. Stracił też pięć Faraik. Dwa ciężkie mózdzierze zostały

zniszczone kompletnie wraz z amunicją, która eksplodowała serią głośnych wybuchów w – szczęśliwie jeszcze nie obsadzonym – stanowisku artyleryjskim.

Podczas jednak, gdy jedni żołnierze Mesaiona ginęli, pozostali jego ludzie stracili z nieba kolejne osiem smoków.

Jedna z ranionych śmiertelnie bestii uderzyła wprost w szczyt północno-zachodniej wieży. Wyglądało to tak, jakby z nieba runął, wykuty z łusek, krwi i kości, czterdziestotonowy młot. Siła zderzenia zmieniła załogę umieszczonego na wieży działa w bezkształtną masę. Blanki posypały się w dół deszczem zaprawy, kamieni i szarego pyłu. Smok znieruchomiał ostatecznie na ziemi, gdzie przez chwilę jeszcze drgał koniuszek jednego z jego skrzydeł. Pilot zawisł na szyi zwierzęcia zaplątany w skórzane pasy swej uprzęży – bezwładny, nieruchomy, pogruchootany. Kolejny ze smoków spadł na najbardziej wysunięty na południe fragment zachodniego muru. Ledwie tylko ominął narożną wieżyczkę, przy której mur skręcał z powrotem na wschód. Smocze cielsko strzaskało ochronną wiatę na murze. Wraz ze smokiem, który prześliznął się ponad murem i spadł na ziemię pomiędzy murem, a najbliższym stanowiskiem artylerii zginęło co najmniej trzydziestu kolejnych obrońców.

Z dziedzińca fortu buchnął ku niebu słup dymu. Co prawda, ranny smok minął południową wieżę, ale za chwilę i tak ogarnęło ją piekło płomieni. To inna z latających bestii trafiła umieszczonego tam Yerthaka ognistą kulą, na chwilę przedtem, zanim sama runęła martwa na skały. Wybuch ognistej kuli rozgrzała czekającą w pogotowiu amunicję działa i w wybuchu zginęło lub odniosło rany ponad dwudziestu Sharonian. Z ataku wyszły z życiem jedynie cztery smoki, z czego dwa leciały niepewnie, najwyraźniej ciężko ranne.

Rozdział 10

Mayrkos Harshu, z pozbawioną wyrazu twarzą, przyglądał się odtwarzanym przed własnymi oczami obrazom z kryształu rozpoznawczego, otrzymanego od Dowodzącego Pięćdziesięcioma Fahrlo. Klayrman Toralk bardzo żałował, że nie potrafi zmusić własnej miny do równego posłuszeństwa, co jego przełożony, ale dzisiaj to zadanie okazało się nieco ponad jego siły.

„Na Graholisa! Na co, do wszystkich piekieł, wpadł tam Myr!? I dlaczego, do jasnej cholery, zdecydował się na ponowienie ataku?!”

Sekwencja obrazów kończyła się w chwili, gdy Kieł Śmierci kołował na niebie, a dwa jego ranne smoki skrzydłowe lądowały szybko i niezgrabnie. Toralk nie dostał jeszcze raportu od odpowiedzialnych za życie zwierząt uzdrowicieli, ale byłby bardzo zaskoczony, gdyby okazało się, że ciężiej ranny z obu smoków ma szansę na przeżycie. Zresztą bez względu na to, oba poranione smoki i tak musiały po walce odpocząć i zostały na długi czas wyłączone z akcji.

„Z czego wynika, że zostały mi dokładnie trzy zwierzęta bojowe – i na domiar złego, same czarne” – pomyślał chmurnie.

–Dziękuję – Harshu zwrócił się niemal nieobecny głosem do Obdarzonego technika. Ten żołnierz wykazał się niezwykłą sprawnością. Bardzo szybko wydobyl z kryształu potrzebne obrazy. Niemniej i on, mimo zasłużonej pochwały dwutysięcznika, nie potrafił się z niej cieszyć. „Pewnie dlatego się nie cieszy, że nie jest skończonym idiotą, – przemknęło przez głowę Toralkowi.

Technik wkrótce wyszedł. Harshu i Toralk wymienili się spojrzeniami ponad stołem, na którym leżała rozłożona mapa sztabowa.

–Wychodzi na to – powiedział Harshu uśmiechając się słabo i niewesoło – że to, iż postanowiłem zatrzymać ofensywę tutaj, w Traisum, okazało się bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Toralk skrzywił się niezręcznie.

–Dwutysięczniku – zaczął – ja przepraszam za to... za to niepowodzenie. Jeżeli istnieje jakikolwiek sposób, w jaki mógłbym. Ja...

–Dosyć, Klayrman – przerwał mu Harshu. Oficer Sił Powietrznych zamknął usta a dowódca Sił Ekspedycyjnych pokręcił głową. – Widziałem plan ataku, który sporządziliście z pięćsetnikiem

Myrem. Sam oglądałem też dane wywiadu, w oparciu, o które plan ten powstał i to ja go przecież zatwierdziłem. Jeżeli ktokolwiek jest temu wszystkiemu w ogóle winien, to w równym stopniu, co ty, zawałem i ja.

Toralk już miał zaprotestować przeciwko ostatnim słowom swojego przełożonego, ale powstrzymał się jednak i sam również pokręcił głową.

–Dziękuję za pańską wyrozumiałość, dwutysięczniku – powiedział – niemniej bez względu, na kogo spada odpowiedzialność, mamy w tej chwili, poważny problem.

„Boże, Klayrman” – zakpił sam z siebie, jakąś częścią umysłu. – „Ależ ty masz ogromny talent do niedomówień.”

–Z praktycznego punktu widzenia – ciągnął – moje smoki nie dysponują już żadną siłą bojową. Broń czarnych smoków, jedynych, jakie mi zostały, jest w atakach tego rodzaju najmniej skuteczna ze wszystkich. I szczerze mówiąc, mimo całego tego dymu i wszystkich eksplozji, o jakich donosili w raportach nasi piloci, bardzo wątpię, żeby udało się nam zneutralizować siły obrońców fortu.

–Najprawdopodobniej nie – zgodził się Harshu. Dwutysięcznik opuścił wzrok na mapę, przedstawiającą okolice Fortu Salby i potarł w zamyśleniu brodę. Dłuższą chwilę milczał.

–No dobrze – odezwał się wreszcie. – Nie ma sensu stać tu i rozlewać łez nad stratami. Najważniejsze jest, żeby udało się nam przygotować resztę sił do przeprowadzenia kolejnego ataku.

Toralk popatrzył na przełożonego i z szacunkiem odchrząknął.

–Dwutysięczniku – powiedział nieśmiało – na ile rozumiałem nasze plany operacyjne, naszym nadrzędnym celem od początku było zajęcie wysuniętej pozycji obronnej, na której moglibyśmy się zatrzymać i gdzie, moglibyśmy powstrzymać ewentualny kontratak obcych. Dlatego właśnie ten konkretny portal wydawał się nam tak atrakcyjny. Ale drugi punkt planu stanowił, że jeżeli nie uda nam się takiego odpowiedniego miejsca zabezpieczyć, to powinniśmy przeprowadzić kontrolowany odwrót, spowalniając jednocześnie ewentualny kontratak wroga, w oczekiwaniu aż Dowództwo przyśle dla nas uzupełnienia.

–I uważasz, że skoro poniesiemy pod Fortem Salby ciężkie straty – jeszcze cięższe, dalsze straty – to nie będziemy mieć, czym się bronić podczas tego odwrotu – dokończył Harshu głosem, w którym pobrzmiwał godny podziwu spokój. Toralk skinął głową.

–Właśnie tego się obawiam, dwutysięczniku.

–No cóż, być może rzeczywiście się nie mylisz – odparł szczerze Harshu. – Ale z drugiej strony, teraz, po obejrzeniu tych obrazów od półsetnika Fahrlo, jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że zajęcie Fortu Salby byłoby niezwykle doniosłym sukcesem. Od ich strony, lądowe podejście do fortu jest jeszcze trudniejsze niż myśleliśmy, a dzięki samemu portalowi, nie ma możliwości – nie ma takiej praktycznej możliwości – by obcy zdołali nas tam oskrzydlić. Odwrót do portalu, moglibyśmy prowadzić przez cały czas walcząc, a dzięki smokom transportowym bylibyśmy w stanie szybko ewakuować cały garnizon. Nawet, w ostatniej chwili.

–Z tym nie mogę dyskutować, dwutysięczniku. Niemniej, jednocześnie poważną przeszkodą dla każdego, kto nie dysponuje możliwością lotu, byłby już sam klif. Wydaje mi się, że gdybym był Sharonianinem, to samo to wydawałoby mi się poważną przeszkodą. I chyba nie musimy specjalnie kontrolować lądowych podejść.

–Tego nie byłbym taki pewien – pokręcił głową Harshu. – Ja cały czas pamiętam, co obcy zrobili z setnikiem Thalmayrem przy portalu na bagnach. A wtedy, wykorzystywali jedynie broń, którą przynieśli ze sobą na ludzkich i zwierzęcych grzbietach. Tutaj dodatkowo dysponują tą swoją koleją, dzięki której będą w stanie podciągnąć broń naprawdę ciężką. A mając na uwadze sam tylko rozmiar niektórych maszyn, które zauważyliśmy w trakcie lotów rozpoznawczych, zaczynam się zastanawiać, jak mogą wyglądać ich wielkie działa. Być może zaprojektowali je z

równym rozmachem. I szczerze mówiąc, ta myśl przyprawia mnie o drżenie kolan.

Bez względu nawet – ciągnął – czy mają coś tak wielkiego, czy nie, jest raczej oczywiste, że już w tej chwili, trzymają w forcie kilka zabawek większych od tych, z jakimi mieliśmy do tej pory do czynienia. Na pewno dysponują też czymś, czego nie widzieliśmy dotąd w ogóle. Oznacza to także, że nie jesteśmy nijak w stanie stwierdzić, jak daleko zdolni są przenosić pociski przez portal. Chciałbym mieć, więc trochę więcej terenu, bufor, który pozwoliłby nam przynajmniej na jakiś szacunek co do ich możliwości, zanim zdecydujemy się bronić klifów. Co więcej, w tego rodzaju terenie, samo rozmieszczenie kilku umocnionych pozycji, zmusiłoby ich do zwolnienia, do czynienia wolniejszych postępów. Jeżeli udałoby się im przejść przez klify, nigdzie już nie miałbym takich udogodnień. A w każdym razie, nie aż tak dużych.

Wreszcie – dwutysięcznik mówił dalej – jak sam, dopiero co zauważyłeś, naszym prawdziwym celem w tej kampanii, jest zyskanie czasu, dzięki któremu Dowództwo będzie mogło przysłać tu armię z prawdziwego zdarzenia. Co więcej, jest jasne, że musimy odwołać Carthosa – a przynajmniej napad setnika Heliki – którymi to siłami wzmocnimy to, co zostało z twoich smoków. Ażeby to zrobić, to także potrzebujemy ugrać nieco czasu. I skoro tak, to moim zdaniem powinniśmy o ten czas grać na tak bardzo wysuniętych pozycjach, jak tylko się da. – Ale, dwutysięczniku...

–Zdaję sobie sprawę, że można przeciwko mojemu planowi wysunąć wiele argumentów, Klayrman – Harshu nie pozwolił mu dokończyć. – Niestety nie mamy teraz czasu, żeby je wszystkie dogłębnie rozważać. Na pewno nie w sytuacji, w której ich posiłki są tak blisko, jak się wydaje. A przez to jakąś decyzję muszę podjąć w tej chwili, i szczerze mówiąc, z tak uszczuploną, praktycznie nieistniejącą, siłą bojową w powietrzu, nasza zdolność do przeprowadzenia taktycznego odwrotu także została cholernie ograniczona. Nawet przy założeniu, że wesprą cię smoki Heliki. To wszystko stawia nas przed interesującym dylematem. Albo zaryzykujemy jeszcze poważniejsze straty w kolejnej – być może nieudanej – próbie zdobycia korzystnych pozycji defensywnych, które moglibyśmy utrzymać nawet nie mając żadnych smoków, albo unikamy dalszych strat i zgadzamy się jednocześnie z tym, że dużo ciężiej – także bez smoków – będzie nam spowalniać pochód obcych na otwartym terenie.

Toralk zdał sobie sprawę, że tego aspektu ich sytuacji strategicznej – sytuacji, którą nagle można było w pełni zasadnie nazywać sytuacją nie do pozazdroszczenia – nie rozważył. Zmarszczył brwi. Do tej pory, zanadto skupiał się na koszmarnych stratach i tym, co oznaczały tu i teraz, by wybiec myślami tak daleko naprzód.

–Nadal jednak mamy transportowce, dwutysięczniku – zauważył po chwili. – Niektóre z nich – smoki taktyczne, krzyżówki zwierząt transportowych z bojowymi – są uzbrojone. Potrafią ziać. Nie mogłyby, co zrozumiałe, mierzyć się w powietrzu z

żadnym smokiem bojowym, ale są wystarczająco sprawne, żeby atakować cele naziemne, o ile te, nie byłyby chronione przez tak zmasowaną siłę ognia, jaką obcy dysponują tutaj. Co więcej, nawet, jeżeli nie zdecydowalibyśmy się na wykorzystanie ich w charakterze zastępstwa za smoki bojowe, to nadal powinniśmy pamiętać, że zapewniają nam one mobilność, o jakiej Sharonianie mogą tylko pomarzyć. – Zgoda.

Harshu zmrużył oczy i wydał usta. Zadumał się, zagwizdał cicho, założył ręce na plecy i wyszedł z namiotu wprost w słoneczny poranek.

Toralk ruszył za przelożonym i spojrzął na lądowisko smoków. Gdyby ktoś nie był świadom natury strat, jakie poniosły siły ekspedycyjne, pewnie zaczęłyby się zastanawiać skąd na twarzach oficerów wzięła się tak chmurna, śmiertelna powaga. W końcu, stracili tylko piętnastu ludzi z armii liczącej dobrze ponad dziesięć tysięcy. Co więcej – zginęło jedynie piętnaście – może szesnaście – smoków, podczas gdy mieli tych zwierząt ponad dwieście. Pozornie ich zdolności bojowe zostały ledwie tylko zadraśnięte.

–Zgadzam się z tym, co powiedziałaś o transportowcach, Klayrman – powtórzył po kilku dłuższych chwilach dwutysięcznik. – Ale nadal nie wiemy jak znaczne posiłki oni tu podciągają. Biorąc pod uwagę, co właśnie z nami zrobili, to według mnie, jeżeli pozwolilibyśmy im na przejęcie inicjatywy, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. I właśnie, z tego powodu, tym bardziej skłaniam się ku decyzji o kontynuacji ataku. – Dwutysięczniku...

–Wiem, co zaraz od ciebie usłyszę i być może nawet masz rację – Harshu zdusił w zarodku rodzący się właśnie protest Toralka. – Niemniej, nadal mamy poważną przewagę. Nie użyliśmy jeszcze gryfów, ani kawalerii. Sharonianie wciąż także nie widzieli naszych inżynierów bojowych w akcji. W tych okolicznościach, podjęcie dodatkowego ryzyka i ewentualne poniesienie dodatkowych ofiar uważam za uzasadnione. Pomyśl o tym, co zyskamy, jeśli się nam powiedzie. Bądźmy ze sobą uczciwi, Klayrman. Obaj wiemy, że do tego momentu mieliśmy niesłychane szczęście. Zdaję sobie sprawę, jak poważne straty poniosły twoje smoki bojowe, ale nie wydaje mi się, by samo to usprawiedliwiało wycofanie się spod celu, który jest potencjalnie tak bardzo ważny, tym bardziej, że cała reszta naszych sił jest praktycznie jeszcze nietknięta. Nie ciągnęliśmy ze sobą aż tutaj całej tej piechoty i kawalerii, po to tylko, żeby zrezygnować z ich wykorzystania.

Toralk w milczeniu skinął głową. I tak nie potrafił znaleźć argumentów przeciwko temu, co właśnie powiedział Harshu.

–Nie zaryzykujemy natomiast transportowcami – ciągnął zdecydowanym głosem, dwutysięcznik. – Masz rację, co do przewagi logistycznej, jaką dzięki nim zyskujemy. Lekkiej kawalerii też wolałbym nie ruszać. Ten fort to raczej zadanie dla dragonów i ciężkiej jazdy.

„A jeśli przegramy i stracimy ciężką kawalerię, nie utraci to tak wiele z naszej mobilności” – dodał Toralk w myślach. – „Oczywiście to również, byłby silny cios dla naszych zdolności bojowych, ale...”

Zastanowił się nad sytuacją, skupiając się na tym, w jaki sposób najlepiej wykorzystać pozostające do jego dyspozycji siły powietrzne. I kiedy o tym myślał, poczuł gdzieś głęboko, iskrę optymizmu. To odkrycie zaskoczyło go niepomiarnie i pokręcił głową, tym razem z pełnym smutku podziwem dla dowódcy.

Był pewien, że gdyby decyzja należała wyłącznie do niego, odwołałby atak. Nawet teraz, nie był jeszcze do końca przekonany, czy decyzja o kontynuacji natarcia była słuszna. Niemniej istniał tylko jeden sposób, w jaki mogli się o tym przekonać i to właśnie dwutysięcznik miał na tyle silny chart ducha, by się tego podjąć.

„Ma rację, co do tego, jak bardzo to miejsce nadaje się do organizacji obrony... oczywiście, jeżeli uda nam się ten fort w ogóle zdobyć” – pomyślał Toralk.

–No dobra, dwutysięczniku – powiedział. – Spotkam się teraz ze swoim sztabem i po tej naradzie będę mógł zdać raport, na temat tego, co uda nam się poskładać.

–...potem każ starszemu zbrojnemu chan Garathowi posłać więcej ludzi do gaszenia tego ognia – regimentarz chan Skrithik wskazał na płomień i gęsty słup gryzącego dymu, bijącego z południowo-wschodniej wieży. Wnętrze budowli stało w płomieniach i to mimo, że wewnątrz nie było niczego łatwopalnego. Komendant fortu nie tyle obawiał się możliwości rozprzestrzenienia się pożaru, co tego, iż rozszalałe płomienie powodowały powstanie wyrwy w jego systemie obronnym. I niepokoiło go to, tym bardziej, że cała ich nieliczna artyleria i piechota rozmieszczone zostały na zachód od fortu.

–Tak jest! – odpowiedział słuźbiście goniec i zniknął w dymie i chaosie. Chan Skrithik powiódł za nim przez chwilę wzrokiem, po czym zwrócił się na powrót do Janakiego.

Książę koronny prawie się nie poruszył. Nawet w trakcie trwania nalotu na fort stał na swoim posterunku w zupełnym bezruchu. Jego szare oczy nie były skupione na niczym, co należałoby do otaczającego go, fizycznego świata. Nie drgnął także sokół siedzący na jego ramieniu. Nie zamachał skrzydłem mimo całego hałasu, zawieruchy i zniszczenia, jakie zalało ich swoim szaleńczym wirem w trakcie ataku obcych. Wędrowny sokół wydawał się kamienną rzeźbą. Można było odnieść wrażenie, że niezwykle skupienie człowieka wylało się i objęło swą mocą także i ptaka.

Chan Skrithik czuł zachwyt na myśl o tym, że na własne oczy oglądał coś, co do tej pory miało okazję obserwować jedynie niewielu ludzi: widział legendarny Talent Calirathów w działaniu. Regimentarz czuł jednak jeszcze coś, poza samym tylko

zachwytem. Czuł także dręczący niepokój, strach o bezpieczeństwo młodego człowieka, który pewnego dnia miał włożyć na swe skronie Uskrzydloną Koronę.

Pomimo to, że Rof chan Skrithik służył już bardzo wiele lat, podczas których ciężką pracą zdobył sobie pozycję doświadczonego i kompetentnego oficera, to aż do dziś pozostawał przecież żołnierzem, który doświadczył jedynie czasu pokoju i nigdy przedtem nie widział niczego, co przypominałoby ostatnią godzinę, godzinę pełną chaosu i zniszczenia.

W niecałe dziesięć minut, latające monstra spowodowały więcej ofiar śmiertelnych, niż chan Skrithik oglądał w ciągu całej swej wojskowej kariery. Co gorsza, wszyscy polegli byli jego ludźmi. Regimentarz zauważył też, że było to doświadczenie, z rodzaju tych, do których nie sposób przygotować się zawczasu. Poczucie tego, że głęboko zawiódł tracąc ich tak wielu, że gdyby był mądrzejszy czy lepszy, zginęłoby ich mniej, cały czas tkwiło jak drzazga w głębi jego duszy. Rozum podpowiadał mu, że to nie tak, że żaden Sharonianin nigdy nawet nie wyobrażał sobie, że może zostać zaatakowany w ten sposób i, że nikt nie zdołałby przygotować się lepiej. Tu jednak chodziło o sprawę, co do której intelekt i uczucia nie mogły się ze sobą zgodzić i oficer zdawał sobie sprawę, że – o ile w ogóle mu się to uda – dojście do ładu z własnymi emocjami zajmie mu bardzo dużo czasu.

To jednakże było zadaniem, z którym musiał się uporać w przyszłości. Tymczasem inne, ważniejsze i bardziej naglące problemy spychały kwestie uczuć na dalszy plan. Jednym z powodów niepokoju chan Skrithika było to, iż księżę koronny Janaki uparł się, by trwać w bezruchu, niemal bez żadnej osłony, na szczycie muru fortu.

Komendant ruszył ku księciu i już wyciągnął rękę by nakłonić arystokratę, do zejścia, choć z podstawy działa, lecz zanim zdążył to uczynić czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia.

Regimentarz drgnął, zaskoczony. Potem, odwrócił się i zobaczył zbrojnego Lorasha chan Braikala, który kręcił głową z nieznacznym, smutnym uśmiechem.

–Nie, regimentarzu – powiedział cicho żołnierz. – Proszę o wybaczenie, ale według mnie, to niedobry pomysł.

–Starszy – chan Skrithik równie cicho odezwał się do swojego najbardziej doświadczonego podoficera. – Nie mogę go przecież tak po prostu tu zostawić. Nie po tym wszystkim! – skinął brodą w kierunku dymu, ognia, żołnierzy i ich cywilnych pomocników, którzy przenosili potrzaskanych i potwornie poparzonych rannych do szpitala, w którym uwijał się kapitan Krilar. – Musimy go zdjąć z widoku!

–Nie, regimentarzu – głos chan Braikala był wciąż pełen szacunku, ale zbrojny raz jeszcze pokręcił głową.

Gdyby chan Skrithik zastanowił się nad tym głębiej, mógłby się poczuć zaskoczony. Żaden ternathiański oficer, który miał więcej szarych komórek niż przeciętny kamień, nie wątpił, że chociaż to oficerowie wydawali rozkazy, formacją, która naprawdę rządziła w armii cesarstwa byli twardzi, doświadczeni, służący zazwyczaj od bardzo dawna bez awansów, podoficerowie. Niemniej było to, co najmniej niezwykle, by w takim momencie... i, w sprawie takiej wagi którykolwiek z podoficerów dyskutował z kimś w stopniu regimentarza.

„Oczywiście nikt z nas wcześniej nie doświadczył niczego w rodzaju „takiego momentu” jak ten.”

Ta myśl zamigotała gdzieś głęboko w duszy chan Skrithika i komendant pochylił pytająco głowę.

–Tak właśnie działają Przebłyksi, regimentarzu. – Oficer zauważył, że na obliczu chan Braikala malował się niepokój tak samo głęboki, jak jego. Głos starszego zbrojnego lekko drżał. – Zanim księżę przejął pluton, przeszedłem coś w rodzaju przyspieszonego kursu obsługi jego rodowego Talentu – ciągnął podoficer. – To, co dzieje się z nim teraz, to tak zwany „stan anamnetyczny” a stan ten, z kolei wymaga czegoś, co nazywa się „ogniwem”.

–Ogniwem? – powtórzył niepewnie chan Skrithik.

–Tak jest, regimentarzu. – Chan Braikal zdjął hełm z głowy, włożył go pod lewą pachę i przeczesał palcami swoje krótkie, przepecone włosy gestem, z którego zmartwienie było dobitniej, niż gdyby wyraził je za pomocą jakichkolwiek słów. – Ogniwem to takie miejsce, w którym to coś, energia, która umożliwia działanie jego Talentu... przepływa najbardziej intensywnie.

Regimentarz odniósł neodparte wrażenie, że chan Braikal starał się mu wyjaśnić coś, do czego nie dało się dobrać właściwych słów.

–Panie komendancie – powiedział nagle bardzo poważnie zbrojny. – W najśmielszych snach nie spodziewałem się, że to zobaczę na własne oczy. Bogowie! Przecież ja nigdy nie chciałem tego widzieć. A to dlatego, że powiedziano mi, iż jeśli to się wydarzy, będzie to oznaczało, że siedzimy w gównie po szyję i ciągle pada. Z pańskim przeproszeniem, oczywiście. Najważniejsze jest jednak to, że aby wprowadzić się w stan anamnetyczny, Janaki musi znajdować się w odpowiednim miejscu. Nikt, poza nim nie jest w stanie określić, gdzie się to miejsce znajduje. Co gorsza, przed samym doświadczeniem on sam najczęściej nie byłby w stanie go odszukać. Na Triadę. Może też stać się tak, że ogniwo przemieści się w trakcie trwania Przebłyску. Ale póki nie zrobi tego samo, księżę musi stać, gdzie stoi i nie można go ruszać.

–Nigdy o niczym takim nie słyszałem, starszy – to zdanie mogło zabrzmieć podejrzliwie, lub nawet oskarżycielsko, ale tak się nie stało. – Według wszystkich znanych mi legend...

–Regimentarzu – chan Braikal uśmiechnął się zbójcecko – czy, gdyby był pan Calirathem, chciałby pan, żeby pańscy wrogowie wiedzieli, że w takiej chwili nie będzie się pan mógł ruszyć? – Chan Skrithik pokręcił głową i podoficer wzruszył ramionami. – To właśnie jest głównym powodem, dla którego żadna z historii o tym nie wspomina. Z drugiej strony, Jego Wysokość powiada, że osoby o naprawdę silnym Talencie są w stanie poruszać się nie przerywając stanu anamnetycznego. Podobno niektórzy najbardziej Utalentowani, mogli nawet walczyć cały czas doznając wizji. Ale księżę Janaki powiedział mi wyraźnie, że jego Talent nie pozwala na nic podobnego. No i to właśnie dlatego, stoi taki... skamieniały. Chan Skrithik słyszał pobrzmiwający w głosie żołnierza lęk. Chan Braikal, również nie chciał, by jego księżę koronny stał na tym odsłoniętym fragmencie muru. Nie chciał tego ani trochę bardziej, niż chan Skrithik. Regimentarz z szacunkiem pomyślał o oddaniu zbrojnego, które także i jemu wzbraniało opuszczenia niebezpiecznego miejsca.

–Rozumiem, starszy – regimentarz położył rękę na ramieniu chan Braikala – szkoda, że sam mi tego wcześniej nie wyjaśnił.

–Z całym szacunkiem, regimietarzu, ale wydaje mi się, że księżę pomyślał, że gdyby pan o tym wiedział, to wygoniłby nas pan stąd na kopach jeszcze przed atakiem tych bydlaków.

–Może i racja – przyznał chan Skrithik i zbrojny ponownie wzruszył ramionami.

–Ja chyba nawet żałuję, że tak właśnie się nie stało, komendancie. Bogowie wiedzą, że chciałem się z nim o to spierać. Próbowałem nawet. Ale powiedział mi, że po prostu musi tu być, a kiedy on odzywa się do człowieka tym swoim głosem, to...

Chan Braikal urwał i raz jeszcze pokręcił głową. Tym razem, w geście tak pełnym bezradności i zdumienia, że chan Skrithik zrozumiał go bez słów. Sam regimentarz także nie był przygotowany na intensywność, z jaką Janaki na nich wpływał samą choćby obecnością. Nie był też pewny, czy kłótnia z księciem, poszłaby mu choć o jotę lepiej niż chan Braikalowi. Uśmiechnął się, więc tylko i lekko ścisnął ramię żołnierza.

–W takim wypadku, starszy, będziemy musieli po prostu zadbać o to, żeby przetrwał na tym murze do końca w jednym kawałku, prawda?

–No dobrze, dwutysięczniku – oznajmił Klayrman Toralk. – Oto, z czym zostaliśmy.

Tysięcznik skopiował odpowiednie pliki ze swojego kryształu do KO dwutysięcznika Harshu i odczekał chwilę, gdy bystre, rozbiegane oczy dowódcy przebiegły po

szeregach danych. Dwutysięcznik przetrawił raport z właściwą sobie szybkością i podniósł wzrok na Toralka.

–Pamiętam, że wspominałeś o tym, że treserzy gryfów są zaniepokojeni czymś w związku z działaniem ich zaklęć.

–Tak jest. I to trwa nadal. To znaczy, nadal są zaniepokojeni. Ale też wciąż nie są w stanie dokładniej powiedzieć, co takiego jest w zasadzie nie tak. Przedtem nie chciałem używać gryfów, ponieważ opierając się na wcześniejszych doświadczeniach, ani ja, ani pięćsetnik Myr nie pomyśleliśmy, że mogą się przydać. Okazało się jednak w dość dobitny sposób, że byliśmy w błędzie.

–Ja także się pomyliłem – przypomniał tysięcznikowi Harshu. Głos dowódcy był lekko nieobecny. Dwutysięcznik znów przyglądał się sporządzonym w pośpiechu przez Toralka materiałom.

–Jesteś pewien, że możemy podciągnąć transportowce Urlana aż tak blisko? – spytał po chwili.

–Według map, żadna z wyznaczonych stref lądowania nie powinna być widoczna ze znanych nam pozycji, zajmowanych przez obcych.

–Owszem. Nie powinniśmy jednak zapominać, że ich artyleria działa inaczej niż nasza, Klayrman. Sharonianie nie muszą prowadzić z niej ostrzału w linii prostej.

–Tak jest, dwutysięczniku. Staralem się brać to pod uwagę rozmieszczając lądowiska na tyle daleko od ich pozycji, by nasi nie znaleźli się w zasięgu.

–Rozumiem. Niestety już teraz wiemy, o co najmniej jednym rodzaju broni – mówię tu o tych wielkich, obrotowych cholerstwach na murze – z którym nie mieliśmy do tej pory kontaktu. I nie byłbym wcale pewien, czy nie szykują nam jeszcze jakichś niespodzianek. Jakiejś artylerii o większym zasięgu niż to, co dotychczas widzieliśmy.

–No cóż – Toralk uniósł do oczu swoją kopię planów i przyjrzał się mapie wygenerowanej w oparciu o zdobyte w Forcie Ghartoun, sharoniańskie szkice terenu. – Moglibyśmy, więc przeprowadzić desant tutaj i tutaj – powiedział nanosząc rysikiem na mapę dwa krzyżyki. – Oba te miejsca są bardziej oddalone od fortu, więc kawalerzyści Urlana będą musieli przebyć dalszą drogę, ale pomiędzy nimi oboma, a fortem jest solidne, górskie zbocze. Z tego, co widzieliśmy bawiąc się z tymi ich „moździerzami” nie wydaje mi się, żeby ich broń była w stanie atakować cele, znajdujące się tak blisko, po drugiej stronie aż tak stromego i wysokiego wzniesienia.

–Mhm... – Harshu zmarszczył czoło i przyjrzał się dokładnie mapie. Po chwili, skinął

głową, choć nadal nie wydawał się osobą szczególnie uszczęśliwioną.

–Alternatywą, dwutysięczniku, byłoby spróbować szturmu piechoty – zauważył Toralk. – Jeśli rzucimy im gryfy prosto w twarz, a zaraz za nimi nadleciałyby taktyczne transportowce, moglibyśmy wykorzystać ich broń oddechową jako broń wsparcia. Mimo wszelkich jej wad. A Sharonianie, byłiby wtedy prawdopodobnie zbyt zajęci gryfami, żeby jednocześnie strzelać do smoków.

–Kuszące rozwiązanie – przyznał Harshu. – Pod niektórymi względami nawet bardzo. Ale nasi ludzie muszą mieć wsparcie ciężkiej broni, jeśli mamy mieć, choć cień szansy walcząc z Sharonianami na małym dystansie. Ponadto, jak sam zauważyłeś, możemy jeszcze potrzebować tych transportowców potem, zwłaszcza, jeśli atak się nam nie powiedzie. Poza tym, jeśli uda nam się zdobyć Salby, piechota przyda się nam bardziej niż kawaleria, do obrony fortu i terenu pomiędzy nim, a portalem.

Popatrzył na mapę jeszcze przez kilka minut, w zamyśleniu pocierając nieustannie brodę i wreszcie zamarł.

–Wiesz – powiedział powoli – ale jeśli wszystko dokładnie zgramy, to jednak chyba użyjemy tych twoich transportowców.

Toralk zmrużył oczy i jego przełożony spojrzał nań z uśmiechem.

–Gdybyś był Sharonianinem, Klayrman, i nigdy wcześniej nie widział smoka, ulepszonogo konia, ani jednoroźca, to które, z tych zwierząt skupiłoby na sobie twoją uwagę, gdybyś zobaczył je naraz pędzące na ciebie?

Rozdział 11

–Na Aruncasa! – mruknął Tarnal Garsal, Wietrzny Lord Garsal.

Młodszy Pan Koni stał na stanowisku dowodzenia Słonecznego Lorda Markana i patrzył w tył na dymiący fort SZZP. Imię uromathiańskiego boga wojny nie zagościło w jego ustach bez powodu. Obaj oficerowie kawalerii, podobnie jak Rof chan Skrithik, służyli już od wielu lat. Z regimentarzem łączyło ich także to, że nigdy nie widzieli, ani nawet nie spodziewali się ujrzeć, czegoś podobnego.

Prawdę powiedziawszy, swojski wygląd płomieni wydał się Garsalowi niemal pocieszający. Patrząc na pożar nie czuło się oszołomienia i poczucia nierealności, jak w obliczu tej olbrzymiej bestii – „smoka” – przypomniał sobie termin stosowany przez księcia koronnego Ternathii – która wbiła się w ziemię niecałe sześćdziesiąt jardów od ich stanowiska. Potwór przypominał pokrytą łuskami górę połamanych kości i mięsa. Smok spadł, grzebiąc pod swoim cielskiem dwunastu kawalerzystów Garsala.

–Masz rację, na Aruncasa – odezwał się obok niego czyjś głos.

Oficer obejrzał się i ujrzał Słonecznego Lorda Markana, który ponad umocnieniami z worków z piaskiem, spoglądał na to samo co i on. Uromathiański Pan Koni był drugim co do szarży oficerem stacjonującym w Salby, co spowodowało, że dostał pod swoją komendę piechotę i artylerię stacjonujące na zewnątrz murów właściwego fortu. Teraz nie wydawał się może wstrząśnięty... ale wyraz jego twarzy świadczył, że był do tego stanu najbardziej zbliżony od początków swej znajomości z Garsalem.

–Wiesz, ja mu nie wierzyłem – przyznał Garsal. Markan uniósł brew. – Wydaje mi się teraz, że po prostu nie chciałem mu uwierzyć – dodał i tym razem Markan prychnął.

–Podejrzewam, że większość z nas wolałaby mu nie wierzyć – zauważył po chwili, Słoneczny Lord. – To stworzenie wygląda, jakby wypełzło wprost z dziecięcych bajeczek o potworach, duchach i czarach.

Garsal skinął głową i Markan odwrócił się na powrót ku straszliwemu ze włokowi o połamanych skrzydłach, który leżał rozciągnięty na zmiażdżonych, ludzkich ciałach.

Słoneczny Lord zdawał sobie sprawę, że istniał jeszcze jeden powód, dla którego Garsal nie wierzył księciu Janakiemu, a w każdym razie, dla którego nie chciał mu uwierzyć.

Markan żywił w głębi ducha nieco zastrzeżeń, co do osoby swojego cesarza, ale Chava Busar nie przestawał przez to być jego prawowitym władcą i – przynajmniej do tej chwili – Markan czuł się poniekąd zmuszony zgadzać się z cesarzem Chawą co do jednego: Sharonianie reagowali na doniesienia z pogranicza o wiele zbyt histerycznie.

Opowiastki o „magii”, po prostu nie pasowały do świata, w którym żyli twardo stąpający po ziemi, pragmatyczni ludzie. Nikt rzecz jasna nie kwestionował samej obecności Arkanian, ani tego, że zmasakrowali oni zespół badawczy Konsorcjum Chalgin swoją przeraźliwą, nieznaną bronią. Ale przecież Wrota Piekieł znajdowały się czterdzieści osiem tysięcy mil od Sharony. Co więcej, wszyscy wiedzieli też, że oddział SZZP liczący sobie niecałe czterysta żołnierzy, odbił z rąk wroga portal na bagnach z wręcz dziecinną łatwością. Wyraźnie widać było, że uzbrojenie Sharonian jest lepsze i bardziej wydajne niż cokolwiek, z czym mieli do czynienia, a Arkanianie od czasu tamtej krótkiej, brutalnej bitwy nie zademonstrowali niczego, co mogło napawać szczególnym lękiem, a już na pewno nic takiego, co usprawiedliwiłoby niektóre przepełnione paniką reakcje niektórych polityków na Sharonie!

Cokolwiek by się nie działo na odległym pograniczu, nie istniała, więc – sądzono – praktyczna możliwość, by wróg przebił się z powodzeniem przez wszystkie portale, przebył cały ten żmudny dystans i stanął u progu samej Sharony. Nawet zakładając,

że wszyscy ci, którzy optowali za utworzeniem ogólnoswiatowego – co tam ogólnoswiatowego, ogólnowszechświatowego! – cesarstwa, rzeczywiście mieli czyste intencje i nie chodziło im jedynie o cyniczne manipulacje, mające na celu przekształcenie politycznego równania na swoją korzyść (co wydawało się przynajmniej mało prawdopodobne), poddanie się histerii, byłoby raczej wyrazem głupoty.

Teraz jednak, gdy wachał dym pożarów Fortu Salby, kiedy patrzył na wielkie, połamane cielsko najprawdziwszego smoka, w oczekiwaniu na drugi atak nieprzyjaciela, który z całą armią w niecałe dwa tygodnie przemierzył cztery tysiące mil, Jukan Darshu, Słoneczny Lord Markan, zrozumiał, że wszyscy ci „rozhisteryzowani” przywódcy mieli przez cały czas rację. Skoro arkaniańskie smoki ziały ogniem i pluły błyskawicami, jeśli potrafiły przebyć w czternaście dni, osiem procent całkowitej odległości do Sharony, to naprawdę sami tylko bogowie mogą wiedzieć, do czego obcy są jeszcze zdolni. Możliwość, że Arkanianie będą jednak wstanie przebić się do samej Sharony, nagle okazała się zupełnie realna... tak samo, jak to, że Zindel z Ternathii i Ronnel z Farnalii od samego początku słusznie byli śmiertelnie poważni. Przy okazji wyszło też na jaw, że bez względu na to, co myślał Chava Busar, Zindel tego kryzysu nie spreparował, ani nie manipulował informacjami z pogranicza, w celu wskoczenia na tron zjednoczonej Sharony.

„Na Firsome!” – pomyślał. – „Jeśli księżę koronny widział w Przebłysku to, to co takiego Zobaczył jego ojciec?”

Z wielu powodów nie zależało mu szczególnie na poznaniu odpowiedzi na to pytanie.

„Oczywiście, że ci nie zależy. Jesteś Uromathianinem, a Uromathianie nie lubią Ternathian, prawda? Ale skoro Arkanianie mają takie możliwości jak właśnie pokazali, to może Konklawe rzeczywiście podjęło słuszną decyzję. Może nie stać nas już, by nadal być tylko Uromathianami, czy Ternathianami... nawet, jeśli ceną za to miałyby być wsadzenie kolejnej korony na głowę Zindela chan Caliratha.” – Wracają.

Regimentarz chan Skrithik skrzywił się nieładnie. Janaki odezwał się po raz pierwszy, od co najmniej pół godziny. – Wasza Wysokość?

–Wracają – powtórzył Janaki tym samym nieziemskim głosem. – Wykorzystują smoki i okrążają portal w

Karys, żeby wejść w Traisum od zachodu i zatoczyć szeroki łuk. Próbują odwrócić naszą uwagę, podczas, gdy zaatakują na ziemi. Kawalerią.

–Kawalerią? Na otwartym polu? Przeciwno okopanej piechocie i artylerii? – chan Skrithik nie wierzył własnym uszom.

–Tak – przytaknął Janaki i zwrócił swoje onieśmielające oczy na komendanta. – Ale to nie będzie takie proste. Są w stanie rozmieścić jazdę na wschód od nas, dzięki czemu unikną ognia z większości naszych stanowisk. A ich kawalerzyści są o wiele szybsi od naszych. Mają też ze sobą coś jeszcze. Coś, co ich w jakiś sposób ochroni. Nie widzę tego jeszcze dokładnie. Na inne smoki ładują jednocześnie piechotę. I oni też na nas uderzą. Wydaje mi się też, że tym razem rzucą na nas również te orłolwy. Chan Skrithik poczuł jak tężeją mu mięśnie szczęki. Normalnie byłby absolutnie pewny, że okopana piechota poradzi sobie z dowolnym atakiem sharoniańskiej kawalerii. Tyle, że – co przypomniał mu właśnie Janaki – nie mieli tu przecież do czynienia z Sharonianami.

–Czy widziałeś już jakieś szczegóły natarcia, Wasza Wysokość? – spytał.

–Jeszcze nie – odparł Janaki i nawet pomimo powierzchownej obojętności, w jego głosie słyhać było cień frustracji. Nadal jest zbyt wiele możliwości. Zbiegają się już ze sobą... ukonkretniają. Ale to jeszcze nic pewnego.

–A gdzie przeprowadzą desant kawalerii? – spytał chan Skrithik, sięgając po mapę.

–Tutaj, albo tutaj – Janaki wskazał dwa punkty palcem. Regimentarz spojrział na zbrojnego Isię. – Wiadomość do kapitana Mesaiona.

Podaj mu koordynaty chan Skrithik odczytał współrzędne z mapy. – Przekaż kapitanowi, że chcę, by oba Obserwował chan Forcal. I niech trzymają haubice w pogotowiu. – Tak jest, regimentarzu.

Błyskacz notował, w miarę jak oficer mówił. Potem odczytał zapisane stenograficznie informacje na głos. Chan Skrithik skinął z aprobatą głową i Isia Błysnął zasobnik z rozkazem prosto do Błyskacza pracującego z kapitanem Mesaionem. Niecałe dwie minuty później na murze obok chan Skrithika, zmaterializowała się informacja od artylerzysty. Przyjął rozkazy.

Dowodzący Pięćdziesięcioma Delthry Fahrlo nadal jeszcze próbował pogodzić się z tym, co wydarzyło się podczas pierwszego ataku. Razem z Kłem Śmierci wyprowadzali właśnie sznur smoków transportowych od zachodniej strony portalu.

Bez możliwości wykorzystania smoków manewr nie byłby wykonalny. Natura łączących ze sobą wszechświaty portali sprawiała, że podróżnik wchodzący od strony Karys natykał się na podobne klify bez względu na stronę portalu, od której wchodzi. Niemniej od zachodu klify te były o wiele wyższe, niż te po wschodniej stronie. Wiatr i erozja zmiękczyły i podniszczyły szczyty tych surowych urwisk, potem jednak ciśnienie w obu wszechświatach się wyrównało, wichura wiejąca między nimi ustała i kamienny mur stał, jak stał – stromy i nie nadający się do wspinaczki. Klify spoglądające na Traisum ze wschodu, z drugiej strony portalu, były

o wiele płytsze, a wiatr wiejący wzdłuż zboczy ponad klifami, wyżłobił w skale głębokie jary. Sharoniańscy inżynierowie wykorzystali je budując drogi i tory kolejowe. Fahrlo widział wyraźnie, że nie mieli zresztą innej możliwości. W przeciwieństwie do Sił Ekspedycyjnych, które mogły skorzystać z innej drogi. I właśnie z tej możliwości postanowili skorzystać dwutysięcznik Harshu i tysięcznik Toralk.

„Szkoda tylko, że nie pomyśleli o tym wcześniej.” Fahrlo nie mógł powstrzymać swojego rozgoryczenia, mimo iż zdawał sobie sprawę, że jest niesprawiedliwy. Nikt nie był przecież w stanie przewidzieć tego, co się stało z jego towarzyszami i ich smokami. Fahrlo to wiedział. Wiedział też jednak, że w jakiś dziwny sposób on, zwykły Dowodzący Pięćdziesięcioma, stał się nagle najstarszym stopniem pilotem smoka w całym Pierwszym Tymczasowym Kle.

„Oczywiście jestem ‘dowodzącym pięćdziesięcioma’, który dowodzi jedynie trzema smokami.”

Skrzywił skrytą pod szybką hełmu twarz i pokręcił głową. Teraz musiał się skupić na czymś innym.

–Smoki lądują w punkcie numer dwa, kapitanie – zaraportował starszy zbrojny chan Fornal, kapitanowi Mesaionowi.

–Szkoda – burknął oficer i zwrócił się do swojego Błyskacza. – Przekaż regimentarzowi chan Skrithikowi, że wróg pojawił się w punkcie numer dwa i nie możemy pokryć go ogniem. – Tak jest, kapitanie.

–Cholera – syknął chan Skrithik, gdy Isia odczytał mu zwięzłą informację od dowódcy artylerii.

Tego właśnie obawiał się od momentu, w którym Janaki wskazał mu oba miejsca na mapie. To, na które miał nadzieję, było co prawda poza zasięgiem moździerzy, ale za to znajdowało się w polu rażenia haubic. Regimentarz wątpił, żeby te dranie z Arkany mogły o tym wiedzieć, ale poszczęściło im się i wybrali na lądowisko miejsce w ślepym polu, tuż za stromym, zasłaniającym ich górskim grzbietem.

–Przekaż kapitanowi Mesaionowi, żeby chan Forcal nie spuszczał ich z oka. Niech da mi znać, gdy tylko się stamtąd ruszą. – Tak jest.

–Pięcsetnik Urlan jest na pozycji, dwutysięczniku – oznajmił treser brzęczków.

–Świetnie – Harshu zwrócił się do Toralka. – No cóż, to chyba oznacza, że już czas, Klayrman.

–Tak jest. Już czas – przytaknął Toralk i spojrzał na żołnierza z brzęczkami. –

Wyślijcie setnikowi Kormasowi rozkaz wypuszczenia gryfów, mieczniku. – Tak jest, tysięczniku!

Opiekun ptaków otworzył mniejszą klatkę, którą odstawił wcześniej na bok. W niej trzymał bręczka, w którego kryształ spoczywał już, zapisany wcześniej, rozkaz uwolnienia gryfów. Teraz wziął niewielkie, ale bardzo agresywne stworzenie do ręki, szepnął coś do niego i wyrzucił w powietrze. Ptasie skrzydła rozmazały się w pędzie i przez chwilę bręczek zawisł w powietrzu, niczym węszący pies myśliwski. Mgnienie potem, z nagłą, niczym zwolniony z kuszy bełt, ptaszek pomknął przed siebie.

Toralk patrzył za znikającym bręczkiem i zwalczył w sobie nagłe pragnienie, by ukradkiem głęboko westchnąć. Nadal nie był pewien, że decyzja o kontynuacji ataku była słuszna, ale w tej chwili nie miało to już najmniejszego znaczenia. Po pierwsze, dlatego, że to nie on wydawał rozstrzygające rozkazy, po drugie, ponieważ wszystko było już w toku. Dowodzący Setką, Surtel Kormas uwolni gryfy w pięć minut po odebraniu rozkazu tysięcznika, a rozpoczęcie nalotu przez gryfy będzie sygnałem dla reszty zaangażowanych w atak, sił. „Na Graholisa! Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak trzeba” – pomyślał żarliwie Toralk. – „Proszę, niech się uda!” – Regimentarzu!

Rof chan Skrithik zawirował w miejscu i spojrzał na Janakiego. Coś się zmieniło w głosie księcia. Komendant fortu nie był w stanie dokładnie nazwać określić natury tej zmiany, ale cokolwiek jej nie spowodowało, przyprawiło go o świeży, głębszy dreszcz strachu. – Tak, Wasza Wysokość?

–Zaczyna się – Janaki spojrzał na niego i regimentarz zobaczył, że skupione na czymś odległym oczy, były w tej chwili bardziej zasnute mrokiem niż zwykle. – Posłuchaj mnie – powiedział i zabrzmiało to niezwykle władczo. – Nie wiem ile jeszcze mamy czasu. Wiem tylko, że nie dość. Bez względu na wszystko. A więc to bardzo ważne. Wysłuchaj tego, co ci powiem bardzo dokładnie.

–Oczywiście, Wasza Wysokość – odpowiedział zaskoczony chan Skrithik. Oczywiście, że to, co książę Janaki miał mu do powiedzenia było ważne. Czy on naprawdę myślał, że chan Skrithik, pozwoliłby mu tu stać – z chan Braikalem czy bez – gdyby to, co mówił nie było ważne?

–Nie wiem jeszcze – tym razem głos Janakiego pobrzmiwał głębszą frustracją. – Nie wiem jeszcze, który atak jest prawdziwy.

Odwrócił się i wyjrzał za mur. Po chwili, odchylił głowę do tyłu. Spojrzał w niebo nad fortem, obrócił się to w jedną, to w drugą stronę.

–Jeszcze nie – powiedział jasnym, bezchmurnym niebiosom dziwnym głosem, w którym mieszały się w równych proporcjach błaganie i rozkaz. – Jeszcze nie!

Przez chwilę nie wydarzyło się nic ponadto. Potem sokół wystrzelił w powietrze z ramienia księcia, zaskrzeczał wysoko, przenikliwie i Janaki głęboko odetchnął.

–Idą! – ręka księcia strzeliła nagle wskazując na północny zachód. – Tam!

Półsetnik Fahrlo obserwował gryfy szturmowe, przemykające w pobliżu smoków transportowych i eskortujących je zwierząt bojowych. Gryfy były w porównaniu ze smokami o wiele mniejsze, wręcz maleńkie, ale było ich dobrze ponad sto i oficer cieszył się, że leciały, co najmniej tysiąc stóp ponad nimi. Ludzi, którzy decydowali się na pracę w charakterze treserów gryfów, Fahrlo darzył głębokim szacunkiem. Co więcej, ufał im, tak jak powinien ufać im każdy żołnierz. Niemniej widział, do czego te drapieżniki są zdolne i nie chciałby, żeby coś podobnego przydarzyło się jemu. Gdyby zawiodły trzymające je w ryzach zakłęcia lub też te odpowiedzialne za wskazywanie celu, to – o ile gryfów byłoby odpowiednio wiele – mogłyby strącić z nieba nawet smoka.

Tym razem jednak nie mogło być mowy o pomyłce, czy błędzie. Bestie mknęły przed siebie, wprost na dymiący fort, niczym plaga szarańczy wielkości kucyków. W skrytych za szybką oczach Fahrlo pojawił się uśmiech.

„Trzeba je było rzucić na tych drani na samym początku” – pomyślał, choć wiedział przecież, dlaczego wcześniej nikomu nie wydawało się to potrzebne. – „Jestem pewien, że obcym się ta impreza nie spodoba. I to bardzo!”

–Pięcsetniku! Wydaje mi się, że... tak! – obserwator unoszący się dzięki zakłęciu lewitacyjnemu, przywiązany do siodła długim łańcuchem, krzyknął w dół do Dowodzącego Pięcioma Setkami Gyrasa Urlana. – Gryfy są na pozycji!

–Świetnie! – warknął Urlan. – Zabieraj dupę na dół! Migiem! – Tak jest! – Trębacz! – Tak, pięcsetniku? – Zagraj „Chodem!” – Tak jest!

Rozległ się dźwięk trąbki sygnałowej i wielkie, ulepszone magicznie konie

Siódmego Zydoru Ciężkich Dragonów ruszyły z miejsca. Do przebycia mieli długą drogę, więc jechali niespiesznie. Na pośpiech jeszcze przyjdzie czas, ale to jeszcze nie teraz. Jeszcze nie. Ich konie były większe – znacznie większe – niż jednorożce lekkiej kawalerii i mimo swego ulepszenia, były też wolniejsze i mniej wytrzymałe. W związku z tym, ich siłę i szybkość należało oszczędzać do samego końca, z myślą o ostatniej szarży na cel. Ale to nie był żaden problem. Gryfy nie zaatakują od razu. Zakłęcia kierujące ich atakiem zostały zmodyfikowane w ten sposób, by uaktywnić agresję zwierząt dopiero w chwili, gdy kawalerzyści Urlana dotrą na miejsce.

Zwiększone rozmiary ciężkich koni oznaczały, że każdy z nich był w stanie nieść dwóch jeźdźców, a nie jednego. Z liczących sobie stu dwudziestu ludzi kompanii pod dowództwem Urlana, dwie były standardowymi kompaniami ciężkich dragonów.

Każdy koń miał na sobie dwuosobowe siodło. Drugi – jadący z tyłu – jeździec nie był uzbrojony w szablę ani lancę, lecz w okrojona wersję smoka piechoty. Zasięg tej broni był jeszcze mniejszy od stosowanego przez piechotę odpowiednika, ale miotane z nich ogniste kule, nosiły dużo dalej niż bełty z kusz i były przy tym o wiele bardziej zabójcze.

Z drugiej strony, każdy z koni w dowodzonej przez Dowodzącego Setką Orkala Kilirona, kompanii C wyposażony był w zwyczajne siodło, nie w dragońską, dwuosobową wersję. W miejscu, w którym zwykle siedział drugi jeździec, do końskiego grzbietu przytwierdzono platformę transportową – podobną nieco do tych, jakie nosiły na grzbietach smoki transportowe. Była może niezbyt wielka, niemniej umożliwiała magicznie ulepszonym koniom przenoszenie pełnej, dwunastoosobowej drużyny piechoty. Czwarta część tych zasobników zajęta była teraz przez Obdarzonych inżynierów; w reszcie jechało do boju tysiąc doborowych piechurów. Podstawą wyboru żołnierzy do tej misji było to, że połowa z nich musiała dysponować pewnym stopniem Daru.

Stopniem wystarczającym, by mogli do tego ataku zabrać ze sobą sztyletnie.

–Aktywować Lśnienie – rzucił Urlan, jadącemu u swego boku, Obdarzonemu półsetnikowi. – Tak jest. – To już.

W głosie Janakiego nagle pojawił się spokój. Odezwał się bardzo cicho. Chan

Skrithik oderwał oczy od małych, czarnych kropek, krążących nad Fortem Salby z głodnym zacięciem, które dawało się wyczuć nawet i tutaj. Wydawało się, że te punkciki były bardzo blisko, ale jeżeli rzeczywiście miały wymiary, o jakich mówił książę, musiały latać na o wiele wyższym pułapie. – Przepraszam, Wasza Wysokość?

–Teraz już Widzę – dodał Janaki i odwrócił się od kołujących kropek, by spojrzeć na regimentarza z niezwykle błogim uśmiechem. – Nie myślałem, że wystarczy czasu.

–Wasza Wysokość? – w głosie i postawie księcia, która nagle wydała się bardzo zrelaksowana, było coś, co niezwykle chan Skrithika zaniepokoiło.

–Posłuchaj – Janaki położył dłonie na ramionach chan Skrithika i przyciągnął starszego mężczyznę do siebie, tak blisko,

że niemal zetknęli się czołami. – Orłolwy zaatakują za kilka minut. Nadlecą z zachodu. Kiedy już się pojawią, zza nich wylecą na nas smoki.

Książę mówił szybko, nagłaco. Regimentarz dałby się zwieść jego spokojnemu tonowi, gdyby nie dostrzegał czegoś jeszcze, czegoś skrytego za tańczącymi w szarych oczach księcia duchami. Widział zabójczą wręcz determinację i sam, niezwykle skupiony na słowach Janakiego, zmrużył oczy.

–Na tych smokach przerzucą piechotę. Jedne z nich będą pluć ogniem i błyskawicami. Ale na innych będzie piechota, gotowa do desantu na linach, prosto na mury. Orłolwy spróbują zdławić nasz ogień na czas tego szturm. Ale to nie smoki stanowią prawdziwe zagrożenie. To tylko sposób na odwrócenie naszej uwagi, regimentarzu. Chcą, żebyśmy się na nich skupili, tymczasem prawdziwy atak nastąpi z naszych pleców, ze wschodu. Rozumiesz, komendancie? To smoki i ich piechota mają nas zmylić, a nie kawaleria, rozumiesz?

Chan Skrithik przytaknął skinieniem. Janaki przez chwilę popatrzył za niego, na starszego zbrojnego Isię.

–Przeznacz ostrzeżenie kapitanowi Mesaionowi. Ich jazda wyposażona jest w taki... czar. Przypomina nieco zasłonę dymną, ale działa inaczej. Będzie to wyglądało raczej jak miraż, jak rozedrgane od słońca powietrze. Za tym właśnie skryje się arkamańska kawaleria. Większość ludzi nie będzie w stanie przez nią widzieć. Chan Forcal jednak ich zobaczy. I to on musi naprowadzić pierwsze salwy Mesaiona na szeregi obcych, zgrupowane wokół sztandaru. Ten sztandar przypomina rękaw powietrzny, trochę taki, jak smocze proporce Arpathian. Tam znajdą ich dowódcę. I tam będzie źródło tego czaru, tej ich zasłony. Zrozumiałeś?

Isia rzucił szybko spojrzeniem na chan Skrithika. Regimentarz skinął głową i błyskawicznie z trudem przełknął ślinę, po czym sam przytaknął. – Tak, tak, Wasza Wysokość!

Ołówek Janakiego zaczął pospiesznie kreślić wiadomość do dowódcy artylerzystów. Janaki spojrzał na powrót na chan Skrithika. Czarne punkty nad ich głowami krążyły teraz po szerszym okręgu. Chan Skrithik zanotował to kątem oka. Wyraźnie czuł, że te stworzenia napinają jakąś niematerialną, krępującą je smycz. Główną część swej uwagi poświęcił jednak Janakiemu chan Calirathowi i wróżebnemu płomieniowi, płonącemu w jego oczach. – Niektóre z tych koni niosą na swoich grzbietach te ich miotacze ognia. Inne mają na sobie platformy – lewitujące platformy, coś jak balony na rozgrzane powietrze. W ten sposób wiozą ze sobą dodatkowe oddziały piechoty. Spróbują się z nimi dostać jak najbliżej murów i użyją tych platform niczym drabin, żeby wspiąć się na mury. Jeżeli nie uda im się dostać nas przechodząc górą, przejdą na wskroś przez mur. Mają ze sobą ludzi, którzy potrafią zakłębieniami otwierać wyłomy. Zupełnie jak materiały wybuchowe, ale inaczej. Żeby ich jednak użyć, muszą dotrzeć do samego muru. Spróbują nie objętego naszym ostrzałem miejsca w południowo-wschodnim narożniku. Już teraz trzeba wysłać tam żołnierzy z granatami. Rozumiesz?

Chan Skrithik poczuł, że jego głowa potakuje praktycznie bez udziału woli. Janaki powtarzał swoje pytanie niczym mantrę.

–Zajmij się tym, starszy – rzucił do chan Braikala. Żołnierz popatrzył na komendanta

przez chwilę, po czym rzucił zbolące spojrzenie na Janakiego. Zawahał się jeszcze przez chwilę dłużej, lecz książę koronny uśmiechnął się do niego i przekręcił głowę, potwierdzając tym samym rozkaz chan Skrithika. Chan Braikal odbiegł, wykrzykując rozkazy pozostałym żołnierzom ze swego plutonu.

–Niektórzy piechurzy z Arkany będą mieli ze sobą pewien rodzaj małych, podręcznych miotaczy ognia – ciągnął Janaki, który mówił niezwykle wyraźnie, choć kolejne słowa opuszczały jego usta tak szybko, jakby wypluwał je z karabinu maszynowego. – Jeśli uda się dotrzeć do muru tym, z wybuchowymi zakłęciami, przebiją się na wylot. Małe miotacze ognia mają zasięg krótszy od rewolweru, ale jeśli trafią, są zabójcze. Każdy z nich naładowany jest kilkoma ładunkami. Mają też ze sobą innych specjalistów – ludzi z zakłęciami, które działają jak Talent Dźwigacza, tylko lepiej. Oni są w stanie przenosić ludzi ponad murem. Oczywiście, jeśli uda im się zbliżyć wystarczająco blisko.

Krążące na niebie kropki runęły w dół. Zagrzechotały karabinowe wystrzały. Odezwały się też ocalałe ze smoczego nalotu karabiny maszynowe. Gryfy jednak były mniejszymi, szybszymi i dużo bardziej zwinnymi celami od smoków. Janaki nalegał na przebrojenie części ludzi w szybkostrzelny Model 7, ale strzelby te miały o wiele mniejszy zasięg i teraz musieli czekać, aż gryfy znajdą się naprawdę blisko.

–Pamiętaj, regimentarzu – płonący wzrok Janakiego docierał do głębi duszy chan Skrithika, a jego dłonie ześliznęły się z ramion komendanta i chwyciły klapy jego bluzy. – Pamiętaj, to smoki mają odwrócić naszą uwagę. Nie zaryzykują nimi i nie podlecą blisko. Zbyt wiele już ich stracili. Kluczem jest tu kawaleria. Musicie powstrzymać jazdę. Jeśli ją zatrzymacie, obcy zrezygnują z ataku. Nie zechcą ponosić większych strat. Nie w takiej odległości od domu. Ale jeśli ta kawaleria się przedrze, jeśli przejdą przez mury, będzie po wszystkim. Nie wolno...

Janaki nagle urwał i równie nagle do jego oczu powróciło skupienie. Znów stały się zwykłymi, szarymi oczyma młodego mężczyzny, a nie oczyma bohatera zapomnianych legend. – To już.

Zmienił się też jego głos. On także był na powrót – niemal zupełnie – normalny. – Powodzenia, regimentarzu – powiedział i mocniej uściśnął bluzę chan Skrithika. Oczy komendanta ledwie miały czas, by się rozszerzyć, gdy Janaki szarpnął nim ku górze i zrzucił z podstawy działa. Chan Skrithik upadł tak ciężko i tak niezgrabnie, że pękła mu kość lewego przedramienia.

Ledwie jednak zauważył ból potrzaskanej ręki. Ramię paliło go żywym ogniem, ale w porównaniu do rozgrywającej się sceny wydawało się to zupełnie nieistotne.

Janaki chan Calirath nie zdążył nawet odwrócić głowy. Książę wciąż jeszcze spoglądał na chan Skrithika, gdy gryf, którego nigdy nie zobaczył fizycznym

wzrokiem, uderzył go od tyłu i zabił w jednej chwili.

Rozdział 12

Gryfy runęły na Fort Salby, niczym fala wyposażonej w pazury wściekłości, owiniętej w pióra i futra.

Broniący murów żołnierze nigdy wcześniej niczego podobnego nie widzieli. Oczywiście w ciągu dzisiejszego dnia takich rzeczy pojawiło się już wiele. Ponadto, mimo, że nigdy takich stworzeń nie widzieli, to znali ich opis od swoich oficerów, którym przekazał go książę koronny Janaki. Dzięki tym informacjom strach Sharonian przed nieznanym i zaskoczenie były o wiele mniejsze, niż gdyby potwory zaatakowały bez uprzedzenia. Rzecz jasna, sama wiedza nie zadziałała jak odpędzające strach zaklęcie, nie sprawiła, że smoki czy gryfy stały się mniej okrutne, czy bardziej naturalne.

Niemniej żadnego z obrońców Salby przerażenie nie sparaliżowało. Wszyscy oni byli wściekli.

Wiedzieli już o zdradzie w trakcie negocjacji. Wiedzieli, że książę miał rację, rozumieli, że Arkanianie musieli swoją ofensywę planować przez cały czas trwania rozmów pokojowych. Wszyscy wyciągnęli też własne wnioski na temat losu, który spotkał telepatów z dolnej części łańcucha. Zdawali sobie też sprawę, iż obcy spodziewali się, że i załogę Fortu Salby zaatakują i zmasakrują z zaskoczenia.

Pierwszy atak już rozbili. Zapłacili wysoką cenę, ale uda im się strącić te koszarne smoki z nieba. Dzięki temu zwycięstwu zrozumieli, że magiczne istoty z Arkany, mimo niezwyklego wyglądu, są śmiertelne. To wszystko sprawiło, że kiedy zaatakowały ich gryfy lecące szerokim

łukiem, by ominąć znajdujące się na zachodzie pozycje piechoty, byli przygotowani.

Na murze wykwitły płomienie z luf karabinów. Ciężkie karabiny maszynowe, które okazały się tak skuteczne przeciwko smokom, nie były odpowiednio zwrotne, by walczyć z mniejszymi, zwrotniejszymi gryfami. Karabiny także nie były najlepszą bronią do tej walki. Model 10 był dobrą bronią, ale nadal trzeba było go przeładowywać po każdym strzale, a cel zbliżał się z prędkością ponad dwustu mil na godzinę.

Gdzeniegdzie pojedyncze gryfy drgały gwałtownie w locie, gdzeniegdzie pojedyncze stworzenie odpadało od nadciągającej chmury, ale reszta leciała niewzruszenie.

Zasłony od góry, które miały chronić mury przed ogniem smoków, okazały się też częściowo skuteczne przeciwko nowemu przeciwnikowi. Niektóre z bestii rzuciły się

na worki z piaskiem, szarpiąc je i rozdzierając w próbie dostania się do ukrytych pod nimi ludzkich ciał. Inne skoczyły obrońcom prosto w twarze, przedostając się na mury szczeliną pomiędzy dachem wiaty i blankami. Jeszcze inne omijały mury, atakując załogi dział i pozbawionych ochrony żołnierzy na dziedzińcu.

Czternastocalowe bagnety zamieniły karabiny w krótkie włócznie, dźgające szaleńczo w długie na dwie stopy dzioby, które kłapały, tnąc niczym katowskie siekiery. W innych miejscach, okrutne szpony chwyciły za lufy, odtrącały broń ludzi na bok. Wszędzie słyhać było wrzask cierpiących ludzi, ludzi z rozszarpanymi trzewiami, rozdartymi gardłami, ludzi, których głowy po prostu zniknęły. Zewsząd dobiegały suche trzaski rewolwerów, rozległy się też pohukiwania strzelb, które wreszcie mogły rozpocząć swój nagły, rwany taniec. Wypluwany z ich luf gruby śrut, wbijał się w brzuchy pokrytych płową skórą zabójców. Wkrótce zaczęły krzyczeć także i gryfy. Wszystko dokoła stało się jednym, wielkim, szaleńczym morzem chaosu.

Rof chan Skrithik patrzył na gryfa, który zabił księcia. Bestia odrzuciła swój skrwawiony dziób do tyłu i zaskrzeczała tryumfalnie. Dokładnie, w tej samej chwili, z nieba uderzył opierzony piorun. Sokół Janakiego z wściekłym sykiem rzucił się prosto w pysk potwora. Potężny dziób kłapnął w powietrzu, gdy mniejszy drapieżnik wyrwał krwawe bruzdy w skórze gryfa i oślepił jedno jego oko.

Taleena odwróciła uwagę gryfa na wystarczająco długo, by chan Skrithik mógł dobyć rewolwer. Regimentarz widział krwawe ciało swojego księcia, trzymane w dzikim uścisku szponów potwora. Oficer wyszczerzył zęby w nienawistnym grymasie, jego kciuk odciągnął kurek i ciężka broń warknęła.

Gryf wydał z siebie skrzekliwy odgłos czując nowy ból. Pocisk wbił się w jego cielsko i monstrum odwróciło się, od dziobiącej Taleeny ku chan Skrithikowi. Regimentarz wystrzelił raz jeszcze. I ponownie, i znów!

Gryf padł dopiero po czwartym strzale. Oficer poczuł wtedy czyjeś ręce, które dźwigały go z ziemi.

Regimentarz zobaczył starszego zbrojnego Isię, krwawiącego z głębokiej, ciętej rany na prawym policzku. Z oczu żołnierza biła wściekłość.

–Regimentarzu! Wszystko w porządku? Nic panu nie jest?

Chan Skrithik popatrzył na Błyskacza przez dwie lub trzy, trwające całą wieczność, sekundy. W porządku? Czy kiedykolwiek coś jeszcze będzie „w porządku”? Z trudem oderwał oczy od Isii i – czując jak palą go niewylane łzy – spojrzął na leżącego u jego stóp, martwego, młodego człowieka. Po chwili, zebrał się w sobie. Książę oddał życie po to, by móc wydać mu ostatnie rozkazy. Otrząsnął się. – Wiadomość! – warknął do

Isii. – Tak jest!

Isia wyciągnął notes i przytrzymał go nieco z boku, nie chcąc zakrwawić papieru.

–Chcę mieć podkapitana chan Notha pod południowowschodnią wieżą – i to już! Ma za wszelką cenę utrzymać tam mur! – Tak jest, regimentarzu!

Isia, gwałtownym ruchem ołówka, wyciął kartkę z notatnika i wcisnął pospiesznie zapisane rozkazy do zasobnika. Błysnął go w chwilę potem.

–Wiadomość do Słonecznego Lorda Markana – ciągnął bez chwili przerwy chan Skrithik. – Pisz: „Spodziewany silny atak kawalerii z południowego-wschodu. Spodziewane miotacze ognia. Kluczowe jest powstrzymanie nieprzyjaciela przed dotarciem do murów z wybuchowymi zakłębami.”

Zastanowił się, czy nie trzeba wydać jakichś bardziej szczegółowych dyspozycji, ale nie było takiej potrzeby. Może i Markan był Uromathianinem, ale był też mądrym i doświadczonym żołnierzem. Będzie wiedział, co trzeba zrobić.

Isia Błysnął także i tę wiadomość, a potem wziął do ręki rewolwer chan

Skrithika i szybko przeładował go dla swojego dowódcy, który mógł posługiwać się tylko jedną ręką. Regimentarz podziękował mu z roztargnieniem, wsunął broń do kabury i ruszył schodami w dół murów. Nie podobało mu się, że musi opuścić tak dobry punkt obserwacyjny. Tak samo bardzo nie podobało mu się, że w jakiś sposób porzuca właśnie swojego księcia. Niemniej, po śmierci Janakiego musiał się dostać do chan Forcała.

Wskutek ruchu przesunęły się strzaskane kości w lewym przedramieniu oficera. Fizyczny ból przyjął niemal z radością, jako coś, co pomogło mu odwrócić uwagę od cierpienia targającego jego duszą. Nie mógł sobie jednak pozwolić, by rozpraszało go cokolwiek. Zmusił się, więc, by nie myśleć o sobie, przytrzymał lewą rękę prawą, by przynajmniej, choć trochę zmniejszyć spazmy i starał się nie myśleć, co mogło się stać z jego przedramieniem, gdyby spadł z muru, z którego teraz schodził o wiele szybciej, niż było to rozsądne.

Zewsząd dolatywały go krzyki, wystrzały z karabinów, strzelb i pistoletów. Z murów spadały ludzkie ciała i ich poszatkiwane fragmenty. Z nieba lała się krew i spływały pióra. Gryfy – w większości martwe, lecz niektóre tylko ranne i o wiele przez to groźniejsze – zaścielały dziedziniec fortu.

Chan Skrithik puścił swoją lewą rękę i ponownie sięgnął po rewolwer. Razem z Isią opuścili dziedziniec. Raz czy dwa kłapnął w ich stronę skrwawiony dziób i raz czy dwa ciężki rewolwer warknął w dłoni oficera.

Po chwili, przed sobą, regimentarz zobaczył kapitana Mesaiona. Nowofarnaliański oficer przyszedł do rozmieszczonych na ziemi gniazd artyleryjskich. Dalekowidz był razem z nim.

–Rozumiem, co powiedział Jego Wysokość, regimentarzu – zaprotestował Wesiar chan Forcal. – A przynajmniej próbuję. Ale oni po prostu, cholera, zniknęli i nie jestem teraz w sta...

Dalekowidz urwał. Przez mgnienie wpatrywał się jakby w coś odległego, z niemal zaskoczonym wyrazem twarzy. Po chwili, na powrót skupił spojrzenie.

–Dobra, już ich widzę – powiedział dziwnie płaskim, bezbarwnym głosem. – Sztandar też widzę. Na bogów, te ich konie są naprawdę, kurewsko wielkie!

–Pieprzyć rozmiary! – syknął Lorvam Mesaion. – Daj mi namiar!

–Tak jest!

Chan Forcal raz jeszcze zamknął oczy i skupił się na obrazach podsuwanych mu przez Talent. Dalekowidze byli kluczowi w kierowaniu ogniem artylerii; zdolności chan Forcala były jednak szczególnego rodzaju i kapitan Mesaion nigdy bardziej nie cieszył się z tego, że starszy zbrojny został oddelegowany akurat do Fortu Salby. Było to dość niezwykle, dlatego, że ludzi z Talentem chan Forcala – z wróżebnym Dalekowidzeniem – częściej porywała w swoje szpony marynarka wojenna. Ten Talent umożliwiał – dzięki połączeniu z Talentem Prekognicji – przewidywanie przyszłej pozycji ruchomego celu.

–Sześć tysięcy jardów! – powiedział nagle ostrym głosem chan Forcal. – Jeden siedem trzy stopni. Dwie minuty. – Sześć tysięcy jardów! – ryknął

Mesaion. – Jeden siedem trzy stopni. Ruszać się, przekłęci! – Trębacz! – Tak jest? – Zagraj „Kłusem!” – Tak jest!

Pięćsetnik Urlan usłyszał nagłące, złote dźwięki wylatujące z trąbki żołnierza. Siódmy Zydor puścił się naprzód kłusem. Być może ich wierzchowce były rzeczywiście wolniejsze od jednorożców, lecz mimo swej wielkości zwierzęta i tak były szybsze niż zwykle, nieulepszane magicznie konie. Niemniej, do przebycia zostało im jeszcze ponad trzy mile. – Trębacz, graj „Cwałem!”

–Teraz! – krzyknął chan Forcal i siedem czteroipółcalowych móżdżerzy zakaszłało jednocześnie. Nie było żadnego ostrzeżenia.

W jednej sekundzie Siódmy Zydor Ciężkich Dragonów mknął z hukiem naprzód, przyspieszając właśnie do cwału, pod osłoną maskującego Lśnienia – w następnej, pioruny spadły na nich prosto z nieba, bez najmniejszego uprzedzenia.

Gdy pociski z moździerzy zaczęły wybuchać, pięćsetnik Urlan paskudnie zaklął. Eksplozje skupiły się wokół jego sztandaru z tak okrutną precyzją, że oficer pomyślał, iż wiara w demony nie musi być koniecznie jedynie przesądem. Spieczona słońcem, skalista ziemia pod końskimi kopytami była niemal tak twarda jak bruk, przez co nic nie było w stanie absorbować energii eksplozji... ani energii, ani zabójczych, wirujących odłamków, które fruwały na wszystkie strony. Rozległo się rżenie koni, słychać było ludzkie krzyki. Rozżarzone do białości kawałki stali wbijały się w ciała i gruchotały kości. Padło sześć potężnych rumaków, krzyczały przy tym niczym torturowane kobiety, czując jak pękają kości ich nóg, lub jak otwierają się ich – rozcięte niby nożem – brzuchy.

–Rozproszyc się! Szerzej, szerzej! – zagrzmiął Urlan. Raz jeszcze zagrały złotem dźwięki trąbki i jego ludzie odpowiedzieli w sposób godny elitarnym żołnierzom, którymi wszak byli. Otworzyli swój szyk, rozproszyli się, by uniknąć skoncentrowanego ostrzału. Urlan uważnie obserwował otoczenie.

Niezbyt duża szerokość doliny nie pozwalała im rozciągnąć formacji tak bardzo, jak by sobie tego życzył, ale przynajmniej nie jechali już teraz kolano w kolano. Kolejne eksplozje przerzedziły szeregi kawalerzystów i oficer raz jeszcze wyszczerzył wściekle zęby. Chwilę temu odpowiedzialny za podtrzymanie Lśnienia półsetnik spadł ze swego rumaka.

–Tam są! – warknął Lorash chan Braikal.

Nie miał pojęcia, jak się to Arkanianom udało. Niemniej, bydlaki latali przecież na smokach, więc dlaczego niby nie mogli mieć czapek-niewidek?

Ta myśl przemknęła gdzieś w zakamarkach jego umysłu. Bez względu jednak na to, do jakiego podstępu uciekliby się obcy, nie mogli oszukać Dalekowidza służącego w kompanii kapitana Mesaiona. Wykwitające pomiędzy nacierającymi kawalerzystami wybuchy, przypominały płomieniste kapelusze muchomorów. Chan Braikal widział olbrzymie wierzchowce padające na ziemię, zrzucające i tratujące swoich jeźdźców.

„A mimo to nie ginie ich wcale tak wielu, jak bym sobie tego życzył” – pomyślał chmurnie. – „Na Vothana! Te stwory muszą być naprawdę twarde!”

Teraz strzelały już także haubice. Ich lżejsze pociski spadały pomiędzy ciężkimi ładunkami moździerzy. Niemniej, strzelając z niecałego tuzina sztuk, nie byli w stanie powstrzymać szarży rozwścieczonych kawalerzystów.

–Karabiny! – krzyknął, widząc, że obcy są coraz bliżej i zaklekotały wystrzały z luf karabinów Model 10.

Na ziemię padały kolejne konie kawalerzystów Urlana. Sharonianie otworzyli ogień z tych swoich zabójczych „karabinów”, z którymi stali na murach. Dane z kryształu

rozpoznawczego w jednym przynajmniej okazały się dokładne. Wieża, która chroniła ich cel wciąż stała w płomieniach, a ponadto obcy nie byli w stanie osiągnąć ich pod murem żadnym ze swoich karabinów maszynowych, ani też innym, piekielnym rodzajem broni. Ogień karabinowy jest co prawda zabójczy, ale... – Ognia!

Słoneczny Lord Markan usłyszał krzyk młodego kawalerzysty i kompania spiesznej jazdy, którą zebrał z okopów na zachód od Fortu Salby, wybiegła zza załomu muru.

Po tak forsownym biegu nie można się było po nich spodziewać zbyt dużej celności, co więcej po drodze stracili, co najmniej dziesięciu lub dwunastu ludzi, których zabiły zbłąkane, rozszalałe orłolwy. A jednak nawet chaotyczny ostrzał ze stu dwudziestu karabinów musiał zwrócić na siebie uwagę przeciwnika.

„No tak, tylko czy” – pomyślał Markan – „ściągnięcie na siebie uwagi ciężkiej kawalerii, kiedy atakuje się trzy lub cztery razy słabszym liczebnie, rozproszonym oddziałem piechurów i to na otwartym polu...” – Matko Jambakol!

Pięćsetnik Urlan wypluł z siebie wulgarne przekleństwo. Odezwały się kolejne karabiny, tym razem bijące z ziemi. Odwrócił się gwałtownie i zmrużył oczy na widok sharoniańskiej piechoty. Strzelali wściekle raz po raz, choć nawet w przybliżeniu nie tak dokładnie, jak załoga murów.

Przez chwilę Urlan rozważał, czy nie powinien ich rozproszyć uderzeniem kompanii kawalerii, ale szybko odrzucił ten pomysł. Tamci nie trafiali jego ludzi, a kiedy już wreszcie sami dotrą pod mury fortu, będą chronieni także przed ostrzałem nowego przeciwnika. Podczas ewentualnej szarży straciłby więcej ludzi, niż przy dalszym biegu pod dające bezpieczeństwo mury.

Starszy zbrojny chan Braikal przyglądał się Arkanianom, padającym pod precyzyjnie prowadzonym ogniem żołnierzy z jego plutonu. Moździerze przez cały czas siekły szeregi nacierających, ale i to nie wystarczało, do zatrzymania ich przed murami. Co gorsza, obcy już za chwilę mieli się znaleźć poza zasięgiem skutecznego ognia moździerzy. Piechota Morska też nie kładła trupem tylu przeciwników, ilu powinna. Zastanowił się, czy ten brak dokładności wynikał ze strachu czy ze zwiększonej zawartości adrenaliny? A może te dranie stosowały jakieś czary ochronne? Nie takie, które czyniły ich niewidzialnymi, ale coś, co w jakiś sposób odwracało kule?

Nie znał odpowiedzi na te pytania, ale nie to było w tej chwili najważniejsze. Dużo bardziej liczyło się, że co najmniej część obcych mimo wszystko dotrze pod mury, a książę Janaki i regimentarz chan Skrithik byli przekonani, że chan Braikal nie pozwoli im wdrzeć się do Fortu Salby. – Chan Yaran!

– Tak, starszy? – odezwał się natychmiast młodszy zbrojny Rokai chan Yaran, awansowany ledwie dwa tygodnie temu. – Przygotujcie drużynę z granatami! – Tak

jest, starszy!

Wietrzny Lord Garsal nagle stał się, najstarszym stopniem oficerem piechoty i artylerii strzegących zachodniego podejścia do Fortu Salby. Ten zaszczyt, jak się wkrótce przekonał, nie był czymś, co mu się szczególnie podobało. Niemniej, niestety, nie było już wyjścia.

Podjęta przez Słonecznego Lorda Markana decyzja, by osobiście poprowadzić ostatnią kompanię, którą trzymali dotąd w ścisłej rezerwie, wydawała się, co najmniej, lekko straceńcza. Niemniej posłusznie wykonał rozkazy przełożonego i przydzielony mu Błyskacz wysłał polecenie, które oderwało od wyznaczonych pozycji cały batalion i posłało żołnierzy pędem za Markanem, przez naga, pyłącą ziemię.

Wskutek tego Garsalowi został do rozwikłania już tylko niewielki problem z tym, co wyglądało na, co najmniej dwustu, lub trzystu, szarżujących wprost na niego dragonów.

„I to ma być jedynie atak odwracający uwagę? Tak?”

Gdy ta myśl pojawiła się w jego umyśle, po raz pierwszy w życiu poczuł głęboką, żarliwą nadzieję, że wszystkie opowieści i legendy dotyczące Talentu Calirathów były najzupełniej prawdziwe. Bo jeśli nie... Przyglądał się nacierającym kawalerzystom z Arkany i nagle pomyślał coś jeszcze:

„Być może to rzeczywiście jest tylko odwrócenie uwagi. Założę się, że tak. Gdyby to miał być poważny atak, przyszliby wcześniej po tych ich orłolwach. Wygląda jednak na to, że nie mieli pojęcia, jak daleko nosi nasza artyleria.”

Spojrzał na krążące w powietrzu, rysujące na niebie skomplikowane wzory, smoki. Uśmiechnął się zimno i dziko. Pod chmurami panowało zamieszanie, ale bestie nie zbliżały się tak szybko, jak się wydawało. Odwrócił się do Błyskacza.

–Wiadomość do artylerii. Ładować szrapnelami... ale nie odpalać lontów, póki nie wydam rozkazu otwarcia ognia.

Pierwsi z dragonów Pięćsetnika Uurlana dotarli wreszcie do podnóża fortecy. Żołnierze, będący jeszcze odpowiednio daleko z tyłu, odchyłili się w siodłach i odpalili swoje przerobione smoki piechoty, śląc na mury kule nieznośnego żaru. Jakiś Sharonianin, który wychylił się by strzelać, wrzasnął przeraźliwie i spadł z muru, ciągnąc za sobą ślad z dymu i płomieni, niczym ludzki meteor. Jego towarzysze cofnęli się, chroniąc przed popielącymi wszystko, wściekłymi płomieniami. Pozostali jednak nadal czekali.

Uurlan zobaczył niewielkie, spadające na nich z góry, przedmioty. Poczuł jak żołądek ściska mu się w ciasny węzeł. Nie wiedział jeszcze, czym jest to nowe diabelstwo, ale

był pewien, że zaraz się przekona.

Chan Braikal usłyszał eksplozje granatów ręcznych nawet pośród ogłuszającego bitewnego zgiełku. Jego uszu doleciały także, dobiegające z dołu pod murem, krzyki i w oczach oficera pojawił się błysk lodowatej satysfakcji. Bydlaki podeszli zbyt blisko dla artylerii, ale dla granatów chan Yarana niewielka odległość nie stanowiła żadnego problemu. A mimo to, wraz z ich wybuchami, z dołu zaczęły się wzbijać kolejne fale wściekłych płomieni.

Spojrzał wzdłuż muru i zastanowił się, czy ma jeszcze brwi. Zobaczył lecące... czymkolwiek do cholery to było i zaklął z zaskakującą finezją. To, na co patrzył przypominało latające łodzie, ciągnięte na sznurach przez wielkie konie. Bez względu jednak na to, jak się nazywały, unosiły się w powietrzu wyżej, niż sięgały mury Fortu Salby. Co gorsza, całe wypchane były Arkanianami, z których co najmniej niektórzy wyposażeni byli we własne miotacze ognia.

Jego ludzie mieli oczywiście przewagę lepszego ukrycia i skuteczniejszej osłony. Cegły i zaprawa, z których wzniesiono fort, już przedtem okazały się niemal stuprocentowo skuteczne przeciwko ciskanym przez obcych ognistym kulom. A mózdzierze wciąż jeszcze były w stanie ostrzeliwać ciągnące te łodzie rumaki. Niestety, podległych chan Braikalowi obrońców było około dziesięć razy mniej niż przeciwników, a gdy któraś z ognistych kul mimo wszystko dosięgała murów, zabijała naraz czterech lub pięciu ludzi. Chan Yaran ze swoją drużyną nadal przrzucali przez blanki swoje granaty, tak szybko, jak szybko byli w stanie wyciągać zawlecзки. Inna z drużyn chan Braikala zajęta była osłanianiem grenadierów. Do dyspozycji pozostawały mu tylko trzy drużyny – nieco poniżej trzydziestu ludzi. Trzydziestu ludzi, którzy mieli odeprzeć atak około dziewięciuset Arkanian w ich latających łodziach.

W takich warunkach zwycięstwo mogło przyjść z trudem. Nawet weteranom Imperialnej Piechoty Morskiej.

Pięćsetnik Urlan wykrzywił twarz w zadowoleniu. Kompania C dotarła wreszcie na miejsce wraz z oddziałami szturmowymi piechoty.

Jego dwie, atakujące na czele, kompanie straciły już, co najmniej trzydzieści procent składu. Niemniej udało im się, w znacznym stopniu ograniczyć prowadzony przez obrońców fortu ogień. Z kolei, teraz siły Kilirona – również ponosząc poważne straty – zdołały dostać się na tyle blisko Salby, że przed ostrzałem sharoniańskiej artylerii chroniła ich wysokość samego muru. To oznaczało, że nadszedł czas, by piechota przejęła pałeczkę!

Chan Braikal poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu. Obejrzał się i zobaczył błękitne oczy młodszego kapitana Tarkela chan Notha.

–Jak bardzo źle, starszy?! – krzyknął chan Noth prosto w uszy żołnierza, wskazując palcem w dół, na drugą stronę muru. – Wydaje mi się, że pierwszą grupę tych drani udało nam się przyszpilić – przynajmniej na jakiś czas! – odkrzyknął chan Braikal i wskazał z kolei na zbliżające się „powietrzne łodzie”, z których ogień stawał się coraz bardziej dotkliwy. Chan Noth skulił się, gdy ognista kula eksplodowała na wprost niego, tuż pod krawędzią muru.

–Ale jeśli nie powstrzymamy tych tam, to mamy przejebane! – dodał chan Braikal... zupełnie zresztą niepotrzebnie, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

Chan Braikal odwrócił głowę i zobaczył potrójną sekcję karabinów maszynowych Faraika I. Żołnierze w niezwykłym pośpiechu szykowali je do otwarcia ognia.

–Matko Jambakol! – warknął Urlan, słysząc ponownie wyraźny, przenikliwy grzechot czekających gdzieś ponad nim, przeklętych, sharoniańskich „karabinów maszynowych”. Obejrzał się akurat w porę, by zobaczyć jak z dwóch najbliższych transportowców piechoty sypią się drzazgi. Obrońcy fortu zasypywali je pociskami. Po chwili, zniecacka, jeden z nich runął na ziemię. Sharonianie trafili albo Obdarzonego inżyniera kontrolującego lot, albo sam zasobnik z zakłęciami.

Chwilę potem spadł drugi z transportowców. Dowódca kawalerii rozejrzał się szybko dokoła i gdy zobaczył to, czego szukał, zakrzyknął: – Półsetniku Rahndar! Ciemnowłosa Dowodzący Pięćdziesięcioma z naszywką zdradzającą korpus inżynierski usłyszał swoje nazwisko i obrócił się gwałtownie na pięcie.

–Tak jest!

–Zróbcie mi tu cholernie wielką dziurę, półsetniku – warknął Urlan wskazując palcem mur fortu – i to, kurwa, już!

Rahndar rzucił zaniepokojone spojrzenie na mur, z którego wciąż spadały te piekielne, wybuchające urządzenia i głośno przełknął ślinę. Najwyraźniej jednak myśli o śmierci od odłamków żelaza była i tak przyjemniejsza od wyrazu twarzy Urlana. – Tak jest!

Półsetnik zawrócił konia i krzykami zwołał resztę swojej drużyny inżynierskiej.

Chan Braikal zaczynał właśnie czuć pierwsze oznaki ostrożnego optymizmu, lecz dokładnie w tej samej chwili świat oszalał.

To nawet nie był wybuch. Żeby zasłużyć na tę nazwę zjawisko było stanowczo zbyt ciche. Nie towarzyszył mu żaden błysk ani huk. Po prostu, w pewnym momencie, skały i cegły muru zdrząły. Dźwięk, który powinien być grzmotem eksplozji, zabrzmiał raczej jak trzask pękającego mroźną, zimową nocą zlodowaciałego pnia.

Bez względu jednak na dźwięk, siła wstrząsu była tak wielka, że cały Fort Salby zadrżał w posadach. Szeroki u podstawy, na co najmniej osiem stóp fragment muru po prostu zniknął. Rozleciał się na kawałki i spadł w dół ulewą zaprawy, skały i ludzi. Otworzyła się w nim szczelina o kształcie klina, sięgająca wzwyż do samych blanek. U szczytu liczyła sobie ponad czterdzieści stóp szerokości.

Razem z murem zniknęły dwa z karabinów maszynowych chan Notha... i młodszy zbrojny chan Yaran wraz ze swymi grenadierami. Połowa plutonu chan Braikala przestała istnieć w jednej chwili. Ci, którzy przeżyli, nie mogli wyjść z szoku doznanego wskutek nagłego kataklizmu.

Żołnierze chan Notha nie ucierpieli aż tak bardzo, ale oni wciąż jeszcze organizowali się na nowych pozycjach. Przez chwilę stali zupełnie zdezorientowani. Przestali strzelać.

–Teraz! – zahuczał Gyras Urlan, gdy zorientował się, że ogień obrońców zamilkł. – Już! Jazda, jazda, do cholery!

Młody Rahndar sprawił się dobrze. Niefortunnie dla siebie samego sprawił się, aż nazbyt dobrze. Sam, wraz z większością inżynierów ze swojej sekcji – oraz kolejnych dwudziestu żołnierzy Urlana – poległ pod gruzami rozpadającego się muru. Niestety, owszem, ale nikt przecież nie był w stanie kontrolować spadających odłamków skał, a śmierć żołnierzy przyniosła za sobą taką korzyść, że wreszcie w murze Salby pojawiła się wyrwa.

Połowa z ocalałych do tej pory ludzi Urlana zeskoczyło z koni. Sięgnęli po miecze, sztyletnie i smoki piechoty i rzucili się przez strzaskany mur naprzód, prosto w kłębiącą się chmurę pyłu i dymów, wznosząc przy tym głośnie zawołanie bojowe Siódmego Zydoru. Lorash chan Braikal spojrział w dół, w nagle powstałą wyrwę i opanował drżenie nóg. Mimo swej szerokości, szczelina była zasypana gruzem, który wznosił się do poziomu, co najmniej jednej trzeciej początkowej wysokości muru. Niestety, spora część skał spadła na zewnątrz, tworząc w miarę wygodną rampę. Rampę, na której zobaczył rojących się Arkanian w kawaleryjskich butach, napierśnikach i hełmach. Co najmniej połowa z nich niosła ze sobą połyskliwe rury miotaczy ognia. Chan Braikal gniewnie warknął.

Wyszarpnął zawleczkę ze swojego ostatniego granatu i cisnął go w wyrwę. Po to tylko, by ujrzeć jak granat stacza się w pustą kieszeń pomiędzy wielkimi odłamkami skały, które pochłonęły większą część energii wybuchu, i odłamki zabiły jedynie trzech lub czterech obcych. Tymczasem wciąż nadchodzili kolejni. Tuż obok niego świsnęła w powietrzu ognista kula.

Chan Braikal wystrzelił z karabinu. Raz i jeszcze raz. Strzelał, póki nie opróżnił magazynka. Sięgnął po następny, ale nie został mu już ani jeden. Zaklął jadowicie,

przerzucił nogi przez krawędź potrzaskanego muru i ześliznął się z wyciągniętym przed siebie bagnetem naprzód, wprost w kurz i dym.

Pięćsetnik Urlan rozejrzył się za swoim trębaczem, ale żołnierz leżał martwy, bez połowy głowy oraz bez trąbki. Nie miał jak przekazać rozkazów kompanii C. Oni powinni już tu być. Urlan miał ochotę przekląć ich tchórzliwego dowódcę. To jednak nie byłoby uczciwe i Urlan zdawał sobie z tego sprawę. Orkał Kiliron nie był tchórzem, rozumiał po prostu jak istotni są

Obdarzeni inżynierowie, prowadzący transportowce piechoty. Co prawda, ostrzał z muru na wprost pozycji Urlana znacznie już osłabł, ale za to z boków odzywało się coraz więcej karabinów. Zwykłych i maszynowych. Dym i kurz wiszące od katastrofy muru, uniemożliwiały obcym dokładne celowanie, niemniej na ziemię runęły kolejne dwa, pełne ludzi, pojazdy.

Gdyby Urlan był na miejscu Kilirona także z pewnością założyłby, że obrona muru nie została przełamana i tak samo rozpoczęłyby odwrót.

Pięćsetnik odwrócił się i złapał najbliższego, wciąż jeszcze siedzącego na koniu żołnierza. Jeździec odwrócił się, wyraźnie zaskoczony.

– Tak, pięćsetniku? – zapytał i Urlan potrząsnął nim mocniej. – Zabieraj dupę z powrotem! Odszukaj setnika Kilirona i przekaż mu, że potrzebujemy jego ludzi tutaj. I to, kurwa, już!

Chan Braikal dotarł na dno wyłomu. Jego buty ślizgały się w głębokim po kostki gruzie. Podniósł wzrok i zobaczył, że stoi twarzą w twarz z arkaniańskim kawalerzystą.

Arkanianin, najwyraźniej zaskoczony, wycofał się o krok, ale po chwili zamachnął się ręką. Coś w niej trzymał. Chan Braikal nie miał pojęcia, co to jest, ale pamiętał, co obcy pokazali do tej pory i postanowił nie czekać, aż boleśnie się przekona. Przeciwnik wciąż jeszcze mierzył ze swojego przedmiotu, gdy czternastocalowy bagnet z hartowanej stali uderzył tuż ponad jego ochronnym napierśnikiem i rozplątał mu gardło.

Chan Braikal przycisnął ciało martwego do ziemi ciężkim, wojskowym butem, wyszarpnął z niego ostrze i odwrócił się w poszukiwaniu kolejnego wroga.

Do walki rzucali się coraz to kolejni Sharonianie. Beładnie, bez żadnego podziału na jednostki. Gruz roztrzaskanego muru pogrzebał pod sobą w obrębie fortu, co najmniej sześćdziesięciu ludzi. Kolejnych czterdziestu lub pięćdziesięciu runęło wraz z nim z wysokości. Najcięższe straty poniósł pluton walczący najbliżej, a niektórzy z tych, którzy przeżyli, byli albo zbyt oszołomieni, lub w zbyt ciężkim szoku, by walczyć.

Inni jednak zachowywali się jak Lorash chan Braikal. Nie czekali na rozkazy, nie przejmowali się tym, gdzie walczą ich towarzysze z plutonu czy drużyny. Rzucali się na szarżujących Arkanian z karabinami, pistoletami, bagnetami, kamieniami, a nawet z gołymi rękami. W wyłomie rozgorzała walka wręcz.

Obrońcy bronili się tak zajadle, że Urlan ledwie dowierzał własnym oczom. Zwykła przewaga dystansu, jaką dzięki karabinom mieli nad nimi Sharonianie, tutaj była zupełnie bez znaczenia. W wąskich przejściach między załomami dużo bardziej śmiercionośne okazały się smoki piechoty i sztyletnie używane przez jego żołnierzy... a raczej okazałyby się, gdyby Arkanianie mieli choć trochę miejsca by ich użyć. Sharonianie atakowali prosto na nich, zdecydowanie, podchodzili zbyt blisko, by móc użyć choćby i sztyletni nie ryzykując własnego życia. Żołnierze, którzy zaatakowali fort ze smokami piechoty w rękach, musieli je teraz porzucić i sięgnęli po szable, by bronić się przed szaleńcami szarżującymi z długimi nożami zamontowanymi na karabinowych lufach. Niestety też, w odróżnieniu od Arkanian, Sharonianie mieli ze sobą pistolety, z których mogli korzystać nie narażając przy tym samych siebie.

Obrońcom udało się już niemal wyprzeć jego kawalerzystów z wyłomu, gdy, obok Urlana przemknął oddział piechoty. Pięćsetnik rozejrzał się i zrozumiał, że Kiliron zrezygnował z desantu z transportowców na mury i posadził je na ziemi – przynajmniej część z nich – i pchnął swych żołnierzy do ataku na własnych nogach. – Tak! – huknął Urlan, gdy atak na

Sharonian, wzmocniony nowymi ludźmi i bronią, odepchnął ich do tyłu. – Tak!!! Chan Braikal zatoczył się w tył.

Kawalerzyści wreszcie zaczęli się cofać, ale teraz pod murem pojawili się obcy, w butach i z ekwipunkiem piechurów. Pozbawione organizacji, nierówne szeregi Sharonian broniły się z uporem, ale w tego rodzaju zabawie arkaniańska piechota okazała się dużo sprawniejsza niż ich kawaleryjscy towarzysze. Poszli do ataku w uporządkowanym szyku i tym razem udało im się utrzymać wystarczający dystans od obrońców, by mogli użyć swoich magicznych broni.

Blaski wybuchających płomieni i oślepiające błyskawice wypełniły wyrwę w murze. Zaklęcia kaleczyły i podpalały.

Chan Braikal rzucił się na ziemię widząc obcego, który mierzył do niego ze sztyletni. Wykonany w ostatniej chwili unik uratował go przed bezpośrednim trafieniem, ale zahaczyła go krawędź błyskawicy. Fala uderzeniowa cisnęła nim na gruz, na potrzaskane skały. Stoczył się po nich, żywy, lecz nieprzytomny.

Pięćsetnik Urlan obserwował piechotę, która niepowstrzymanie parła w głąb wyrwy i wsunął rękę do wiszącej przy siodle torby, szukając kryształu z zaklęciem flary

sygnalizacyjnej. Uniósł skałkę i uruchomił czar. W górę pomknęła pojedyncza, zielona flara oznajmiająca sukces jego ludzi.

Półsetnik Fahrlo ujrzał jaśniejącą, zieloną flarę wzlatującą w niebo łukiem z przeciwległej strony oblężonego fortu.

Spodziewał się, że ujrzy ją wcześniej, ale w tym wypadku powiedzenie mówiące, iż lepiej późno niż wcale zachowywało swą pełną moc. Rzucił okiem przez ramię, by upewnić się, że smok transportowy, któremu wyznaczono rolę gońca, leci już w kierunku portalu niosąc pomyślne wiadomości, po czym na powrót spojrzął przed siebie i skupił się na oczekujących go zadaniach.

Teraz, gdy Urlan był już w forcie, skupienie uwagi Sharonian na powietrznej demonstracji siły stało się ważniejsze, niż kiedykolwiek. Tym razem, jeśli nie liczyć wystrzelonego z rzadka pocisku karabinowego, nikt ich nie atakował. Fahrlo nie miał zamiaru pozwolić, by to się zmieniło. Wiedział też jednak, że gdyby to on był na miejscu Sharonian, rozglądałby się za wszystkimi możliwymi posiłkami, które mogłyby pomóc w odparciu arkaniańskiej piechoty. Nadal, więc należało utrzymywać ich w szachu.

Wietrzny Lord Garsal zmrużył oczy i spojrzął na smoki, które cały czas tańczyły na niebie swój zawiły taniec. Zbliżały się.

„Wy naprawdę nie macie pojęcia, jaki mamy zasięg, prawda?” – pomyślał chłodno. – „A przynajmniej jaki jest zasięg broni SZZP” – poprawił się, ponieważ jego kawaleryjska artyleryjska miała mniejszą donośność i miotała lżejsze pociski, niż ciężkie działa rozmieszczone w Forcie Salby. Oczywiście to, do jakiej organizacji militarnej formalnie należało uzbrojenie, nie miało w tej chwili większego znaczenia. Teraz to on nim dowodził. Pozwolił latającym bestiom zmniejszyć dystans do dziewięciu tysięcy jardów i skinął głową swemu Błyskaczowi. – Teraz – powiedział cicho.

Potem Fahrlo zrozumiał, że ocalał tylko dzięki jednemu czynnikowi. Mianowicie dzięki temu, że Sharonianie nie dysponowali zbyt wieloma działami i karabinami maszynowymi. Koszmarna porażka, jakiej doświadczyły smoki bojowe w swoim pierwszym nalocie na fort, przepelniła go głębokim szacunkiem dla niszczycielskiej siły mechanicznej broni obcych. Tym niemniej, zupełnie nie był przygotowany na chmurki czarnego dymu, które z nagłą zaczęły wykwitać w powietrzu obok niego. Przez chwilę nie miał pojęcia, co się dzieje – potem jednak dotarło do niego, że właśnie obserwuje atak kolejnej z diabelskich maszyn Sharonian.

Nowa broń, którą zaczęli do niego strzelać eksplodowała w locie, jej pociski zmieniały się w niewielkie, lecz śmiertelne obłoczki odłamków. Każda z tych „chmurek” tworzyła wokół siebie niosący zagładę stożek, wycinając kolejne smoki z

jego oddziału.

Wskutek pierwszej salwy na ziemię runęło sześć transportowców. Trzy kolejne odniosły rany. Pozostali piloci, niemal natychmiast zareagowali zgodnie z instrukcjami, które otrzymali przed startem do walki. Ich smoki zatoczyły koło i zawróciły, cały czas ścigane tymi, niewinnie wyglądającymi, czarnymi obłoczkami.

Zanim udało im się oddalić na bezpieczną odległość, z nieba spadło jeszcze pięć kolejnych zwierząt. Dowodzący Pięćdziesięcioma Fahrlo zaklął gorzko i nienawistnie. Siły Powietrzne poniosły właśnie kolejną, druzgocącą klęskę.

Pięćsetnik Urgan nie miał możliwości, by dowiedzieć się, co stało się z markującymi atak smokami. Szczerze mówiąc, nie myślał o nich wcale. Jego żołnierze parli naprzód.

Nie chciał też zastanawiać się nad stratami, jakie Siódmy Zydor poniósł, doprowadzając piechotę pod mury fortu. Jeżeli jednak dzięki tej ofierze zdobędą Salby, krew poległych nie pójdzie na marne. A zaczynało wyglądać na to, że...

Karabinowa kula uderzyła go tuż za lewym uchem. Zginął natychmiast. – Dowalić im!

Gdyby Słoneczny Lord Markan zatrzymał się na chwilę i zastanowił, mógłby poczuć się nieco śmiesznie wymachując mieczem na środku nowoczesnego pola walki, by nakazać atak swoim podkomendnym. A może właśnie nie. Przeciwnicy, z którymi zmagali się na owym „nowoczesnym polu walki”, także posługiwali się pokaźną ilością mieczy. Używali również kuszy i sztyletów. A ponadto przyprowadzili ze sobą także smoki, miotacze ognistych kul i tylko bogowie wiedzą, co jeszcze.

Podobne rozważania nie miały jednak w tej chwili najmniejszego sensu. Markan prowadził właśnie do ataku cały batalion spiesznej, elitarnej, uromathiańskiej kawalerii, wprost w bok Arkanian.

Obcy starali się stawić czoła nowemu zagrożeniu, lecz Uromathianie wynurzyli się spomiędzy obłoków dymu i pyłu niczym duchy. Ta część muru, która wcześniej chroniła atakujących przed ogniem żołnierzy Markana, teraz z kolei umożliwiła bezpieczne podejście sharoniańskim posiłkom. Nikt z Arkanian nie podejrzewał nawet ich obecności... do momentu, gdy wypadli zza muru i otworzyli ogień. Teraz strzelali już równymi, dobrze wymierzonymi salwami wprost w swych wrogów i tego już, dla potwornie wyczerpanych dotychczasową bitwą arkaniańskich kawalerzystów, było za dużo.

Ci, którzy siedzieli jeszcze w siodłach, zawrócili i pogalopowali do tyłu. W ich

ślady poszła także większość tych, którzy walczyli już na ziemi. Z kolei piechota,

która parła w głąb zniszczonego muru, liczebnie przewyższała Uromathian, co najmniej dwukrotnie, ale gdy poczuli na swoich bokach grzmiące salwy zachodzących ich z flanki Sharonian, odnieśli zupełnie odmienne wrażenie.

Arkanianie zaczęli się cofać. W tej samej chwili, z wyłomu poszedł zmasowany kontratak. Nie były to już zdeorganizowane grupki żołnierzy, którzy szli na wroga kierując się wyłącznie instynktem. Ten atak prowadziły dwie, zdyscyplinowane, kompanie piechoty Zarządu Portali. Żołnierze SZZP biegli z karabinami, strzelbami i granatami. To okazało się zbyt silnym ciosem.

Wszyscy, którzy mogli rzucili się do ucieczki. Ci, którzy nie byli w stanie zbiec, rzucali broń na ziemię i podnosili ręce do góry. Poddawali się.

Rozdział 13

Jurkan Darshu, Słoneczny Lord Markan, zszedł ostrożnie po niepewnym, ustępującym pod stopami nasypie z gruzu, który przez wyrwę we wschodnim murze wpadł na dziedziniec Fortu Salby. Łatwiej oczywiście byłoby wejść przez bramę, ale brama znajdowała się po przeciwległej stronie fortu i żadna siła nie zmusiłaby go, w tej chwili do przejścia pieszo całej tej drogi tylko po to, by skorzystać z bardziej reprezentacyjnej drogi.

Zostawił wreszcie zakurzoną rampę za sobą i rozejrzał się, cały czas czując niedowierzanie. Nadal nie wydawało mu się możliwe, by tak wiele śmierci, zostało w tak krótkim czasie zadane tak wielu ludziom i innym stworzeniom. Poddających się, rannych Arkanian nadal spędzano, niezbyt w większości wypadków delikatnymi pchnięciami, w jedno miejsce i ustawiano w niemal uporządkowaną kolumnę. Potem, patrzący hardo niczym jastrzębie, uzbrojeni w strzelby z bagnetami żołnierze, obszukiwali ich niezwykle starannie i tylko na tyle delikatnie, na ile to było absolutnie konieczne. Jeńcy nie protestowali, ale sytuacja była na tyle klarowna, że nie potrzebowali być Utalentowanymi Empatami, by wiedzieć, że w tej konkretnej chwili należy zachowywać się bardzo, ale to bardzo pokornie.

Markan poczuł, jak kąciki jego ust wędrują do góry w nieznacznym, pełnym gorzkiej wesołości uśmiechu. Od niepamiętnych chyba już czasów był to jedyny moment, gdy poczuł coś, choćby trochę tylko przypominającego wesołość. Moment ten minął jednak bardzo szybko.

Oficer wszedł między rozrzucone wszędzie dokoła, poszarpane przez orłolwy ciała.

Nie był tu jedynym żywym. Pobojowisko przeszukiwały grupy żołnierzy, starające się wyszukiwać i zbierać rannych. Na usunięcie zwłok czas miał nadejść później.

Co chwila, gdzieś rozlegał się wystrzał z pistoletu. To któryś z Sharonian natykał się na niedobitego orłolwa. Markan zastanowił się, co powinni zrobić z taką ilością ciał

tych bestii.

„Do cholery” – pomyślał i prychnął – „czemu ja się martwię orłolwami? Powinienem raczej pomyśleć, co zrobimy z zabitymi smokami.”

Dotarł do schodków prowadzących do działła, na którego podstawie zostawił księcia koronnego Janakiego i regimentarza chan Skrithika sześć godzin i całe życie temu. Tym razem podejście wydało mu się o wiele bardziej strome i pokręcił głową, ponuro układając sobie w głowie przeprosimy, które musiał złożyć po dotarciu na szczyt. Kiedy księżę Janaki zaczął opisywać swój Przebłysk nie próbował nawet ukrywać swojego sceptycyzmu, a teraz, gdy przekonał się, jak wyglądała prawda, należało...

Myśli Słonecznego Lorda Markana zostały nagle i brutalnie przerwane w pół zdania, gdy tylko dotarł na szczyt schodów. Oficer poczuł się tak, jakby otrzymał potężny cios, prosto w żołądek.

Księżę koronny Janaki chan Calirath leżał u podstawy działła, w tym samym miejscu, w którym zginął. Jego ciało przeniesiono już na nosze, ale nie dało się ruszyć go ani trochę dalej z powodów, które były aż nadto wyraźne i zrozumiałe. Dwóch sanitariuszy, którzy przyszli po ciało poległego stało opartych o mur, na twarzy jednego z nich znać było głębokie, silnie krwawiące zadrapania – wyraźne ślady szponów i dzioba cesarskiego sokoła, który czujnie siedział teraz na piersi martwego księcia. Drapieżny ptak miał lekko rozpostarte skrzydła, z jego oczu biła bitewna furia. Gdy Markan wszedł na podstawę działła, sokół gwałtownie odwrócił łeb i otworzył dziób, z którego dobył się ostrzegawczy syk.

Nie wydawało się, by ktokolwiek z obecnych miał pojęcie, jak należało teraz postąpić. Żadnego pomysłu z pewnością nie miał Markan. Nadal czuł się oszołomiony śmiercią Janakiego. Miał wrażenie, że jego umysł przestał działać.

I wtedy ktoś pojawił się obok niego. Obrócił się i ujrzał regimentarza chan Skrithika.

Ternathianin wyglądał okropnie. Jego lewe ramię zwisało bezwładnie w prowizorycznym temblaku, sporządzonym z czyjegoś pasa z kaburą. Przedramię miał naprędcie usztywnione. Brudna bluza do munduru oficera została rozdarta, w co najmniej kilkunastu miejscach i pokryta warstwą jasnego pyłu. Policzek regimentarza zniekształcał intensywny, napuchnięty siniec, pośrodku którego widniało paskudne, zaschnięte już zadrapanie. Plamy krwi – w większości cudzej – pokrywały całe niemal spodnie wojskowego.

Ale najbardziej wstrząsnął Markanem wyraz twarzy regimentarza, jego spojrzenie. Wyraźny w nim szok, głębszy nawet niż ten, który ścisnął Uromathianina. Bijące od regimentarza poczucie straty, ból... i wyrzuty sumienia.

W odróżnieniu od Markana, czy zastraszonych przez ptaka noszowych, chan

Skrithik nie mrugnął nawet, gdy

Taleena na niego syknęła. Podeszedł po prostu do niej i powoli wyciągnął zdrową rękę. Ostry jak brzytwa dziób, którym sokół był w stanie odciąć ludzkie palce równie skutecznie, co dowolny topór, rozwarł się i drapieźnik pochylił groźnie łeb. Po chwili jednak, w obwiedzionych złotą obwódką oczach ptaka rozbłysło coś innego. Być może – pomyślał Markan – było to wspomnienie. Uromathianin przypomniał sobie historie, w które wiara przychodziła mu z trudem, opowiadające o niecodziennej, legendarnej wręcz, inteligencji cesarskich sokołów z Ternathii. Łeb Taleeny odwrócił się ku martwemu orłolwu, rozciągniętemu niezgrabnie u podnóża działa. Potem sokolica znów popatrzyła na regimentarza i wydała z siebie cichy, niemal rozpaczliwy okrzyk. Markan nie był, co prawda doświadczonym sokolnikiem, ale nigdy wcześniej nie słyszał by sokoły, czy jakiegokolwiek inne ptaki, wydawały z siebie tak przepelnione bólem odgłosy. Przez chwilę wydawało się, iż chan Skrithik zrezygnuje, ale oficer tylko cierpliwie trzymał wyciągnięte do przodu ramię, aż wreszcie ptak lekko musnął jego dłoń ostrym, nieprzyjemnie zakrzywionym dziobem.

–Przepraszam cię, moja pani – odezwał się regimentarz. – Próbowałem. Bogowie wiedzą, że oboje próbowaliśmy.

Taleena popatrzyła na oficera przez jeszcze jeden długi moment, a potem, bez uprzedzenia, uderzyła raz skrzydłami i przeskoczyła z piersi Janakiego na zdrowe ramię chan Skrithika. Na mundurze regimentarza nie było tych nieregulaminowych skórzanych pasków, które nosił na sobie książę, lecz temblak z kabury dawał żołnierzowi odpowiednią ochronę, ponadto sokolica trzymała się człowieka delikatnie, uważając by go nie skrzywdzić swymi szponami. Taleena leciutko wsunęła swój dziób we włosy mężczyzny i chan Skrithik uniósł rękę, którą, niemal czule, pogładził jej złożone skrzydła.

Sanitariusze oderwali się wreszcie od blanek i ruszyli do poległego księcia, ale regimentarz pokręcił głową. Zatrzymali się, a chan Skrithik padł obok noszy na kolana. Klęczał, patrząc na oblicze młodego człowieka, które nigdy już nie miało się zestarzeć. Na twarzy regimentarza widać było wysiłek, z jakim powstrzymywał, cisnące mu się do oczu łzy.

Markan pomyślał, że Janaki wygląda niezwykle spokojnie. Szare, otwarte oczy wpatrywały się w otchłań, do której dostępu nie miał nikt, w mrok, którego nie sposób było przeniknąć żadnym Talentem. Z kącika ust ściekła księciu cienka strużka krwi, ale nie było widać by cierpiał... na pewno za to niczego się nie bał.

Uromathiański arystokrata podeszedł bliżej. Chan Skrithik oparł dłoń na nieruchomej piersi Janakiego i spojrzał na Markana.

–Słoneczny Lordzie – przywitał się załamany, schrypniętym głosem.

–Regimentarzu – odpowiedział cicho Markan.

–Dziękuję – chan Skrithik musiał urwać. Odchrząknął. – Dziękuję – powtórzył po chwili – bez pańskich ludzi...

–Gdyby nie pańscy, moi ludzie przybyliby za późno – przerwał Markan.

Chan Skrithik patrzył na uromathiańskiego oficera przez kilka chwil w milczeniu. Poruszały się tylko jego palce, którymi muskał bluzę nieżyjącego księcia, jakby chciał wygładzić na niej wszystkie fałdy. Potem regimentarz spojrział na własną rękę, takim wzrokiem jakby należała do kogoś innego, po czym podniósł oczy na powrót na Markana. Był wyraźnie zagubiony. – Mój księżę nie żyje – powiedział.

W oczach stanęły mu łzy, słowa więzły w gardle. Było ich jedynie cztery, ale Markan usłyszał kryjący się w nich wszechświat bólu i rozpacz, i sam poczuł pieczenie w oczach. Słoneczny Lord zamrugał i odwrócił się. Spojrział na dym unoszący się z fortu, na ciała, na powalone smoki i gryfy. Przyglądał się scenie masakry, jakiej nigdy nie wyobrażał sobie nikt na Sharonie, a jednak, oczyma duszy, Markan zobaczył coś innego. Obraz przedstawiający inną scenę – taką, w której nie było strąconych z nieba smoków, martwych gryfów, ani arkaniańskich jeńców w milczeniu maszerujących do niewoli... był za to płonący fort i jego garnizon, zaatakowany zniemacka, bez uprzedzenia i bezlitośnie wymordowany.

Zapatrzył się w tę wizję, w wizję, która nigdy się nie ziściła. Wizja, którą – co teraz zrozumiał – Zobaczył w swoim Przebłysku Janaki chan Calirath. Myśl o własnej, cynicznie sceptycznej reakcji na ostrzeżenia księcia, które pozwoliły im wszystkim ujść z życiem, napełniły go wstydem. Spojrział na chan Skrithika.

Wreszcie popłynęły łzy, zostawiając za sobą wyraźne, w pokrywającym twarz regimentarza kurzu i pyłe, białe ślady. Teraz, przy ciele Janakiego uklęknął i Markan, w którego uszach wciąż pobrzmiwały ostatnie słowa chan Skrithika. – Nie, mój przyjacielu – powiedział cicho Uromathianin i pokręcił głową, wyciągając rękę do ramienia regimentarza. – Nie. Nasz księżę nie żyje.

–Nadal nic? – spytał Olvyr Banchu, wspinając się po kilku ostatnich szczebelkach drabiny. Stał wreszcie na dachu wagonu towarowego obok młodszego kapitana Selana Vurasa.

–Nic – pokręcił głową Vuras nadal patrząc na północ, zupełnie tak, jakby spodziewał się przebić wzrokiem osiemset mil, które wciąż dzieliły ich od portalu Traisum.

–Nie wydaje ci się, że to może być jakieś zwykłe zakłócenie? – pytanie Bachu zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie i Vuras znów wykonał przeczący gest. – Regimentarz nie po to ustanowił harmonogram połączeń, by go samemu ignorować – odparł starszemu inżynierowi KTT. – Skoro nie odezwali się słowem, to znaczy, że

książę Janaki miał rację.

Banchu pomyślał, że niewiele razy w dotychczasowym życiu miał na coś równie gorącą nadzieję, jak na to, że Selan nie miał racji. Niestety, był pewien, że młody Limathianin się jednak nie mylił. Pytanie brzmiało jednak teraz następująco: czy milczenie chan Skrithika wynikało z tego, że obcy zdobyli Fort Salby, czy też tylko z tego, że udało im się przeciąć sieć głosów pomiędzy końcem linii kolejowej a portalem.

–Myślisz, że mogli uciszyć stację przekaźnikową? – spytał i Vuras prychnął.

–Wszystko wyjaśniłem Głosowi Ormie bardzo dokładnie. Jestem pewien, że zrozumiał. Proszę mi wierzyć. I o ile Arkanianie nie dysponują jakimś specjalnym wykrywaczem Głosów, to z pewnością go nie znajdą. Nawet, jeśli skądś wiedzieli, gdzie był zanim tam dojechaliśmy, to potem podwieźliśmy go pociągiem ponad sześćdziesiąt mil dalej i wysadziliśmy w małej oazie z siatką maskującą nad głową. Wyszukaliśmy mu nawet kilka drzew, pod którymi się może kryć – żołnierz po raz kolejny pokręcił głową. – Nie. Nie wiem, co spowodowało tę ciszę, ale to nie dlatego, że obcy dopadli Ormę.

–Cóż, jeśli masz rację, to tym lepiej dla Ormy – Banchu stał obok ale nie patrzył na północ, tylko na otaczający ich plac budowy. Przyglądał mu się przez kilka chwil, po czym znów spojrzał na oficera SZZP. – Ale to oznacza, że mamy do czynienia z niezłym klopsem.

–Z tym akurat trudno się nie zgodzić – przytaknął ponuro Vuras.

–Powinienem chyba sprawdzić, jak idą przygotowania.

Banchu zszedł z wagonu i udał się na poszukiwania swoich asystentów.

Młodszy kapitan Vuras był dowódcą składającego się z dwóch plutonów oddziału, który regimentarz odesłał do ochrony pracowników KTT budujących linię kolejową. Niestety, nawet wliczając siły Vurasa, Banchu nadal dysponował jedynie niecałą kompanią regularnego wojska, które musiało strzec bezpieczeństwa niemal dwóch tysięcy robotników.

Dobłą wiadomość stanowiło natomiast to, że co najmniej jedna trzecia ludzi zatrudnionych przy tym projekcie miała za sobą jakieś doświadczenie wojskowe. Koleje Trans-Temporalne od zawsze chętniej zatrudniały byłych wojskowych, niż ludzi, którzy przez całe życie unikali armii. Ze szczególnym upodobaniem rekrutowali pracowników wśród inżynierów, dawniej służących w SZZP. Mając to w pamięci i biorąc pod uwagę... wszystkie niewiadome sytuacji, Banchu przybył na miejsce z wagonem wyładowanym po brzegi dwoma tysiącami karabinów Model 10 i milionem sztuk amunicji. Taka ilość wystarczała do uzbrojenia w broń osobistą praktycznie

wszystkich jego pracowników – w tym i tych, którzy nie mieli za sobą żadnego militarnego przeszkolenia. Tym i organizacją obrony miał się zająć Foram chan Eris – jego główny asystent, który zupełnym przypadkiem, niedawno zrezygnował z pracy jako kapitan w Korpusie Inżynierskim Cesarskiej Armii Ternathii.

Niestety ani Banchu, ani chan Eros, ani Vuras nie dysponowali żadną cięższą bronią, która mogłaby posłużyć do wsparcia karabinów. Oczywiście mieli dwa działka Yerthak i pojedynczą sekcję lekkich karabinów maszynowych, które przywiózł ze sobą Vuras. Nie mieli jednak żadnych moździerzy, dział polowych czy haubic.

Mieli za to pomysłowość, wiele sprzętu budowlanego, złożone w stosach szyny o łącznej długości siedmiuset mil i mobilne warsztaty, dzięki którym mogli naprawiać i utrzymywać w ruchu warte miliony ternathiańskich marek parowe koparki, buldożery i ciągniki.

Z tą myślą Banchu dotarł do miejsca, w którym chan Eris i młodszy kapitan Harek chan Morak nadzorowali najnowsze dziecko głównego inżyniera.

Ze spawarek wzbijały się iskry. Spoceni kolejarze i robotnicy pracowali zawzięcie nad pojazdami, które jeszcze kilka godzin temu były najnormalniejszymi na świecie wagonami towarowymi. Teraz, drewniane ściany znikwały powoli za zasłoną stalowych szyn. Banchu nie miał pojęcia, czy podwójna warstwa żelaza wystarczy by przetrwać atak tych „smoków”, które młodszy kapitan chan Darma opisywał Hersalowi Yoritamowi, pracującemu z Banchu Głosowi. Nie wiedział i wątpił czy ktokolwiek miał jakieś pojęcie na temat siły ataku smoczego ognia i błyskawic. Niemniej to improwizowane naprędce opancerzenie, zniosłoby w jego ocenie wszystko, co było słabsze od artylerii polowej. Projektując wagony pamiętał także, by z każdej strony zostawić, co najmniej po tuzinie otworów strzelniczych dla ludzi z karabinami.

–Jak ci idzie, Foram? – spytał.

–Chyba zgodnie z planem – odpowiedział chan Eris. – Tylko, że nie wydaje mi się, byśmy mieli wystarczającą ilość wagonów, żeby wszystkich pomieścić. Nawet, jeśli będziemy mieli na tyle czasu, żeby opancerzyć wszystkie.

–I to mi się w tobie, Foram, zawsze podobało. Ten twój wybujały, ternathiański optymizm.

–A z czego miałbym się cieszyć? – odparł kwaśno chan Eris, choć w jego oczach pojawiły się weselsze iskielki.

–Na początek może z tego, że wciąż jeszcze żyjemy i póki co, nie widzieliśmy ani jednego smoka.

–Póki co? Jak dotąd nie widzieliśmy ani jednego – sprostował chan Eris. – A pora jeszcze wczesna, prawda?

–Owszem – Banchu klepnął współpracownika w ramię i pochylił nieco głowę. – A co z lokomotywami?

–Dwie są już prawie gotowe. W każdym razie kabiny mamy już chronione tak samo dobrze, jak wagony towarowe. Młody chan Morak pracuje nad pozostałymi dwiema. Kotły także staraliśmy się w miarę możliwości opancerzyć, ale nie wiem, czy wyszło najlepiej. To o wiele bardziej skomplikowane.

–Z tego, co rozumiem, obcy nie mają niczego, co przypominałoby karabiny. Zwykłe czy maszynowe – powiedział Banchu. – Nie sądzę, żeby swoją bronią wyrządzili szczególną krzywdę akurat kotłom.

–Może i nie, ale tak naprawdę dostaną nas, jeśli uda im się uszkodzić tory – zauważył chan Eris.

–A niech sobie te tory niszczą – powiedział ponuro Banchu – O ile nie są doświadczeni w inżynierii kolejowej, to nie wiedzą, jak szybko nasi ludzie potrafią je złożyć do kupy.

–Przy założeniu, że będziemy mieli możliwość utrzymania ich na dystans, na czas naprawy.

Chan Eris mówił tak, jakby sprzeczał się z Banchu, ale tak naprawdę zupełnie nie o to mu chodziło. Banchu zmrużył oczy.

–Nie wiem, z jakimi siłami przybyli tu obcy, Olvyr, ale jeśli chcą naraz zajmować się nami i Fortem Salby, to lepiej żeby było ich wielu. Zwłaszcza, że generał dywizji chan Geraith jest już bardzo blisko. Co do tych twoich opancerzonych wagonów, to nie mam pewności. To znaczy, ja wiem, że to dobry pomysł, nie wiem tylko na ile dobry. Ale jestem pewien, co do jednego, jeżeli nasz przeciwnik będzie na tyle głupi, by rozproszyć siły, to dostanie po dupie. – Dostanie po dupie? – powtórzył

Banchu. – Czy to jeden z waszych ściśle wojskowych terminów, o których prosty cywil jak ja nie powinien mieć zielonego pojęcia? – Coś w tym rodzaju.

Chan Eris zmrużył oczy i spojrzał na ekipę pracującą przy wagonie, po czym, zwrócił się znów do Banchu.

–U mnie sytuacja jest raczej pod kontrolą Olvyr. Może przejdź się i sprawdź inne odcinki. Tutaj sobie poradzimy. Ja i mój ternathiański optymizm.

Banchu zachichotał, pokręcił głową i odszedł sprawdzić, ile sprzętu można było załadować na wagony. – Co do...?

Podbrojny Verais opuścił na chwilę lornetkę, pokręcił głową, po czym podniósł przyrząd ponownie.

–Mamy tam trzech... jeźdźców. Jadą doliną, zbrojny – oznajmił.

–Co??? – Młodszy zbrojny Paras chan Barsak wydawał się pojawiać wprost z pokrytej pyłem ziemi tuż przy łokciu Veraisa. – Proszę...

Verais podał towarzyszowi lornetkę i wskazał palcem na odległy fragment drogi w dolinie. Chan Barsak spojrział, wyregulował ostrość i gdy zobaczył wyraźnie, głucho zamruczał.

Verais miał rację. Trzech ludzi siedzących na stworzeniach mniej więcej wielkości i kształtu koni pędziło drogą. Jechali niewiarygodnie szybko. Popołudniowe słońce grało na czymś, co przypominało długie, spiralnie skręcone rogi wyrastające z czół tych „koni”. Chan Barsak nigdy nie widział konia, który miałby zęby, najbardziej ze wszystkiego przypominające kły dzika. Oczywiście należało pamiętać, że te niekonia przejeżdżały właśnie tuż obok potrzaskanego cielska istoty, która była najprawdziwszym smokiem, więc nie było najmniejszego powodu by i te wierzchowce, były choć trochę bardziej zwyczajne.

Na tę myśl lekko zadrgały jego usta, ale po chwili zmarszczył czoło ze zdziwienia.

–To parlamentariusze. Mają ze sobą flagę.

–Flagę? Parlamentariusze? – syknął Verais i splunął za krawędź urwiska. – Skąd, do kurwy nędzy – proszę wybaczyć moją podwórzową uromathiańszczyznę – mieliby wiedzieć jak ma wyglądać flaga parlamentariusza? A nawet gdyby, to skąd u nich pomysł, że po tym wszystkim uwierzmy im w choćby jedno słowo?

–Nie powiedziałem, że to normalna biała flaga – wyjaśnił chan Barsak, dużo bardziej cierpliwie niż miał na to ochotę. – Jest zielona, wymachują nią i jest ich tylko trzech. A to, czy im ufamy, czy nie, nie ma chyba w tej chwili znaczenia, prawda?

Verais zmełł przekleństwo w ustach. Chan Barsak prychnął, pokręcił głową i zawołał przydzielonego do drużyny Błyskacza.

Rof chan Skrithik i Słoneczny Lord Markan stali ramię w ramię przed punktem dowodzenia Uromathianina i przyglądali się prowadzonej pod eskortą dwójce arkaniańskich oficerów. Obaj obcy mieli zawiązane oczy, a trzeci parlamentariusz został nieco z tyłu, gdzie pilnował ich niecodziennych, rogatych koni... w miejscu, z którego nie mógł widzieć niczego, co działo się na pozycjach obrońców. Regimentarz szczerze przyznał się przed sobą, że cieszy się, iż te dziwaczne stworzenia nie znalazły się bliżej jego osoby.

„A w zasadzie” – pomyślał ponuro – „tych Arkanian też nie chciałbym podpuszczać zbyt blisko siebie. Na pewno nie bliżej, niż to konieczne.”

Przypomniawszy sobie martwe ciało księcia, leżące teraz w szpitalu polowym kapitana Krilara i drgnęła mu bliższa pistoletu ręka.

Tymczasem Arkanian doprowadzono już bliżej. Chan Skrithik i Markan w milczeniu przyjrzeni się, jak przeprowadzano ich przed nimi i dalej, do opatrzonego workami z piaskiem bunkra. Język gestów i mowa ciała obcych świadczyły o tym, że nie są tak spokojni, za jakich chcieliby w tej chwili uchodzić, ale chan Skrithik stwierdził, że wbrew woli czuje pewną dozę szacunku za ich opanowanie. Podróż w charakterze parlamentariusza do ludzi, których dopiero co, zaatakowało się zniemacka i to w trakcie rozmów pokojowych, żadną miarą nie było zadaniem dla mięczaków.

Obcych ustawiono przodem do regimentarza i usunięto im z

oczu opaski. Zamrugali, ich oczy musiały przez chwilę przystosować się do panującego w bunkrze półmroku, po czym jeden z nich spojrzął na chan Skrithika i Markana. Na widok trzech złotych karabinów na pagonach chan Skrithika zmrużył oczy i przesunął je na wiszące na temblaku, złamane przedramię oficera.

–Mogę ja kryształ? – zapytał łamaną ternathiańszczyzną wykonując nieokreślony gest w kierunku podkapitana, który przyprowadził ich obu do sztabu.

–Chciałbyś dostać z powrotem jeden z tych waszych kryształów? – odezwał się chan Skrithik i Arkanianin energicznie skinął głową.

–Lepiej z nimi rozmawiać – powiedział. Chan Skrithik na chwilę zmarszczył brwi, po czym rzucił spojrzeniem na podkapitana. – Zabraliście im te kamienie?

–Tak jest, regimentarzu. Nie znaleźliśmy przy nich niczego, co wyglądałoby na broń. Nawet noża. Ale po tym wszystkim, co się już stało, pomyślałem, że...

Młody mężczyzna urwał i wzruszył ramionami. Chan Skrithik skinął głową.

–I słusznie postąpiłeś, synu. Z drugiej strony, podejrzewam, że jeżeli mimo wszystko chcemy usłyszeć to, co ci... ludzie mają nam do powiedzenia, to powinniśmy im je zwrócić.

Regimentarz wyciągnął rękę po kryształ, po czym, trzymając go w dłoni, odwrócił się do bardziej rozmownego z obu Arkanian.

–Zrozum – powiedział ponuro wpatrując się głęboko w oczy obcego i pozwalając mu spojrzeć na kotłującą się w ich głębi nienawiści i ledwie powstrzymaną agresję – że jeśli choć pomyślimy, że chcecie użyć tej skałki do czegokolwiek innego poza rozmawianiem, zastrzelę cię na miejscu.

–Rozumiem – odparł Arkanianin. Chan Skrithik nie był wcale pewien, czy obcy na tyle swobodnie posługiwał się Ternathiańskim, że rzeczywiście zrozumiał, ale miał też wrażenie, że mówił o dość oczywistej w tych warunkach sprawie.

Jeszcze przez chwilę mierzył tamtego wzrokiem, po czym podał mu kryształ.

Arkanianin mruknął coś pod nosem i kryształ pojaśniał. Obcy spojrzał na chan Skrithika.

–Jestem Dowodzącym Pięcioma Setkami, nazywam się Dayr Vaynair i reprezentuję armię Unii Arkany – przedstawił się szorstko. Czy raczej: szorstko przetłumaczył kryształ. – Jest ze mną – tu Vaynair wskazał drugiego z obcych – Dowodzący Tysiącem, Klayrman Toralk. – Rozumiem.

Chan Skrithik popatrzył na obu hardo. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Nie miał najmniejszego pojęcia o organizacji armii obcych. Co więcej, nie wiedział też, czy szarże, jakie wymienił przed chwilą Vaynair były tradycyjnymi przenośniami, czy rzeczywiście opisywały stan faktyczny. Niemniej ani przez chwilę nie wątpił, że stoi przed dwoma najstarszymi stopniem przedstawicielami drugiej strony, z jakimi kiedykolwiek rozmawiał Sharonianin.

„Albo” – chłodno poprawił go wewnętrzny głos – „najstarszymi stopniem oficerami z Arkany, których spotkał żywy i pozostający na wolności oficjalny przedstawiciel Sharony.”

Arkanianie równie hardo odpowiedzieli na jego spojrzenie i najwyraźniej czekali, aż się im przedstawi w odpowiedzi. Przez chwilę bawił się możliwością sprzeciwienia się temu ich milczącemu żądaniu, ale po zastanowieniu odrzucił tak niską formę zemsty.

–Regimentarz Rof chan Skrithik. Siły Zbrojne Zarządu Portali – powiedział.

–Ach – skinął głową Vaynair. – Czy słusznie w takim razie rozumiem, że rozmawiam z najstarszym stopniem oficerem Sharony? – zapytał uprzejmie.

–W tej chwili, owszem – równie dwornie, odpowiedział chan Skrithik.

–Znakomicie, regimentarzu – Vaynair odchrząknął. – Tysięcznik Toralk i ja zostaliśmy tu przysłani jako posłowie Dowodzącego Dwoma Tysiącami Harshu.

–Rozumiem – powtórzył chan Skrithik. – Czyli w takim razie ja słusznie rozumiem, że to właśnie ów Dowodzący Dwoma Tysiącami Harshu, dowodzi waszą szemraną zbieraniną morderców i bandytów?

Vaynair skrzywił się. Jego oczy chciały odwrócić się w kierunku przełożonego, ale udało mu się je powstrzymać. Natomiast wyraz twarzy wspomnianego przełożonego, nie zmienił się ani trochę. –

Ja... – zaczął Vaynair i urwał.

–Tak, słusznie pan rozumie, regimentarzu – odezwał się dowodzący tysiącem, widząc wahanie podkomendnego. Patrzył spokojnie w oczy chan Skrithika. – Oczywiście wolałbym usłyszeć inny opis pozostających pod moim dowództwem żołnierzy, ale w tych konkretnych okolicznościach rozumiem, że nie ma pan ochoty na zabawę w subtelności.

Głos Toralka był pewny i zdecydowany. Chan Skrithik zauważył to i zapamiętał.

–Tym niemniej – ciągnął Arkanianin – Pięcsetnik Vaynair i ja przybywamy tu z wiadomością. Dokładniej z dwiema wiadomościami. Czy zgodzi się pan ich wysłuchać?

–Fakt, że się tu znaleźliście wskazuje mi na to, że ostatni Sharonianie, którzy zgodzili się wysłuchać słów Arkanian nie skończyli zbyt dobrze – odparł zimno chan Skrithik i tym razem oczy Toralka leciutko drgnęły. – Regimentarzu – powiedział po chwili.

–Jestem oficerem Sił Powietrznych Unii. Decyzje polityczne podejmowane są na dużo wyższym niż mój szczeblu. Nie mówię tego, by sugerować, że pańska wściekłość jest nieuzasadniona, ale dlatego, że ja nie mogę – ani nie mogłem – zrobić nic w sprawie przyczyn tej wściekłości. Zostałem tu przysłany z propozycją dotyczącą konkretnej sytuacji, w której się obecnie znaleźliśmy. Zatem, raz jeszcze, zapytam, czy zgodzi się pan wysłuchać wiadomości, od mojego dowódcy?

Chan Skrithik poczuł mimowolny przyływ sympatii do tego

Toralka, wyraźny nawet mimo chłodnej, gorzkiej wściekłości wywołanej śmiercią Janakiego. On nie zawahałby się przed podjęciem takiej misji.

–Dobrze, więc – odpowiedział po chwili, beznamiętnie. – Proszę mówić.

–Pięcsetniku Vaynair – rzucił cicho Toralk, spoglądając na swego towarzysza. Vaynair raz jeszcze odchrząknął.

–Regimentarzu chan Skrithik – powiedział. – Jestem najstarszym magistronem dwutysięcznika Harshu – jego najstarszym oficerem medycznym. Jest nam wiadome, że niektórzy Sharonianie dysponują tym, co nazywacie Talentem Uzdrowiciela. To, czego zdołaliśmy się jednak dotąd dowiedzieć wskazuje, że wasze umiejętności ograniczają się do łagodzenia bólu i przyspieszania naturalnych procesów gojenia. Magistron tymczasem, ktoś taki jak ja, dysponuje Darem uzdrawiania, który znacznie różni się od waszych Talentów. Po przejściu odpowiedniego szkolenia Dar taki, jest w stanie leczyć obrażenia i choroby, z którymi wasz Talent, nie byłby w stanie sobie poradzić.

Dla przykładu – odpowiednio mocno Obdarzony magistron jest w stanie doprowadzić do regeneracji uszkodzonych nerwów – urwał.

Chan Skrithik zdołał się powstrzymać przed otwarciem szeroko oczu. Pochylił głowę i czekał.

–Powodem, dla którego się tu znalazłem, regimentarzu – po krótkiej przerwie, wznowił dowodzący pięcioma setkami – jest to,

iż chcielibyśmy, ja i moi uzdrowiciele, udostępnić wam nasze Dary w celu ratowania rannych z obu stron.

–Dlaczego? – zapytał ostro chan Skrithik.

–Z kilku powodów, regimentarzu. Jednym z nich, mówię otwarcie, jest to, że chcemy zapewnić jak najlepszą możliwą opiekę rannym Arkanianom, którzy znajdują się w tej chwili w waszych rękach – teraz Vaynair mówił już pewnie, bez najmniejszego nawet zmrużenia oczu. – Drugim, w który wiara z pewnością przyjdzie wam z dużo większym trudem jest to, że magistroni składają przysięgę bardzo podobną do tej, którą składają wasi Uzdrowiciele. Sposób, w jaki korzystamy z naszych Darów powinien być uzależniony od potrzeb pacjentów, a nie od tego, kim ci pacjenci są, i jaki noszą mundur. Po trzecie, nie moglibyśmy się racjonalnie spodziewać, że umożliwicie nam dostęp do naszych rannych, gdybyśmy jednocześnie nie zajęli się waszymi.

–Rozumiem – powiedział po raz trzeci chan Skrithik. Ku swemu własnemu zaskoczeniu miał ochotę uwierzyć w to, co Vaynair mówił na temat przysięgi magistronów. A bez względu na to, czy Arkanianin w tym punkcie mówił prawdę, czy nie, pozostałe dwa powody brzmiały przekonująco.

„Może przynajmniej teraz te skurwysyny, zamiast zabijać niewinnych, kilka istnień ocala” – pomyślał gorzko.

Nie było to łatwe, ale udało mu się opanować drżenie głosu. Co prawda, tłumienie gniewu i nienawiści spowodowało, że mówił ciekawym, przytłumionym tonem, ale nic już na to nie mógł poradzić.

–Z pewnością wezmę waszą propozycję pod rozwagę – odpowiedział po kilku sekundach. – Oczywiście, zanim bym ją przyjął, musiałbym poprosić was o powtórzenie jej w obecności Wykrywacza?

–Czyli kogoś, z Talentem umożliwiającym wykrywanie kłamstw?

–Właśnie kogoś takiego. A skąd pytanie? – chan Skrithik zmrużył oczy. – Mielibyście coś przeciwko takiemu rozwiązaniu?

–W żadnym wypadku, regimentarzu – odparł w zastępstwie dowodzącego pięcioma setkami Toralk. – Pod warunkiem, że pytania, na które musielibyśmy odpowiedzieć, dotyczyłyby wyłącznie naszej propozycji.

Chan Skrithik zastanowił się i wzruszył ramionami.

–To chyba rozsądny warunek... oczywiście, o ile zechcę w ogóle przyjąć tę propozycję. Wydawało mi się jednak, że mówiliście o dwóch wiadomościach?

–Tak – przytaknął Toralk. – W tej chwili przetrzymujecie kilkuset Arkaniańskich jeńców. Dwutysięcznik Harshu proponuje wymianę. Nasi jeńcy w zamian za bezpieczny powrót waszych robotników z Karys do Fortu Salby.

–Naszych robotników? – powtórzył chan Skrithik. – Chcesz powiedzieć, że ich pojмалиście? Czy po prostu związaliście tych kilku, którzy wyszli cało z kolejnej masakry?

–Nie było żadnej masakry, regimentarzu. Ominęliśmy ich podchodząc pod Salby. Aczkolwiek znajdują się teraz za

naszymi liniami i w oczywisty sposób musimy coś z nimi zrobić – Toralk spojrział chan Skrithikowi prosto w oczy. – Możemy, więc wrócić i domagać się ich kapitulacji – i ewentualnie użyć siły by ich do tej kapitulacji zmusić, albo spróbować dojść do jakiejś formy porozumienia.

–Sugerujesz, że moglibyście wziąć ich jako zakładników w zamian za powrót waszych żołnierzy? – spytał regimentarz znacznie zimniejszym niż dotąd głosem.

–To rzeczywiście mogło tak zabrzmieć – przyznał Toralk. – Aczkolwiek to, co staram się przekazać skupia się w myśli, że jak dotąd nie doszło do kontaktu naszych sił z cywilami pracującymi przy budowie waszej „kolei”. Dwutysięcznik Harshu oferuje wam szansę uchronienia ich przed tym, w zamian za powrót arkaniańskich jeńców.

–A jeśli zasugerowałbym, że jeśli on chce odzyskać swoich ludzi, to powinien zwrócić nam wszystkich naszych? Każdego, kogo pojмалиście od chwili, w której zaatakowaliście nas podstępnie w trakcie zaproponowanych przez waszych dyplomatów „rozmów pokojowych”?

Chan Skrithik obserwował bacznie reakcje rozmówcy i pożałował, że nie ma żadnego doświadczenia w odczytywaniu i interpretacji mowy ciała Arkanian. Choć z drugiej strony był też pewien, że nawet, gdyby je miał, nie zdałoby mu się to na wiele. Toralk wyglądał na człowieka, który przy karcianym stoliku, byłby bardzo wymagającym przeciwnikiem.

–Dwutysięcznik Harshu przewidział, że możecie złożyć tego rodzaju kontrpropozycję – powiedział Toralk. – Prosił mnie w

związku z tym, bym przekazał, że nie ma wystarczających prerogatyw, by decydować o tak poważnej wymianie jeńców. Prosił mnie także, bym zwrócił waszą uwagę na to, iż odtransportowaliście w górę łańcucha część pojmanych Arkanian, co sprawia, że oni także są poza naszym zasięgiem. A ci jeńcy, którzy pozostają w naszych rękach są bogatym źródłem informacji wywiadowczych i dwutysięcznik Harshu nie ma uprawnień, by się tego źródła pozbywać do momentu – o ile taki nastąpi – kiedy obie strony zgodziłyby się na wymianę wszystkich jeńców bez wyjątku. – Ach, tak?

W odpowiedzi Toralka było coś, co bardzo nie spodobało się chan Skrithikowi.

Coś, co miało związek z niezwykle starannym doborem słów. Nie potrafił tego określić, ale poczuł jak przechodzi go dreszcz. Miał nadzieję, że był to jedynie skutek drażącego go głęboko gniewu po śmierci Janakiego, przez który stał się hiperpodejrzliwy wobec każdego słowa z ust Arkanian.

–Rozumiem – powiedział, mając nadzieję, że ani Toralk, ani Vaynair nie zauważyli jego wahania. – A więc, złożę inną kontrpropozycję. Jeśli dwutysięcznik Harshu chce odzyskać żołnierzy, to chcę za nich nie tylko moich cywilów, ale także ich sprzęt budowlany.

Toralk zamrugał. Chan Skrithikowi udało się go zaskoczyć, przynajmniej trochę. Był to pierwszy raz od początku spotkania. Arkanianin zmarszczył brwi i lekko pochylił głowę. Rozważył przez moment słowa regimentarza, po czym wzruszył ramionami.

–Nie jestem w stanie powiedzieć, jaka brzmiałaby odpowiedź mojego dowódcy na taką sugestię – przyznał. – Musiałbym wrócić i omówić tę sprawę osobiście z dwutysięcznikiem. Czy miałby pan coś przeciw temu?

–Chyba nie – chan Skrithik uśmiechnął się chłodno. – W końcu to wasz dwutysięcznik zaproponował wymianę jako pierwszy. Ja też jeszcze nie miałem okazji się nad tym zastanowić. Oczywiście jest więc, że i ja będę musiał chwilę pomyśleć, prawda? W tej chwili sądzę jednak, że... na nic mniej niż powiedziałem przed chwilą, nie będę mógł się zgodzić. Chciałbym też zauważyć, że mówimy tu o dwóch tysiącach cywilów, wyposażonych w tę samą broń, która zmieniła w psie kupy waszych rzeźników na Polanie Powalonych Drzew. Zmuszenie ich do poddania się, mogłoby się dla was okazać nieco bardziej kłopotliwe, niż byście sobie tego mogli życzyć.

Twarz Toralka ściągnęła się nieznacznie na dźwięk słowa „rzeźników”, ale arkaniański oficer trzymał nerwy na postronku. Zamiast odpowiadać gniewnie po prostu skinął głową.

–Możliwe, regimentarzu, co jednak nie znaczy, że wasza strona nie poniosłaby w ogóle żadnych strat.

–Słuszna uwaga – przyznał chan Skrithik z zimnym uśmiechem.

–Chciałbym dodać jeszcze jedno, regimentarzu – odezwał się Vaynair. Chan Skrithik odwrócił się do magistrona. – Co takiego?

–Nasze dwie propozycje nie są ze sobą w żaden sposób powiązane, regimentarzu. Oferta dotycząca naszego personelu

medycznego, który miałby się zająć rannymi obu stron nie ma nic wspólnego z ewentualnym porozumieniem, dotyczącym wymiany jeńców. Chan Skrithik przytaknął skinieniem.

–Rozumiem. I szczerze mówiąc, rzeczywiście jest pod naszą opieką trochę rannych – żołnierzy obu stron – którzy bez takich zdolności medycznych, o jakich zdajecie się mówić, nie mieliby szansy na przeżycie.

–Tego się właśnie spodziewałem, regimentarzu – powiedział ponuro Vaynair. – Co więcej, za pańskim pozwoleniem, rozmawiałem już z dwutysięcznikiem Harshu o tym, bym został tutaj od razu i natychmiast skorzystał ze swego Daru, do leczenia najpoważniej rannych. Pan w tym czasie, miałby czas na zastanowienie się nad drugą z naszych propozycji. – I czy dwutysięcznik Harshu wyraził zgodę? – spytał chan Skrithik. – W końcu sam powiedziałaś, że jesteś jego najstarszym oficerem medycznym. Czy tak chętnie dorzuci nam ciebie w charakterze jeńca, jeśli nie uda nam się dojść do porozumienia?

–Jestem przekonany, że dwutysięcznik żywi nadzieję, iż nawet w takim wypadku pozwolicie mi bezpiecznie wrócić pod jego rozkazy – powiedział spokojnie Vaynair. – W zasadzie prosił mnie, bym upewnił się, czy mi taką możliwość zapewnicie. Niemniej – Vaynair spojrzał regimentarzowi prosto w oczy – upoważnił mnie do pozostania u was, nawet bez podobnej obietnicy z waszej strony. Chan Skrithik uniósł brwi.

–To wielka hojność z jego strony – powiedział Sharonianin. – Chyba, że naprawdę tak bardzo troszczy się o rannych. Tak czy inaczej, zgadzam się na tę propozycję. Oczywiście po rozmowie z Wykrywaczem – dodał rzeczowo chan Skrithik. – Jeśli to

wypadnie pomyślnie, będę gotów zagwarantować ci bezpieczny powrót bez względu na dalsze losy naszych negocjacji.

Rozdział 14

–...i nic mnie, cholera, nie obchodzi co myślisz, półsetniku! Następnym razem, kiedy przywleczesz swoją zawszoną dupę do mojego biura i pokażesz mi coś takiego, umieszczę czub swojego buta tak głęboko w twoim tyłku, że smak skóry będziesz czuć w ustach przez tydzień! A teraz zjeżdżaj stąd i wynoś się sprzed moich oczu!

Therman Ulthar, po raz pierwszy w całej swej karierze wojskowego nie zasalutował dowódcy, zanim odwrócił się i wściekle wyszedł z gabinetu Hadrigna Thalmayra. Niebieskie oczy, żylastego, rudowłosego oficera nabrzmiałe były złością, jego wargi wyglądały jak ściśnięta wściekłość, a staranność, z jaką przyłożył się do tego, by zamknąć cicho drzwi stanowiła wyraźniejszy dowód gotującego się w nim gniewu i wzdgardy, niż gdyby nimi potężnie trzasnął.

Wyszedł z budynku administracyjnego Fortu Ghartoun dosłownie trzęsąc się wskutek połączonych doznań wściekłości, oburzenia i upokorzenia. Miecznik Keraik Nourm podniósł wzrok znad naprawianej właśnie sprzączki od pasa na miecz.

–Podejrzewam, że setnik swoje jaja wiąże w węzeł – zauważył z wyraźną nutą zadowolenia. Pokręcił głową i spojrzał na drugiego miecznika, który siedział obok, na koszarowej werandzie, z fajką w ustach. – Na Graholisa, myślisz, że ktoś, kto był jeńcem tych zwierząt może to zrozumieć?

Miecznik Evarl Harnak z namysłem popatrzył przez chwilę na Nourma. Wyjął fajkę z ust, ubił mocniej tytoń i wsunął cybuch na powrót między zęby. – Nie mów mi, że się z nim zgadzasz! – powiedział z niedowierzaniem pierwszy z podoficerów.

–Półsetnik Ulthar to łebski, młody koleś – odpowiedział wymijająco Harnak i spojrzał ponad dziedzińcem na stajnie, otoczone smokami piechoty i wartownikami.

–Ale to tylko półsetnik – zauważył Nourm. – Widziałeś w życiu tyle, co i ja, Evarl. Oglądałeś smoki i wachałeś dym. Musisz więc wiedzieć, że większość półsetników potrzebuje takich jak my, mieczników, głównie po to, żebyśmy podcierali im nosy i zmieniali pieluchy!

–Tak uważasz? – Harnak popatrzył na kolegę.

–Jasne, że tak! Weź na przykład półsetnika Sarmę. Zazwyczaj dobre z niego chłopię. Ciągłe ma jeszcze mleko pod nosem i pełen jest tych bzdur z Akademii, ale jest w porządku. Tylko, że niektórych rzeczy po prostu nie łapie. Nie tych, które są związane z tymi bydlakami.

–W zasadzie – odpowiedział Harnak po chwili, nadal w zamyśleniu – wydaje mi się, że problemem nie są te szczyły po Akademii, które nie potrafią zrozumieć dorosłego świata, ale kilku starych przyków, którzy są na tyle durni, że nawet nie próbują pojąć.

Nourm zeszywniał. Twarz mu pociemniała.

–A to, co niby miało znaczyć? – zapytał ostro.

– Miało znaczyć, że dość mam ludzi, którzy nie starają się nawet zrozumieć, co się tutaj dzieje – odparł Harnak ostrzej, bardziej matowym głosem. – Mam dość ludzi, którzy pochłaniają te tak zwane „raporty wywiadowcze” tego dupka Neshoka, jak jakieś boskie objawienia. Miało też znaczyć, że dość mam idiotów tak przeżartych nienawiścią, że nie potrafią już nawet samodzielnie myśleć!

Nourm otworzył oczy szeroko i gwałtownie wyprostował się na swoim krześle.

– O czym ty do wszystkich piekieł mówisz? – w jego głosie zabrzmiał gniew, ale także i niepewność. – Cholera! Sam byłeś jednym z ich jeńców! I bardzo dobrze wiesz, że nie dali setnikowi nawet porządnego uzdrowiciela! I byłeś, kurwa, na miejscu, kiedy strzelali do magistra Halathyna!

– Ty duma, żałosna kpino z miecznika – powiedział niemal współczująco Harnak. – Na bogów! Służysz już tyle czasu i nadal nie potrafisz rozpoznać kupy jednorożca, kiedy kładą ci ją na talerz i powiedzą, że to jajecznicą?

Otwarte dotąd szeroko oczy Nourma zwęziły się w jednej chwili. Tej frazy używano w armii Unii na określenie niezwykle głupich rozkazów, albo na określenie czyichś mało przekonujących, tchórzliwych wymówek. Zdarzało się jednak, że mówiono w ten sposób o doniesieniach wywiadu, które okazywały się nieprawdziwe... albo wręcz kłamliwe.

– O czym ty naprawdę mówisz? – zapytał surowo.

– Właśnie o tym, że ja tam byłem – warknął Harnak, wyciągając

fajkę z ust i mierząc cybuchem w Nourma. – Byłem na Polanie Powalonych Drzew, kiedy wszystko zaczęło się pieprzyć. Na bogów, Osmuna – pierwsza ofiara tej wojny – facet służył w moim plutonie i to ja znalazłem go z tą pieprzoną dziurą wywaloną w jego piersi! Nie powtarzaj mi więc tego, czym ci piorą mózg ci goście z wywiadu. Ja tam byłem i widziałem wszystko, kurwa, na własne oczy!

Fajka w jego dłoni zadrżała. Wyraz twarzy Nourma uległ nagłej zmianie. Miecznik zrozumiał, że jego kolega nie żartuje i ledwie powstrzymuje swą złość.

–Więc powiedz mi – poprosił już zupełnie innym tonem. – Powiedz mi, co się stało?

Harnak przyglądał mu się przez kilka chwil badawczo, jakby oceniając ryzyko, po czym głęboko nabrał powietrza i delikatnie wzruszył ramionami.

–Od samego początku rację miał setnik Olderhan – powiedział cicho. – Nie wiem, kto strzelił pierwszy, czy zrobił to Osmuna, czy ten obcy. Nie wiem, czy ktokolwiek, kiedykolwiek się tego dowie. Ale wiem, kto, do kurwy nędzy, na polanie strzelił pierwszy. 1 to nie byli oni. To nie był ten pieprzony cywil, który wstał z pustymi rękami, żeby kurwa, z nami pogadać. Żeby tylko pogadać. A wtedy ta moja kupa gówna w przebraniu półsetnika strzeliła mu prosto w gardło. Wbrew wyraźnemu rozkazowi setnika!

Nourm poznawał już uczucie wyrażane przez minę Harnaka. Potworny wstyd, jaki zobaczył w jego oczach był bardziej przekonujący, niż jakikolwiek wybuch gniewu.

–Wiedziałeś, że setnik Olderhan uczynił tych dwoje obcych, których nie udało nam się zabić swoimi shardonai? – ciągnął Harnak, ciskając na drugiego miecznika gniewne spojrzenia. – Wiesz, czym on jest synem. Myślisz, że zrobił to dlatego, że nasza strona zachowała się honorowo? Założę się też, że nie wiedziałeś, że setnik rzucił rękawicę Thalmayrowi na oczach tego, co zostało z mojego plutonu? Dlatego, że ten dupek chciał założyć kajdanki shardonai Olderhana? Ja to wszystko wiem. To mnie Hadrign kazał to zrobić... i to mi Olderhan zabronił choć drgnąć!

A magister Halathyn? – ciągnął. – To nie oni go zabili. To nasi – w ostrym, niskim głosie Harnaka pojawił się ból. – Smok piechoty, pieprzony miotacz błyskawic – a widziałeś, żeby to obcy ich używali, Nourm? Boja, kurwa, nie bardzo!

Harnak skinął głową w kierunku budynku zbrojowni Fortu Ghartoun i skrzywił usta, jakby chciał splunąć.

–A ta cała gadanina o strzelaniu do jeńców, o torturach, o odmawianiu naszym opieki medycznej? Smocze gówno! Smocze gówno! – Ci ludzie – ich oficerowie, których teraz trzymamy w pace – bardzo pilnowali, żeby traktowano nas dobrze. Nigdy nie widziałem, żeby któryś z ich strażników dotknął Arkanianina, choć kolbą. I jak to wygląda w porównaniu ze sposobem, w jaki my traktujemy ich jeńców?

I jeszcze – mówił wzburzony Harnak, a jego głos ociekał pogardą – to bydlę, Thalmayr, ma czelność kłamać i rozpowiadać, że go torturowali. Półsetnik Ulthar i ja zostaliśmy tutaj, ponieważ my też obaj byliśmy ranni. Widziałem, jak pracują ich uzdrowiciele. Do cholery! Przecież i mnie leczyle! I nigdy nie miałem nawet

wrażenia, że robią cokolwiek mniej niż powinni. Ale oni pracują inaczej niż nasi magistroni – nie potrafią tego samego. I może byście to w końcu sobie wbili do łbów? Robili, kurwa, co mogli, traktowali nas tak samo, jak swoich rannych. Nikt nawet nie pytał, jaki mundur kto nosił. I to właśnie tych ludzi twój drogi setnik Thalmayr tłucze do nieprzytomności co dwa dni! Rzygać mi się od tego chce!

Wstrząśnięty Nourm patrzył na kolegę. Zrozumiał, że łzy, które nagle pojawiły się w oczach Evarla Harnaka były szczerymi łzami wściekłości – i wstydu.

–Ja... – zaczął i umilkł. Nie potrafił naraz przyswoić sobie tego wszystkiego, co przed chwilą usłyszał. Nie po tak długim czasie, w którym żył w zupełnie innym przekonaniu i zupełnie co innego myślał na temat obcych. Ale teraz, obserwując gniew i zażenowanie Harnaka, zrozumiał, jak wyglądała prawda.

–No, co? – warknął Harnak widząc wahanie Nourma.

–Wydaje mi się, że może powinienem bardziej uważnie słuchać półsetnika Sarmy – odpowiedział wreszcie powoli Nourm. – Może wtedy nie czułbym się jak wielka kupa gówna. A tak właśnie się teraz czuję.

–Ach tak? – burknął Harnak. – No cóż, nie ty jeden. Możesz mi wierzyć. – Możliwe. Nourm siedział i patrzył tępo w dziedziniec zdobycznego fortu, zastanawiając się nad tym, co opowiedział mu Harnak. Myślał też o wszystkim, co do tej pory sam mówił... i co robił.

–Możliwe... – powtórzył – ale co my teraz, na Graholisa, mamy z

tym zrobić?

–Nie wiem – Harnak wsunął fajkę na powrót do ust i odwrócił się od towarzysza. Wyciągnął zasobnik z zakłębieniem i użył go, by ponownie rozpać fajkę. Kiedy się odezwał, mówił jeszcze ciszej, niż do tej pory. – Wiem, co miałbym ochotę zrobić, ale tego akurat nie mogę. Żałuję też, że półsetnik sam nie pamięta o radzie, którą mi dał – dodał spoglądając w stronę, gdzie zniknął Ulthar. – Jeśli tego nie zrobi i nadal będzie wchodził Thalmayrowi w drogę, to boję się, że się to może bardzo brzydko skończyć. Nourm popatrzył tam, gdzie Harnak i jego oczy pociemniały, wypełnione własnym zmartwieniem.

„Ja wiem dokładnie, co się stanie, jeśli Ulthar nie odpuści” – pomyślał ponuro – „na dodatek spędza bardzo dużo czasu z moim półsetnikiem. Tym samym ‘dzieciakiem z mlekiem pod nosem’, którego powinienem był przez cały czas słuchać.”

Keraik Nourm spojrział w przyszłość i zupełnie nie spodobało mu się to, co w niej ujrział.

Długi na kilka mil pociąg wjechał na stację kolejową Fortu Salby niczym jeden długi, klekocący wstrząs pary i syku pneumatycznych hamulców. Ciągnął się wzdłuż torów, jak okiem sięgnąć. Rof chan Skrithik aż zmrużył oczy z zadowolenia na widok karabinów maszynowych i lekkich dział, którymi jeżyły się wagony.

Wagony sztabowe i dowodzenia znajdowały się na czele składu. Regimentarz stanął na baczność. Drzwi otworzyły się i po krótkich schodkach zszedł oficer w mundurze z dwiema złotymi gwiazdkami, oznaczającymi ternathiańskiego generała dywizji.

Przybysz, jak na Ternathianina, był niski. Miał ciemne włosy, od których zaczynały się już wyraźnie odcinać srebrne pasemka. Był muskularnym, dobrze zbudowanym mężczyzną o budowie jeźdźca i potężnych dłoniach, co pasowało do jego kawaleryjskich butów i kościanej kolby rewolweru HW, wiszącego mu w kaburze u pasa, zamiast preferowanej przez wielu współczesnych oficerów, lżejszej Polshany. W brązowych oczach generała jednak nie było widać nic wesołego. Na prawym ramieniu nosił identyczną czarną opaskę, jak wszyscy w zasięgu wzroku.

–Generale chan Geraith – przywitał się cicho chan Skrithik.

–Regimentarzu – skinął głową nowo przybyły.

–Cieszę się, że pana widzę, generale. Szkoda tylko, że...

–Tak, wszyscy tego żałujemy, regimentarzu – powiedział chan Geraith, gdy chan Skrithik urwał. Starszy oficer wyciągnął rękę i mocno uścisnął prawicę chan Skrithika. – Wszyscy. Niemniej muszę powiedzieć, że wykonał pan tu kawał dobrej roboty. Kawał dobrej roboty.

–Dziękuję, generale. Aczkolwiek nie walczyliśmy tu sami. Chciałbym przedsta...

Chan Skrithik umilkł po raz drugi, ale tym razem, nie dlatego, że zabrakło mu słów. Tym razem przerwał mu wspaniały sokół wędrowny, który lotem koszącym przeleciał nad wiatą stacji i przysiadł mu na ramieniu.

Chan Geraith otworzył szeroko oczy. Zdał sobie sprawę, że do tej

pory nie zauważył skórzanego ochraniacza na ramieniu młodszego z oficerów.

–Bardzo przepraszam, generale – zaczął regimentarz, widząc wymierzone w ptaka spojrzenie przybysza. – Wiem, że Taleena należała do księcia Janakiego i jestem pewien, że to się da w końcu jakoś rozwiązać, niemniej, od kiedy księżę poległ, ptak...

Umilkł bezradnie. Chan Geraith jeszcze przez chwilę przyglądał się chan Skrithikowi w milczeniu. Zastanawiał się nad czymś. Potem wyraźnie otrząsnął się.

–To cesarski sokół wędrowny, regimentarzu – powiedział wreszcie. – W sytuacjach takich jak ta, nikt nie jest w stanie im czegokolwiek narzucić. W podobnych – na szczęście rzadkich – momentach, gdy tracą swoich ludzkich towarzyszy, to ptaki same decydują, dokąd polecieć, i z kim – jeśli w ogóle – się związać. Jeśli Taleena wybrała pana, to tylko dlatego, że sama tego chciała.

–Rozumiem, generale, ale przecież ja nie mam najmniejszego pojęcia o sokołach – zaprotestował nieco rozpaczliwym głosem chan Skrithik. – Gdyby nie obecny tu Słoneczny Lord, zupełnie nie umiałbym się nią zająć!

–W takim razie wydaje mi się, regimentarzu – powiedział chan Geraith, odwracając się z wyciągniętą dłonią do oficera kawalerii, który stał przy chan Skrithiku z identyczną jak wszyscy, żałobną opaską na swoim uromathiańskim mundurze – że jesteśmy winni

Słonecznemu Lordowi Markanowi podziękowania za dwie rzeczy. Proszę mi wierzyć, Słoneczny Lordzie – ciągnął, zwracając się

już bezpośrednio do Uromathianina – jestem naprawdę szczerze i głęboko zobowiązany panu i pańskim ludziom, tak samo, jak wdzięczny panu będzie cesarz Zindel.

–To był nasz wspólny wysiłek, generale – odparł Markan, mocno ściskając wyciągniętą dłoń przybysza. – Nikt w Forcie Salby nie miał monopolu na odwagę... ani na ofiarność.

Spojrzenie jego ciemnych, migdałowych oczu spoczęło na ciemnej opasce na rękawie, takiej samej, jak ta, która znaczyła przedramię chan Geraitha. Generał z goryczą w oczach pokiwał głową.

–Celna uwaga, Słoneczny Lordzie – raz jeszcze uścisnął rękę Markana i głęboko odetchnął.

–Panowie – zagaił patrząc na obu oficerów. – Mam wrażenie, że do chwili, w której nie zaprowadzimy porządku w forcie, w moim wagonie sztabowym będzie nam najwygodniej. A mamy ze sobą wiele do omówienia. Ale zanim się zabierzemy za raporty, chciałbym zobaczyć swojego księcia.

Przebrane w czysty mundur ciało księcia Janakiego chan Caliratha, leżało na katafalku w kaplicy Fortu Salby. Skrzyżowane dłonie złożono poległemu na rękojeści, spoczywającego na jego piersi, galowego miecza. Światełka Obecności jaśniały nad ołtarzem, z którego na poległego księcia spoglądał Vothan Obrońca, Matka Shalana i Marnilay

Dziewica. Honorową straż przy marach trzymało siedmiu ocalałych żołnierzy z plutonu Janakiego. Dowodził nią starszy zbrojny chan Braikal. Mimo upływu czasu, na ciele młodego

arystokraty nie było znać najmniejszych nawet śladów rozkładu. W kaplicy panował chłód, ale chan Geraith zrozumiał, że to nie temperatura była jedynym powodem tego stanu rzeczy. Spojrzał pytająco na chan Skrithika. Regimentarz wzruszył ramionami.

–Może nie powinienem był się na to zgadzać, generale, ale arkaniański Uzdrowiciel zaproponował, że rzuci na zwłoki księcia „zaklęcie konserwujące”.

–Chcesz mi powiedzieć, że oni wiedzą, że Janaki nie żyje? – zapytał ostro chan Geraith. W jego głosie pobrzmiwało coś więcej niż tylko lekka nagana.

–Wiedział już o tym w chwili, w której mi to proponował, generale – odpowiedział chan Skrithik spokojnie. – Najwyraźniej rozmawiali o tym nasi ranni i jego... kryształ tłumaczący to usłyszał. No, a skoro i tak już wiedział, to nie widziałem powodu, by odrzucić tę propozycję.

Chan Geraith skrzywił się niezadowolony, ale chan Skrithik spojrzał mu prosto w oczy.

–Generale, złożyć ostatnią wizytę księciu zechce każdy z pańskich żołnierzy. Podobnie jak wszyscy moi podkomendni i wszyscy ludzie, służący pod Słonecznym Lordem Markanem. Będą chcieli go zobaczyć i z pewnością znajdą się wśród nich telepaci. Wiem, że pan też przyprowadził Głosów ze sobą. Nie chciałbym, żeby jego matka – żeby ktokolwiek – musiał go oglądać w stanie...

Regimentarz urwał i raz jeszcze wzruszył ramionami. Migocące Świątełka

Obecności odbijały się w jego oczach. Chan Geraith poczuł, jak jego nieładny grymas łagodnieje i przemienia się w coś innego.

–O tym nie pomyślałem – przyznał. – Oczywiście wolałbym, żeby obcy się o jego śmierci nie dowiedzieli, ale skoro i tak już wiedzą, to chyba rzeczywiście podjął pan słuszną decyzję, regimentarzu.

–Dziękuję, generale – odpowiedział cicho chan Skrithik i pokręcił nieznacznie głową. – Muszę też przyznać, że moim zdaniem – a zgadza się ze mną w tej kwestii podkapitan chan Darma, mój Głos – ten pięćsetnik Vaynairto naprawdę porządny człowiek. Zupełnie nie wiem, co ktoś taki jak on robi w armii Arkany, ale mój Wykrywacz także potwierdził, że on nie kłamał, mówiąc, że składa tę propozycję jako wyraz szacunku wobec naszego księcia.

–Czyżby? – chan Geraith zmarszczył brwi z namysłem.

Generał był zaskoczony propozycją arkaniańskiego dowódcy już wtedy, gdy przekazał mu ją Głos chan Skrithika. Przez jakiś czas bardzo poważnie rozważał jej odrzucenie. Podobnie jak regimentarz, on także miał bardzo ponure podejrzenia, co do prawdziwych powodów stojących za „brakiem upoważnienia” Harshu do uwolnienia wszystkich przetrzymywanych przez siebie jeńców. A ponadto, co zresztą ustami swoich posłów zauważył sam dwutysięcznik, znajdujący się w niewoli Arkanianie stanowili prawdziwą skarbnicę danych wywiadowczych, informacji o wartości niemożliwej do przecenienia.

Niemniej na drugiej szali wagi, na której spoczywało uwolnienie niecałych trzystu wrogich żołnierzy, złożono bezpieczny powrót ponad dwóch tysięcy cywilów i to wraz z większością ich

ciężkiego sprzętu. Dwutysięcznik Harshu zgodził się, by Sharonianie zabrali ze sobą wszystko, co tylko zdołają w dwudziestoczworgodzinnym oknie, które miało się otworzyć, w chwili zawarcia ugody, co do wymiany. A skoro Olvyr Bachu, w chwili podjęcia rozmów, pakował już wagony, z myślą o powrocie do Traisum od niemal trzydziestu sześciu godzin, czas na zebranie sprzętu rozciągał się niemal do pełnych dwóch dni.

Niestety nie było to wystarczająco wiele czasu, by uratować największe koparki, które, by można je było transportować, wymagały pracochłonnego demontażu, a poza tym, niedobór odpowiednich wagonów oznaczał, że Sharonianie musieli porzucić też trzecią część pozostałego ciężkiego sprzętu. Niemniej Banchu powrócił bezpiecznie do Salby, z maszynami wartymi miliony marek. Z maszynami, których wartość i tak miała przekroczyć wartość ich wagi w złocie, gdy tylko marsz budowniczych kolei ku Wrotom Piekieł zostanie wznowiony. Chan Geraith wątpił przy tym, by Harshu zdawał sobie sprawę z rzeczywistej wartości zwracanego sprzętu i maszyn. Gdyby Sharonianie stracili je wszystkie, potrzebowaliby wielu długich miesięcy na dostarczenie nowych maszyn i odpowiednio przeszkolonego personelu do ich obsługi.

Chan Geraith widział nieskończony szereg wagonów robotniczych, mobilnych warsztatów, platform z buldożerami i koparkami, wagonów pasażerskich, przewoźnych tartaków, pomocniczych lokomotyw, tony niewykorzystanych podkładów i szyn, śrub, młotów, siekier, kilofów... lista była nieskończona, a wagony i lokomotywy wypełniły niemal wszystkie nadmiarowe bocznice, pozostawione w Salby przez KTT po ukończeniu prac nad budową Szczeliny Traisum. W tej sytuacji, zatrzymywanie

jeńców chan Skrithika za tak wielką cenę, niczym nie mogło być usprawiedliwione.

Przyjął, więc ofertę, ponieważ nie widział innej możliwości, niemniej szczerze go zaskoczyła skrupulatność, z jaką Arkanianie dotrzymali zobowiązań. Według medyków chan Skrithika na przykład, regimentarz nigdy nie odzyskałby pełni władzy w ramieniu, gdyby nie interwencja Obdarzonych Uzdrowicieli z Arkany. Gdyby nie pomoc obcych, umarłoby z pewnością przynajmniej piętnastu rannych – w tym i starszy zbrojny z oddziału księcia Janakiego, a wielu innych – jak sam regimentarz – zostałoby kalekami do końca życia. W sumie okazało się, że Arkanianie wyleczyli dwa razy więcej rannych ze strony SZZP i uromathiańskiej kawalerii, niż swoich własnych ludzi.

I jeszcze to, pomyślał, patrząc na leżącego przed sobą martwego młodzieńca, który wyglądał, jakby tylko spał.

–Podejrzewam, że wszędzie można znaleźć przynajmniej kilku dobrych ludzi, nawet w Arkanie – odpowiedział wreszcie. – I jestem im wdzięczny. Choć nie sądzę, by to złagodziło reakcję opinii publicznej, gdy wieść o jego śmierci dotrze do Tajwany.

Chan Skrithik skrzywił się na tę myśl. Uświadomił sobie, że rodzice księcia nie wiedzieli jeszcze nic o jego śmierci.

–Tak bardzo żałuję. Nie ma pan pojęcia jak bardzo, że on tu był – powiedział cicho regimentarz. – Bez niego, co prawda, nigdy byśmy tego fortu nie utrzymali, ale na bogów! – pokręcił głową, a w oczach stanęły mu łzy, gdy spojrzał na ciało. – Taka strata! Przecież on był tak młody. Tak obiecujący. Wiem, że o

następcach tronu zawsze się powiada, że to obiecujący młodzieńcy, ale na Triadę, on był taki naprawdę!

–Tak, wiem. – Chan Geraith wyciągnął dłoń i uściśnił lewe ramię chan Skrithika, uważając przy tym, by nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów w obecności Taleeny. – Wiem.

–Powiedział mi, że musi tu zostać – ciągnął chan Skrithik. – Oczywiście próbowałem protestować, ale z jakiegoś dziwnego powodu nie byłem w stanie. I – bogowie świadkami – bardzo go potrzebowałem. Cały czas miałem w pamięci wszystkich naszych cywilów, wiedziałem jak ważny strategicznie jest ten portal. Po prostu nie mogłem mu tego zabronić. Do ostatniej chwili swojego życia był bez reszty skupiony na ratowaniu pozostałych. Na nas. Na tym, co uważał za swój obowiązek. Raz po raz upewniał się, czy ja dobrze rozumiem, co on Widzi w swoim Przebłysku. Bez tej wiedzy, bez tego jego ostrzeżenia... Cholera, nic byśmy nie wiedzieli! Zginęlibyśmy wszyscy we własnych łóżkach! Ocalił życie nam wszystkim. Szczęście w nieszczęściu, że mogę przynajmniej powiedzieć jego rodzicom, iż zginął niemal natychmiast. Nie miał prawa wiedzieć, co go zabiło.

–Ależ, regimentarzu, on to bardzo dobrze wiedział – sprostował cicho chan Geraith. – Doskonale to wiedział. Przecież Widział to wcześniej – przeżył to – jeszcze zanim Arkanianie pojawili się pod pańskim fortem. – Generale? – pojedyncze, zduszone słowo dobyło się z ust chan Skrithika, który gwałtownie zwrócił spojrzenie na starszego oficera. Spojrzał mu w oczy i chan Geraith powoli skinął głową.

–Znajdował się przecież w stanie anamnetycznym – wyjaśnił. – Jego Talent nie był tak mocny, jak ten, którym posługuje się jego

ojciec i aby w taki stan wejść musiał doznać Przebłytku Śmierci. Janaki wiedział, że jeśli tu zostanie to umrze, regimentarzu chan Skrithik. On to Zobaczył. Przesłał mi nawet wiadomość, w której przyznawał, że to wie... i zabronił mi nakazać panu usunięcie go z Fortu Salby.

Oblicze chan Skrithika ściągnęło się od świeżej, głębszej jeszcze niż poprzednia, fali cierpienia i mimo, że generał nie posiadał najślabszego nawet Talentu, odebrał ból regimentarza, jakby był jego własnym. Po części miał wyrzuty sumienia, z powodu sprowadzenia nowego ciężaru na barki młodszego oficera, ale to było niezwykle ważne, by chan Skrithik wiedział, by wszyscy się dowiedzieli, że księżę Janaki chan Calirath poszedł na śmierć świadomie, ratując jednocześnie tysiące innych ludzi.

–To dewiza jego rodu, regimentarzu – dodał cicho Arlos chan Geraith, w zaległej nagle ciszy. Czuł przy sobie obecność Słonecznego Lorda Markana. – Stoję pomiędzy. Stoję pomiędzy złem, a jego ofiarami, pomiędzy ciemnością, a światłem. Stoję pomiędzy tym, co dobre, a tym, co złe. Pomiedzy swym ludem, a jego nieprzyjaciółmi... i pomiędzy tymi, których przyrzekałem chronić, a śmiercią. Ludzie nie szli od tysięcy lat za Calirathami prosto w ogień bez powodu, regimentarzu. I teraz my – pan i ja – dokładnie wiemy, co to za powód.

Rozdział 15

–Alazon, co się stało? – brązowe oczy Darcela Kinlafii utonęły w innych, szarych. Alazon Yanamar nie potrzebowała korzystać z łączącej ich więzi, by poczuć siłę jego niepokoju. – Co cię tak bardzo martwi?

Odwrócił raz jeszcze głowę i spojrzał wzdłuż pałacowego korytarza, w którym przed chwilą zniknęła księżniczka Andrin. Młoda kobieta trzymała się prosto i poruszała się, stąpając równie wdzięcznie jak zwykle, ale w jej oczach od wielu dni czaił się lęk. Żadne kosmetyki nie byłyby w stanie zamaskować gromadzących się pod nimi cieni. Dziewczyna przeszła obok Alazon i Kinlafii, nie zauważając nawet ich obecności. – Tego ci nie mogę powiedzieć, ukochany.

Alazon wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego policzka. Kinlafia zmrużył oczy. Zdarzały się chwile, w których bliskość oferowana przez więź tak mocną jak ich, miała swoje złe strony. Wiedział, że kiedy coś niepokoiło Andrin, także i Alazon odczuwa głębokie zmartwienie. Jednocześnie sam przecież był Głosem i rozumiał, jakie obowiązki spoczywają na osobach wykonujących ten zawód. Każdy telepata składał przysięgę dotrzymania tajemnicy, a już na pewno musiała jej dotrzymywać osobista telepatka cesarza Ternathii.

–Przepraszam – powiedział ze skrucą w głosie. – Nie powinienem był cię o to pytać. To, po prostu dlatego, że... Nie czuję się dobrze oglądając ją w takim stanie. – Rozumiem to – Alazon raz jeszcze pogładziła jego policzek, po czym wzięła go pod rękę i ruszyli tym samym korytarzem, przez który przeszła księżniczka. – Myślę, że wszyscy czujemy to samo – ciągnęła. – Triada wie, jak bardzo sama cierpię, no ale twój przypadek jest inny – spojrzała mężczyźnie w oczy – większość z nas znają od małego.

–Celna uwaga, moja pani – odpowiedział, uśmiechając się wesoło.

„Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje między wami dwojgiem, to ja to zrozumieję.” – Powiedziała, rozmyślnie uciekając się do użycia Głosu, tak by Kinlafia nie miał wątpliwości, co do jej szczerości. – „Ale jeśli mogłabym w czymkolwiek pomóc, albo tobie, albo jej, to pamiętaj, że wystarczy, że poprosisz.”

„Oczywiście, wiem” – Odpowiedział jej. – „I wierz mi, to nie chodzi o to, że nie chcę się czymś z tobą dzielić, tylko o to, że ja sam nie jestem pewien tego, co się dzieje. Są też pewne... bardziej intymne sprawy, z którymi muszę się najpierw uporać w pojedynkę.”

„Rozumiem” – Powiedziała i w pobocznych śladach emocji, które napłynęły wraz z jej Głosem, Darcel Wyczuł wspomnienie echa, które Alazon odebrała, gdy wspólnie z Zindelem, przeżył Przebłysk. Nie potrafiła odsunąć od siebie tego wspomnienia, nie mogła nie powiązać go z tuzinami innych wskazówek i nie była w stanie – przynajmniej w najogólniejszy sposób – nie domyślać się tego, co się z nim działo. Niemniej nie zrobiła nic, by w jakikolwiek sposób wykorzystać tę wiedzę. Z wdzięczności za to posłał poprzez więź ciepły strumień miłości i wdzięczności.

„Wiesz, że ona już zaczęła planować, że sama zorganizuje nam ślub, prawda?” – ciągnęła Alazon i jej myśli brzmiały już lżej. Zmieniła temat rozmyślnie. – „Parę razy powiedziała coś, z czego wynika, że nie zamierza się przy tym niczym ograniczać.”

„No to cudownie!” – Głos Kinlafii był tak skwaszony, że Alazon głośno zachichotała. – „Zdajesz sobie sprawę, że moi rodzice – oboje – są porządnymi nowofarnaliskimi socjal-republikanami, prawda? Itak będą mieli kłopot z zaakceptowaniem faktu, że ich

syn żeni się z osobistym Głosem cesarza. Naprawdę nie sędzę, by byli zachwyceni, gdy dowiedzą się, że całą ceremonię organizuje prawdziwa księżniczka!”

„Oj, przestań się już martwić!” – skarciła go. – „Wszyscy rodzice chcą, żeby ich dzieciom wiodło się w życiu jak najlepiej. To, że twoi są socjalistami, wcale tego nie zmienia! A kiedy już zostaniesz wybrany do nowej Imperialnej Izby Talentów, będą z ciebie tak dumni, że nawet nie zauważą z kim wzięłeś ślub. Co więcej, może się jeszcze okazać, że kiedy zobaczą, jak blisko steru władzy siedzisz, to przemienią się w obleśnych imperialistów.” Kinlafia przewrócił oczami.

„Gdyby do zwycięstwa w wyborach wystarczało twoje głębokie przekonanie, to nie musielibyśmy nawet czekać do ogłoszenia wyników” – Powiedział oschle. – „Niestety wydaje mi się, że to wszystko jest jednak nieco bardziej skomplikowane.”

„Na pewno nie wtedy, kiedy sprawą zajmuje się osobiście Zindel chan Calirath” – zapewniła go śpiewnym Głosem. – „I nie w wypadku, gdy kandydat jest, tak jak ty, wprost stworzony do swej przyszłej funkcji.”

Przycisnęła jego łokieć nieco mocniej do siebie. Darcel poczuł jak przepływają weń, bijące od niej ciepło i pewność. Mimo to, wzmianka o cesarzu zwróciła jego myśli na powrót do troski o Andrin. Zindel był od niej starszy i bardziej doświadczony w radzeniu sobie z doświadczaniem Przebłysków, a także z ukrywaniem ich najbardziej wyraźnych objawów. Mimo to, Kinlafia był przekonany, że cokolwiek dręczyło Andrin, nawiedzało także, niczym koszmar, samego Zindela. Zmartwienia, które niczym zmarszczki na wodzie rozchodziły się

wokół cesarza i jego córki, wpływały także na cesarzową i młodsze księżniczki, choć one akurat nie miały nawet cienia podejrzenia, co do rzeczywistych powodów złego stanu swej siostry i ojca. „Może bal jej pomoże” – Powiedziała z nadzieją w myślach Alazon.

„A może bal dobije ją do reszty!” – pokręcił głową Kinlafia. – „Mnie dobija sama myśl o tym, że to już niedługo!”

„Bzdury opowiadasz! Będiesz tam najprzystojniejszym z mężczyzn, nie mówiąc już o tym, że najbardziej znanym. Muszę przyznać, że planuję być nieznośnie zazdrosna, gdy zlecą się wokół ciebie wszystkie damy dworu z namiętnymi prośbami o taniec.”

„Och, o to, to zupełnie nie musisz się martwić!” – zaśmiał się Kinlafia. – „Czyżbym zapomniał ci powiedzieć, że nigdy nie uczyłem się tańczyć?” – jego brązowe oczy zabłysły złojecko. – „Wierz mi, po tym, jak zmiżdżę kilku damom ich delikatne stopki, będziesz mnie miała już tylko dla siebie!” – Głosie Kinlafia? Alazon już miała odpowiedzieć, gdy przerwał im ktoś z tyłu. Zatrzymali się i obrócili. Zobaczyli uzbrojonego mężczyznę w zielono-złoty barwach Calirathów. Żołnierz uklonił się im z powagą i szacunkiem.

–Proszę o wybaczenie, Głosie Kinlafia, ale Jego Wysokość byłby niesłychanie zobowiązany, gdyby mógł mu pan poświęcić kilka chwil swego czasu.

Kinlafia poczuł, że nagle zasycha mu w ustach. Przyspieszył mu puls.

–Oczywiście – odpowiedział pospiesznie. – Czy cesarz zechciałby mnie przyjąć teraz?

–Owszem, spodziewa się, że zjawi się pan od razu – przytaknął gwardzista. Kinlafia odwrócił się do Alazon i pocałował ją w policzek.

–Wrócę do ciebie moja droga, jak tylko będę mógł – powiedział.
– Przecież cały czas pamiętam o naszym umówionym spotkaniu z krawcem.

Alazon uśmiechnęła się, skinęła głową i puściła jego ramię. Raz jeszcze uśmiechnął się, po czym spojrzał na żołnierza i poprosił gestem, by ten poprowadził. Ruszył za nim korytarzem, cały czas czując swoim umysłem i sercem ciepły, kochający dotyk kobiety.

–Dziękuję, że zechciałeś przyjść, Darcel.

Lewa brew Kinlafii powędrowała nieznacznie ku górze. Zindel chan Calirath odwrócił się od okien swego gabinetu i powitał gościa. Jak dotąd, cesarz każdą rozmowę z telepatą starannie rozpoczynał od formalnego „Głosie Kinlafia”. Przez chwilę Kinlafia zastanawiał się, czy to użycie jego imienia wynikało z rozmyślnej zmiany taktyki, ale po chwili poczuł to samo tajemnicze wrażenie, to samo bijące od władcy uczucie, którego doznał przy ich pierwszym spotkaniu. To, że cesarz odezwał się do niego po imieniu nie było żadną sztuczką. Był to jedynie dowód na to, jak bardzo przejęty i zaniepokojony jest Zindel. Na tyle, że zapominał nawet o dworskich formach. Darcel zdał sobie też sprawę, że stanowiło to wyraz przekonania cesarza, iż cokolwiek się nie wydarzy – w tym lub w innym wszechświecie – to Darcel Kinlafia zmierzy się z tym, stojąc u boku jego córki.

–Tak – powiedział po chwili Zindel, zupełnie jakby sam był Głosem i odczytał myśli Kinlafii. – Chodzi o Andrin.

–Wasza Wysokość, jestem pewien, że są inni... – zaczął Kinlafia, ale za chwilę urwał. Nie było sensu niczego udawać. Na pewno nie w sytuacji, gdy Zindel zdawał sobie sprawę z niecodziennego zajścia, jakim było ich wspólne doznanie Przebłysku. – Przepraszam, Wasza Wysokość – powiedział zamiast się tłumaczyć. – Raczej głupio by to wyglądało, gdybym udawał, że nie wiem, o czym pan mówi. Oczywiście – zdobył się na grymas przypominający uśmiech – to jeszcze wcale nie znaczy, że cokolwiek z tego rozumiem.

–Ja też cię przepraszam, Darcel – odparł Zindel, najprościej i najbardziej szczerze, jak tylko potrafił.

Podszedł do stojącego za biurkiem krzesła i opadł w nie ciężko. Po chwili, gestem wskazał Kinlafii drugie krzesło, obok biurka, stojące na tyle blisko, by mogli wygodnie porozmawiać. Telepata wiedział, że nikt nie powinien siadać w obecności cesarza, ale przyjął to zaproszenie, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Usiadł i przechylił głowę na bok. Czekał, aż władca zechce przedstawić mu powód, dla którego chciał się z nim zobaczyć.

Zindel – co było kolejną niecodzienną rzeczą – wahał się przez kilka sekund, po czym wreszcie odchrząknął.

–Jestem pewien, że do tej pory zrozumiałeś już, że Janaki miał więcej niż jeden powód, dla którego namawiał cię do startu w wyborach – powiedział.

–Wasza Wysokość, zdawałem sobie z tego sprawę już wtedy, gdy rozmawiałem z nim o tym, po raz pierwszy – odparł Kinlafia. – Nie pytałem go o te inne powody, choć być może powinienem był. Niemniej owszem, wiedziałem o tym.

–I mimo wszystko, przyjąłeś tę propozycję – ulotność uśmiechu Zindela aż krzyczała telepacie o tym, w jakim napięciu pozostawał Zindel. – Pewnie to przez ten przeklęty magnetyzm Calirathów – ciągnął cesarz. – Janaki zawsze miał go aż nadto.

–Myślę, Wasza Wysokość, że wydają go wam, Calirathom, wraz ze świadectwem urodzenia – telepata uśmiechnął się nieznacznie, choć zaczynał właśnie podejrzewać, że powiedział coś bardzo bliskiego prawdzie.

–Cóż, w każdym razie – powiedział Zindel – po tym, co wspólnie przeżyliśmy przed tą pamiętną kolacją, mam poważne podejrzenia – nie, nie mam podejrzeń – wiem, że zrozumiałeś już, co powodowało Janakim. Przynajmniej w jakiejś części.

–Tak, myślę, że zrozumiałem – przyznał Kinlafia – i jeśli można, za przeproszeniem Waszej Wysokości, chciałem, by pan wiedział, że cholernie się tego wszystkiego boję. To wszystko dotyczy spraw, o których bardzo długo myślałem, że nigdy nie będę musiał się nimi zajmować i aż boli mnie od samego myślenia o tym. – Poradzisz sobie.

Ostatnie zdanie mogło być wyrazem protekcjonalnego stosunku władcy wobec telepaty, mogło być też zwykłą, rzuconą od niechcienia myślą. Nie było to jednak nic podobnego – cesarz po prostu stwierdził fakt, tak samo, jak gdyby powiedział, że nazajutrz słońce wzejdzie gdzieś na wschodzie.

–Oczywiście mam nadzieję, że Wasza Wysokość ma rację... mimo, że w tej chwili wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne.

Zindel zachichotał, ale potem pokręcił głową i pochylił się nieznacznie ku Kinlafii.

–Talent Janakiego nie jest tak silnie rozwinięty, jak mój – powiedział – a mój nie jest tak potężny jak zdolności Andrin – spojrzał na Kinlafię swoimi morsko-szarymi oczyma, tak bardzo przypominającymi oczy jego syna i najstarszej córki. Telepacie wydało się, że widzi w tym spojrzeniu jakieś niespokojne duchy. – Co więcej, dochodzę do przekonania, że Andrin dysponuje Talentem na prawdziwie legendarną miarę. Doświadcza Przebłysków o wiele silniejszych, niż którykolwiek z moich, a już na pewno, nigdy nie zaznałem ani jednej tak intensywnej wizji, będąc w jej wieku. Obawiam się przy tym, że dla mojej córki, podobnie jak dla wielu jej przodków, tak potężny Talent okaże się przekleństwem. Jako cesarz, cieszę się z tego ogromnie. Jestem wręcz wniebowzięty, że tak uzdolniona osoba będzie mogła służyć moim poddanym. Jako ojciec natomiast, sprzedałbym własną duszę, byle tylko móc ją przed tym losem uchronić.

Zamilkł i jego szare oczy spojrzały na coś, co potrafiły dostrzec tylko one. Siedział przez kilka sekund w bezruchu, po czym raz jeszcze głęboko odetchnął i z powrotem skupił wzrok na rozmówcy.

–Podejrzewam, że dla cesarstwa, tak samo zresztą, jak dla całej Sharony, fakt, iż nie potrafię uchronić swej córki przed jej własnym Talentem, jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Niemniej, z tego, co Zobaczył we fragmentach Janaki i z tego, co

ja Widziałem w swoich, bardziej szczegółowych wizjach wynika, że będziesz jej bardzo potrzebny, Darcelu. Nie chcę udawać, że znam wszystkie powody, że rozumiem sposoby, w jakie będziesz mógł się jej na przestrzeni lat przysłużyć. Nie tak działają Przebłycki, zwłaszcza, jeśli chodzi o kogoś z rodziny.

Ale ponad wszelką wątpliwość wiem, że moja córka pokocha cię tak samo głęboko, jak każdego, kogo kocha w swym życiu.

Wiem też, że odwzajemnisz się jej tak samo silnym uczuciem, jakby była twoją rodzoną córką z krwi i kości. Wiem to, Darcelu. Nie wiem natomiast, jaką cenę przyjdzie ci za to zapłacić.

Kinlafia siedział bardzo cicho, wpatrując się w oczy człowieka, który za niecałe czterdzieści osiem godzin miał zostać jego cesarzem. I właśnie w tej chwili zdał sobie sprawę, że Zindel chan Calirath, jest już jego cesarzem.

–Wasza Wysokość, ja nie wiem ani trochę więcej niż pan i nie powiem, że sprawa ceny, którą będę musiał zapłacić jest mi obojętna. Ale owszem, przyznaję, dzieliłem z Waszą Wysokością Przebłyck, i mając w pamięci to wszystko, co wtedy ujrzałem, bez wahania poniosę wszelkie koszty, jakie będzie trzeba.

–Dziękuję – odpowiedział szczerze i cicho Zindel. – Ojciec zawsze chce – potrzebuje – stanowić podporę i opokę dla swej córki. Mam nadzieję być kimś takim dla Andrin, a także dla Razial i Anbessy, jeszcze przez wiele długich lat. Ale po tym, gdy zobaczyłem w Przebłycku ciebie u boku Andrin, wiem, że jeśli z jakiegoś powodu, w pewnym momencie mnie zabraknie, to tą opoką dla niej będziesz właśnie ty. To jedna z tych niewielu wizji, którymi obdarzył mnie mój Talent i które stanowią przy tym

źródło ulgi i pociechy.

–Niemniej – ciągnął bardziej rzeczowym tonem – poprosiłem cię dzisiejszego ranka także z innego powodu. Jestem pewien, że zauważyłaś, że od kilku dni, oboje, Andrin i ja, jesteśmy bardziej spięci niż zwykle. Jestem też równie przekonany, że domyśliłaś się, iż ten nasz stan jest związany z Przebłyskami. Biorąc pod uwagę to, co Widziałeś wspólnie ze mną, prawdopodobnie lepiej niż większość nie-Calirathów zrozumiesz, że ciężko jest nam ustalić, co dokładnie oznaczał tamten Przebłysk. Aczkolwiek – spojrzał ponuro i z zacięciem – otrzymałem właśnie raport od generała dywizji chan Geraitha, który stawia moją Wizję w całkiem nowym świetle. I nie jest to nic, z czego można by się cieszyć.

–Wasza Wysokość? – Kinlafia zeszywniał w swoim krześle.

–Jak sam doskonale wiesz, telepatyczne przekazy od generała docierają do nas w nieco ponad tydzień. Ta konkretna wiadomość, zawiera w sobie informacje od Janakiego, wysłane z Fortu Salby. Wydaje się, Darcelu, że Arkanianie nie prowadzili z nami negocjacji w dobrej wierze. Kinlafia zmrużył oczy i poczuł jakby w

żyłach zamiast krwi popłynęła mu lodowata, morska woda.

–To, o czym informuje Janaki ukazuje kilka rzeczy, które Widzieliśmy w Przebłyskach razem z Andrin, w zupełnie nowej perspektywie. Teraz już wiem, na co Patrzyliśmy. Wizja Janakiego jest jednak o wiele mocniejsza i o wiele bardziej szczegółowa i pełna. W chwili, w której wysyłał swą wiadomość do generała chan Geraitha, przewidywał, że w przeciągu

najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, Fort Salby zostanie zaatakowany przez oddziały Arkanian, w skład, których wchodzić będą smoki. Najprawdziwsze, ziejące ogniem, latające smoki.

Kinlafia aż zamrugał w najwyższym zdumieniu. Zindel się roześmiał. Zaśmiał się nieładnym, szorstkim, nieco przypominającym szczeknięcie śmiechem. Nie było w tym dźwięku ani krztyny wesołości.

–Wierz mi, nie sędzę, byś teraz był bardziej zaskoczony, niż ja, gdy Zobaczyłem to w Przebłysku kilka miesięcy temu! Wtedy jednak, po prostu nie miałem pojęcia, na co patrzę. Nie dysponowałem innymi informacjami, w których kontekście mógłbym rozpoznać, czy choćby nazwać oglądane obrazy. A były one do tego stopnia niedorzeczne, że cały mój tak zwany zdrowy rozsądek przeszkadzał mi w ich przyjęciu, do chwili, w której, jak się okazuje, jest już za późno.

–Co to znaczy „za późno”? Wasza Wysokość? – spytał Kinlafia w napięciu.

–To znaczy, że od ośmiu dni ja i Andrin doświadczamy Przebłysków ukazujących nam Janakiego w ogniu walki – twarz Zindela nagle postarzała się wyraźnie. – Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jaki los go spotka. Tego nie Widzieliśmy. To jednak, co Zobaczyliśmy jest przerażające, Darcel... a jeszcze bardziej przerażająca jest wiadomość, którą przesłał do generała chan Geraitha. Bez względu na to, co Ujrzyliśmy w Przebłyskach ja i Andrin, wiem, że Janaki spodziewa się własnej śmierci.

Kinlafia poczuł się tak, jakby został właśnie postrzelony w pierś. Jego twarz, mimo głębokiej opalenizny, zrobiła się nagle zupełnie

biała. Wspomnienia Janakiego – jego śmiechu, jego uprzejmości i współczucia, jego zapału do życia i oczywistego, niewzruszonego oddania obowiązkom, do których zmusił go przypadek urodzin – przemknęły w jednej chwili przez umysł telepaty. Zacisnął palce na poręczach fotela niczym drapieżne szpony. – On może się mylić – ciągnął Zindel. –

Jego Talent jest, jak już powiedziałem, niezbyt mocny. Być może źle interpretuje coś, co Zobaczył i modłę się do Triady, żeby właśnie tak było. Ale właśnie ta sama słabość jego Talentu sprawia, że dokładność jego ostatniego Przebłysku napawa mnie tak wielkim lękiem. Jest oczywiście kilka powodów, dla których jego wizja mogła okazać się wyraźniejsza, dokładniejsza niż moja i Andrin, ale nie ma sensu niczego udawać. Najbardziej prawdopodobnym jest właśnie ten, że Janaki się nie myli.

–Na bogów, Wasza Wysokość – szepnął Kinlafia. – Nie wiem... To znaczy, co mogę powiedzieć? Co zrobić?

–Nie wiem, co zrobisz, jeśli okaże się, że Janaki miał rację – Zindel patrzył ciemnymi, mrocznymi oczyma, w których połyskiwały niewylane łzy silnego mężczyzny. Łzy cesarza, który był także ojcem dziecka – dziecka, które właśnie przewidziało własną śmierć. – Wiem tylko tyle, że jeśli tak się rzeczywiście stanie, Andrin będzie cię potrzebować... i wiem, że jej wtedy pomożesz.

–Czy ona wie? Czy zna treść wiadomości od Janakiego?

–Nie. Nie zna. Ani ona, ani jej matka – Zindel odwrócił wzrok i spojrzał za okno, na ogród. Jego głos stał się odległy, jakby mówił sam do siebie... albo może do swojego syna. – Nie wiem,

czy im powiem. Z jednej strony, powinienem. Mają prawo to wiedzieć. Z drugiej jednak, co będzie, jeśli Janaki źle zinterpretował swoją wizję? O co się zresztą modlę. Czy mam im powiedzieć i rzucić im na barki taki ciężar, akurat w tak ważnych dniach? Przecież to może się w ogóle nie wydarzyć. A nawet, jeśli Janaki ma rację, to fakt, że one się dowiedzą w tej chwili, niczego nie zmieni. Poza tym, że będą mocniej cierpieć, w wyczekiwaniu. Wystarczy, że ja cierpię, czy powinienem przerzucać ten ból na dwójkę lub piątkę innych ludzi? I to tych, których kocham najbardziej w całym multiwersum?

–Nie wiem, co powiedzieć, Wasza Wysokość – przyznał ściszym głosem Kinlafia. – Chciałbym, ale nie potrafię.

–Wiem, Darcelu, rozumiem – cesarz-elekt Sharony wyciągnął rękę i niemal pocieszającym gestem poklepał Kinlafię po ramieniu. – Wiem, że nie potrafisz. Ale wiem też, że gdy będzie cię potrzebować Andrin, będziesz potrafił.

Andrin Calirath nie miała jeszcze skończonych osiemnastu lat, a jej matka od zawsze żywiła bardzo surowe przekonania, co do zasad etykiety i godnego zachowania się, jakimi powinna kierować się dobrze ułożona dziewczyna z arystokratycznego rodu. Podczas, gdy wiele młodych, temathiańskich arystokratek szło na swój pierwszy w życiu bal w wieku szesnastu, albo nawet i piętnastu lat, pierwszym prawdziwym bale na jakim pojawiła się Andrin, był uroczysty bal z okazji ratyfikacji i podpisania Aktu Zjednoczenia, ledwie dwanaście dni wcześniej.

Spodziewała się przedtem, że poczuje zawroty głowy z emocji. I rzeczywiście. Bawiła się dobrze. Ale nie aż tak wspaniale, jak tego oczekiwała. Być może, po prostu dlatego, że wyczekiwane

przyjemności są zawsze doskonalsze, niż te, których się ostatecznie doznaje. Niemniej księżniczka podejrzewała, że wyjaśnienie było jeszcze bardziej prozaiczne.

Andrin była najstarszą córką człowieka, który miał się stać pierwszym cesarzem zjednoczonej Sharony. Miało to nastąpić jutro po południu, w murach przepysznej świątyni świętego Taiyra z Tajwany, w miejscu, w którym od dwóch tysięcy lat, zgodnie z tradycją, odbywały się koronacje Calirathów. I podczas, gdy inne dobrze urodzone młódki, mogły swój pierwszy „dorosły” bal przeżywać w wirze rozkoszy i zabawy, Jej Cesarskiej Wysokości księżniczce Andrin, nie było to dane. Cały jej wieczór został rozplanowany, co do minuty. Swój „rozkład jazdy” poznała już dużo wcześniej i wiedziała, że przygotowano go z precyzją godną generałów, planujących poważną operację militarną.

Oczywiście nikogo za taki stan rzeczy nie winiła. Była, kim była i udawanie, że wszystko mogłoby wyglądać jakoś inaczej, nie miało wiele sensu. Niemniej zrozumienie przyczyn nieprzyjemnego stanu rzeczy nie było magicznym zaklęciem – skrzywiła się, gdy akurat to słowo przyszło jej do głowy – i samo z siebie nie poprawiało jej samopoczucia, ani nie umożliwiało odzyskania utraconej spontaniczności.

A jednak, mimo wszystkich ograniczeń, na swoim pierwszym balu bawiła się niewspółmiernie lepiej, niż na drugim.

Jedno w życiu księżniczki nie zmieniało się nigdy. Ani przez chwilę nie była sama. Nie tylko przez cały czas – może z wyjątkiem chwil na parkiecie – towarzyszył jej krok w krok Lazima chan Zindico, czy któryś inny z jej gwardzistów, ale stanowiła też nieodmierne centrum zainteresowania prawdziwego stada

młodych (a także tych już niezbyt młodych) arystokratów płci męskiej, z których każdy za punkt honoru brał sobie zaimponować jej swoją bystrością, ciętymi ripostami, świetnym wyglądem i ponad wszystko, swoją zdatnością do ożenku.

Jedynym spośród nich, który nie myślał o sobie w kategoriach przyszłego żonkosia (a o niej jako klaczy rozplodowej – jak z goryczą pomyślała Andrin) był Howan Fai Goutin, książę koronny Eniath. Zatańczyła z nim dwa razy, po czym poddała się dyktatowi etykiety i wycofała, pozwalając nacieszyć się swoją uwagą innym, którzy starali się wyraźnie o jej rękę. Oba te tańce były błogosławionymi chwilami przerwy, podczas których naprawdę mogła się nacieszyć samym ruchem, bez konieczności znoszenia mędrkowatych uwag, tudzież głębokich komentarzy natury politycznej lub literackiej, czy filozoficznej, a nawet i (bogowie dopomóżcie!) religijnej. (Czemu, ach, czemu, ten tłum działający pod hasłem „wyjdź za mnie, jestem inteligentny!”, musiał się dowiedzieć, że ona lubi czytać?).

W odróżnieniu od pozostałych, Howan z nią po prostu tańczył, a większość z pozostałych kawalerów przyglądała się temu (z pewnością wymyślając jednocześnie kolejne zestawy celnych uwag) z pewną dozą politowania. Eniath było królestwem wielkości mniej więcej znaczka pocztowego i to takim, które już od dawna sprzęgło swe losy z dynastią Calirath. Nie istniała, więc najmniejsza nawet potrzeba zjednywania sobie jego lojalności za pomocą ślubu... ponadto całe królestwo warte było najwyżej ręki ternathiańskiej księżnej, a nie wielkiej księżniczki koronnej, która była drugą osobą w kolejce do tronu całej, zjednoczonej Sharony.

Pozwolili jej, więc na te dwa tańce wolności, odczekali do chwili,

gdy Howan się uklonił, złożył na jej dłoni pocałunek, po czym z wdziękiem wycofał. Gdy tylko zniknął, otoczyli ją na powrót i zaczęli starać się robić na niej wrażenie. Idealni kandydaci na męża. W innej sytuacji mogłoby ją to pewnie nawet mile połechtać... na jakieś piętnaście sekund. Teraz jednak tęskniła już tylko za porządnym rewolwerem i kilkoma paczkami amunicji.

Finena, która siedziała na pięknie wyszywanej, ozdobionej lśniącymi klejnotami rękawicy, na lewym przedramieniu Andrin, obróciła łeb i spojrzała na swoją ludzką towarzyszkę z miną, co do której Andrin była pewna, że wyrażała aprobatę. Księżniczka poczuła, jak na tę myśl jej usta drgają leciutko ku górze, choć nawet i ta wizja, kusząca i piękna, nie mogła przebić się przez skorupę... no właśnie, czego?

Na to pytanie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, bez względu na to, jak bardzo się starała. Wiedziała, że jakąś częścią tego wszystkiego były przerażające Przebłyski dotyczące losu Janakiego. Okazały się zbyt natrętne, zbyt silne, by mogła tak po prostu odsunąć od siebie myśli o nich. Nie miało też znaczenia to, ile razy przypomniała sobie, że Przebłyski często okazywały się nietrafne, źle zrozumiane, niewłaściwie zinterpretowane, zwłaszcza, gdy dotyczyły bliskich, ukochanych osób. Znów czuła pszczoły rojące się gdzieś pod skórą. Czuła mrowienie i kłucie przepowiedni, czuła to w kościach. Była pewna, że coś – coś okropnego – z pewnością przydarzy się jej bratu.

„Shalano Miłosierna, błagam” – pomyślała. – „Spraw, by ten Przebłysk okazał się nieprawdziwy. Ocal Janakiego.”

Gdyby tylko jej ojciec nie doznawał podobnych wizji – a, że ich doznawał nie ulegało najmniejszej wątpliwości – łatwiej by jej było

wmówić sobie, że się myli. Ale w oczach cesarza dostrzegała ten sam lęk. Czuła jak jego Talent rezonuje z jej umysłem i doskonale wiedziała, czego Zindel nie powiedział jej matce.

Nękanymi strachem oczyma poszukała na parkiecie cesarzowej Vareny, która wdzięcznie wirowała w uromathiańskim walcu z księciem regentem Limathii (który wydawał się wreszcie przebaczyć jej ojcu sławetną uwagę o „cholernych rybach”). Cesarzowa przechylała głowę nieco na bok, uśmiechała się do partnera i poruszała się z całą gracją, której natura poskąpiła

Andrin, czego nie były w stanie zmienić zastępy nauczycieli tańca w ciągu wielu długich lat nauki. Od Vareny biła siła życia, energia i zapał, ufność co do przyszłości. W takim nastroju oczekiwała jutra – dnia, w którym miała zostać koronowaną cesarzową Sharony.

Ale Andrin wiedziała. Wiedziała, że brzemie Talentu Calirathów spoczywa na barkach tych z jej rodu, którzy nie mieli go we krwi, jeszcze ciężej niż na Utalentowanych. Jej matka nie była w stanie doświadczać Przebłysków bezpośrednio, ale wiedziała dobrze, kiedy jej córka czy mąż cierpią z powodu okrutnego daru przewidywania przyszłości. I wiedziała jak bardzo oboje starają się ochronić ją przed nawiedzającymi ich umysły wizjami mrocznych wydarzeń. Mimo wszystkich swych uśmiechów, mimo emanującego z niej wrażenia pewności i wdzięku, cesarzowa zdawała sobie sprawę, że tak jest właśnie teraz... i nawet osoba dużo mniej inteligentna od niej nie miałaby najmniejszego problemu z domyśleniem się, który z bliskich mógł być najbardziej narażony na niebezpieczeństwo.

A jednak robiła to, co do niej należało. Dźwigała ciężar, który

zgodziła się przyjąć na swe barki w dniu, w którym wyszła za mąż za Zindela chan Caliratha, tak samo, jak miała udźwignąć ten niespodziewany, nieoczekiwany, który miała wziąć na siebie nazajutrz. Ukrywała swój strach, udawała, że nie boi się niczego. Nawet przed własnym mężem i córką udawała, że nie przeraża jej przyszłość, w którą oni – w odróżnieniu od niej – byli w stanie zajrzeć.

Andrin patrzyła na tańczącą, uśmiechniętą matkę i zachciało się jej płakać. Płakać z powodu niezmiernej odwagi cesarzowej, z powodu miazdzącej wagi obowiązków, które przyjęła tak wiele lat temu. – Wasza Wysokość?

Księżniczka otrząsnęła się i obróciła spojrzenie. – Tak, Głosie Kinlafia?

–Miałem nadzieję, że wyświadczy mi pani zaszczyt i pozwoli towarzyszyć sobie w następnym tańcu, Wasza Wysokość.

Ogorzały, hardy, brązowowłosy telepata wydawał się w sali balowej nie na miejscu. Nie z powodu stroju – ten miał dobrany doskonale i był tu jednym z lepiej wyglądających mężczyzn – ale dlatego, że przy nim, pozostali, młodszy, o wiele lepiej niż on urodzeni panowie, którzy krążyli wokół Andrin wyglądali na dokładnie tak nieopierzonych i niedoświadczonych, jakimi w rzeczywistości byli. Wielu z nich nosiło na sobie opaleniznę i tężyznę rodem ze sportowego boiska, ale zmatowiała, umięśniona twardość Kinlafii, była czymś zupełnie odmiennym. Widać było, że zasłużył na nią w o wiele trudniejszej szkole, w której zwycięstwa i porażki kosztowały uczniów o wiele więcej. Dla Andrin był oczywiście o wiele za stary – przewyższał ją wiekiem, co najmniej dwakroć, a może i więcej – ale, gdy

spojrzała w jego ciepłe, pełne przedziwnego współczucia, brązowe oczy, przez chwilę poczuła głęboką zazdrość o Alazon Yanamar.

–Obiecuję, Wasza Wysokość, że nie zdeptam pani pantofelków – dodał z uśmiechem. – Oczywiście, gdyby szło o walca nie śmiałybym składać podobnej obietnicy, ale następny taniec pochodzi z Nowej Farnalii, więc ja naprawdę znam jego kroki. Uśmiechnął się przy tym tak uroczo, że mimo swego ponurego nastroju, musiała się roześmiać.

–Będzie mi bardzo miło – odpowiedziała i tłum rozczarowanych dobiegaczy rozstąpił się niczym kra przed dziobem farnaliskiego lodołamacza. Kinlafia poprowadził księżniczkę na czoło szeregu tancerzy, szykujących się do następnego tańca.

–Będę musiała cię na chwilę przeprosić, kochanie – powiedziała Finenie i sokolica wzbiła się do lotu z rękawicy chroniącej lewy nadgarstek Andrin. Na szczęście przywiązanie Calirathów do ich sokołów było wszystkim dobrze znane – by nie powiedzieć „okryte złą sławą” – tak więc drapieżnik latający nad głowami zebranych nikogo specjalnie nie dziwił. Ptak usiadł na swojej żerdzi pod czujnymi spojrzeniami Brahdysa chan Gordahla i Ulthara chan Habikona. Andrin podała rękę Kinlafii.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – telepata pochylił się nad podsuniętą dłonią, ucałował jej grzbiet i zajęli swe miejsca, a orkiestra odegrała kilka pierwszych taktów ludowej, nowofarnaliskiej melodii. Wodzirej oznajmił, że pierwszą figurą będzie koło.

Ten taniec był o wiele bardziej żywiołowy od wystudiowanego,

wyrafinowanego walca, którego tańczono chwilę wcześniej. Kinlafia rzeczywiście znał kroki, choć mimo swej sprawności fizycznej jako tancerz nie dorównywał Howanowi Fai Goutinowi. Mimo to, było od niego coś niezwykle kojącego. Andrin zauważyła, że naprawdę uśmiecha się z radości, wirując przez kolejne układy i figury. Ledwie to do niej dotarło, także i ten moment wolności dobiegł końca.

Księżniczka wzięła telepatę pod rękę. Odprowadził ją do miejsca, w którym czekali na nią fatyganci. Podniosła oczy i uśmiechnęła się do niego ujmująco.

–Głosie Kinlafia, jeśli to nie kłopot – powiedziała. – Mam chyba ochotę na szklaneczkę lemoniady.

–Nie ma dla mnie większej przyjemności, Wasza Wysokość.

Podobne słowa z ust któregoś ze szlachetnie urodzonych motylków, które przez cały wieczór tak wytrwale łopotały dokoła niej skrzydełkami, nie znaczyłyby nic. Wypowiedziane przez Kinlafię, stanowiły najszczerze wyznanie. Księżniczka delikatnie uścisnęła jego łokieć. Spojrzał na nią z góry, z nieznacznym uśmiechem. Zdała sobie sprawę, że nie musi wyjaśniać, za co go tym gestem wyróżniła.

Lazima chan Zindico czujnie trzymał się z tyłu. Jego oczy bezustannie przeczesywały tłum w poszukiwaniu najmniejszego choćby odstępstwa od normy, jakiegokolwiek znaku, mogącego świadczyć o zagrożeniu.

Oczywiście niczego takiego nie widział, co jednak nie przeszkodziło mu w przyjęciu na dzisiejszy wieczór tego, co

Andrin skrycie nazywała „trybem roztrzęsionej kwoki”. Kinlafia pomógł jej usiąść przy jednym z niewielkich, oświetlonych świecami stolików, sprytnie rozmieszczonych tak, by omiatała je przyjemna, wieczorna bryza, wpadająca do wewnątrz sali przez podwójne drzwi. Kinlafia rzucił na chan Zindico spojrzenie, bardziej oceniające i świadome tego, co widzi, niż pokazał to którykolwiek z młodych szczeniaków, obskakujących Andrin od początku balu. Oczywiście było, że Głos poznał w chan Zindico człowieka, jakim gwardzista naprawdę był, podczas gdy wymuskany, arystokratyczny narybek dostrzegał w nim jedynie jeden z mebli księżniczki. Andrin bardzo się to spodobało.

Telepata zniknął na chwilę lub dwie, po czym powrócił, niosąc nie jedną, a cztery szklanki ponczu, oraz prowadząc ze sobą księcia Howana Fai Goutina i Alazon Yanamar. Andrin podziękowała Kinlafii za napój i uniosła szklaneczkę do ust. Nieco zbyt szybko, ale inaczej nie zdołałaby ukryć uśmiechu. Już jakąś chwilę temu zastanawiała się, w którym momencie pojawi się Alazon. Zastanawiała się też, ile minie czasu, zanim dziennikarze zauważą, że gdziekolwiek nie pojawiał się „kandydat Kinlafia”, dziwnym zbiegiem okoliczności, znajdowała się też osobista telepataka cesarza. Ta myśl pobudziła jej wyobraźnię. Szelmowsko zabłysły jej oczy i zastanowiła się, jakiego psikusa mogła tej parze wyrządzić. Oboje telepaci byli zajęci patrzeniem jedno na drugie i Andrin na moment pochwyciła, równie jak jej, rozbawione spojrzenie księcia Howana.

–Proszę o wybaczenie, Głosie Kinlafia – odezwała się, opuszczając szklaneczkę – ale zauważyłam, że niektóre gazety i niektóre przekazy Sieci Głosów pełne są komentarzy na temat

ilości czasu, jaką spędza pan w pałacu. Krążą spekulacje, iż oznacza to, że postanowił pan zostać jednym z „zaufanych ludzi Zindela”.

Umilkła. Kinlafia przechylił głowę lekko w bok.

–Znam te komentarze, Wasza Wysokość – odparł. – Czy mógłbym zapytać, dlaczego zechciała pani o nich teraz wspomnieć?

–Z kilku uwag Yanamar wnoszę, że ojciec nie chciał, by jego poparcie dla pańskiej kandydatury stało się nazbyt jawne i oczywiste. Zauważyłam też jednak, że spędza na rozmowach z panem niezwykle dużo czasu... co może dziwić, zwłaszcza, że jeszcze nawet nie wygrał pan w wyborach. Zastanawiałam się, więc po prostu, czy czasem nie zmieniliście zdania, jeśli chodzi o upublicznianie wiadomości o cesarskim błogostawieństwie. Albo przynajmniej, co do jego pozorów? Zmierzyła mężczyznę bardzo spokojnym spojrzeniem i zobaczyła w jego oczach coś przypominającego zrozumienie. Nie odpowiedział jednak od razu. Zamiast tego siedział przez kilka sekund, wpatrując się w księżniczkę z namysłem – tak samo, jak zrobiłby na jego miejscu Shamir Taje. Gdy ta myśl przetańczyła przez umysł Andrin, dziewczyna pojęła, że jedną z rzeczy, które tak bardzo przyciągały ją do Kinlafii, było to, iż razem z doradcą jej ojca byli jedynymi mężczyznami – nie licząc oczywiście samego Zindela – którzy, jeśli chodziło o odpowiedzi na pytania, nie przykładali wagi do jej młodego wieku. Co więcej – odpowiadali w sposób rzeczywiście przemyślany, na dokładnie te pytania, które zadała, ponieważ szanowali nie tylko tytuł pytającej, ale także ją samą, jako człowieka.

Po chwili, telepata przechylił głowę na bok, spojrzął przelotnie na księcia Howana i uniósł brew.

–Król Junni jest od jakiegoś czasu jednym z najbliższych sprzymierzeńców ojca, Głosie Kinlafia – wyjaśniła Andrin. – Nie sądzę byśmy musieli podawać dyskrecję księcia w wątpliwość, prawda Wasza Wysokość?

–Zapewniam, że nie, Wasza Wielkocesarzowska Wysokość – odpowiedział z nieznacznym uśmiechem książę Howan.

Przez ostatnie dwa miesiące niezwykle poprawiła się jego znajomość temathiańskiego, co było między innymi wynikiem wysiłków Głosa, który uczył go języka. W każdym razie ironia w jego głosie była doskonale zaznaczona. – Niemniej, jeśli Głos Kinlafia woli odpowiedzieć na pani pytanie na osobności, nie zdziwię się ani trochę.

Wykonał ruch, jakby chciał wstać, ale telepata pokręcił głową.

–Skoro w pańską dyskrecję ufa Jej Wysokość, to ja także nie mam, co do niej najmniejszych zastrzeżeń, Wasza Wysokość – zapewnił.

Książę popatrzył na niego przez chwilę, po czym skłonił lekko głowę w ukłonie wyrażającym naraz zrozumienie i szacunek. Usiadł z powrotem, a Kinlafia zwrócił się do Andrin. – Tak naprawdę, Wasza Wysokość, nie pytała wcale o strategię mojej kampanii wyborczej, nieprawdaż?

Andrin otworzyła szeroko oczy. Mimo tego, co myślała tak niedawno, jego bezpośredniość – i spostrzegawczość – mocno

ją zaskoczyły. Nic dziwnego, że tak spodobał się Alazon!

–Ma pan rację – przyznała. – Podejrzewam, że po prostu nie zwykłam podobnych pytań zadawać wprost.

–Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość – wtrąciła Alazon – powinna pani do tego przywyknąć – Andrin spojrzała na nią pytająco i telepatka cesarza wzruszyła lekko ramionami. – Tak się składa, Wasza Wysokość, że jest pani drugą osobą w kolejce do tronu. Owszem, jest pani wciąż młoda, ale nie należy pozwalać, by naturalna różnica wieku powstrzymywała panią przed zadawaniem takich pytań, na jakie tylko ma pani ochotę.

Andrin spojrzała na księcia Howana – jedyną osobę przy stole, która choć w przybliżeniu mogła zostać uznana za jej rówieśnika. W jego migdałowych oczach, którymi patrzył na telepatkę, ujrzała cień potwierdzenia. Rozważając radę, Andrin przypomniała sobie, że Alazon Yanamar była kimś więcej niż tylko osobistym Głosem jej ojca. Zastanowiła się nad tym przez kilka sekund, po czym skinęła zgodnie głową i przesunęła spojrzenie na Kinlafię.

–Skorzystam, więc z rady Alazon, Głosie Kinlafia. Czy więc mi się tylko wydaje, że ojciec – i pierwszy radca Taje – traktują pana raczej tak, jakby był pan długoletnim doradcą rodu, niż jak kogoś, kto niecałe dwa tygodnie temu przybył tu z Wrót Piekieł?
– Ja... – zaczął telepata i za chwilę umilkł. Przez kilka chwil głęboko nad czymś się zastanawiał, po czym sam lekko wzruszył ramionami – ruchem bardzo podobnym do gestu Alazon sprzed chwili – i skinął głową.

–Nie powiedziałbym, że jestem przez nich traktowany jak doradca, Wasza Wysokość. Na pewno też nie traktują mnie, jako

swojego pracownika czy też oficjalnego członka rodu bądź administracji. Od chwili, w której pani brat przysłał cesarzowi te przesadnie pochlebne listy polecające moją osobę, sprawy... poszły w pewien sposób naprzód. Wolałbym nie wdawać się w tej chwili w szczegóły, ale – raz jeszcze spojrzał jej głęboko w oczy – powinna pani wiedzieć, że częściowo dotyczy to także Waszej Wysokości.

–Mnie? – puls Andrin przyspieszył nieco. Przypomniała sobie własne rozmyślania z dnia parady. – Czy chodzi o któryś z Przebłysków mojego ojca? – spytała. – Do pewnego stopnia, owszem.

Wiedziała, że Kinlafia nigdy by się do tego nie przyznał, ale była dziwnie pewna, że ani przez chwilę go nie kusilo, by ją okłamać, nawet udzielając dyplomatycznej, wymijającej odpowiedzi. Cały jej umysł podpowiadał, że powinna mu ustąpić i nie drążyć sprawy głębiej. W końcu i tak dowiedziała się już więcej, niż mogła się wcześniej spodziewać.

–Czy może mi pan powiedzieć, co on takiego Zobaczył? – spytała mimo wszystko.

–Nie, Wasza Wysokość. Obawiam się, że bez jego zgody, to niemożliwe.

Andrin poczuła nagle, krótkotrwałe ukłucie gniewu – niemal wściekłości, podsyconej jeszcze niekończącymi się dniami pełnymi troski i strachu o los Janakiego. A Kinlafia był Głosem. Zdawała sobie sprawę, że odebrał jej gniew. Niemniej telepata przyglądał się jej niezmiennie spokojnie i wściekłość zmieniła się w szacunek.

–Doceniam pańską dyskrecję, Głosie Kinlafia – powiedziała po chwili. – Co oczywiście nie znaczy, że nie wolałabym, by był pan nieco bardziej otwarty – upiła łyk swej lemoniady i odstawiła szklaneczkę. – Jestem pewna, że wie pan doskonale, iż na przestrzeni ostatnich dni, ojciec i ja doświadczamy prawdziwego zalewu Przebłysków. To bardzo... nieprzyjemne. Martwię się. Nie. Boję się i podejrzewam, że właśnie dlatego, szukam wszelkiej możliwej pociechy. Niekiedy zapewne zbyt natrętnie.

–Wiem o tych Przebłyskach, Wasza Wysokość.

Patrzył na nią ponad stołem, oczyma pełnymi współczucia, które wydawało się w jakiś sposób cieplejsze i głębsze przez to wszystko, przez co sam przeszedł. Andrin zdała sobie sprawę, że pod kilkoma względami, Kinlafia przypominał jej ojca. Być może ich wspólne cechy miały inne korzenie, ale odmienne wydarzenia ukształtowały podobny, silny rdzeń. Nie tyle chodziło tu o twardość charakterów i zdecydowanie, co o świadomość celu. O determinację, z jaką mierzyli się ze wszystkim, co zrzędzeniem Triady ich spotykało.

„Ciekawe, czy on zawsze taki był? Czy może tak głęboko zmieniło go to, co przeszedł na Polanie Powalonych Drzew.”

–Powiem pani jedno, Wasza Wysokość – ciągnął Głos. – Pani ojciec – zresztą nie sądzę, by ktokolwiek musiał panią o tym zapewniać – bardzo, bardzo mocno panią kocha. Nie znamy się zbyt długo, ale już teraz mogę zapewnić, że doskonale go rozumiem. Powiedziałem cesarzowi, że jeśli wygram w wyborach i zostanę członkiem Parlamentu, to jeśli poróżnię się z nim w opiniach, dam mu to poznać. Mówiłem to poważnie i nie zmieniłem zdania. Ale od tamtej pory dostąpiłem też zaszczytu

poznania pani – i jego – o wiele lepiej niż kiedykolwiek sądziłem, że będzie mi dane. I mówiąc nie jako Głos Kinlafia, ani poseł Kinlafia, a jako Darcel Kinlafia uznałbym to za niezmierny zaszczyt, gdyby szukała pani mojej pomocy w dowolnie wybranej potrzebie.

Ponownie zaskoczona Andrin otworzyła szeroko oczy. Podobne rzeczy, różni ludzie mówili jej ojcu – i niekiedy jej samej – codziennie. Czasami nawet szczerze. Ale takie wyznanie z ust Kinlafii... było w jakiś sposób szczególne. Brzmiało w nim coś jak echo tego, co często wyczuwała w chan Zindico i reszcie swych osobistych gwardzistów. Choć i to nie było do końca to samo. Chan Zindico i inni stanowili grupę oddanych poddanych rodu Calirath – byli jej sługami. I mimo, że nigdy w ten sposób o nich nie myślała, wszyscy byli świadomi natury wzajemnej relacji. Pomagało to ustalać nie tylko sposób, w jaki się do niej odnosili, ale stanowiło dla nich też źródło poczucia własnego ja.

Darcel Kinlafia tymczasem nie tak na nią patrzył. Nigdy nie była przecież „jego” wielką księżniczką, choć to akurat miało się formalnie zmienić za około osiemnaście godzin. Nie miał wobec niej żadnego instytucjonalnego, dynastycznego poczucia lojalności. I w pewien sposób, niejasny dla samej Andrin sprawiało to, że jego szczerłość była tym bardziej cenna. Kiedy powiedział, że pomaganie jej stanowiłoby dla niego zaszczyt, nie kłamał, a przecież nie miał ku temu żadnego powodu. Ona także nie mogła tego od niego wymagać. – Głosie Kinlafia, ja...

Urwała, czując w oczach dziwne pieczenie. Telepata wyciągnął rękę ponad stołem i bardzo delikatnie ujął jej dłoń. Można to było uznać za gest bezczelny, za naruszenie prywatności, ale zamiast się wycofać, palce księżniczki, jakby kierowane własną wolą

obróciły się i ich dłonie spotkały się wnętrzami. Andrin poczuła jak ściska jej rękę i coś, niemal słyszalnie, pękło gdzieś w jej duszy. Trzmiela pod skórą zatrzepotały i zabzyczały głośniejsze, niemal ogłuszająco i prawie fizycznie poczuła, jak przez jej skórę wlatują w Głosa. Nigdy czegoś takiego nie przeżyła, nigdy też nie słyszała, by czegoś podobnego doznawali inni.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Zagrały jej nozdrza.

– Wasza Wysokość? – usłyszała głos stojącego za sobą chan Zindico, głos wyostrzony czujnością urodzonego stróża, którym przecież był. – Czy nic pani nie jest, Wasza Wysokość? – Tak, Lazima. Wszystko w porządku.

Obróciła się i spojrzała nań uspokajająco, po czym zwróciła wzrok z powrotem na Kinlafię. Głos musiał odebrać wybuch podejrzliwości chan Zindico, ale na jego twarzy nadal malował się spokój, niemal błogość.

– Głosie Kinlafia... Myślę... – zaczęła, by zaraz urwać, gdy w swym krześle drgnęła Alazon Yanamar. Telepatka wyprostowała się.

Przez chwilę wyglądała, jak wykuta w lodzie rzeźba. Nieruchomo słuchała wiadomości, którą odebrała tak nieoczekiwanie. I potem, jeszcze mniej spodziewanie, w jej oczach stanęły łzy.

– Alazon? – spytała od razu, nagłaco Andrin. Uwolniła dłoń z ręki Kinlafii i wyciągnęła ją ku starszej kobiecie, której ból zaczął właśnie do niej docierać. – O co chodzi? Co się stało?

Alazon zamknęła oczy. Jej twarz ściągnął żal tak głęboki i tak

gorzki, że Andrin skrzywiła się sama. Zauważyła, że Kinlafia też reaguje na cierpienie ukochanej. Sięgnął dłonią ku Alazon i Andrin dopiero potem zauważyła, że najpierw sama poczuła jego dotyk. Nie telepatka.

Księżniczka pochyliła się nad stołem ku Yanamar. Nie potrafiła sobie wyobrazić wiadomości, która do tego stopnia mogła zranić telepatkę. A potem, nagle zrozumiała, że umilkła muzyka a przez całą salę balową przelewa się ocean ciszy i obejmuje we władanie cały Pałac. Obróciła się i spojrzała przez sklepioną kolumnadę sali, próbując zrozumieć powód tak nagłego bezruchu. I wtedy, wreszcie, odezwała się Alazon.

– Wasza Wysokość – cierpienie i ból brzmiący w pięknym głosie telepatki raniły Andrin niczym sztylet. – Wasza Wysokość – powiedziała – ojciec panią wzywa.

Rozdział 16

Darcel Kinlafia wszedł z powrotem do sali balowej w ślad za Andrin i chan Zindico. Była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakich kiedykolwiek dokonał. Prawym ramieniem otoczył opiekuńczo Alazon, której wrażliwą duszę i umysł Głosa dręczyły uderzenia szoku, niedowierzania, żalu i wściekłości.

Ale, choć dla nich była to straszna chwila, dużo gorsza była dla Andrin. Księżniczka dobrze wiedziała, co za chwilę usłyszy od ojca.

Widział to po sposobie, w jaki pobladło jej oblicze, czuł w ciągnącej się za nią niczym trująca, dusząca mgła aurze ponurych uczuć. A mimo to, szła przez parkiet wyprostowana,

wysoka i pełna wdzięku.

–Tak, papo?

Jej głos rozciął bezruch i ciszę swoją niewiarygodną pogodą i ciepłem. Zatrzymała się przed rodzicami. Oblicze jej matki było tak samo pozbawione wszelkiej barwy, choć oczy cesarzowej Vareny przepęłniał potworny strach przed nieznanym, bardziej jeszcze mroczny niż ten powodowany upiorem przedwiedzy. Cesarz Zindel trzymał żonę w objęciu, blisko siebie. Patrzył ze ściągniętą twarzą.

–Andrin – jego głęboki, mocny głos drgał nieco. Mocniej uścisnął małżonkę. – Właśnie otrzymaliśmy wiadomość z Traisum. Od generała dywizji chan Geraitha. Chodzi o...

Umilkł i uniósł lewą dłoń. Cesarzową obrócił przodem ku sobie, pozwolił jej wtulić się w swoją szeroką pierś i pogładził jej włosy. Sam pochylił głowę ku żonie i w oczach tego potężnego mężczyzny pojawiły się łzy.

–Chodzi o Janakiego – odezwała się Andrin. Jej ojciec podniósł wzrok i ich oczy spotkały się w pół drogi. – Mój brat nie żyje.

Skrytą w ramionach męża cesarzową wstrząsnął spazm bólu. Nie istnieją słowa, którymi można by opisać dźwięk, jaki z siebie wydała. Był o wiele zbyt cichy, by nazwać go zawodzeniem, ale zanadto zboleły, by nazywać go inaczej. Zadrżała i po chwili ten niesamowity dźwięk zmienił się w inny – przeszedł w rozdzierający szloch, który wypełnił sobą całą głuchą ciszę pałacu.

–Tak – potwierdził cesarz głosem, który zdawał się rozpadać na kawałki tylko po to, by jego wola skleiała go na powrót.

Andrin się zachwiała. Nie opuściła udekorowanej, cesarskiej głowy ani na moment, ale Kinlafia dosłownie zobaczył przelewającą się przez nią falę cierpienia. Oderwał się natychmiast od Alazon i podał księżniczce ramię. Przyjęła je po omacku, nawet nie patrząc.

„Na bogów!” – pomyślał – „Na dobrych, słodkich bogów! Skoro Janaki nie żyje, to Andrin została...”

–Musimy iść – powiedział jej ojciec ponad trzęsącą się od płaczu głową matki.

–Oczywiście, papo – Andrin wyprostowała się z męstwem, na widok, którego Kinlafia poczuł zbierające się w oczach łzy i mimo wilgoci, która znaczyła smugami jej twarz i tłumiała głos, powiedziała bez zajknięcia – Razial i Anbessa będą was teraz potrzebować. – Jak ona się czuje? Jak oni to znoszą? Na dźwięk ostrego, pełnego złości pytania, Alazon podniosła oczy i pokręciła głową.

–Nie wiem, kochanie – odpowiedziała cicho. – Cesarzowa i Razial dostały środki uspokajające. Jego Wysokość jakoś się trzyma, nie wiem tylko jak, a Anbessa chyba nie do końca rozumie, co się stało. Jeszcze do niej nie dotarło. – A co z Andrin?

–Ona po prostu... siedzi – odpowiedziała smutno Alazon. – Siedzi w pokoju dzieciennym, przy łóżeczku Anbessy. Razial śpi w jej ramionach. Biedne maleństwo. Płacz całkiem pozbawił ją

sił, ale po wizycie zielarza zasnęła. Andrin... – Alazon na moment straciła głos i spojrzała na Kinlafię szarymi, wilgotnymi oczyma. – Andrin... śpiewała im, uśpiła je obie kołysankami – udało się jej wreszcie wykrztusić. I znów się rozplakała. Płakała a jej ciałem wstrząsały dreszcze. Kinlafia wziął ją w ramiona, przytulił mocno, sam czując palące łzy.

„Znowu” – pomyślał. – „Te bydlaki znów to zrobiły.”

Zacisnął szczękę tak mocno, że przez chwilę miał wrażenie, że pękają mu zęby. Przeszyły go wspomnienia, w ślad, za którymi nadeszła rozpalona do białości wściekłość. Ci sami rzeźnicy z Arkany, którzy zamordowali Shaylar i wszystkich jego przyjaciół – jego rodzinę – na Polanie Powalonych Drzew. Znowu to zrobili.

Mimo tego, że rozmawiał wcześniej z cesarzem, a może właśnie dlatego, że z nim rozmawiał, ból po śmierci Janakiego usadowił się w jego piersi wielką, zębatą drzazgą. Wraz z cierpieniem, pojawił się gniew, ślepa furia na myśl o tym, że Arkanianie potrafili spowodować tyle nieszczęścia, tak bardzo skrzywdzić serca i dusze bliskich mu osób, nawet tu – w samym sercu Sharony.

Gdy pomyślał o ludziach, których znał, u których boku walczył, oczy zapiekły go jeszcze bardziej. Mężczyźni, którzy pomścili śmierć Shaylar – Balkar chan Tesh, Grafin Halifu, Rokam Traygan, Delokahn Yar, Hulmok Arthag... Skoro Arkanianie dotarli aż pod Fort Salby i zdołali zabić Janakiego, to ci wszyscy przyjaciele – wszyscy przyjaciele Darcela Kinlafii – musieli zostać zabici lub pojmani jeszcze wcześniej.

I teraz, zdradzieccy mordercy, zabili samego następcę tronu... i

zniszczyli jego rodzinę.

–Czy ja mogę coś zrobić? – niemal błagalnie wyszeptał we włosy Alazon. – Cokolwiek? – Ja... – zaczęła. – Będzie coś, co może pan zrobić,

Głosie Kinlafia – przerwał telepatce inny, głębszy głos. Oboje podnieśli oczy i zobaczyli wchodzącego Zindela chan Caliratha.

Darcel pomyślał, że w tej chwili cesarz wygląda jak pancernik floty cesarskiej obracający swą główną baterią wśród zimowej, morskiej burzy. Twarz władcy przypominała maskę wykutą ze starego żelaza, a szare oczy zimniejsze były, niżli hartowana stal.

–Wasza Wysokość? – odezwał się Kinlafia.

–Będzie coś takiego – powtórzył cesarz ostrym, beznamiętnym głosem. – Nie wiem co dokładnie. Jeszcze nie wiem. Ale z pewnością okazja się nadarzy. – Wasza Wysokość, ja...

–Będziesz wiedział co zrobić, gdy nadejdzie odpowiedni czas, Darcelu – powiedział Zindel. – Teraz... – odetchnął głęboko i uniósł ręce, przecierając dłońmi zmęczone oblicze. – Teraz wiem tylko, że wszystkie demony ze wszystkich piekieł Arpathii nie dorównają temu, co rozpęta się tu, w Tajwanie.

Jego głos dobywał się stłumiony spomiędzy rąk. Kinlafia popatrzył na Alazon, po czym oboje spojrzeli ponownie na cesarza. Zindel chan Calirath opuścił ręce i uśmiechnął się uśmiechem bladym, jak północne morza.

–Chava Busar dostrzeże w tym okazję – powiedział. – Shamir

Taje już teraz rozmawia z szefami różnych delegacji na Konklawe i możecie być, cholera, pewni, że... przedstawiciele Chavy nie omieszkają zrobić tego samego. Wykorzystają śmierć mojego syna na każdy możliwy sposób. Zupełnie, jakby to, co stało się z Janakim nie było samo w sobie wystarczającą tragedią.

–Jak zła jest sytuacja, Wasza Wysokość? – spytała cicho Alazon.

–Obcy zajęli pięć wszechświatów – odparł bezbarwnie Zindel. – Z tego, co wiemy, wszyscy żołnierze i cywile z tych wszechświatów albo nie żyją, albo trafili do niewoli. – Co gorsza, w jakiś sposób – tu władca spojrzał obojgu telepatom w oczy – udało im się sprawić, że nie wydostał się stamtąd ani jeden komunikat Siecią.

Kinlafia poczuł, jak ściskają się mięśnie jego brzucha. Poczuł, że Alazon też rozumiała, co oznaczały słowa cesarza i zrobiło się jej słabo.

–W niecałe dwa tygodnie pokonali ponad cztery tysiące mil – ciągnął Zindel. – Tego rodzaju zdolności logistyczne i transportowe sugerują, że lekko nie będzie. Istnienie tych ich... smoków i orłolwów może pociągnąć za sobą jeszcze bardziej przerażające konsekwencje. Jednak szczerze mówiąc, to najbardziej katastrofalny wpływ na opinię publiczną wywrze wiadomość, że szykowali się do ataku na nas, prowadząc przez cały czas rozmowy pokojowe.

Niesiony świeżą falą gniewu Kinlafia zazgrzytał zębami. Zindel prychnął z zimną, gorzką wściekłością.

– Tym razem posunęli się za daleko – oznajmił szorstko. – Najpierw morderstwo Shaylar. Teraz ta... ta zdrada i zabójstwo mojego syna. Następcy tronu! Cała Sharona eksploduje wściekłością. Nie ma już żadnej nadziei, że uda się to szaleństwo w jakikolwiek sposób powstrzymać. Czy chcemy czy nie, czy jesteśmy przygotowani, czy nie, od teraz prowadzimy walkę o przetrwanie, a mój syn... Głos odmówił mu posłuszeństwa. Trzy razy próbował i dopiero za czwartym udało mu się opanować.

– Śmierć mojego syna nie pójdzie na marne – wychrypiał wreszcie. – Odbijemy wszystkie utracone portale. Odepchniemy te bydlęta do wszechświata, z którego wypęzli. 1 nie mam na myśli wszechświata, za portalem, który pomogłeś zdobyć, Darcel. Mówię o ich rodzimym wszechświecie. Rzucimy się na nich, będziemy strzelać, wysadzać, palić i zabijać, aż wrócą do pieprzonej epoki kamienia łupanego – wpatrywał się wściekle w oczy Kinlafii. – I pan, pośle Kinlafia, pomoże mi w realizacji tego planu.

– Tak jest – telepata odpowiedział własnym, zimnym, zgorzkniałym spojrzeniem ponad głowę Alazon i skinął głową. – Tak jest, Wasza Wysokość – przytaknął, jakby składał jakąś ważną przysięgę. – Bez względu na wszystko. – Znakomicie.

Zmienił się także głos Zindela. Brzmiał teraz, jak głos cesarza przyjmującego przysięgę od swego lennika. Po chwili, z jego oczu zniknęło też ciepienie i żal. Przemieniły się w coś zupełnie innego, równie twardego, a jednak naznaczonego niemal... desperacją.

– Pomożesz mi w czymś jeszcze, Darcel – dodał mrozącym

tonem. – Oboje mi pomożecie, tyi Alazon. Spróbujecie znaleźć sposób, w jaki Andrin będzie mogła uniknąć małżeństwa z jednym z tych potwornych synalków Busara. A on na pewno spróbuje ją do tego zmusić. Kinlafia poczuł, jak ściska mu się serce.

–Dobrzy bogowie... – na wpół wyszeptał, na wpół pomyślał.

Jak mógł o tym zapomnieć? Przecież już uświadomił sobie, że Andrin została właśnie księżniczką koronną Sharony, a w każdym razie miała nią wkrótce zostać, a to znaczyło...

–Prędzej przestrzeliłbym serce każdemu z synów Chavy Busara, niż pozwoliłbym któremukolwiek z nich poślubić pańską córkę, Wasza Wysokość – powiedział Kinlafia i poczuł dreszcz, który przeszył trwającą w jego objęciach Alazon. Zadrżała na myśl o tym, że Andrin mogłaby poślubić krewnego Chavy... i dlatego, że będąc Głosem, wiedziała, że Darcel wypowiedział swoją obietnicę z pełnym przekonaniem.

–To dobrze – wzrok Zindela chan Caliratha, mógłby zmrozić najgłębsze czeluści piekieł. Po chwili, cesarz zaczerpnął głęboko powietrza.

–To dobrze – powtórzył. – Ale teraz powinniśmy się skupić na tym, jak to osiągnąć prowadząc wojnę z tymi rzeźnikami z Arkany i jednocześnie starając się uniknąć wojny domowej w naszym własnym świecie. – Zgoda, Wasza Wysokość.

Kinlafia przytaknął skinieniem. Władca spojrzał na Alazon.

–Shamir zajęty jest rozmowami z naszymi sojusznikami –

powiedział. To, że zapomniał, iż już obojgu o tym powiedział, tym dobitniej świadczyło o przeżywanej przez niego rozpacz i bólu. – Spodziewam się, że wróci za około godzinę. Proszę, skontaktuj się ze wszystkimi członkami Tajnej Rady. Ten kryzys nie pozwala nam czekać. Poinformuj ich, że spotkamy się za dwie godziny od teraz. Chcę też, żeby na posiedzenie rady stawił się Orem Limana. Będziemy musieli go prosić o pomoc w koordynacji ruchu przez portale. – Oczywiście, Wasza Wysokość.

–Dziękuję. Dziękuję wam obojgu – powiedział Zindel.

Po tych słowach odetchnął głęboko, odwrócił się i wyszedł drzwiami, którymi chwilę temu przyszedł. Kinlafia usłyszał dobiegający zza drzwi szloch. Cesarz wracał do swojej pogrążonej w żałobie rodziny, ruchem wyczerpanego pływaka, pokonującego głębiny.

Wreszcie zostali sami. Alazon skryła twarz w ramieniu Kinlafii. Przez długą, pełną bólu chwilę stała w jego mocnych objęciach i płakała. Potem podniosła jego brodę ku górze i uśmiechnęła się drżącymi, lecz pełnymi odwagi wargami. Mężczyzna złożył na nich bardzo delikatny pocałunek.

–Daj mi znać, kiedy będziesz mieć wolną chwilę – poprosił. – Zrobię ci coś do jedzenia i pomasuję stopy.

–To oferta warta więcej niż diamenty – odpowiedziała, raz jeszcze zmuszając się do uśmiechu, choć jej oczy spłynęły świeżymi łzami. – A więc mamy randkę.

Wspięła się na palce, pocałowała go raz jeszcze i oboje otrząsnęli się, by zmierzyć się z nieuniknionym.

Chava Busar stał w strategicznie dobranym miejscu przy bufecie i obserwował histerię, która już w pełni wypełniła Wielką Salę Balową. Z trudem powstrzymywał się przed promiennym, zadowolonym uśmiechem.

Pomyślał, że prawda wciąż jeszcze do nich docierała. Na parkiecie kobiety wylewały łzy w jedwabne chusteczki. Mężczyźni toczyli dokoła żądnymi mordy oczyma. Cesarz słyszał rozlegające się w dziesiątkach języków przekleństwa i nawoływania do natychmiastowej zemsty.

Wszystkie te dźwięki brzmiały w jego uszach niczym najpiękniejsza muzyka.

Janaki chan Calirath dał się zabić. Jeśli wierzyć plotkom, dał sobie odciąć głowę jakiemuś wielkiemu ptakowi, czy potworowi, jak nieopierzony kurczak.

Przecudowna nowina. Dzięki jednemu cięciu (zachowując kamienne oblicze zachichotał w myślach, kojarząc wybrane przez siebie słowo ze sposobem, w jaki zginął Janaki) ruina, w jaką ostatnio obróciły się jego polityczne ambicje, zaczęła nagle odzyskiwać poprzednie kształty. Teraz musiał tylko odpowiednio skorzystać z okazji. Sprawnie i inteligentnie. O tej porze w przyszłym tygodniu, ta przypominająca kształtami kobyłę, tyczkowata, ohydnie wielka dziewczucha, będzie już mężatką. A wkrótce potem... Podniósł wzrok. Rozkołysanym krokiem zmierzał ku niemu seneszał Othmaliz. Przybysz przyjrzał się z namysłem arystokratycznym płaczkom i ich klnącym mężulkom, po czym spojrzał Chavie w oczy. – Co za strata – zagaił.

–Nieprawdaż? – przytaknął Chava pozwalając kącikowi ust

unieść się nieznacznie ku górze.

–Spodziewam się, że jutro wszyscy będziemy mieli pełne ręce roboty – ciągnął seneszał. – Konklawe będzie musiało odbyć jeszcze jedno posiedzenie, tym razem w sprawie tego kryzysu. Oczywiście z tego powodu koronacja będzie musiała zostać odłożona na późniejszy termin. Takie to smutne – westchnął. – Tak bardzo smutne.

–Owszem – zgodził się Chava i przechylił głowę na bok. – W chwilach takich jak ta, serce samo aż wrywa się do rodziny cesarza. Niemniej, mamy też obowiązki, którym musimy dać zadość, prawda? Mamy swoje plany, które wymagają dostosowania do sytuacji. A w kilku punktach – tu spojrzał głęboko w oczy seneszala – poważnie należy przyspieszyć ich realizację. Mimo to ufam, że znajdzie się wielu takich, którzy będą mieć cesarza i całą jego rodzinę w swych myślach bez chwili wytchnienia.

–Och, o to jak sędzę, nie ma pan powodu się martwić, Wasza Wysokość – zapewnił go seneszał.

O trzeciej nad ranem ktoś zapukał do drzwi Darcela Kinlafii.

Zbudził się gwałtownie i poderwał na łożku, przez moment zmieszany miękkim, białym światłem księżyca, które wpadało przez okna, przesłonięte jasnymi zasłonami, lekko kołyszącymi się na wietrze. Śniła mu się walka – upiorny, koszmarne mieszanie jego własnych wspomnień z bitwy przy portalu na bagnach, z masakry na Polanie Powalonych Drzew i tej potyczki, którą widział w Przebłysku dzielonym z cesarzem Zindelem – w pierwszej chwili nie był pewien, co wyrwało go ze snu. Pukanie

rozległo się raz jeszcze.

„Darcel” – w jego umyśle odezwał się znajomy Głos. W mgnieniu oka wyskoczył z łóżka. Chwycił szlafrok, przeszedł prędko przez apartament, w jakiś sposób – z pomocą księżycowej poświaty – udało mu się uniknąć zbita palców u nóg, przy omijaniu kolejnych mebli w salonie, którego rozkładu nie zdołał jeszcze zapamiętać. Po chwili otworzył szeroko drzwi i zobaczył ją, stojącą w korytarzu, drżącą.

Nie odezwał się. Otworzył po prostu ramiona i wpadła w nie, zapłakana. Przytulił kobietę, ukołysał delikatnie, po czym zaprowadził do salonu. Pociągnął ją ze sobą na sofę, prosto w zalany chłodnym blaskiem zakątek. Wtuliła się w niego, cały czas szlochając.

Otoczył ją ramionami, miłością i pieśczęcią swego Głosu i ich wzajemnej więzi. Nie padły żadne słowa, nie były potrzebne. Byli tylko oni oboje, czepiający się siebie rozpaczliwie, pośród morza rozpacz. Wszystko inne byłoby teraz zbędne.

–Z Traisum ciągle przychodzą nowe raporty – szepnęła wreszcie.
– Pierwsza wiadomość od chan Geraitha została nadana, gdy on sam był wciąż o jedenaście godzin drogi od Salbyton. Po niej przyszły trzy kolejne. To wszystko jest... straszne.

Przekazała obrazy, które Siecią Głosów nadali Kaliya chan Darma i Lisar chan Korthal. Obrazy przedstawiające wciąż jeszcze płonący Fort Salby i wielką, potworną istotę wiszącą na jednej z jego wież. Obrazy ludzkich ciał spalonych na poskręcane węgle, leżących jak zniszczone strachy na wróble w miejscach, gdzie porzuciły je błyskawice. Fragmenty ciał

sharoniańskich żołnierzy i porozciągane pomiędzy nimi, zniekształcone, poharatane cielska nienaturalnej krzyżówki orła i lwa. Znowu ciała, zasypany skałami i resztkami zaprawy wyłom w murze, istoty, które wyglądały jak konie, ale w oczywisty sposób nimi nie były, dziwne, potrzaskane platformy pełne zniekształconych zwłok żołnierzy z Arkany, umocnione stanowiska artyleryjskie, rząd za rzędem ciał przestłoniętych płóciennymi całunami... Tak można było ciągnąć bez końca.

Koszmarne katalog zniszczenia i śmierci. Darcel Kinlafia poczuł jak gorycz wzbiera w nim i chce wyrwać się z jego trzewi na zewnątrz. Uścisnął Alazon mocniej. Tulił ją i dzielił z nią tę przerażającą wizję.

Wreszcie obrazy przestały napływać. Pocałował jej włosy i zamruczał bez słów. Nie miał pojęcia, jak długo już tak siedzą. Tylko we dwoje, sami dla siebie, wtuleni, uczepieni własnej miłości, niczym ostatecznie, niewzruszonej skały pośrodku oszalałego multiwersum.

–Jak oni się trzymają? – spytał wreszcie.

–Teraz środki na uspokojenie dostała też i Andrin – odpowiedziała Alazon. – Nie chciała ich przyjąć, ale Jego Wysokość nalegał. Chciała zostać z Raział i Anbessą, ale musiała odpocząć. I to porządnie odpocząć. Kinlafia skinął głową i po raz kolejny zacisnął mocno zęby.

–Cesarzowa przechodzi głęboki wstrząs emocjonalny – ciągnęła Alazon. – Wiedziała, że wisi nad księciem jakieś niebezpieczeństwo, ale wydawało jej się bardzo odległe, zwłaszcza po tym, jak odesłano go w kierunku Sharony z

arkaniańskimi jeńcami. Choć tak myślę... wydaje mi się, że ona odgadła co martwiło Jego Wysokość i Andrin. Nie chciała tylko tego przyznać sama przed sobą. To jej jedyny syn, Darcelu, a...

Straciła głos i pozbierała się dopiero po chwili.

–Mówiłam ci już, że Razial zasnęła po ziołach, ale już się obudziła a do Anbessy wreszcie zaczęło docierać to, co się stało. Tak myślę. Kiedy wychodziłam z cesarskich apartamentów, obie tuliły się do matki. A Zindel... Znów umilkła.

–Co z nim? – nacisnął łagodnie Kinlafia. Kobieta zaczerpnęła głęboko powietrza.

–Nigdy nie widziałam Jego Wysokości w takim stanie. Nie mówi inaczej jak schrypniętym szeptem. Dla niego to coś jeszcze gorszego niż utrata jedyne syna. On czuje się odpowiedzialny za te masakry, za to, że nie zdołał odpowiednio szybko wysłać tam posiłków.

–Przecież to śmieszne! – syknął Kinlafia gorąco. – Znam ten łańcuch tranzytowy, Alazon. Pracowałem w nim. Nikt nie zdołałby przesłać ludzi i sprzętu szybciej. Nikt! Cesarz to nie bóg. Nie może machnięciem palca, magicznie, przetrzucić dywizji z jednego wszechświata do drugiego!

–Ja to wszystko wiem, Darcelu. I on także zdaje sobie z tego sprawę, ale to Calirath. Przytłacza go odpowiedzialność za śmierć, za to, że forty nie były wystarczająco mocno obsadzone. Nie on jeden zresztą – Alazon zadrżała. – Orem Limana ma takie wyrzuty sumienia, że był na krawędzi samobójstwa. Ma wrażenie, że ich zdradził. Wszystkich. I żołnierzy i cywilów. Przez

to, że budował nowe forty, zanim zdołał zebrać wystarczającą ilość ludzi do ich obsadzenia. Zanim nie dostarczył do ich obrony artylerii.

–On nie jest żołnierzem – zaprotestował Kinlafia. – To nie są jego obowiązki. Poza tym, nikt nigdy nie planował, by te forty miały się opierać przed wrogiem silniejszym niż kilka band przemytników! Przecież jak dotąd poważniejsze zagrożenia po prostu nie istniały!

–To też wiem – telepatka skinęła głową. – I cesarz również. Kiedy Odezwał się do mnie Yaf Umani, powiedział, że Jego Wysokość rozkazał dwóm Dalekowidzom z Zarządu Portali, by obserwowali dyrektora Limanę non stop przez dwadzieścia cztery godziny, aż wyjdzie z szoku. Zindel oficjalnie zabronił Oremowi samobójstwa.

To wstrząsnęło Kinlafią. Orem Limana był jednym z najtwardszych mężczyzn, jakich przyszło mu poznać. Skoro on był w takim stanie...

–A jak poszły rozmowy pierwszego radcy z innymi dyplomatami?
– zmienił temat.

–Zrobi się paskudnie – odpowiedziała Alazon. – W tym także cesarz się nie pomylił. Isseth już zażądało, by dziś rano zwołano dodatkowe, nagłe posiedzenie Konklawe.

–Isseth? – powtórzył z niedowierzaniem Kinlafia.

–Wszyscy doskonale wiedzą, że tak naprawdę stoi za tym Chava – wyjaśniła. –

Ale oczywiście nikt tego nie przyzna. – A koronacja?

–Została odłożona – powiedziała z goryczą w głosie. – W tych okolicznościach ważniejsze jest to „spontanicznie zwołane” posiedzenie Konklawe. – Fantastycznie.

–Tak naprawdę – przyznała niechętnie telepatka – tego nie można było uniknąć. Gdyby nie zrobiło tego Isseth, prawdopodobnie sami byśmy je zwołali. Choć oczywiście ani Isseth, ani tym bardziej Chava w niczym nam nie pomogli.

Głęboko w duszy Darcela Kinlafii wezbrał nowy, świeży gniew. Udało mu się jednak pohamować. Przypomniawszy sobie to, co na temat trującej mocy nienawiści powiedział mu Janaki. Choć samo to nie wystarczyło, by mógł powściągnąć tańczące w nim demony. Tym, co pomogło wydatniej, była obecność kobiety wtulonej w jego ramiona. Była dla niego liną ratunkową w oceanie rozpacz. Poczł wyraźnie, że i ona podobnie się go chwyta. Ich siły mieszały się ze sobą, łączyły w coś większego niż zwykła suma ich pojedynczych energii. Alazon podniosła ku niemu swą załamioną twarz. Pocałował ją delikatnie.

–No dobrze – powiedział cicho. – Jego Wysokość miał rację, co do tego, że Andrin musi odpocząć. My też musimy. Chodź ze mną.

Podniósł się, uniósł ją w ramionach i zaniósł ją przez zalany księżycem salon ku drzwiom swej sypialni. Popatrzyła mu głęboko w oczy, a on uśmiechnął się łobuzersko.

„Powiedziałem ‘odpocząć’ kochanie” – odezwał się swym Głosem. – „I dokładnie to miałem na myśli. Na inne rzeczy

będziemy mieli czas potem.”

„Nie miałam pojęcia, że potrafisz być aż tak rycerski” – jej Głos zamruczał w jego umyśle. – „Nie każdy powstrzymałby się od wykorzystania okazji do pocieszenia zatroskanej damy.”

„Nie wiem, czy ‘rycerski’ jest dobrym słowem. Może wystarczy zwykłe ‘cierpliwy’”

„Jednak wolę rycerskość” – zaprotestowała – „i w tym wypadku z pewnością wiem, o czym mówię. O wiele lepiej od ciebie samego.”

„Możliwe, ale tak czy inaczej, kobieto” – odrzucił lekką narzutę zakrywającą gigantyczne łożo, ułożył ją wygodnie i otulił – „musisz odpocząć. Ja zresztą też. A więc...” – pochylił się i raz jeszcze łagodnie ją pocałował – „...śpij już.”

Rozdział 17

Powietrze w Kancelarii Cesarza Garima było tak gęste od napięcia, że można w nim było zawiesić siekierę. Darcel Kinlafia pojawił się na galerii i zajął miejsce, do którego upoważniał go status kandydata do Izby Talentów.

Wpadające, przez obrębione czarnobiałymi, żałobnymi sztandarami okna, słoneczne promienie oświetlały twarze, na których malowały się nastroje bardzo odmienne od tych, które można było w tym miejscu oglądać ledwie dzień wcześniej. Zniknęła gdzieś większość niezdecydowanych i opornych. Dzisiaj, na twarzach zebranych widać było głównie szok, niedowierzanie i wściekłość...

Zindel chan Calirath, który o tej porze powinien być już w Świątyni Świętego

Taiyra i przygotowywać się do koronacji, siedział niczym posąg wykuty z ternathiańskiego granitu. Czarna opaska, opasująca na znak żałoby jego prawie ramię wyglądała dokładnie tak samo, jak opaski, noszone przez każdą kobietę i każdego mężczyznę, zasiadających w przestronnej sali. Flagi wszystkich państw Sharony zostały opuszczone do połowy masztu. Śmierć dziedzica cesarskiego tronu zawsze i wszędzie byłaby wydarzeniem wstrząsającym całym światem, jednak śmierć tego konkretnego następcy poruszyła do głębi dosłownie cały wszechświat.

Obok ojca, z bladą i ściągniętą bólem twarzą, siedziała Andrin Calirath. Przygotowanie, jakie miała dzięki swemu Przebłyskowi, w niczym nie umniejszyło jej cierpienia ani siły nagłego, brutalnego wstrząsu, jakiego doznała na wieść o stracie brata. Nic też nie mogło przygotować jej na to, co przechodziły w ciągu ostatnich godzin jej młodsze siostry. Zeszłej nocy protestowała przeciwko decyzji ojca, który kazał jej iść spać, ale teraz rozumiała już, że miał rację. Odpoczynek był jej rzeczywiście potrzebny... Dziewczyna czuła też głęboką radość, na myśl o tym, że ani jej matka, ani siostrzyczki nie musiały się tu pojawić dzisiejszego ranka. Sama też żałowała całą sobą, że ona musiała stawić się na posiedzeniu. Nawet mimo jej młodego wieku, zdawała sobie sprawę, że w tej kwestii nie ma najmniejszego nawet wyboru.

Po śmierci Janakiego, siedemnastoletnia Andrin Calirath, przeskoczyła o jedno miejsce w kolejce do Uskrzydłonej Korony Ternathii. Nie była już drugą, tylko bezpośrednią

spadkobierczynią tronu

Sharony i w tej chwili, czuła na swych ramionach miazdzący ciężar, równy chyba wadze całego multiwersum.

„Powinnam być teraz na lekcjach, powinnam się jeszcze długo uczyć” – pisnął żałośnie cichy głosik gdzieś w kącie jej umysłu.
– „Nie jestem na to gotowa. Ja się wcale o to nie prosiłam!”

Ale mimo wszystkich protestów, które pojawiały się w jej głowie, doskonale rozumiała powagę sytuacji i wiedziała, że musi przyjąć nową rolę i pogodzić się z wiążącą się z nią odpowiedzialnością. Zresztą – w pewnym sensie – ta rola zawsze do niej należała, potrzeba było tylko odpowiedniej okazji, którą stała się tragiczna śmierć Janakiego.

W odróżnieniu od Andrin, Shamir Taje nie zajął swego miejsca przy cesarskim boku. Od chwili oficjalnej ratyfikacji Aktu Zjednoczenia, Taje, jako pełnoprawny pierwszy radca światowego imperium, zastąpił Orema Limanę, w roli przewodniczącego posiedzenia Konklawe. Na mocy warunków Unifikacji, Konklawe miało przedłużyć swe obrady i stać się tymczasowym rządem nowego imperium, aż do wyborów parlamentarnych, które miały się odbyć w dwa miesiące po uroczystościach koronacyjnych. Wszyscy delegaci na Konklawe siedzieli niemal równie nieruchomo jak Zindel. Taje wszedł na podium i podszedł do mównicy, którą podczas poprzednich posiedzeń zajmował Orem Limana.

–Posiedzenie Konklawe uważam za otwarte – ogłosił Taje.

–Proszę wszystkich o powstanie do inwokacji.

Tego ranka inwokacja była krótkai rzeczowa: „Strzeżcie nas, niebiańscy opiekunowie i obdarzcie nas mądrością w wyborach, których przyjdzie nam dokonywać w dobie wojny o przetrwanie.”

Po chwili, Taje znów zajął swoje miejsce na podwyższeniu.

–Jestem pewien, że tę wiadomość zdążyliśmy już poznać wszyscy – zaczął głosem szorstkim i ochryłym ze zmęczenia.

–Księżę koronny Janaki chan Calirath poległ w boju z wrogami Sharony. Regimentarz chan Skrithik i generał dywizji chan Geraith są zgodni w opinii, że to jedynie doświadczone przez księcia Przebłyski pozwoliły utrzymać Fort Salby w naszych rękach. Generał potwierdził też – podniósł oczy i mimo swego wieloletniego doświadczenia w polityce, bardzo głośno odchrząknął, żeby móc mówić dalej – że księżę Janaki, w chwili, gdy podejmował decyzję o pozostaniu na posterunku wraz z załogą Fortu Salby i cywilną ludnością miasteczka Salbyton wiedział, że doświadcza Przebłysku Śmierci.

Na chwilę, w całej sali zapadła ogłuszająca cisza. Wreszcie Taje wyprostował ramiona.

–Zamiast opowiadać wszystkie wstrząsające szczegóły, które zostały zresztą opisane w raportach rozprawdzanych właśnie wśród państwa, oddam teraz głos Jego Wysokości cesarzowi-elektowi Sharony. Najpierw jednak poproszę państwa o ponowne powstanie i pochylenie głów w minucie ciszy, dla uczczenia pamięci księcia koronnego i tysięcy innych ludzi, którzy według wstępnych szacunków, stracili życie wskutek napaści Arkanian.

Kinlafia usłyszał bijące w oddali dzwony Świątyni. Telepaci

przekazywali wiadomość po całej Tajwanie i dalej, w pozostałe rejony Sharony. Dzwony rozdzwoniły się wszędzie, czcząc pamięć poległych, arystokratów i zwykłych, szarych ludzi, żołnierzy i cywilów. Gdy słuchał tych głębokich, potocznych dźwięków poczuł dreszcz smutku i szacunku. Nigdy wcześniej nie słyszał tak wielu świątynnych dzwonów bijących naraz. Ich uderzenia wibrowały w całym mieście, czuł drżenie głęboko w kościach. Śpiewały swe żałobne treny przez równe pięć minut, oplakując dusze Sharonian, których tak wiele próbowało teraz odnaleźć swą drogę do domu w niebiosach.

Wreszcie ucichła ostatnia z roztrzęsionych nut. W zapadłej na powrót ciszy, miejsce na podwyższeniu zajął cesarz.

Wyraźnie było widać, że tej nocy nie spał w ogóle. Kinlafia siedział na tyle blisko podium, że od razu zauważył przekrwione oczy i ciemne sińce pod nimi. Zindel chan Calirath przez długą, nabrzmiałą milczeniem chwilę, trzymał się mównicy. Stał tak nieruchomo, w swej prostej czarno-białej, żałobnej koszuli i spodniach. Dziś, zamiast przygotowanych już zdobnych szat koronacyjnych, musiał wdziać właśnie taki strój.

Wreszcie przemówił. Przez kilka ostatnich tygodni – wychrypiał swym głębokim głosem, naznaczonym teraz boleścią i zmęczeniem – zastanawialiśmy się, do czego w istocie zmierzają Arkanianie. Teraz ich intencje stały się brutalnie jasne. Nie dążyliśmy do tej wojny, ani jej nie sprowokowaliśmy. Staraliśmy się prowadzić z wrogiem uczciwe i otwarte rozmowy. Po to tylko, by spotkać się ze zdradą i eskalacją przemocy.

–Przez większą część dzisiejszej nocy – ciągnął – obradowałem z szefami sztabu, oraz z wybranymi przedstawicielami tego

Konklawe i dyrektorem naczelnym Zarządu Portali.

Rozważaliśmy stojące przed nami zagrożenie oraz metody jego odparcia. W wyniku tego spotkania podjęliśmy następujące decyzje.

–Ze skutkiem natychmiastowym powołujemy do czynnej służby wojskowej wszystkich, pozostających w stanie spoczynku żołnierzy armii lądowej i floty wojennej, poniżej czterdziestego roku życia. Zdajemy sobie sprawę, jak straszliwe skutki decyzja ta wyrze na losach wielu rodzin, firm i przedsiębiorstw, lecz nie pozostawiono nam wyboru. Nasze siły zbrojne w obecnym stanie są zbyt słabe, by skutecznie prowadzić wojnę na taką skalę. Jeżeli zostaniemy do tego zmuszeni, granica wieku poborowego zostanie podniesiona do pięćdziesiątego roku życia, przy czym osoby z problemami zdrowotnymi trafią wtedy na stanowiska administracyjne, gdzie także będą mogły przysłużyć się naszej wspólnej sprawie.

–Prosimy także o zgłaszanie się Utalentowanych ochotników, którymi chcemy obsadzić stanowiska w komunikacji, wywiadzie, opiece zdrowotnej i wielu innych dziedzinach. Jeżeli nie uda nam się zapewnić wystarczającej obsady tych stanowisk w ten sposób, nie pozostanie nam nic innego, jak wprowadzić obowiązkowy pobór osób o specjalnych zdolnościach psychicznych.

Ta wiadomość wstrząsnęła wszystkimi Utalentowanymi delegatami na Konklawe. Nawet Darcel poczuł oszołomienie na myśl o podobnej ewentualności. Ze wszystkich większych państw Sharony, obowiązkowy pobór do wojska praktykowało jedynie Uromathia. Ternathia, Farnalia, Harkala, oraz Nowa Ternathia i Nowa Farnalia polegały w obsadzaniu swoich armii wyłącznie na

tradycji ochotniczego naboru. Podobnie zresztą działo się także w niemal wszystkich małych państwach Sharony, a nawet i w Uromathii, gdzie ludzie posiadający Talenty zwolnieni byli z obowiązku służby, jako że byli niezwykle rzadcy, a nieodzownie potrzebowały ich rozmaite instytucje cywilne. To, co właśnie zasugerował Zindel – lub raczej, czym Zindel zagroził – byłoby wydarzeniem bez precedensu. Nic podobnego nie miało miejsca na przestrzeni ostatnich czterech tysięcy lat. Podniosły się głośne głosy sprzeciwu. Uniosły się pomiędzy udrapowanymi sztandarami ścianami Kancelarii i...

–Milczeć!

Warknięcie Zindela chan Caliratha oszołomiło wszystkich. Ogromna sala ponownie pogrążyła się w milczeniu.

–Według naszych ocen, licząc od momentu, w którym straciliśmy kontakt z naszymi siłami we Wrotach Piekieł – wznowił cesarz, wśród dzwoniącej w uszach ciszy, cedząc każde słowo, jakby musiał przegryzać się przez kość – Arkanianie w około dwanaście dni pokonali ponad cztery tysiące mil. Znajdują się teraz niewiele ponad czterdzieści cztery tysiące mil od Sharony. Jeżeli ponownie – i skutecznie – zaatakują Fort Salby i nadal będą posuwać się naprzód w dotychczasowym tempie, ich wojska będą w stanie stanąć w tym miejscu już za niecałe trzy miesiące. Nie protestujcie więc wobec żadnej z decyzji Korony dotyczącej tej wojny, bo tu idzie o przetrwanie. Nie mamy czasu na protesty, a ja nikomu, żadnemu z was nie pozwolę, na rzucanie nam kłód pod nogi. Czy to jasne?

Nikt nie odezwał się nawet słowem. Nozdrza Zindela chan Caliratha zadrgały w zadowoleniu.

–Świetnie – powiedział już o wiele ciszej. – Chciałbym zatem, żebyście wszyscy zrozumieli także jeszcze i to. Nie my rozpętaliśmy tę wojnę, ale to my ją zakończymy. Odbijemy portale, które utraciliśmy wskutek ich zdradzieckiej napaści. Ukarzemy ich za zbrodnie, jakich się dopuścili na naszych obywatelach. I upewnimy się, że ta ich „Unia Arkany” już nigdy nie zagrozi ani nam, ani naszym dzieciom, ani nawet wnukom.

Rozległ się gromki ryk aprobaty, o wiele głośniejszy niż niedawne protesty. Kinlafia półświadomie, jak wszyscy pozostali zerwał się z miejsca i bił brawo na stojąco. Nie przerywając oklasków spojrzął ze swej galerii w dół na twarz Chavy Busara i zobaczył jego zimne, oceniające oczy, którymi wpił się w Zindela z ostrożnie skrywaną pogardą.

Gdy tumult się wreszcie uspokoił, Zindel wznowił swój nieprzejeđnany, metodyczny opis przygotowań do wojny. Nowe oddziały miały zostać utworzone i przeszkolone, linie kolejowe przedłużone, nowe stocznie wybudowane, fabryki amunicji miały zwiększyć wydajność, planowano rozbudowę umocnień, ulepszenie uzbrojenia i rozesłanie go w odpowiednie miejsca... lista ciągnęła się w nieskończoność. Władca poruszał kwestie wszelkich środków i zasobów, jakie pozostawały do dyspozycji Sharonian i tłumaczył, jak planuje zaprząć je w tryby wojennej maszyny.

–Zażądam też od was – dokończył wreszcie – wprowadzenia odpowiednio wysokich podatków, które posłużą do sfinansowania tych, jakże niezbędnych, przedsięwzięć. Nie mamy czasu, by czekać z tą sprawą aż do wyborów do Parlamentu. Arkanianie nas tego luksusu pozbawili. Po wyborach poproszę Parlament o aprobatę dla wszystkich

naszych tymczasowych postanowień dotyczących wojny, ale wprowadzić je w życie musimy już teraz. Wiem też, że dla każdego okażą się one ciężarem. To nie będzie tania wojna. Nie miejmy złudzeń. Wszyscy Sharonianie odczują zwiększone podatki na własnej skórze i to mocno. Wielu z pewnością zacznie protestować. Ale jeśli zaczną, zadajcie im tylko jedno pytanie: Co wolisz – wyższe podatki i ceny, czy smoki z Arkany palące twój dom i twoich ukochanych? Bo przed takim właśnie stanęliśmy wyborem. Nie prosiliśmy o tę wojnę, ale z pomocą Triady, będziemy na niej walczyć ze wszystkich sił!

Po tym oświadczeniu rozległa się kolejna fala oklasków, aczkolwiek już spokojniejsza, niż poprzednia. Spadek entuzjazmu miał oczywiście związek z informacją o podwyższeniu podatków i rozlicznych obowiązkach.

–Na tym kończą się przygotowane przeze mnie uwagi – odezwał się Zindel, gdy ponownie zapadła cisza. – Czy ktoś ma jakieś pytania? Nie sprzeciwy, tylko pytania do tego, co powiedziałem?

Przez kilka sekund nie odzywał się nikt, ale wtedy wstał, siedzący dotąd spokojnie wśród pozostałych członków swej delegacji, cesarz Uromathii.

–Wasza Wysokość – zaczął, kłaniając się jednocześnie Zindelowi – szanowni koledzy. Uromathia łączy się ze wszystkimi w bólu i żałobie z powodu bohaterskiej śmierci księcia koronnego Janakiego. Współodczuwamy smutek, który spadł na całą Sharonę i wyrażamy najwyższe uznanie wobec cesarza Ternathii, który z taką determinacją przystąpił do walki z obecnym kryzysem.

Gdy Chava wypowiedział słowo „Ternathia” w głębi duszy Kinlafii zapłonął gniew.

–Niemniej – ciągnął Uromathianin – choć nikt nie jest w stanie podważyć konieczności odwołania się do nakreślonych przed nami chwilę temu przez cesarza środków, Uromathia musi postawić pytanie, czy Zindel chan Calirath posiada odpowiednie uprawnienia, by podobne zarządzenia wprowadzać w życie – rozległo się szemranie poruszonych, protestujących delegatów, ale Chava mówił dalej, wyraźnym, mocnym głosem.

–Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, przedwczesna śmierć księcia koronnego Janakiego wprowadziła pewne zmiany zarówno w kolejności dziedziczenia tronu Ternathii, jak i w zasadach, na jakich miałyby się odbyć objęcie tronu całej Sharony. Innym nieszczęściem pozostaje fakt, że na chwilę obecną nie ma nikogo takiego, jak „cesarz Sharony”. Nie ma także imperium, którym owa osoba mogłaby władać. Nie odbyła się koronacja, a tym samym warunki określone w Akcie Zjednoczenia nie zostały – i nie mogą zostać – spełnione.

–Co sugerujesz? – zapytał gniewnie Ronnel z Farnalii.

–Sugeruję jedynie – odparł Chava – że przyszło nam działać w czasie wielkiej niepewności i że w tych okolicznościach, szczególnie ważnym jest, by działać ściśle według postanowień i przepisów, na mocy, których suwerenne państwa Sharony zgodziły się przekazać własną niezależność wyższej instancji. Owszem, znaleźliśmy się w stanie wojny. I zgoda, możliwe, że jest to wojna decydująca o naszym być, albo nie być. Ale jeśli mamy mierzyć się z wrogiem jako jedna, zgodna całość, musimy być zjednoczeni bezwarunkowo. Nie może zaistnieć ani jedna,

najmniejsza nawet wątpliwość, co do prawomocności rządu, który pośle naszych obywateli do walki.

–Do rzeczy, proszę. Szybko – rzucił lodowato Zindel chan Calirath.

–Oczywiście, Wasza Wysokość – Chava uklonił się raz jeszcze.

– Właśnie zmierzam do sedna. Śmierć pańskiego syna unieważniła paragraf trzeci, artykułu drugiego Aktu Zjednoczenia. Póki postanowienia zawarte w tym punkcie nie zostaną spełnione sam Akt nie ma mocy wiążącej Uromathię, ani żadnego innego z pozostałych sygnatariuszy. Jeżeli mamy powołać do istnienia prawdziwe Imperium Sharony, muszę z szacunkiem prosić o zapewnienie odpowiednich warunków sukcesji, w zgodzie z myślą artykułu drugiego, który po nieodżałowanej śmierci pańskiego syna stanął pod znakiem zapytania. Czy wobec powyższego, księżniczka koronna Andrin jest gotowa poślubić tego z moich synów, którego wyznaczę jej na męża?

Salą wstrząsnął dziki ryk oburzenia. Połowa członków Konklawe zerwała się na równe nogi, krzycząc i domagając się, usunięcia Chavy z Kancelarii. Zindel ścisnął mównicę z taką siłą, że Kinlafia spodziewał się w każdej chwili usłyszeć trzask pękających desek. Po chwili, jednak rozległy się głośnie uderzenia młotka wzywającego zebranych do spokoju. Przez cały ten czas, Chava stał pośrodku tumultu, z bezczelnym, wzywającym spojrzeniem i pełgającym na ustach, zadowolonym z siebie uśmiechem.

Wreszcie, po dłuższej chwili, wrzawa zanikła, gasnąc w ciszę. Gdy w całej Kancelarii ponownie zapadło milczenie, cesarz

spojrzał na Chawę Busara.

Uśmiech zniknął z twarzy Uromathianina, gdy spoczęły na nim lodowate, szare, przeszywające pełnym ostrej jak skalpel wzgardy spojrzeniem, oczy Zindela chan Caliratha.

–Tego z synów, którego ty wyznaczysz? – spytał cesarz i Chava dosłownie pobladł słysząc groźny, cichy ton ternathiańskiego władcy. – Czy aby nie przekraczasz swoich uprawnień zakładając, że wolno ci zdecydować, który z twoich lubieżnych, źle wychowanych kundli otrzyma prawo do dokonania gwałtu na mojej córce?

Oblicze Chavy Busara najpierw pokryło się śmiertelną bladością, a zaraz potem oblało się krwistą purpurą. – Jak śmiesz...!? – zaczął.

–Nie będziesz dyktować mi warunków! – zagrzemiał Zindel.

–Ja... – zaczął znów Chava, ale przerwał mu trzeci głos. Młody, wysoki głos, który nigdy jeszcze nie rozbrzmiewał w murach Kancelarii.

–A wy nie będziecie o mnie rozmawiać tak, jakby mnie tu nie było! – obwieścił lodowato i wyraźnie. Oczy wszystkich zwróciły się ku miejscom zajmowanym przez delegatów z Ternathii.

Andrin Calirath podniosła się z miejsca. Złote pasemka w jej kruczoczarnych włosach zdawały się w tej chwili grubsze i jaśniejsze niż zwykle. Połyskiwały, gdy księżniczka spoglądała w twarze przywódców i władców całej planety. Stała w sukni barwy stonowanych odcieni szarości i granatu, z żałobną opaską na

rękawie. Patrzyła oczyma Caliratha, wzrokiem mrocznym od kryjących się w nim duchów przyszłości, a mimo to silnym błyskawicami determinacji. W jakiś niemożliwy do uchwycenia sposób, wyglądała naraz jak nastolatka, którą przecież była i jak ucieleśnienie przyszłości Sharony – wysoka, silna, nieustraszona i jednocześnie głęboko zraniona.

Cesarz Zindel otworzył oczy szeroko i spojrzał na córkę. Nie oglądał jej jednak oczyma władcy. Był to wzrok ojca, zdjętego lękiem o los dziecka, które przecież ukochał ponad samo życie. Były to też oczy człowieka, od którego życie wymagało jednego poświęcenia zbyt wiele, mężczyzny, który nie mógł, czy raczej nie chciał poświęcić na rzecz przeznaczenia swego rodu także i swej córki. Bo syna już oddał. Były to także – pomyślał Darcel Kinlafia – oczy kogoś, kto zauważył, że wizja tej chwili stanowiła część Przebłysku, który cesarz dzielił z telepata.

Ten człowiek otworzył usta. Jego twarz zasnęła gorzka determinacja, ale córka spojrzała mu prosto w oczy i pokręciła głową.

–Chanaka s’hari, Halian. Sho warak – powiedziała cicho księżniczka koronna Andrin Calirath i przez twarz jej ojca przebiegł skurcz, jakby jej słowa były z siłą ołowianych pocisków.

Yaf Umani był jednym z największych znawców języków Sharony. Nigdy, co prawda nie pracował na żadnym uniwersytecie, na żadnym wydziale języków starożytnych – wykluczała to jego praca w charakterze naczelnego Głosa Zarządu Portali – ale języki kochał tak, jak tylko potrafią je kochać telepaci... i był jednym z garstki ludzi w Kancelarii, którzy rozpoznali mowę, w której przemówiła przed chwilą dziewczyna.

Umani był też człowiekiem spokojnym, silnym i zrównoważonym, ale w ciągu ostatnich czternastu godzin przeszedł stanowczo zbyt wiele i nie zdołał opanować swego umysłu: tłumaczenie słów Andrin wyciekło z jego umysłu, do umysłów wszystkich pozostałych Głosów w Kancelarii.

„Jestem twoją córką, Halianie. Pamiętam.”

Zapadła cisza, a potem, powoli – bardzo powoli – Zindel chan Calirath skłonił czoło.

Andrin uśmiechnęła się do niego bardzo łagodnie. Po chwili jednak cała łagodność zniknęła. Dziewczyna obróciła się i stalowym wzrokiem spojrzała ponad posadzką sali na cesarza Uromathii.

–Proszę o pozwolenie poinformowania cesarza Chavy, że jest w błędzie – powiedziała wyraźnie i z godnością. – Akt Zjednoczenia nie został unieważniony przez fakt śmierci mojego brata. Dynastia Calirath nie będzie próbowała uchylić się od zobowiązań nałożonych na jej członków na mocy tego dokumentu. Ternathia ma następcę tronu i następcą ten gotów jest wypełnić co do joty, tę część swojego obowiązku, którą nakłada przywołany przez cesarza Chavę fragment Aktu.

Ale jestem też księżniczką koronną Ternathii – ciągnęła – dziedziczką Uskrzydłonej Korony Celaryona, córką rodu Calirath, spadkobierczynią Haliana i Erthaina Wielkiego! – oczy dziewczyny miotały szarymi błyskawicami, jej wysoki głos dźwięczał niczym klinga miecza. Nie był to już ton nastolatki, ale głos najstarszej dynastii w historii ludzkości, wspólny głos rodu, który odezwał się ustami swej wybranki. Wybranki, w której

skupiła się cała duma i siła ducha... i gniewu wszystkich jej przodków. – Moi przodkowie byli władcami połowy świata już wtedy, gdy twoi dziadowie zajęci byli jeszcze wyłącznie iskaniem własnych wszy, oraz rabowaniem sąsiadom owiec i żon. Nie ty będziesz mi dyktować, kogo poślubię, Chavo Busarze!

Twarz Uromathianina pociemniała od nowej fali wściekłości, ale oczy Andrin wbijały się weń nieustępliwie, dziewczyna mówiła dalej, z niewzruszoną, chłodną precyzją.

–Paragraf trzeci artykułu drugiego wymaga, by dziedzic korony Ternathii poślubił następcę tronu Uromathii w okresie trzech miesięcy od chwili ratyfikacji Aktu Zjednoczenia, a ratyfikacja nastąpiła dwa tygodnie temu. Znakomicie. Nie później niż do jutrzejszego południa dostarczysz mi, więc listę wybranych przez siebie kandydatów na mojego męża. Jeżeli takie jest twoje życzenie, możesz na niej umieścić wszystkich kawalerów ze swojego rodu, ale to ja, Chavo Busarze, ja i nikt inny, podejmę ostateczną decyzję. Ślub odbędzie się – zgodnie z postanowieniami Aktu – w przeciągu następnych dziesięciu tygodni, ale nigdy więcej, nie popełnij już tego samego błędu. Nie próbuj narzucać swej woli nikomu innemu z mojego rodu! – Nadal nie wierzę, że ona to zrobiła – pokręciła głową Alazon Yanamar. – Dlaczego? Dlaczego?

–Doskonale rozumiesz, dlaczego, kochanie – poprawił ją smutnym głosem Kinlafia.

Oboje stali w biurze Alazon, w Pałacu Calirathów, otoczeni należącą do telepatki kolekcją koni. Wyglądali przez okno. Lampy były przykręcone, słońce zaszło już kilka godzin temu, a nad pałacowymi ogrodami dryfował srebrny księżyc. Był to

piękny, pełen spokoju widok, mocno kontrastujący z chaosem, szokiem i niedowierzaniem, które zdjęły wszystkich mieszkańców i pracowników Pałacu.

Po prostu wzbranasz się przed przyznaniem, że postąpiła słusznie – dodał Kinlafia.

–Słusznie? – Alazon spojrzała na niego, jakby zupełnie nie rozumiała, co właśnie powiedział. – Na bogów, Darcel! Ona ma siedemnaście lat! I jest Ternathianką! Najmłodszy z synów tego bydlaka ma dwadzieścia dziewięć, a wszyscy z nich są tak samo paskudnymi facetami, jak ich ojciec! Wyobrażasz sobie, co się z nią stanie, gdy któregokolwiek z nich poślubi? Zwłaszcza po tym, jak upokorzyła ich ojca w taki sposób jak dziś? Może lepiej by było, gdyby poprosić któregoś, żeby zgwałcił ją na oczach Konklawe i byłoby z głowy!

–Tak – to słowo zabrzmiało niezwykle surowo, ale Kinlafia spoglądał w jej oczy nadal spokojnie. – Doskonale mogę sobie wyobrazić, co się stanie. Na Vothana! Myślisz, że mi się ta myśl podoba? Ale to nie zmienia faktu, że uważam, iż postąpiła słusznie. Do zjednoczenia musimy doprowadzić jak najprędzej. Nie można dać Chavie najmniejszej szansy na ponowne rozbabranie całej dyskusji na temat unifikacji. Nie mamy na to czasu!

–Owszem, mamy! – zaprotestowała Alazon. – Poza tym, jeśli on otworzyłby już furtkę do zmian w Akcie, to według mnie powinniśmy w ogóle wykreślić z niego ten nieszczęsny punkt!

–Sama dobrze wiesz, że to niemożliwe – Darcel spojrzał na nią surowo. – Ja wiem, że ty o tym wiesz. Sama uczysz mnie od

dwóch tygodni, by myśleć wyłącznie w kategoriach strategii politycznej! Czy naprawdę myślisz, że Chava poruszyłby w ogóle ten temat, gdyby nie był gotów ogłosić, że Uromathia skorzysta z pretekstu śmierci Janakiego i zażąda „unieważnienia” Aktu, do tego by odmówić uczestnictwa w Unifikacji i odnowić całą jej formułę? Tym razem w taki sposób, by Chava uzyskał po Zjednoczeniu jeszcze więcej wpływów i możliwości do knucia? I naprawdę uważasz, że przez przypadek czekał, aż cesarz skończy opisywać całe niebezpieczeństwo naszej sytuacji? On z rozmysłem chciał, by każdy przetrawił sobie głęboko powagę zagrożenia. I dopiero wtedy uderzył.

Chciał – ciągnął telepata – żeby wszyscy byli świadomi kalibru lufy, którą przystawi wszystkim do głów. Jeśli oświadczy, że Akt jest nieważny, jeśli odmówi uznania prawomocności koronacji Zindela, co wtedy będzie z przygotowaniem wojennymi? Przecież, gdyby tak się stało, to pozostali delegaci na Konklawe dobrowolnie oddadzą Chavie, wszystko czego zechce, po to tylko, by jak najszybciej podpisał Akt. Bo teraz Arkanianie okazali się prawdziwym, bardzo poważnym zagrożeniem.

Alazon! – kontynuował. Przecież on równie dobrze mógł nam dzisiaj wręczyć szkic swojej nowej strategii na piśmie. Z jego punktu widzenia wygrałby w każdym wypadku. Bo albo wybrałby męża dla Andrin na podstawie postanowień Aktu, albo usłyszałby, jak Zindel każe mu się wynosić kolejno do każdego z piekieł Arpathii! A gdyby tak się stało, gdyby cesarz nie uhonorował postanowień Aktu, Chava mógłby ogłosić, że to sam Zindel unieważnił Unifikację, przez co on odmawia przekazania suwerenności Uromathii Ternathianom... i wtedy mógłby zrobić, co chce, chyba, że zdecydowalibyśmy się na wojnę domową,

której cesarz tak usilnie stara się wszak uniknąć!

Wiadomości z Sieci Głosów – mówił dalej – i artykuły z gazet, z którymi kazałaś mi się zapoznawać odkąd wróciłem, wszystkie w sposób oczywisty mówią że Chava nigdy nie uznał pierwszej masakry za oznakę zagrożenia ze strony Arkanian. Grał wtedy tak, by ugrać na całej tej historii jak najwięcej i dokładnie to samo robi w tej chwili. Zmienił po prostu metodę. Teraz chce wszystkich przekonać, co do powagi zagrożenia, żeby w strachu oddali mu to, czego nie dostał za pierwszym razem. Jeżeli uda mu się jednocześnie przestraszyć wszystkich delegatów na Konklawe i wyjść przy tym na osobę nieprzejednaną, to zgodzą się, na co najmniej część jego żądań – może nawet na większość. I nie będzie go przy tym w najmniejszym stopniu obchodzić, o ile opóźni to samą Unifikację, ani jak bardzo zaszkodzi naszym zdolnościom obronnym, póki tylko będzie mieć najmniejszą choćby szansę poprawienia własnej pozycji. – Ale... – Nie ma żadnego „ale”, kochanie –

Kinlafia powiedział cicho i ze smutkiem. – Sama doskonale wiesz, że właśnie tak by się stało. To samo wie jej ojciec. Na bogów, Alazon, wiesz przecież, jak bardzo Zindel ją kocha. I sama widziałaś równie dobrze jak ja, co był gotów dziś zrobić! Owszem, to była jej decyzja i tak samo dobrze jak ty wiem, że zrobiła to bez ostrzeżenia. Zindel niczego nie podejrzewał. Ona z rozmysłem nie dała mu czasu na obmyślenie sposobów jej powstrzymania. Nie chciała, żeby on – jako ojciec – znalazł jakieś uzasadnienie, jakiegokolwiek uzasadnienie, by ją powstrzymać. Ale wiem także, że gdyby on nie zrozumiał, że Andrin postąpiła słusznie, to w życiu by jej na to nie pozwolił. W życiu.

–Ale przecież musi istnieć jakiś inny sposób – Alazon nie próbowała już protestować ani zaprzeczać. Jej głos brzmiał bez mała błagalnie. – Darcel, nie możemy jej na to pozwolić. Nie możemy!

W oczach telepatki zaśniły łzy. Darcel objął ją ramieniem i mocno przytulił do piersi.

–Nie widzę żadnego sposobu, by ją powstrzymać – przyznał i oczyma umysłu raz jeszcze zobaczył wizję płaczącej księżniczki. – Ja wreszcie zaczynam rozumieć – naprawdę rozumieć – jaką cenę może kosztować bycie Calirathem. Ona robi, jak zapowiedziała. Jedyną osobą zdolną do jej zatrzymania byłby jej ojciec. A on nie może. Nie robi tego. Ochroni ją przed wszystkim na świecie, ale tego jednego jej nie zabroni.

–Ten ślub ją zabije – powiedziała cicho Alazon. – Może nie fizycznie i nie od razu. Ale w końcu ją zabije.

Podniosła oczy na Kinlafię. Samotna, lśniąca łza spłynęła po jej policzku. – Aż do wybuchu tego niewiarygodnego kryzysu, ja jej tak naprawdę zupełnie nie znałam. Ale teraz jest inaczej. I wiem, jestem przekonana, że małżeństwo z kimś takim jak syn Chavy Busara, zniszczy ją od środka.

Kinlafia przytaknął skinieniem, wyraźnie słysząc ból znaczący jej piękny głos. Wiedział, że to właśnie ten ból jest powodem, dla którego osoba taka jak Alazon, o niezwykle przenikliwej inteligencji i zmyśle politycznego zwierzęcia, nalegała, by ktoś powstrzymał Andrin. i na bogów, rozumiał, że miała w tym rację. Gdyby tylko istniał jakikolwiek sposób, by tego uniknąć...

–Musimy po prostu mieć nadzieję, że dziewczyna okaże się jeszcze silniejsza niż dotąd – powiedział. – Przeczytałem już całą kopię Aktu, którą od ciebie dostałem. Gdybym tylko znalazł jakąś metodę, by...

Nagle urwał. Alazon, stojąca w jego objęciach zesztyniała, gdyż Poczła nagłą, niewiarygodną kaskadę myśli i uczuć, przewalającą się przez duszę i umysł mężczyzny. Po chwili telepata ostro odetchnął i spojrzał jej w oczy. – O bogowie! – szepnął. – Właśnie!

–Co takiego? – zapytała nie rozumiejąca Alazon.

–Wpadłem na pewien pomysł – odpowiedział. – Na bogów, to właśnie Zobaczył w Przebłysku Janaki! – Co Zobaczył Janaki?!

–Musimy odszukać Andrin – stwierdził Kinlafia. – Nie zapomnij wziąć swojego egzemplarza Aktu!

EPILOG

Słońce zaszło kilka godzin temu.

Wagon ślizgacza mknął wśród mocnych podmuchów wiatru, niemal bezszelestnie, w miejscu, które na Sharonie nazywałoby się doliną rzeki Razinta. Była pochmurna, bezksiężycowa noc. Zimna i martwa... i bardzo, ale to bardzo tchnąca pustką.

Arkanianie nazywali Razintę rzeką Kosal. Zanim podróżnicy dotarli nad jej brzegi, przebyli niemal tysiąc osiemset mil przez wszechświat zwany przez obcych Lamią. Parli niezmiennie na południowy zachód, w kierunku kolejnego w ich nieskończonej podróży portalu. Z map, które pokazywał im Jasak wynikało, że ów portal leży kilka mil na południe od

Usarlah, stolicy prowincji Delkrath na Sharonie, niemal na samym środku półwyspu Narhathan. Z tym, że to Usarlah leżało niemal sto tysięcy mil od tego Usarlah, które Shaylar odwiedziła wiele lat leniu, będąc jeszcze młodą studentką.

„Oddaliłam się od domu już niemal o połowę drogi do księżycyca” – pomyślała, wyglądając z wagonu w ciemność. „I to tylko, jeśli policzyć odległość w linii prostej. Lotem ptaka, albo smoka. Pół drogi do księżycyca” – pokręciła głową, próbując objąć umysłem niewiarygodne odległości. – „I nadal mamy do przebycia niemal czterdzieści tysięcy mil”.

–Wydajesz się dziś jakaś... zamyślona, Shaylar – zauważyła Gadrial i Shaylar odwróciła twarz od okna.

Ransarańska magister siedziała naprzeciwko niej, przy małym stoliku i tasowała swoimi smukłymi, zwinnymi palcami talię sześćdziesięciu kart. Uczyła Jathmara i Shaylar arkaniańskiej gry karcianej, nazywanej starym bazyliuszkiem. Zasady nie były wcale skomplikowane – z pewnością nie stanowiły większego wyzwania, niż kilka znanych Shaylar gier z Sharony – z tym, że tutaj talia składała się z pięciu zestawów po dwanaście kart, zamiast z trzech zestawów po osiemnaście kart, do czego była przyzwyczajona i właśnie przez to, śledzenie wydarzeń podczas rozgrywki nie było na początku łatwe. A raczej nie byłoby łatwe, gdyby Shaylar nie dysponowała fotograficzną pamięcią Głosu.

–Bo rzeczywiście dużo dzisiaj myślę – przyznała Shaylar. – Jesteśmy tak daleko od wszystkiego, co było mi bliskie i znajome. A tam, na zewnątrz jest tak... pusto. – Pozory często mylą – powiedziała

Gadrial i sama wyjrzała za okno. – W domu, to wszystko, co widzisz stanowi część Księstwa Forkasy, jednego z najstarszych i najbardziej zamożnych niezależnych terytoriów Shalomy. Oczywiście, czynniki, które uczyniły Forkasę tak bogatą na

Arkanie niekoniecznie pojawiają się we wszechświatach zewnętrznych, a do Arkany, czy Nowej Andary jest jeszcze bardzo daleko. Ale ostatnim razem, kiedy się tym interesowałam, to według spisów ludności, Lamię zamieszkiwało około trzech milionów ludzi. Jeśli dobrze pamiętam.

–Trzy miliony – powtórzyła Shaylar. Musiała przypomnieć sobie, że Arkanianie prowadzili eksplorację wszechświatów od dwóch stuleci, niemal trzy razy dłużej niż Sharonianie. Niemniej myśl, że wszechświat oddalony od ich rodzimego o czterdzieści tysięcy mil liczył sobie trzy miliony mieszkańców był, co najmniej... otrzeźwiający.

–Cóż, Lamia przyciąga o wiele więcej kolonistów, niż spora liczba innych wszechświatów – wyjaśniła Gadrial, podając Shaylar przetasowane karty do przełożenia. – Odległości pomiędzy portalami nie są tu tak wielkie, jak gdzie indziej, a całą drogę między nimi można pokonać lądem, co jest o wiele wygodniejsze. Poza tym, wszędzie naturalną tendencją jest osiedlanie się wzdłuż torów ślizgacza, a tak się akurat składa, że tutaj biegną one przez jedno z najbardziej atrakcyjnych terenów Shalomy. Nie mówiąc już o tym, że niektóre z najpiękniejszych plaż Zachodniego Hesmiryana znajdują się niecałe sto mil od miejsca, w którym teraz jesteśmy.

Zaczęła rozdawać. Shaylar skinęła na znak zrozumienia. Morze Hesmiryana było arkaniańską nazwą Morza Mbisi i Gadrial miała rację chwając zalety plaż Narhathan. Turystyka stanowiła na Sharonie jedną z najbardziej dochodowych gałęzi przemysłu prowincji Teramandor, a tamtejsze nadmorskie kurorty cieszyły się zasłużoną sławą w całym multiwersum.

–Tak, czy inaczej – ciągnęła Gadrial – wydaje mi się, że dowolny wszechświat wyglądałby na pusty, gdybyś oglądała go w ciemności. Mrok zawsze wywiera na mnie wrażenie, że nic tu nie jest do końca prawdziwe.

–Ja też to ostatnio czuję. Bardzo często – odparła cicho Shaylar. Ręce Gadrial zamarły. Spojrzała ponad stołem na drugą kobietę i w jej ciemnych oczach o kształcie migdałów pojawiło się współczucie. – Wiem, że tak jest. Żałuję, że to wszystko spadło na ciebie i na Jathmara.

–A my wiemy, że jest ci przykro – Shaylar zdobyła się na uśmiech. – No już głuptasie, rozdawaj!

Gadrial uśmiechnęła się do Sharonianki i podjęła przerwana czynność. Shaylar przyglądała się opadającym na blat kartom, słuchała cichych, szeleszczących stuknięć prostokątnych kartoników uderzających w stół. W sharoniańskim pociągu, jadącym z taką prędkością nie byłoby to możliwe. Były zbyt głośne. Tymczasem ciche, poruszające się bez żadnych wibracji ślizgacze wciąż ją zadziwiały, choć razem z Jathmarem zdołali już dostrzec kilka ułomności arkaniańskich pojazdów,

które wychodziły na jaw, gdy porównało się je ze staromodnymi, już trzęsionymi i hałasującymi kolejami.

Dopiero po jakimś czasie, na przykład, zauważyli jak wielką wadę stanowił brak lokomotyw. Nie było wątpliwości, że to, iż każdy ślizgacz napędzał się samodzielnie sprawiał, że ich wagonami można było dysponować dużo bardziej elastycznie, ale cena, jaką przychodziło za tę elastyczność płacić, okazywała się bardzo wysoka. Każdy ślizgacz wymagał własnego zasobnika z zakłęciami i mimo wszystkich oferowanych przez siebie luksusów, były dużo lżejsze niż sharoniańskie pociągi. Powód tego stanu rzeczy stał się jasny, gdy na którejś ze stacji przyjrzeni się sposobowi, w jaki Obdarzeni technicy ładowali zasobniki. Zakłęcia napędzające ślizgacze były najwyraźniej bardzo skomplikowane i ich załadowanie do zasobników trwało dość długo. Jak wyjaśniła im Gadrial, kiedy ją wreszcie o to zapytali, był to właśnie powód lekkości konstrukcji wagonów. Ślizgacze poruszały się dzięki pewnej odmianie czaru lewitacji, którego używały także ciągnięte przez smoki platformy transportowe. A te zakłęcia z kolei nie cechowały się zbyt dużym udźwigniem. Z tego, co mówiła im Arkanianka, Jathmar (który wiedział o silnikach parowych i kolejach, o wiele więcej niż Shaylar) wyliczył, że Arkanianie mieliby szczęście, gdyby ich pojedynczy ślizgacz przewiózł jedną czwartą ładunku, jaki rutynowo przewoziły po całym multiwersum standardowe wagony towarowe KTT.

„Miło jest dowiedzieć się wreszcie, że i my mamy nad nimi jakąś przewagę” – pomyślała Shaylar markotnie, wzięła karty do ręki i zaczęła je układać.

Spojrzała przez przedział do miejsca, w którym miecznik Threbuch i Jathmar grali w grę, którą Arkanianie zwali walczącymi kwadratami. Była to skomplikowana, wysoce złożona gra wojenna, w którą grało się wykorzystując osiemnaście rzeźbionych, stylizowanych pionów na stronę i planszę o wymiarach dziewięć pól na dziewięć. Jathmar okazał się zaskakująco zdolnym adeptem tej gry i z powodzeniem walczył z Threbuchem, przy asyście kibicującego im Jugthara Sendahliego. Shaylar czuła skupienie – i radość – męża przez łączącą ich małżeńską więź. Jasne też było, że Sendahliego strasznie bawiły kłopoty, w jakich znalazł się Threbuch.

Ucieszyła się, na myśl o tym, że Jathmar potrafił się bawić, ale nawet i to uczucie nie było dzisiejszej nocy pełne. Owszem, czuła jego radość i koncentrację, ale nie odbierała ich tak wyraźnie, jak powinna była. Więź słabła nieodmiennie i nie było, co do tego najmniejszych wątpliwości. Co gorsza, gdy ostatnim razem zatrzymali się dla przeładowania zasobników, Jathmar sprawdził swój Talent Kartografa. I ten także okazał się słabszy.

W pewnym sensie Shaylar poczuła niemal ulgę. Nawet na Sharonie małżeństwa i związki między ludźmi okazywały się mniej trwałe, niż tego mogli sobie życzyć zaangażowani w nie ludzie, zwłaszcza w obliczu nieoczekiwanego stresu, czy przedłużającego się okresu lęku. A przecież niewielu ludzi przeszło przez trudniejsze

chwile, niż oni oboje. Shaylar widziała już sytuację, gdy więź małżeńska po prostu więdła, a związane nią osoby oddalały się od siebie. Myśl o tym, że coś takiego mogło spotkać właśnie ją i Jathmara, była dla niej nie do zniesienia. Dlatego właśnie tak szalenie ucieszyło ją to, kiedy się okazało, iż słabnięcie więzi ma jakąś inną, zewnętrzną naturę. Niemniej, implikacje słabnięcia tej ich więzi i Talentu Jathmara były niemal tak samo przerażające, jak niepokój o utratę męża.

Nie mieli pojęcia, co się działo. Shaylar podniosła wzrok znad swoich kart. Gadrial z pochyloną głową układała własne i nie zarejestrowała intensywności lęku, z jakim popatrzyła na nią Sharonianka. Telepatka z całego serca życzyła sobie, by mogli wraz z Jathmarem porozmawiać o tym z kimkolwiek, a najbardziej nadającą się do takiej rozmowy osobą była Gadrial. A jednak – Jathmar miał rację. Nie mogli przyznać się do słabnięcia swych zdolności przed nikim – nie mogli, póki istniał choć cień szansy, że podobny efekt, tym razem wywołany rozmyślnie, mógłby zostać użyty przez arkaniańskich czarowników przeciwko innym Utalentowanym.

Gadrial spojrzała na nią i Shaylar szybko usunęła wyraz zmartwienia ze swej twarzy, choć nie z duszy.

–Zaczynamy? – spytała Arkanianka.

–Jasne – odparła Shaylar z radością w głosie, której tak naprawdę nie czuła już od bardzo dawna. – Piętnaście.

Popołudniowe słońce wpadało ukośnymi promieniami przez wąskie, zakratowane okna. Nagle, prowadzące na zewnątrz drzwi stanęły otworem. Weszło przez nie dwóch arkaniańskich strażników. Ciągnęli pomiędzy sobą bezwładne, wiotkie ciało półprzytomnego mężczyzny. Za nimi pojawił się trzeci strażnik. Ten trzymał w dłoni gotową do strzału automatyczną kuszę. Ubrojony żołnierz cofnął się i podniósł broń, a jeden z pozostałej dwójki otworzył drzwi do celi, by jego towarzysz mógł wrzucić za nie swój ładunek.

Namir Velvelig ruszył błyskawicznie i schwycił kapitana Silkasha, zanim ledwie przytomny Uzdrowiciel uderzył w podłogę celi. Silkash krzyknął z bólu, gdy poczuł chwyt regimentarza. Gniewne spojrzenie Velveliga, którym cisnął w strażników, mogłoby zmrozić samo serce dowolnego z piekieł Arpathii.

Jeden z nich uśmiechnął się do jeńca złośliwie, wyraźnie rozbawiony jego wściekłością i wykonał ręką nieprzyzwoity, obraźliwy gest. Wyrażna na jego twarzy drwina i bezczelna satysfakcja, z jaką patrzył na połamane, skrwawione ciało Silkasha niemal przeważały szalę. Niemal. Mimo to, Velvelig nie pozwolił swym żelaznym rysom choćby drgnąć. O gorejącej w nim furii świadczyły jedynie jego lodowate oczy. Dobrze wiedział, że właściwa pora nadejdzie. Tego jednego był już pewien.

Wiedział, że nadejdzie taki czas, taki dzień, kiedy podejmie swą ostatnią próbę oporu i zginie.

Ale nie dziś. Nie, dopóki nie będzie mieć pewności, że zanim zastrzeli go strażnik z kuszą, uda mu się pociągnąć ze sobą choć jednego z tych bydlaków. Spoglądający kpiąco żołnierz pogardliwie prychnął, splunął na podłogę, po czym zatrzasnął i zamknął na klucz drzwi do celi. Powiedział coś do swojego kolegi i wszyscy trzej odeszli spacerowym krokiem.

Velvelig ułożył delikatnie Silkasha na pościeli, które przygotował wcześniej wraz z pozostałymi oficerami z celi. Uzdrowiciel drgnął i boleśnie syknął, gdy palce regimentarza lekko sprawdzały świeże złamania jego żeber.

Velvelig nosił na sobie własne sińce i rany. Ostatnimi dwoma razami, gdy przyszli po Silkasha oficer zasłonił go własnym ciałem. Nie wymierzył oprawcom nawet jednego ciosu, nijak nie zagroził strażnikom, ale zmusił ich, by odsunęli go z drogi uderzeniami pałek. Dopiero wtedy mogli zabrać Uzdrowiciela.

Oczywiście nie wyniknęło z tego nic dobrego. – Regimentarzu?

Usłyszał słaby, drżący głos i spojrzał w dół. Lewe oko Silkasha było otwarte; prawe miało opuchnięte i nie był w stanie nawet poruszyć powieką. Stracił też kilka zębów i nie mówił zbyt wyraźnie.

–Jestem tu, Silky – odpowiedział cicho Velvelig. – Nie wyglądasz zbyt dobrze.

–Nieszczególnie też się czuję – udało się wykrztusić Uzdrowicielowi i oczy Velveliga zapłonęły, gdy usłyszał mało przekonującą próbę obrócenia sytuacji w żart.

–Tobis? – zapytał po chwili Velvelig i Silkash pokręcił głową.

–Nie wiem, regimentarzu – posiniaczona, splamiona krwią twarz wykrzywiła się w grymasie bólu. – Kiedy mnie wyciągali ten skurwysyn nadal się nad nim znęcał.

–Skurwiel! – warknął ktoś za plecami Velveliga, ale regimentarz jedynie lekko poklepał Silkasha po ramieniu.

–W porządku Silky, nie martw się. Zaopiekujemy się tobą.

–Wiem, regimentarzu – wyszeptał Silkash i zamknął oko.

Velvelig uniósł dłoń i jeden z pozostałych jeńców podał mu zwilżony w wiadrze z wodą, strzęp koca. Regimentarz zaczął obmywać twarz Uzdrowiciela. Robił to dotykami tak delikatnym, że niemal kobiecym. I przez cały ten czas w jego sercu wzbierała czarna żądza mordy.

W sadyzmie Hadrigna Thalmayra tkwił pewien brutalny spryt. Regimentarz nie miał najmniejszych wątpliwości, że Arkanianin zamierza w końcu zabić Silkasha i Makree, ale dla własnej rozrywki z tym akurat się nie spieszył. Rozpoczęło się to być może jako pewien rodzaj kary, zemsty za „cierpienia”, jakie według Thalmayra zadawali mu rozmyślnie sharoniańscy Uzdrowiciele. Tak się to zaczęło, z upływem czasu jednak przerodziło się w coś zupełnie innego. Zemsta była teraz już jedynie mizerną przykrywką. Torturowanie jeńców sprawiało Arkanianinowi niezmierną przyjemność.

Sam wyznaczał tempo, porcjował sobie tę rozkosz... dawał swym ofiarom czas na wydobrzenie pomiędzy kolejnymi sesjami. Mimo to Silkash i – zwłaszcza – Makree stopniowo słabli coraz bardziej, czym nikt zdawał się nie przejmować. A już na pewno nie było mowy o magicznym uzdrawianiu, którym obcy uratowali życie Velveliga. Bez względu na swoje niesłychane, czarodziejskie możliwości, Uzdrowiciele z Arkany przyglądali się męce swych, powoli doprowadzanych biciem na skraj śmierci, kolegów z Sharony obojętnie, nie ruszając nawet palcem by im pomóc.

–Wydaje mi się, że Tobis już dużo więcej nie znieś, regimentarzu – teraz głos Silkasha zabrzmiał już nieco mocniej, co tylko bardziej podkreśliło dźwięczącą w nim rozpacz. – Dla niego to wszystko jest dużo trudniejsze. Przez jego Talent. On Czuje jak bardzo ten skurwysyn się rozkoszuje tym, co nam robi. – Wiem, Silky, ja...

Velvelig urwał. Usłyszał jak drzwi na zewnątrz otwierają się po raz drugi i poczuł zaciskające się w ciasny węzeł mięśnie brzucha. Ale to nie byli strażnicy ciągnący z powrotem do aresztu Tobisa Makree.

Regimentarz wyprostował się i jego wściekłość rozgorzała ze zdwojoną siłą, gdy poznał chudego rudzielca. Thalmayr był okrutny, ale on przynajmniej zdawał się szczerze wierzyć, że Sharonianie torturowali go rozmyślnie, gdy był u nich w niewoli. Ten jednak Arkanianin, który stanął teraz przed ich cełą, nie miał nawet takiego usprawiedliwienia. Velvelig czuł, że gdyby tylko obcy zbliżył się na wyciągnięcie ręki przez kraty...

Na nieszczęście, nie okazał się aż takim głupcem. Po prostu stał w milczeniu i spoglądał złym wzrokiem na jeńców. Jego twarz ściągnięta była nienawiścią. Ocenił rozmiar obrażeń Silkasha. Po chwili, wciąż bez słowa, obrócił się i wyszedł.

Namir Velvelig popatrzył za wychodzącym, po czym na powrót uklęknął przy swoim Uzdrowicielu i zajął się jego ranami.

Therman Ulthar zamknął drzwi za sobą bardzo ostrożnie, po czym zatrzymał się na ścieżce przed aresztem. Lewą rękę opuścił na rękojeść miecza przypiętego do biodra i ścisnął ją tak mocno, że zbieleły mu knykcie.

Nie zmusił się do spojrzenia na budynek administracyjny. Nie mógł tego zrobić. Zbyt

dobrze wiedział, co się w nim teraz działo. Nie musiał słyszeć uderzeń, ani słuchać gasnących, ochrypłych krzyków, by zdawać sobie sprawę, z tego, co robi Hadrign Thalmayr. Wiedział też, że jeśli pozwoli sobie o tym myśleć, jeśli pozwoli sobie czuć, to wtedy...

Zamknął oczy i zaczerpnął głęboko powietrza.

„Do cholery, jesteś oficerem Unii Arkany” – powiedział sobie rozpaczliwie. „Nie możesz tak po prostu stać i patrzeć, bez względu na to, co twierdzi Iftar! Jeśli nie potrafisz się za czymś jasno opowiedzieć, to co ty tu, kurwa, robisz?”

Wśród garnizonu zdobycznego, sharoniańskiego fortu rozprzestrzeniła się choroba. Zaraza, której źródło było w sercu dowódcy tej placówki. Ulthar się bał. Bał się tego, dokąd sprawy mogą zajść, jak daleko sięgnie Hadrign Thalmayr ustalając listę swoich osobistych „wrogów”. Ktoś musiał coś zrobić, ale przecież Ulthar był sam, a na domiar złego był człowiekiem, któremu Thalmayr w oczywisty sposób nie ufał i którym gardził. „Therman, przecież nawet nie masz już plutonu” – pomyślał i to była prawda. Pod jego komendą pozostawało dokładnie pięciu ludzi, pozostałych andarańskich zwiadowców, których, rannych, pozostawiono tu wraz nim i Thalmayrem. Sam Thalmayr, z kolei postępował ostrożnie i nie przydzielał mu zadań wymagających większej liczby ludzi. Ulthar doskonale wiedział, z jakiego powodu.

Wiedział też, że cała piątka byłaby gotowa poprzeć go w otwartej konfrontacji z Thalmayrem... byli z nim na dobre i na złe.

„Nie mogę pociągnąć ich za sobą” – upomniał się po raz kolejny. – „Nie mam do tego prawa. Ale, na bogów! Przecież ja sam muszę coś zrobić!”

Na szczęście współpracy z Thalmayrem odmówili Uzdrowiciele, których w formie pozostawił pięćsetnik Vaynair. Sami jeńcy tego bez wątpienia nie rozumieli, ale gdyby Thalmayr dostał, czego chciał, Uzdrowiciele codziennie leczyliby pobitych Sharonian... po to tylko, by następnego dnia więźniowie mogli doznać kolejnych obrażeń. A jednak odmówili. Nie mogli go powstrzymać przed kolejnymi sesjami tortur, ale mogli przynajmniej powstrzymać się od współpracy i pomocy.

Ulthar skrzywił się z frustracji. Jakże żalosna musiała być to sytuacja, skoro najlepszym, co mogli zrobić Uzdrowiciele, była akurat odmowa niesienia pomocy?

Gdy o tym pomyślał, coś w nim pękło. Puściła żelazna samokontrola, którą zmuszał się od jakiegoś czasu do spokoju. Zawrócił na pięcie i ruszył na wskroś dziedzińca w kierunku budynku biurowego, jednocześnie odpinając pasek zabezpieczający wiszący mu u pasa miecz. – Półsetnikowi Ulthar?

Głos doleciał go nawet mimo czerwonej, tłumiącej wszystko mgły wściekłości, która zalała mu oczy i umysł. Zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Tak naprawdę nie znał

mężczyzny, który go zawołał. Widywał go w forcie, ale nie był to żaden z andarańskich zwiadowców, a Ulthar był ostatnio zbyt skupiony na osobie Thalmayra, by zwracać uwagę na kogokolwiek innego.

–Tak? – ta jednowyrazowa odpowiedź dobieła się z jego gardła zduszonym i dziwnym głosem. Niecodziennie brzmiącym nawet w jego własnych uszach. Nieznajomy skrzywił się na ten ton.

–Wydaje mi się, półsetnikowi Ulthar, że powinniśmy porozmawiać – powiedział Dowodzący Pięćdziesięcioma Jaralt Sarma.

Dowodzący Dwoma Tysiącami Mayrkos Harshu siedział w swoim namiocie u podnóża urwistego klifu i próbował się zabawić, smętnie przesuwając łyżką po misce ostatnie kęsy niedojedzonej kolacji. Ledwie tknięty kieliszek wina stał przy jego łokciu. Oblicze oficera było niezwykle zachmurzone.

Strażnik na zewnątrz zawołał do kogoś. Harshu podniósł głowę i zerknął ku wejściu. Chwilę później wartownik uniósł klapę i spojrzał na dowódcę.

–Przyszedł tysięcznik Toralk, dwutysięcznik. Twierdzi, że pan się go spodziewa. – To prawda, mieczniku. Prosić. – Tak jest!

Podoficer zasalutował sprężysto i zniknął. Moment potem klapa uniosła się ponownie i do namiotu wszedł Klayrman Toralk.

–Chciał się pan ze mną widzieć, dwutysięczniku? – Tak, siadaj proszę.

Harshu wskazał gestem polowe krzeselko unoszące się w powietrzu po drugiej stronie stołu. Toralk zajął miejsce. Tysięcznik siadając ani przez chwilę nie zdjął spojrzenia z dowódcy i Harshu uśmiechnął się gorzko.

–Otrzymałem właśnie pewne... niezwykle zajmujące raporty, Klayrman – powiedział dwutysięcznik i umilkł. – Ach tak? – Toralk uniósł brew.

–Pierwszy dostałem od Carthosa – wyjaśnił dowódca. – To dobre wiadomości. Wysłał już do nas napad setnika Heliki. Powinniśmy ich tu mieć za jakieś trzy dni. Jedyne złe wiadomości, jakie przyszły od niego, to odpowiedź na moje pytanie ile transportowców będzie potrzebować na odesłanie swych jeńców na tyły. Zadałem mu je, ponieważ gdybym był na miejscu Sharonian i miał takie możliwości, próbowałbym przebić się bocznym łańcuchem zanim rzuciłbym się na te klify. Nie sądzę, by oni mieli odpowiednie możliwości, ale jeśli jednak okaże się, że mają, to nie będziemy mogli udzielić Carthosowi wsparcia, pozwalającego na odparcie poważniejszego ataku. Możemy jedynie obstarwić czujkami ewentualne drogi i mieć nadzieję, że obcy go nie ominą i nie podejną nas niepostrzeżenie od tyłu. Pomyślałem sobie w związku z tym, że powinniśmy jego jeńców odesłać

pięćsetnikowi Khanowi, dzięki czemu Carthos zyskałby większą mobilność. Na szczęście, jednak o to nie musimy się już kłopotać.

–To znaczy, dwutysięczniku? – zapytał Toralk z nieszczęśliwą miną, gdy Harshu znów na chwilę zamilkł.

–To znaczy, że on nie ma żadnych jeńców. Ani jednego. Najwyraźniej... – Harshu spojrzał Toralkowi ponad stołem prosto w oczy -...najwyraźniej wszyscy, co do jednego, Sharonianie woleli zginąć niż się poddać.

Klयरman Toralk poczuł jak mięśnie brzucha spinają mu się w ciasny węzeł. Oczywiście nie powinien być tą wiadomością zaskoczony. I częścią siebie poczuł złość i gniew nie wobec oddalonego tysięcznika Carthosa, a wobec dwutysięcznika Harshu. Dowódca trochę zbyt późno zaczął się przejmować przypadkami pogwałcenia postanowień Kerelli. W końcu to on, przymykając oczy na działania Neshoka, zasiał ziarno pod takie postępowanie Carthosa!

Jakaś część tych myśli musiała odbić się na jego twarzy, ponieważ Harshu zacisnął szczękę. Po chwili, jednak odetchnął głęboko i skinął głową.

–Masz rację, Klयरman. To moja wina. I gdybym posłuchał cię od razu nic podobnego nie miałoby miejsca. Ale co się stało, to się nie odstanie, a niestety teraz będzie o wiele ciężiej to wszystko powstrzymać, niż byłoby ciężko do tego nie dopuścić.

Pokręcił głową i odchylił się na krześle z uśmiechem, który wydawał się teraz jeszcze bardziej gorzki niż przed chwilą.

–Na szczęście dostałem też inne raporty, które pozwoliły mi oderwać się na trochę od sprawy Carthosa.

–Inne raporty? – spytał ostrożnie Toralk.

–A tak. Te z kolei pochodzą od dwutysięcznika mul Gurthaka.

–Od dwutysięcznika mul Gurthaka?

Toralk powtórzył nazwisko z zaskoczenia. Od początku operacji Sił Ekspedycyjnych mul Gurthak zachowywał dziwne milczenie. Ściślej mówiąc, z tego, co wiedział Toralk, Harshu nie dostał od niego ani jednej informacji przez cały ten czas.

–Owszem – upewnił go dwutysięcznik. – Wydaje się, że dwutysięcznik mul Gurthak jest w najwyższym stopniu zmartwiony tym, jak bardzo opacznie zinterpretowałem jego intencje i tym, jak dalece je wyolbrzymiłem.

Toralk otworzył oczy szeroko. Nie mógł nad tym zapanować. Przecież wcześniej czytał większość oficjalnych instrukcji i obiegówek, które mul Gurthak przesyłał do Marithy jeszcze zanim Harshu rozpoczął inwazję. – Ależ dwutysięcznikowi, to po prostu śmie... – zaczął.

–Nie kończ – przerwał mu Harshu. Toralk ze szczękiem zamknął usta. Dwutysięcznik skrzywił się brzydko. – Biorąc pod uwagę kilka szczegółów, które pojawiły się w tych raportach, Klayrman – powiedział bardzo cicho – dochodzę do przekonania, że on ma tutaj własne oczy i uszy, które na bieżąco przekazują mu informacje. Możliwe, więc, że... swobodne wyrażanie opinii przy kimkolwiek innym niż ja nie byłoby najmandrzejsze. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Tym razem Toralk oparł się wygodniej i zacisnął szczękę. Znaczenie tych słów docierało do niego powoli.

–Teraz lepiej – pochwalił Harshu. Dwutysięcznik wziął do ręki niemal zupełnie zapomniany kieliszek wina, upił niewielki łyk i odstawił na stół. – Według dwutysięcznika mul Gurthaka przekroczenie granicy Wrót Piekieł ani przez chwilę nie było naszym celem. Co więcej, on osobiście jakoby zawsze uważał użycie siły militarnej, choćby tylko w celu odbicia Wrót za działanie, którego moglibyśmy się chwycić jedynie w ostateczności.

–Dwutysięcznikowi – odezwał się Toralk mimo przestrogi Harshu. – Nie rozumiem, jak ktokolwiek rozumny mógł w ten sposób zinterpretować przesłane przez niego instrukcje. Na pewno nie w świetle rozmów na odprawach, które odbyliśmy jeszcze zanim nas tu wysłał!

–Klayrman – skarcił go Harshu i pogroził palcem – znów pozwalasz sobie na wyrażanie własnych opinii.

Toralk zamknął usta. Harshu prychnął oschle.

–Najciekawsze przy tym jest to, że jeżeli się czyta te jego raporty nie znając treści ustnych odpraw, to rzeczywiście można je interpretować dokładnie jak, jak on to w tej chwili robi. I choć oczywiście nie chciałbym swojemu dowódcy zarzucać dwulicowości, to niestety nie mogę się pozbyć wrażenia, że rozbieżność pomiędzy jego obecnymi, niezwykle jasnymi, opiniami, a tym, co obaj zrozumieliśmy z jego wcześniejszych rozkazów, nie jest... by tak rzec, przypadkowa.

–Nie jestem pewien, czy podoba mi się to, do czego pan zmierza, dwutysięcznikowi.

–Sam nie skaczę do góry z radości, kiedy o tym opowiadam. Co gorsza nie potrafię stwierdzić, czy chodzi tu o to, że mul Gurthak stara się ochronić własną dupę w obliczu porażki, czy on zaplanował to rozmyślnie od samego początku. Innymi słowy,

czy chciał mnie zrobić. Czy napisał te swoje instrukcje tak niejednoznacznie, po to, żeby w razie czego móc się wymigać od odpowiedzialności, czy też chciał, żebyśmy zrobili dokładnie to, co zrobiliśmy – co ja zrobiłem – w sposób, który przynajmniej na papierze, wyglądałby na nieautoryzowany.

Toralk znów otworzył usta, ale uciszył go uniesiony palec Harshu. Oczywiście, jak sobie pilot zdał sprawę chwili później, jego myśli wcale nie wymagały wypowiedzenia.

„Ale dlaczego? Po co mul Gurthak miałby chcieć, żebyśmy ‘w sposób nieautoryzowany’ zaczęli strzelać do obcych? Przecież koniec końców to on jest tu głównodowodzącym, mimo, że w polu reprezentuje go Harshu. I Dowództwo na pewno to jego obarczy odpowiedzialnością za to, co się stało. Więc, po co takie podchody?” Kolejne myśli mknęły mu przez umysł.

Nie znał odpowiedzi na żadne z pojawiających się pytań, ale miał przygnębiającą pewność, że gdyby je poznał, to nie byłbym nimi zachwycony.

–Oczywiście – podjął po chwili Harshu, nieco pogodniejszym tonem, który jednak nie mógł znieść nikogo – Dwutysięcznik mul Gurthak nie ma jeszcze pojęcia, że udało się nam zabić bezpośredniego dziedzica korony Ternathii, prawda? Ta informacja może go nieco zaskoczyć. A wraz z nią, z pewnością zaskoczy go reakcja Sharonian.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, w którym nie było nawet krztyny wesołości. Toralk skrzywił się nieładnie. W odróżnieniu od Harshu on osobiście spotkał starszych oficerów z Sharony w Forcie Salby. I nie miał żadnych złudzeń, co do sposobu, w jaki na śmierć księcia zareaguje Cesarstwo Ternathii.

Popatrzył ponad stołem na Mayrkosa Harshu i zastanowił się, czyjego twarz wygląda równie chmurnie, jak chmurne jest jego samopoczucie.

Rof chan Skrithik stał sztywno na baczność i słuchał tęsknych dźwięków trąbki odgrywającej „Zachód słońca”, melodię, której armia Ternathii używała na koniec dnia od niemal trzech tysięcy lat. Dzisiejszy, jakże smutny zachód słońca, okazał się niezwykle spektakularnym widowiskiem.

Była to też piękna melodia, dźwięcząca słodko, przejrzyście i czysto, w sposób, jakiego nie był w stanie zapomnieć żaden żołnierz. Melodię tę, na mocy tradycji tak starożytnej, że nikt nie wiedział, kiedy się zaczęła, odgrywano także z okazji pogrzebów.

Wybrzmiały ostatnie nuty i chan Skrithik zaczerpnął głęboko powietrza. Spojrzał na równe szeregi mogił. Na co najmniej trzeciej ich części widniał trójkątny symbol Triady. Na innych kołysały się końskie ogony Arpathii lub wieloramienne gwiazdy

Aruncasa zwanego Mieczem.

I gdzieś tam, pośród grobów ludzi, którzy zginęli broniąc Fortu Salby spoczywał jeden młody człowiek, który oddał życie, by można było Fortu Salby w ogóle bronić.

Chan Skrithik podniósł rękę i delikatnie pogładził siedzącego mu na prawym ramieniu sokoła. Przez całe tysiąclecia, od śmierci cesarza Haliana, tradycją dynastii Calirath było, iż gdy jeden z nich ginął w boju, chowano go w miejscu śmierci. Składano go wraz z towarzyszami broni, którzy padli u jego boku i obok ciała jego zabitych wrogów. Chan Skrithik osobiście wolałby, by ciało Janakiego odesłano do domu, do jego matki. Wolałby, żeby pozwolono mu zasnąć w miejscu, na które zasłużył sobie z nawiązką, u boku Erthaina Wielkiego. Ale Janaki chan Calirath, podobnie jak sam Halian, miał spocząć w miejscu swej śmierci, dalej od Estafel i Tajwany niż jakikolwiek Calirath przed nim.

A miejsce, w którym znalazł swój grób już na zawsze miało należeć do Ternathii. – Tak nie powinno być, regimentarzu.

Chan Skrithik drgnął. Obok niego stał starszy zbrojny chan Braikal i patrzył na ten sam cmentarz. – Jak nie powinno być, starszy?

–Nie powinno być tak, że go tu nie ma, regimentarzu – głos żołnierza przysłaniała chmura żalu. – Gdyby nie on, nie przeżyłby żaden z nas, a...

Urwał. Nie był w stanie mówić. Chan Skrithik wyciągnął rękę i lekko położył rękę na ramieniu zbrojnego.

–To był jego własny wybór, zbrojny. Pamiętaj o tym. On sam postanowił, że umrze, by nas wszystkich ocalić. Nie możemy nigdy i nikomu pozwolić o tym zapomnieć.

–Tak, regimentarzu. Nie pozwolę – w głosie chan Braikala pojawiła się twardsza nuta. – I żaden z nas nie zapomni też, w jaki sposób zginął. Chan Skrithik jedynie skinął głową.

Ostatnie honory księciu Janakiemu oddała cała Pierwsza Brygada generała chan Geraitha. Przemaszerował przed nim także każdy z ocalałych żołnierzy SZZP, ocalałych z ataku na fort. Przed marami, w zupełnej ciszy, poprowadził także swoich uromathiańskich kawalerzystów osobiście

Słoneczny Lord Markan. Jeźdźcy jechali bez hełmów, z gołymi głowami i odwróconą bronią. Jadący wśród nich dobosze powoli odgrywali żałobny rytym.

Śmierć Janakiego chan Caliratha nie przyczyniła się jedynie do ocalenia Fortu Salby. Rof chan Skrithik rozumiał to już w tej chwili. Janaki stał się częścią legendy Calirathów i żołnierze z całej Sharony nigdy już mieli nie zapomnieć, że atak, w

którym poległ miał miejsce w czasie pokoju, a agresorem była ta sama strona, która wcześniej prosiła o nawiązanie pokojowych rozmów.

Książę nie był jednak jedyną ofiarą zdrady obcych. Chan Skrithik ani przez chwilę nie wątpił, że Janaki byłby oburzony – a nawet wściekły – samą sugestią, że o bitwie pod Salby można tak myśleć. Mimo wszystko śmierć młodego mężczyzny, który miał zostać pewnego dnia cesarzem całej Sharony, w sposób nieunikniony stała się centralnym punktem żałoby, gniewu i nienawiści, jaką wywołali w sercach Sharonian najeźdźcy z Arkany.

„Stoję pomiędzy” – przemknęło chan Skrithikowi przez głowę. – „Och tak, Janaki. To właśnie zrobiłeś. Stałeś pomiędzy nami wszystkimi, a całą Arkaną. Stałeś też pomiędzy mną, a gryfem, który cię zabił. Świadomość, że dla kogoś umarła legenda nie jest łatwa, ale taka jest właśnie rola Calirathów, prawda? Wy tworzycie legendy. Sami stajecie się legendami, ale na bogów, za jaką cenę!”

Siedząca mu na ramieniu Taleena odezwała się cicho. Oficer raz jeszcze uniósł dłoń i pogładził ptasie pióra.

–Wiem, moja pani – powiedział łagodnym głosem. – Wiem. Ja też za nim tęsknię. Taleena bardzo delikatnie dotknęła grzbietu jego ręki swym ostrym jak brzytwa dziobem. Regimentarz znów obejrzał się na chan Braikala.

–Jego konie i miecz wracają do domu, zbrojny – powiedział. – Zabierzesz je wraz ze swoim plutonem.

–Tak jest, regimentarzu – odpowiedział chan Braikal głosem, do którego powróciła siła.

–Przeznacz im od nas zbrojny – chan Skrithik popatrzył prosto w oczy żołnierza. – Przeznacz im, że ten fort, ten cmentarz są nasze. Książę je dla nas zdobył i nic już nam ich nie odbierze.

Andrin Calirath siedziała przy oknie w swojej sypialni i wyglądała na zalane księżycowym blaskiem ogrody Pałacu Calirathów. Płakała.

Łzy płynęły po jej policzkach w niemal zupełnej ciszy. Dziewczyna siedziała prawie bez jednego ruchu. Patrzyła na drgającą w jasną noc roślinność. Szlochała po swoim bracie, którego miała już nigdy nie zobaczyć. Płakała z powodu swoich rodziców, którzy nigdy już nie ujrzą swego syna. Łała łzy za wszystkie matki, ojców, siostry, braci i córki, którzy nigdy już nie zobaczą swoich bliskich. Płakała też nad sobą.

Ciężko jej było w tę chłodną, martwą moc. Miała ledwie siedemnaście lat i świadomość, że to, co musiała zrobić ocali tysiące, a może nawet miliony istnień – nawet mimo, że sama się na to zgodziła – była bardzo gorzką i zimną rekompensatą

w zamian za zniszczenie własnego życia. Bała się bardzo, ponieważ pomimo swego młodego wieku, nie żywiła większych złudzeń, co do tego, jakie małżeństwo szykował dla niej Chava i któryś z jego synów. Wiedziała, że jest silna, zdawała sobie też sprawę, że ma potężnych rodziców, którzy zrobią wszystko, by ją ochronić, ale koniec końców, nikt nie mógł jej przecież ocalić przed lodowatym i bezlitosnym przeznaczeniem Calirathów. W najlepszym wypadku czekało ją martwe, pozbawione miłości i czułości małżeństwo. W najgorszym...

Objęła się ramionami. Nie dlatego, że zrobiło się jej zimno. Otuliła się nimi, ponieważ przeszył ją od wewnątrz lodowaty dreszcz.

Całe życie miała spędzić jako żona syna najbardziej zajadłego wroga jej własnego ojca. Jej dzieci będą wnukami najgroźniejszego przeciwnika jej rodziny. Nawet w tej chwili czuła obejmujący ją lód, już przeczuwała sposób, w jaki nadchodzące lata miały ranić i wypaczać jej duszę. Żałowała. Z całego serca żałowała, że nie ma sposobu na ucieczkę. Tak bardzo chciałyby, żeby Shalana odnalazła w sobie ten jeden, maleńki skrawek miłosierdzia dla niej. By pozwoliła jej w jakiś sposób uniknąć tej ostatecznej miarki obowiązku i odpowiedzialności.

Ale Shalana nie chciała jej pomóc. Nie mogła. „Stoję pomiędzy”. Jakże wielu Calirathów oddało samych siebie tej prostej, dwuwyrazowej obietnicy na przestrzeni tysiącleci? Janaki poświęcił dla niej własne życie, więc i Andrin nie mogła poświęcić ani o jotę mniej.

–Sho warak, Janaki – szepnęła. – Sho warak. Śpij, Janaki. Śpij, póki się wszyscy na powrót nie zbudzimy. Kocham cię.

Złożyła głowę na oparciu kanapy i pozwoliła łzom wsiąkać w zagłówek. Nie była w stanie powiedzieć jak długo tak płakała moczając jedwabny mebel, gdy bez najmniejszego ostrzeżenia otworzyły się drzwi jej pokoju i do pogrążonego w mroku pokoju wlało się światło lampy. Dziewczyna drgnęła, wyprostowała się gwałtownie i obróciła ku blaskowi, ale jej wściekły okrzyk, którym chciała ugościć intruza wążącego się zakłócać jej prywatność, zamarł, nim się na dobre narodził.

W drzwiach stanęła lady Merissa Vankhal. Jej sylwetka odcinała się wyraźnie na jasnym tle korytarza. Tuż za nią stało krzesło, którego nie było, gdy Andrin szła do łóżka. Na krześle leżał rzucony nieporządnie koc. Sama Lady Merissa odziana była w jedwabny szlafrok, zarzucony na jej koszulę nocną. Na jej obliczu nie było żadnego śladu makijażu. Włosy miała w nieładzie. Andrin nigdy dotąd nie widziała – nawet sobie nie wyobrażała – swojej surowej, ogarniętej obsesją zwyczajów damy dworu w takim stanie i zastanowiła się, jaki nowy kosmiczny kataklizm mógł przywieść do jej drzwi tak nieschludnie wyglądającą Lady Merissę.

Zanim jednak zdążyła choćby złożyć usta do pierwszego słowa pytania, dama dworu

podeszła do niej przez pokój i – ku swemu wielkiemu zdumieniu – Andrin znalazła się nagle w jej ciasnym uścisku.

–Och, moja kochana – wyszeptała jej do ucha Merissa. – Moje biedne kochanie. Nie słyszałam cię. Nie wiedziałam.

Andrin poczuła, że rozpuszcza się w tych zupełnie niespodziewanych, ciepłych i kojących objęciach. Lady Merissa usiadła obok niej i w którymś zakamarku umysłu księżniczki pojawiła się myśl, że muszą obok siebie wyglądać niezwykle śmiesznie. Była od Merissy o stopę wyższa, ale to Merissa ją kołysała w ramionach jak małe dziecko. Andrin pozwoliła sobie rozpląnąć się na jej piersi.

–No już, kochanie – mruzczała Merissa łkając i gładząc plecy dziewczyny. – Już dobrze.

Andrin przywarła do niej, jakby ta zaszuszone, zwykle oschła, często irytująca dama była ostatnim trwałym punktem odniesienia w całym jej wszechświecie. Zresztą, tak właśnie wyglądała prawda. I wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Andrin zeszywniała. Lady Merissa wyprostowała się przy niemal słyszalnym chrobocie kręgosłupa.

–Doprawdy! – zachnęła się. – Czy to sypialnia córki cesarza, czy może poczekalnia na podrzędnej stacji kolejowej?

Łagodnie odsunęła od siebie Andrin, wstała, wygładziła szlafrok i nie przestając marudzić, przeszła przez obszerny pokój.

–Nie dadzą dziewczynie spokoju – doleciało do uszu księżniczki od prącej jak chmura gradowa naprzód damy. – Przecież to środek nocy! Na miłość boską! A tu przychodzą, wrywają ją ze snu bez względu na porę! Już ja sobie z wami porozmawiam. Poczekajcie tylko i zobaczymy czy...

Lady Merissa dotarła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem. Na zewnątrz stała pałacowa służka, ze splecionymi ze stresu dłońmi. Lady Merissa spojrzała na nią tak, że dziewczyna miała wszelkie prawo zająć się pod tym wzrokiem żywym ogniem.

–Tak? – syknęła na pechową pokojówkę Merissa.

–Błagam o wybaczenie, Lady Merisso! – powiedziała pospiesznie dziewczyna. – Nie ważyłabym się przeszkadzać Jej

Wysokości. Nigdy, przenigdy, ale oni nalegali.

–Kto nalegał, dziewczyno? – zapytała ostro Lady Merissa.

–Cóż może być tak ważnego, że nie może poczekać do rana?

–Ja nie wiem, co jest ważne, moja pani – odparła pokojówka.

–Ale tu chodzi o Głos Yanamar i Głosa Kinlafię. Oni proszą o natychmiastowe spotkanie z księżniczką koronną Andrin.

SŁOWNICZEK

Aeravas – sharoniańskie miasto w Harkali; zbudowane mniej więcej w miejscu, gdzie w naszym świecie znajduje się irański Sziraz.

Akademia Mythal Falls – najstarsza i najbardziej prestiżowa placówka badawczo-szkoleniowa arkaniańskich magów.

Alathia – jedna z prowincji Cesarstwa Ternathii, trans-temporalny odpowiednik Włoch.

Andara – arkaniański odpowiednik Ameryki Północnej. Na tym kontynencie powstały wojownicze królestwa Andaran, z których rekrutuje się większość żołnierzy służących w armii Unii Arkany.

Arau, Góry – sharoniański odpowiednik, znajdującego się na wschód od jeziora Bajkał, łańcucha Gór Jabłonowych.

Arkana – rodzimy wszechświat i Ziemia Unii Arkany. Świat, którego fizyka oparta jest na magii.

Arpathia – Sharoniański odpowiednik obszaru rozciągającego się od Morza Kaspijskiego przez syberyjską tundrę na północ od Mongolii, aż po Ocean Spokojny. Terytorium to nie posiada jednego scentralizowanego rządu, lecz często określany bywa mianem Septentriona, będącego w istocie zawiązanym przez Septów związkiem o charakterze unii handlowej (patrz Septowie i Septentrion). Aruncas zwany Mieczem, Aruncas od Miecza – uromathiański bóg wojny. Awaryjna Sieć Głosów – telepatyczna sieć o zasięgu ogólnoplanetarnym, utworzona by umożliwić wszystkim szefom rządów Sharony komunikację w czasie rzeczywistym.

Awaryjny System Transportowy – Ogólnoplanetarny system transportu teleportacyjnego na Sharonie, zdolny do przenoszenia z miejsca na miejsce niewielkich grup pasażerów. AST powstał na potrzeby dyplomatów i głów państw, wykorzystywany jest wyłącznie w sytuacjach kryzysowych.

Bank Centralny Mythal – największy, najbogatszy i najpotężniejszy mythalański bank. BCM, w odróżnieniu od innych, prywatnych banków w Mythal, jest bezpośrednio podległy nadzorowi rządowemu. Jedną trzecią zarządu tego banku stanowią osoby bezpośrednio nominowane przez tamtejszy rząd. Baranal – ze staroandarańskiego, dosłownie „obrońca”. Osoba, na której spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo ludzi wziętych w shardon.

Barkesh – miasto na Sharonie, znajdujące się w miejscu będącym transtemporalnym odpowiednikiem hiszpańskiej Barcelony.

Bergahl – Główne bóstwo w panteonie Zakonu Bergahla. Bóg wojny i sprawiedliwości. Zakon Bergahla to zakon rycerski, tradycyjnie stanowiący źródło prawa i władzy wykonawczej w królestwie Othmaliz.

Bizon – napędzany silnikiem parowym ciągnik. Jeden z elementów eksperymentalnych, mechanicznych pojazdów na wyposażeniu armii Ternathii.
Błyskacz – Utalentowany Sharonianin zdolny do teleportowania, „błyskania” niewielkich przedmiotów na duże odległości ze znaczną dokładnością.

Bolakinu, Królowe – królowe, wspólnie władające dziesiątką bolakińskich państw-miast, kontrolujących południowe rubieże Morza Mbisi.

Brzęczek – magicznie ulepszony ptak, powstały z przekształcenia kolibrów, dokonanego przez arkaniańskich czarowników. Wysoce agresywny, rodzaj szybkiego „gołębia pocztowego”.

Celaryon II – król starożytnej Ternathii, odpowiedzialny za podpisanie traktatu, który związał sojuszem Ternathię i Farnalię w roku 203 kalendarza ternathiańskiego.

Cesarstwo Farnalii – jedno z sharoniańskich cesarstw, rozciągające się od macierzystej Farnalii, przez północne rubieże tamtejszego odpowiednika Europy, po odpowiednik Morza Japońskiego.

Cesarstwo Ternathii – najstarszy znany na Sharonie byt polityczny.

W epoce miedzi i na początku epoki żelaza Ternathianie stworzyli ogólnoświatowe imperium, wykorzystując do tego celu rozwój, Talenty umysłowe i dobrowolne przyłączanie się kolejnych terytoriów.

Początkowo ograniczone do wyspy Ternath (Irlandia) jest najpotężniejszym, najstarszym i najbardziej rozległym z cesarstw Sharony. W jego skład poza wyspą Ternath wchodzi Alathia (Włochy), Jerekhas (Sycylia), Wyspa Bernith (Wielka Brytania), Delkrathia (część Hiszpanii), Ermandia (Austria), Karmalia (Węgry), Lugathia (Francja), Mulgethia (Niemcy/Szwajcaria), Narhath (część Hiszpanii), Nessia (Grecja), Wyspa Pairhys (Wyspa Man) i Teramandor (część Hiszpanii).

Cesarstwo Uromathii – większe z dwóch uromathiańskich imperiów.

Zajmuje sharoniański odpowiednik Chin, z dodatkiem Wietnamu i Kambodży.

Cesarzowa Wailyana II – Wailyana Calirath, Cesarzowa Ternathii, 4172-4207. Obdarzona przydomkiem Wailyany Wielkiej.

Chairifon – sharoniański odpowiednik Eurazji.

Chalar Arkaniańskie imperium morskie z centrum na wyspie Chalar (Kuba), kontrolujące Morze Chalarańskie i Zatokę Hilmarańską (Zatoka Meksykańska). Chalar jest główną potęgą morską Arkany.

Chan – z ternathiańskiego „weteran”. Honorowa część nazwiska należąca ludziom, którzy służą, bądź służyli w armii Ternathii.

Chinthal sharoniańska rasa koni, bardzo podobna do perszeronów.

Cieśnina Ibrala – sharoniański odpowiednik Dardaneli.

Cieśnina Bolakin – sharoniański odpowiednik Cieśniny Gibraltarskiej.

Cieśnina Łez – sharoniański odpowiednik cieśniny Bab al-Mandab łączącej Morze Czerwone z Zatoką Adeńską.

Cieśnina Ylani – sharoniański odpowiednik Bosforu.

Czeladnik – oficjalny stopień arkaniańskich magów, należny tym, którzy ukończyli już edukację, ale nie odkryli nowego sposobu wykorzystania magii. Większość Obdarzonych magicznie osób nie wychodzi poza ten poziom (patrz też „uczeń”, „magister” i „magistron”).

Daykass – rasa świętych arpathiańskich koni kawaleryjskich. Bardzo podobna do koni turkmeńskich. Depresja Queriz – sharoniański odpowiednik Niziny Nadkaspjskiej. Dolina Razinty – nizina pomiędzy

Górami Gartasa, Górami Teramandor i Górami Cesarza Edvara na Półwyspie Narhathan. Dosaru uromathiański bóg sprawiedliwości. Znany także jako Dosaru o Niemrugającym Spojrzeniu i Dosaru od Wagi.

Dowództwo – arkaniański odpowiednik amerykańskiego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

Dynastia Calirath – cesarska dynastia rządząca Ternathią. Calirathowie władają Ternathią od ponad czterech tysięcy lat.

Dźwigacz – Sharonianin posiadający Talent telekinetyczny. Większość Dźwigaczy potrafi poruszać jedynie niewielkie przedmioty. Niewielki procent wyjątkowo uzdolnionych Dźwigaczy potrafi poruszać przedmiotami o wadze trzydziestu do czterdziestu funtów. Ekros – jeden z arkaniańskich demonów.

Elath – andarańskie królestwo, którego terytorium z grubsza równa się obszarowi Stanów Zjednoczonych po Kansas i Nebraskę na zachód i po Nową Funlandię na północ.

Eniath – formalnie uromathiańskie królestwo, na wschodnich rubieżach sharoniańskiego odpowiednika Mongolii. Kraina znana z tradycji sokolniczych. Jej mieszkańcy, których stanowią zarówno Arpathianie jak Uromathianie, nie darzą sympatią Cesarstwa Uromathii.

Epoka Podbojów – okres najbardziej dynamicznego rozrostu starożytnej Ternathii. Najogólniej sharoniańscy historycy ustalają daty graniczne tego okresu na lata od 2025 do 3650.

Ermandia – prowincja Cesarstwa Ternathii, odpowiadająca Austrii. Erthain Wielki – półlegendarny założyciel Rodu Calirath i Imperium Ternathiańskiego.

Esferia – sharoniański odpowiednik Kuby. Estafel – stolica Cesarstwa Ternathii.

Faltharia – republika na Nowej Ternathii, znajdująca się w pobliżu Krainy Wielkich Jezior. Ojczyzna Jathmara Nargry.

Farnalia – sharoniański odpowiednik Skandynawii.

Farshal – Hilmarańskie królestwo na Arkanie, którego terytorium pokrywa się z Gujaną, Surinamem i Gujaną Francuską.

Firsoma – uromathiańska bogini mądrości i przeznaczenia. Znana także jako Firsoma od Nożyc lub Wielka Krawcowa.

Fort Brithik – sharoniański fort przyportalowy we wszechświecie Thermyn, strzegący portalu prowadzącego do Nowej Uromathii. Wzniesiono go mniej więcej w trans-temporalnym odpowiedniku Nebraski.

Fort Ghartoun – dawniej zwany Fortem Raylthar. Sharoniański fort we wszechświecie Thermyn, strzegący portalu prowadzącego z wszechświata Failcham. Znajduje się mniej więcej w miejscu, gdzie na Ziemi leży Carson City w stanie Nevada.

Fort Losaltha – sharoniańska forteca strzegąca portalu prowadzącego z wszechświata Salym. Mniej więcej w miejscu odpowiadającym położeniem Barcelonie.

Fort Mosanik – sharoniański fort przyportalowy we wszechświecie Karys, strzegący portalu prowadzącego do wszechświata Failcham. Mniej więcej w miejscu odpowiadającym położeniem kazachskiej Astanie.

Fort Rycharn – arkaniański fort przybrzeżny we wszechświecie Gharys, obsługujący położony na bagnach portal prowadzący do Wrót Piekieł. Mniej więcej w miejscu będącym odpowiednikiem brazylijskiego Belem.

Fort Salby – sharoniański fort we wszechświecie Traisum, strzegący portalu prowadzącego do wszechświata Karys. Trans-temporalny odpowiednik sharoniańskiej Narshalli lub ziemskiej Medynie, w Arabii Saudyjskiej.

Fort Shaylar – dowodzony przez kapitana Halifu fort w Nowej Uromathii.

Fort Talon – arkaniańska forteca we wszechświecie Erthos, mniej więcej trans-temporalny odpowiednik syberyjskiego miasta Ust-Ilimsk.

Fort Tharkoma – sharoniański fort przyportalowy we wszechświecie Salym, strzegący portalu prowadzącego do

Traisum. Wzniesiony w trans-temporalnym miejscu Sofii.

Fort Wyvern – arkaniańska baza i forteca we wszechświecie Gharys, w pobliżu portalu prowadzącego ze wszechświata Erthos. Mniej więcej odpowiednik kubańskiej Manzanilli.

Gariyan VI – cesarz Ternathii, który rozpoczął stopniowy proces wycofywania się Imperium z jego wschodnich prowincji.

Gariyan VII – syn Gariyana VI; ostatni władca Ternathii, który rządził cesarstwem z Tajwany.

Garmoy, Słoneczna Dziedzina -sharoniańskie księstwo w południowo-wschodniej Uromathii. Mniej więcej terytorialny odpowiednik Laosu.

Garouoma sharoniańskie miasto leżące na półwyspie Narhathan, w przybliżeniu odpowiednik hiszpańskiej Kordoby. Garsulthan – wywodzące się z języka manisthuańskiego pojęcie, które można oddać jako „politykę realną”. Jej praktycy uważają, że relacje międzynarodowe koniec końców sprowadzają się do równowagi militarnej oraz, że moralność i etyka musi w związku z tym ustępować sile przy prowadzeniu polityki zagranicznej.

Garth Showma – rozległe i potężne księstwo i miasto w Nowej Arkanie. Położone w pobliżu arkaniańskiego odpowiednika wodospadów Niagara. Znajduje się tam kwatera główna armii Arkany.

Garthan – kasta nie posiadających magicznych uzdolnień mieszkańców Mythal. Garthan stanowią, co najmniej osiemdziesiąt procent ludności Mythal, ale pozbawieni są niemal wszelkich praw.

Gerynth – miasto w południowej części andarańskiego królestwa Yanko, mniej więcej odpowiadające meksykańskiemu Durango.

Grocyra – sharoniański odpowiednik Syberii.

Góry Cerakondiańskie – sharoniański odpowiednik Gór Altaj.

Góry Cesarza Edvara – sharoniański odpowiednik Pirenejów.

Góry Cratak – arkaniański odpowiednik gór Sierra Nevada.

Góry Delkrath – łańcuch górski w prowincji Delkrath, sharoniański odpowiednik hiszpańskich gór Santa de Guarrama.

Góry Eraythas – sharoniański odpowiednik Gór Kantabriańskich ciągnących się wzdłuż wybrzeża Biskajskiego, w Hiszpanii.

Góry Gartasa – sharoniański odpowiednik Gór Iberyjskich w Hiszpanii, granica pomiędzy

Teramandorem, a Delkrath.

Góry lthal – sharoniański odpowiednik Gór Hidżaz.

Góra Karek – górski szczyt na zachód od Fortu Salby, część łańcucha gór lthal.

Góry Krwawego Nieba – sharoniańska nazwa gór Sierra Nevada.

Góry Teramandor – sharoniański odpowiednik Gór Katalońskich.

Góry Yamali – sharoniański odpowiednik Himalajów, leżą na północ od Harkali i rozciągają się od Isseth na zachodzie po Cesarstwo Uromathii na wschodzie.

Harkala – sharoniański odpowiednik Indii. Starożytne Imperium Harkali poza Indiami rozciągało się przez Afganistan aż po Iran.

Hak Ricathii – sharoniański odpowiednik południowego krańca Cieśniny Gibraltarskiej. Trans-temporalny odpowiednik Maroka i hiszpańskiej Ceuty.

Hegemonia Mythal – ponadnarodowy organizm polityczny w Mythal, skupiający wszystkie mythalańskie państwa. Praktycznie rzecz biorąc jest to rząd Mythal, choć nigdy nie doszło do formalnego zjednoczenia kontynentu.

Hilmar – arkaniański odpowiednik Ameryki Południowej.

Hurkaym – miasteczko/posterunek komunikacyjny zlokalizowany w trans-temporalnym odpowiedniku sycylijskiego Palermo. We wszechświecie Salym służy za stację przekaźnikową Sieci Głosów pomiędzy Fortem Tharkoma i Fortem Losaltha.

Hurlsbane – richathiański bógwojownik kojarzony z mitycznym mężem Królowych Bolakinu. Strzeże Bolakińczyków. Kapłani Hurlsbane’a tradycyjnie są wpływowymi osobistościami w bolakińskich państwach miastach. Przykładem może tu być Wysoka Kapłanka Hurlsbane’a, która tysiące lat temu doradziła Królowym Bolakinu zawarcie przymierza z, Ternathią.

Imperium Hinoreańskie – mniejsze z dwóch cesarstw dominujących w Uromathii. Imperium Hinoreańskie zajmuje sharoniański odpowiednik zachodnich Indii i Bangladeszu, Birmę, Tajlandię, Filipiny i Malezję.

Indelbu – ternathiańskie miasto portowe. Trans-temporalny odpowiednik Belfastu. Inkara – arkaniański odpowiednik Wielkiej Brytanii.

Instytut Garth Showma – Akademia założona przez magistra Halathyna vos Dulainaha w Nowej Arkanie. Druga co do wielkości akademii magiczna. Jej prestiż szybko przerósł znaczenie akademii Mythal Falls. Instytut Waleni/Shurkhaliańska Ambasada Wodnego Królestwa – sharoniańska placówka naukowa i ambasada założone i prowadzone przez matkę Shaylar, Thalassar Kolmar-Brintal, tłumaczkę języka waleni. Podobne ambasady założono w celu utrzymywania stosunków z rozumnymi naczelnymi w Ricathii (Afryce), Uromathii (Azji) i Nowej Farnalii (Ameryce Południowej)

Isseth – królestwo znajdujące się pomiędzy Harkalą i Aipathią w miejscu, będącym sharoniańskim odpowiednikiem Kaszmiru, Tadżykistanu i północno-wschodniego Pakistanu.

Isseth-Liada – jedna z firm zajmujących się eksploracją portali. Finansowana przez królestwo Isseth. Jerekhas – sharoniański odpowiednik

Sycylii.

Jezioro Arau sharoniański odpowiednik jeziora Bajkał.

Jezioro Białej Mgły – arkaniański odpowiednik Jeziora Erie.

Jezioro Hammerfell – arkaniański odpowiednik Jeziora Huron.

Jezioro Kanaiyar – arkaniański odpowiednik Jeziora Winnipeg.

Jezioro Królowej Kalthry – arkaniański odpowiednik Jeziora Ontario.

Jezioro Monarch – arkaniański odpowiednik Jeziora Górnego.

Jezioro Śnieżnego Szafiru – sharoniańska nazwa jeziora Tahoe (amerykański stan Newada)

Judaih – miasto na Sharonie, wzniesione w miejscu libijskiego Gnat.

Juhali – wulkaniczna wyspa na Sharonie. Sharoniański odpowiednik Krakatau.

Kanał Bernith – sharoniański odpowiednik Kanału La Manche.

Kanaiya – księstwo w środkowym Lokan, zajmujące większą część kanadyjskiej Manitoby. Stolica księstwa, o tej samej nazwie, położona jest na wschodnim wybrzeżu Jeziora Kanaiya.

Karmalia – sharoniański odpowiednik Węgier. Kershai starożytne, mythaiańskie słowo oznaczające „błyskawicę”. Hasło uruchamiające broń oddechową czarnych smoków.

Kieł – formacja arkaniańskich Sił Powietrznych składająca się z trzech „napadów” i licząca w sumie trzydzieści sześć smoków.

Konsorcjum Chalgin – jedna ze spółek prowadzących badania nowych wszechświatów, zatrudniająca Jathmara Nargrę i Shaylar Nargrę-Kolmayr. Konsorcjum Chalgin to prywatna firma z siedzibą w Shurkhal.

Konklawe – formalne, międzynarodowe ciało powoływane w razie poważnych zagrożeń, po raz pierwszy zwołane po powstaniu na Sharonie pierwszego portalu. W skład Konklawe wchodzi głowy wszystkich suwerennych państw Sharony i – teoretycznie – nowych, niezawisłych kolonii.

Koleje Trans-Temporalne – prywatna korporacja odpowiedzialna za budowę i obsługę głównych połączeń kolejowych, łączących rodzimy wszechświat Sharonian z nowo odkrywanymi wszechświatami. Mimo, że KTT jest największą i najbogatszą prywatną firmą w dziejach Sharony, podlega ścisłemu nadzorowi i kontroli ze strony Zarządu Portali, który jest dysponentem licencji na budowę międzywszechświatowych połączeń. Korona ognia – sharoniańskie określenie znajdującego się na Pacyfiku, wulkanicznie aktywnego „pierścienia ognia”.

Kreślarz – Sharonianin obdarzony Talentem „Kreślenia” – szczególną odmianą Talentu Kartografa, szczególnie przydatną w zastosowaniach militarnych. Kreślarze, w odróżnieniu od Kartografów, są w stanie wykrywać obecność istot żywych, na przykład ludzi.

Królestwo Shartha – ricathiańskie królestwo na Sharonie, zajmuje obszar odpowiadający mniej więcej Somalii, wschodniej Etiopii i większości Kenii (patrz też „Lubnasi”)

Krwawy dług – starożytne, ransarańskie pojęcie dotyczące wymierzania sprawiedliwości, oparte na zasadzie „oko za oko, ząb za ząb”. Współcześni

Ransaranie odrzucili zasadę krwawego długu, jako barbarzyńską i niezgodną z prawdziwymi ideami sprawiedliwości.

Wyrażenie „krwawy dług” stosowane jest również niekiedy w języku potocznym na określenie osobistej zemsty.

Krwawa vendetta – shurkhalianska krwawa vendetta następuje w reakcji na czyjąś niesprawiedliwie zadaną śmierć. Zabójstwo Shaylar Nargry-Kolmayr jakiego w opinii Sharonian dopuścili się Arkanianie, powoduje, że wszyscy Shurkhalianie pragną właśnie krwawej vendetty.

Kryształ rozpoznawczy – zwany niekiedy KR. Oparte na kryształach sarkolisu urządzenie wywiadowcze, umożliwiające zapis i przechowywanie dźwięku i obrazu wydarzeń rozgrywających się w pewnym promieniu od kryształu. KR nie posiada możliwości zdalnego przesyłania przechowywanych informacji.

Kryształ sarkolisu – niezwykle twardy, przypominający kwarc „kamień”. Sztucznie wytwarzany kryształ wykorzystywany na Arkanie do przechowywania zaklęć.

Księga Podwójnej Trójcy – święta księga Kościoła Podwójnej Triady, religii cesarza Ternathii.

Księga Tajemnic – jeden z dwóch podstawowych świętych tekstów mythalańskiej kasty shakira.

Księga Shakiry – jeden z dwóch podstawowych świętych tekstów mythalańskiej kasty shakira.

Kythia – kraina na Arkanie, mniej więcej pokrywająca się z hinduskim Gudżarat.

Larakesh – miejsce nad brzegiem morza Ylani, gdzie pojawił się pierwszy na Sharonie trans-temporalny portal. Odpowiednik bułgarskiej Warny.

Larkima – starożytne, mythalańskie słowo oznaczające „dusić”. Hasło uruchamiające broń oddechową żółtych smoków.

Limathia – królestwo w Nowej Farnalii znajdujące się pomiędzy sharoniańskimi odpowiednikami Chile i Argentyny. Z Limathii pochodzi jeden z dyrektorów Zarządu Portali.

Lissia – sharoniański odpowiednik Australii. Główny ład Republiki Lissi, w skład której wchodzi też odpowiedniki: Nowej Zelandii, wysp Oceanii i spora część Polinezji. Z Lissii pochodzi matka Shaylar Nargry-Kolmayr.

Lokan – andarańskie królestwo, którego terytorium pokrywa większość terenów

ziemskiej Kanady i Alaski, ale także amerykańskie stany Oregon i większą część Kalifornii. Losaltha – sharoniańskie miasto zbudowane przy portalu prowadzącym do wszechświata Salym. Mniej więcej w miejscu, w którym na Ziemi znajduje się hiszpańska Barcelona.

Lot – oddział arkaniańskich Sił Powietrznych składający się z czterech smoków bojowych, dzielący się na dwie pary skrzydłowych.

Lubnasi – starożytne, niezależne miasto-państwo znajdujące się w obrębie królestwa Shartha (patrz Królestwo Shartha) na Sharonie. Podobnie jak bolakińskie miasta-państwa (patrz Bolakinu, królowe) Lubnasi jest od czasów starożytności sprzymierzone z Ternathią, która stała się gwarantem jego niezawisłości i granic.

Lugathia – prowincja Cesarstwa Ternathii, odpowiednik Francji.

Magister – oficjalny stopień arkaniańskich magów. Uzyskanie go wymaga ukończenia intensywnego cyklu edukacyjnego oraz wynalezienia przynajmniej jednego, nieznanego wcześniej, praktycznego zastosowania zaklęć. Ogólny tytuł magistra dzieli się na kilka specjalizacji.

Magistron – oficjalny stopień arkaniańskich magów, odpowiednik „magistra” lecz zarezerwowany dla osób specjalizujących się w magii wpływającej na istoty żywe. Ogólny tytuł magistrona dzieli się na kilka specjalizacji.

Mahritha – odkryty przez Arkanian wszechświat połączony portalem z Wrotami Piekieł. Nazwę tę nadał magister Halathyn, na cześć swojej żony.

Manisthu, królestwo – największe i najważniejsze państwo zajmujące Wyspy Manisthu.

Manisthu, wyspy – arkaniański odpowiednik Japonii.

Marnilay – sharoniańska bogini. „Słodka Mamilay Dziewica” jedna z osób tcrnathiańskiej Podwójnej Triady, głównych bóstw w religii, co najmniej połowy Sharonian, rozprzestrzeniona przez długie wieki tcrnathiańskiej dominacji na znacznej polaci tego świata.

Matka Jambakol – arkaniańska bogini zła lub demon, czczona przez Hilmarian, którzy jednocześnie obawiają się jej jak żadnego innego z bogów. Uosobienie zniszczenia, zemsty i nienawiści.

Matka Marthea – sharoniańskie bóstwo. W panteonie Shurkhalian czczona jako źródło wody i życia. Nazywa także Matką Rzek, Matką Źródeł i Matką Morza. Jako Matka Morza przynosi czcicielom bogactwo w postaci pereł i koralu oraz dba o bezpieczeństwo statków. Również bogini urodzaju, zarówno morskiego, jak i upraw i

hodowli prowadzonych na lądzie.

Melwain Wielki – andarański odpowiednik króla Artura. Melwain żył – ponad tysiąc lat temu i po dziś dzień stanowi niedościgły wzór przestrzegania zasad i wymogów honoru.

Morze Mbisi – sharoniański odpowiednik Morza Śródziemnego.

Morze Farnaliańskie – sharoniański odpowiednik Morza Bałtyckiego.

Morze Palca – sharoniański odpowiednik Morza Czerwonego.

Morze Scurlis – sharoniański odpowiednik Morza Japońskiego.

Morze Ibrala – sharoniański odpowiednik Morza Marmara.

Morze Ylani – sharoniański odpowiednik Morza Czarneho.

Mithanan – mymalański bóg kosmicznej destrukcji.

Mul – ze staromythalańskiego „wojownik”. Jako część nazwiska wskazuje, że ród właściciela z którejś z linii genealogicznych wywodzi się z kasty wojowników „multhari”. Jeśli dana osoba należy zarazem do kasty „shakira” w większości wypadków stosuje się cząstkę „vos”, jako że „shakira” jest wyższą kastą. Formalnym tytułem powinno być w takich wypadkach jednak „vos i mul”. Zatem wywodzący się z kasty „shakira” oficer Sythak pochodzący z rodu Yuran, powinien być nazywany Sythak vos i mul Yuran lecz najczęściej zwracano się po prostu Sythak vos Yuran.

Mulgethia – prowincja Cesarstwa Ternathii, odpowiednik Niemiec i Szwajcarii.

Multhari – druga co do ważności kasta w mythalańskim społeczeństwie. Multhari są kastą żołnierzy. Niektórzy „multhari” są także „shakira”. Tradycyjnie zajmują wyższe stanowiska oficerskie.

Mythal – arkaniański odpowiednik Afryki. Społeczeństwo Mythal oparte jest na systemie kastowym, podporządkowane kaście magów „shakira”, którzy dominują nad pozbawionymi magicznych uzdolnień „garthan”.

Mythal Falls – arkaniański odpowiednik Wodospadów Wiktorii.

Napad – formacja arkaniańskich Sił Powietrznych składająca się z trzech „lotów” i licząca w sumie dwanaście smoków.

Narhath – bogata prowincja Cesarstwa Ternathii, w której skład wchodzi tereny odpowiedników Portugalii i południowej Hiszpanii.

Narshalla – sharoniańskie miasto znajdujące się mniej więcej w miejscu ziemskiej Medyny, w Arabii Saudyjskiej.

Nessia – najdalej na wschód wysunięta prowincja współczesnej

Ternathii, odpowiednik Grecji.

Nos – Sharonianin posiadający psychiczny Talent umożliwiający odbieranie pozostałości energetycznych po ludzkich uczuciach.

Nosikor – sharoniańskie miasto znajdujące się na południowo-zachodnim wybrzeżu Jeziora Arau.

Nowe Ramath – portowe miasto wybudowane do obsługi linii kolejowej prowadzącej do Fortu Tharkoma w Salym. Znajduje się w trans-temporalnym odpowiedniku albańskiego Durres.

Nowa Sharona – pierwszy z nowych wszechświatów zbadanych przez Sharonian.

Nowa Ternathia – sharoniański odpowiednik Ameryki Północnej.

Nowa Farnalia – sharoniański odpowiednik Ameryki Południowej. Ocean Evanos – arkaniańska nazwa

Oceanu Spokojnego.

Ocean Rindor – sharoniański odpowiednik Oceanu Indyjskiego.

Ocean Vandor – sharoniański odpowiednik Oceanu Atlantyckiego.

Ocean Zachodni – sharoniańska nazwa Oceanu Spokojnego.

Odźwierny – Sharonianin obdarzony Talentem pozwalającym na teleportację pasażerów lub niewielkich ładunków za pomocą Awaryjnego Systemu Transportowego.

Ogar Portali – Sharonianin dysponujący Talentem pozwalającym wykrywać trans-temporalne portale.

Osmaria – sharoniański odpowiednik Włoch.

Ostrze Ibrala – sharoniański odpowiednik Półwyspu Gallipoli.

Othmaliz – królestwo dominujące na wschodnich rubieżach Morza Mbisi i części Morza Ylani. Zajmuje mniej więcej obszar zachodniej połowy Turcji i południowej Bułgarii. Stolicą Othmaliz jest Tajvana, starożytna stolica Imperium Ternathii.

Paerystia – kraina na Arkanie, z grubsza odpowiednik Omanu.

Pięść Bolakinu – sharoniański odpowiednik Gibraltaru.

Płaskowyż Shartha – wysoki łańcuch górski w północno-zachodniej Sharcie, sharoniański odpowiednik Wyżyny Abisyńskiej.

Pocieszyciele Bergahla – ironiczna nazwa nadawana Sztyletom Bergahla (patrz dalej).

Postanowienia Kerelli – andarański regulamin wojskowy, sporządzony wiele stuleci temu przez wysokiego rangą, andarańskiego oficera Housipa Kerellę, przyjęte przez armię Unii Arkany jako oficjalny dokument, ustalający standardy postępowania z jeńcami wojennymi oraz kodeks postępowania dla Arkanian, którzy dostaną się w ręce wroga.

Półwysep Narhathan – sharoniański odpowiednik Półwyspu Iberyjskiego.

Projektor – Sharonianin obdarzony Talentem telepatycznym pozwalającym na przekazywanie szczegółowych i wiernych obrazów nie-telepatom. Każdy Projektor jest też Głosem, jednak jedynie niecały 0,01% Głosów posiada zdolność Projektji.

Prowincja Delkrath – jedna z prowincji Cesarstwa Ternathii, położona na północ od Narhath i na wschód od Teramandoru, pokrywa się ze środkową Hiszpanią – od Madrytu na południe po Zatokę Biskajską.

Protokół Gorhadyna – jedna z mythalańskich technik zabijania. Pustynia Ricathiańska – sharoniański odpowiednik Pustyni Libijskiej.

Pustynia Sarthan – sharoniański odpowiednik Sahary.

Queriz – miasto w Arpathii, mniej więcej w miejscu kazachskiej Astany.

Róg Ricathii – sharoniański odpowiednik Półwyspu Somalijskiego, pomiędzy Zatoką Adeńską i Oceanem Indyjskim.

Rahil – Wielka Prorokini, założycielka i święta miłosierdzia i niesienia pomocy. Patronka Bractwa Rahil, jednej z głównych religii Ransar. Rahilianin – członek Bractwa Rahil.

Rankadi – mythalańskie rytualne samobójstwo.

Ransar – arkaniański odpowiednik Azji. W Ransar rozwinęła się kultura oparta na wysoce humanistycznych, demokratycznych i postępowych wartościach, która ponad wszystko stawia wolność jednostki. Przez to Ransaranie nie darzą sympatią

andarańskiej arystokracji, a szczególnie nienawidzą żyjących w systemie kastowym Mythalan. Ransaranie żyją najbardziej swobodnie spośród wszystkich społeczeństw Arkany.

Ricathia – sharoniański odpowiednik Afryki.

Rokhana – jedno z państw Nowej Ternathii, zajmujące terytorium od amerykańskiego stanu Oregon do granicy amerykańsko-meksykańskiej.

Równina Grocyra – sharoniański odpowiednik Niziny Zachodniosyberyjskiej.

Rydwan Vothana – wojenny rydwan, atrybut Vothana, jednej z osób Podwójnej Trójcy Ternathii.

Rzeka Dalazan – sharoniański odpowiednik Amazonki. **Rzeka Janu** – sharoniański odpowiednik Renu.

Rzeka Kosal – arkaniański odpowiednik hiszpańskiej rzeki Ebro.

Rzeka Mythal – arkaniański odpowiednik Nilu.

Rzeka Razinta – sharoniański odpowiednik hiszpańskiej rzeki Ebro.

Rzeka Sarlayn – sharoniański odpowiednik Nilu.

Rzeka Yirshan – sharoniański odpowiednik rzeki Kolumbia. **Saramash** – shurkhaliański diabeł.

Septowie – Arpathiańskie ludy żyjące w systemie klanowym. Większość z nich to nomadyczni pasterze. Septowie hodują najlepsze konie na całej Sharonie. Są też nieufni wobec obcych, co jest spadkiem po pozbawionych skrupułów handlarzach, którzy często wykorzystywali „naiwnych barbarzyńców” i wskutek tendencji innych narodów do postrzegania Septów jako prymitywnych dzikusów, czyniąc z nich obiekt niewybrednych żartów. **Septentrion** – Większość arpathiańskich Septów nie uznaje żadnej formalnej władzy poza wodzem/przywódcą swojego klanu. Terytoria, które zajmują nie mają określonych granic, zwłaszcza na obszarach odpowiadających syberyjskim nizinom. Jednakże Septowie zjednoczyli się w celu wspólnego prowadzenia handlu, tworząc Septentrion – unię handlową, strzegącą finansowej strony interesów prowadzonych przez wszystkie klany. Służący Septentrionowi przedstawiciele poszczególnych klanów prowadzą negocjacje handlowe z kupcami z zagranicy i razem ustalają najkorzystniejsze ceny na sprzedawane przez siebie towary, w tym owiane legendą dzieła arpathiańskich złotników.

Septentrion doprowadził do powstania regionalnych faktorii handlowych wzdłuż granic Arpathii. Organizacja ta ma także swojego przedstawiciela w dyrekcji Zarządu

Portali i pomaga Septom chcącym wstąpić do SZZP lub do któregoś z zespołów badawczych prowadzących eksplorację nowych wszechświatów.

Serikai – „Miasto Śniegu”, położone nad jeziorem sharoniańskie miasto, odpowiednik Buffalo w amerykańskim stanie Nowy Jork. Serikai jest stolicą Republiki Faltharii.

Sethdona – stolica sharoniańskiego królestwa Shurkhal. Znajduje się w trans-temporalnym odpowiedniku miasta Dżudda na wybrzeżu Morza Czerwonego.

Shakira – w mythalańskiej kulturze kasta magicznie uzdolnionych, całkowicie dominująca nad pozostałymi. Tworzą ją naukowcy, teoretycy itd. Niemal wszystkie

„inteligenckie” profesje Mythal obsadzone są wyłącznie przez członków shakiry.

Shalana – „Matka Shalana”, jedna z osób w ternathiańskiej Podwójnej Trójcy, jej świętym kolorem jest błękit, z którego to powodu jej świątynia w Tajwanie ozdobiona jest lapis-lazuli i szafirami. Znana także jako Shalana Miłosierna. Jej kapłani należą do najbardziej zamożnych na całej Sharonie.

Shaloma – arkaniański odpowiednik Europy Zachodniej.

Shardon – wywodzący się ze staroandarańskiego termin oznaczający „podopiecznego” czyli osobę, pozostającą pod osobistą ochroną andarańskiego wojownika i jego rodu. (patrz baranal)

Sharona – rodzimy wszechświat i Ziemia Cesarstwa Ternathii. Panująca w tym wszechświecie fizyka jest podobna – choć nie identyczna z naszą, a struktura społeczna i kultura opiera się w dużej mierze na istnieniu rozwiniętych Talentów psychicznych.

Shartahk – główny diabeł ternathiańskiej religii.

Shartha – królestwo we wschodniej Ricathii.

Sherkaya – staromythalańskie słowo, oznaczające „ogień” hasło aktywujące broń oddechową smoków czerwonych.

Shikowr – rasa koni kawaleryjskich wyhodowana w Ternathii na przestrzeni kilku tysięcy lat. Shikowry przypominają budową i postawą Morgany, ale są od nich znacznie wyższe. Ich nazwa pochodzi od rodzaju shurkhaliańskiej szabli, którą przyswoiła sobie ternathiańska jazda.

Showma – arkaniański (położony na Nowej Arkanie) odpowiednik wodospadów Niagara. W pobliżu znajduje się prowadzący badania nad magią Instytut

Garth Showma.

Shurkhal – królestwo na Sharonie, mniej więcej odpowiadające Arabii Saudyjskiej, Jordanii i półwypowi Synaj. Królestwo Shurkhal jest największym z kilkorga „shurkhaliańskich królestw”, z których wszystkie silnie zbliżone są kulturalnie do Harkali, choć stanowi wyraźną podkulturę wpływającą na tereny Syrii, Iraku i większości Iranu.

Słoneczna dziedzina – feudalna jednostka terytorialna wUromathii, władana przez Słonecznego Lorda, odpowiadająca mniej więcej księstwu lub wielkiemu księstwu.

Słoneczny Lord – uromathiański tytuł arystokratyczny, mniej więcej rangi księcia, lub wielkiego księcia.

Sztyletnia – kryształ sarkolisu, w którym magazynuje się zaklęcia bojowe krótkiego zasięgu. Zasięg sztyletni nie przekracza dwudziestu stóp, nie można tej broni ukryć przed osobami Obdarzonymi, niemniej przenoszone w nich czary posiadają dużą moc niszczącą.

Sztylety Bergahla – wyjątkowo wojowniczy kult powstały w obrębie Zakonu Bergahla. Sztylety zostały oficjalnie rozwiązane ponad sto lat temu.

SZZP – Siły Zbrojne Zarządu Portali. Wielonarodowe, sharoniańskie siły zbrojne, kierowane przez Zarząd Portali. Powołane w celu ochrony eksploracji portali i położonych za nimi wszechświatów.

Ślizgacz – arkaniański odpowiednik kolei.

Święty Taiyr – zwany także Taiyrem z Estafel, święty patron dynastii Calirath. Świątynia Świętego Taiyra w Tajwanie – jedna ze świątyń w Tajwanie, upamiętniająca Świętego Taiyra z

Estafel, wzniesiona w roku 3016 przez cesarzową Wailyanę I. Od dwóch tysięcy lat tradycyjne miejsce koronacji temathiańskich cesarzy.

Tajvana – stolica starożytnego Imperium Ternathiańskiego, sharoniański odpowiednik Konstantynopola i Istambułu.

Teramandor – prowincja Cesarstwa Ternathii, znajdująca się w północno-zachodnim Narhath, mniej więcej odpowiednik Katalonii i zachodniej Aragonii (Hiszpania).

Tharkan – wielkie księstwo w Shalomie, część królestwa Elath, znajdujące się w arkaniańskim odpowiedniku Polski. Tutaj Arkanianie odkryli pierwszy trans-temporalny portal.

Torkash – główne bóstwo w panteonie starożytnych Manisthuan.

Tosaria – starożytne ransarańskie królestwo na Arkanie. Jego stolica znajdowała się w miejscu będącym odpowiednikiem Szanghaju. Tosaria osiągnęła wysoki poziom kultury i rozwoju społecznego już wtedy, gdy reszta współczesnego Ransar znajdowała się jeszcze w prymitywnym stadium rozwoju.

Tropiciel – Sharonianin posiadający Talent Tropienia. Osoba potrafiąca wskazać przybliżony kierunek, w jakim znajduje się wskazana osoba lub przedmiot.

Tukoria – największe i najpotężniejsze z hilmarańskich królestw, zajmujące terytorium odpowiadające większej części Argentyny i Chile. Tukoria jest jedynym z hilmarańskich państw, które zdołało się oprzeć andarańskiemu podbojowi i kolonizacji. Uczeń – tytuł przyznawany Obdarzonym adeptom magii na Arkanie. Student pozostaje uczniem, bez względu na wiek, do momentu ukończenia cyklu edukacji.

Unia Arkany – ogólnoswiatowy rząd rodzimego wszechświata Arkanian.

Unia (miasto) – miasto zbudowane przy wejściowym portalu do Nowej Sharony, położone około pięćdziesięciu mil na wschód od Bloemfontein w RPA. Unijna Komisja Arbitrażowa (UKA) – odpowiedzialna przed specjalną komisją senatu Unii, quasi-dyplomatyczna organizacja powołana w celu rozstrzygnięcia sporów między instytucjami, a osobami prywatnymi.

Uromathia – jako termin ogólny – sharoniański odpowiednik Azji, na południe od Mongolii i na zachód od Indii. Obszar podzielony na wiele niewielkich królestw i dwa cesarstwa, powiązane ze sobą wspólną kulturą.

Usarlah – sharoniańskie miasto w Górach Delkrath (nieco na północ od

Madrytu) w ternathiańskiej prowincji Delkrathii.

Uskrzydłona Korona – korona cesarza Ternathii. Wciąż używana do koronacji, została wykonana niemal pięć tysięcy lat temu przez farnaliańskich złotników, jako dar po podpisaniu przez Celaryona II traktatu pomiędzy Królestwem Ternathii i Farnalią. USMS – Uniwersalna Sieć Medialna Sharony, największa sieć mediów stworzona przez wielowszechświatową cywilizację Sharonian, udostępniająca przekazy zarówno drukowane, jak i telepatyczne.

Uzdrowiciel Umysłów – Sharonianin posiadający zespół Talentów pozwalających mu na leczenie chorób psychicznych.

Vos – w staromythalańskim: „z rodu”. W mythalańskich nazwiskach wskazuje na przynależność właściciela do kasty shakira. (patrz także „mul”)

Vothan – ternathiańskie bóstwo zwane „Ojcem Vothanem”, jedna z osób Podwójnej Trójcy, bóg wojny, służący Ternathii ochroną w czasie wojny, skąd czerpie swój inny przydomek „Vothana Obrońcy”, powszechnie czczony przez ludność Ternathii i terytoriów przez nią skolonizowanych.

Vyrlair – arpathiańska kraina na Sharonie, mniej więcej odpowiadająca Turkmenistanowi.

Wielki Kanał Ternathiański -sharoniański odpowiednik Kanału Sueskiego.

Wietrzna Dziedzina – feudalna jednostka terytorialna, zarządzana przez uromathiańskiego Wietrznego Lorda. Mniej więcej odpowiadająca hrabstwu.

Wietrzny Lord – uromathiański tytuł arystokratyczny, mniej więcej odpowiadający hrabiemu.

Wrota Piekieł – nazwa, jaką Sharonianie nadali wszechświatowi, w którym ich zespół badawczy po raz pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami. Przyjęta również przez tych ostatnich.

Wykrywacz – Sharonianin obdarzony psychicznym Talentem pozwalającym na natychmiastowe odróżnianie prawdy od kłamstwa.

Wyspa Bernith – sharoniański odpowiednik Wielkiej Brytanii.

Wysokie Dowództwo – szefostwo armii Unii Arkany. Odpowiednik połączonych Pentagonu i Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Tradycyjnie zdominowane przez oficerów wywodzących się z Andary.

Wyspa Pairhys – sharoniański odpowiednik wyspy Man. Główny ośrodek szkoleniowy Imperialnej Piechoty

Morskiej.

Wyspa Ternath – starożytna ojczyzna cesarzy Ternathii, sharoniański odpowiednik Irlandii.

Wyżyny Bernithiańskie – sharoniański odpowiednik Szkocji.

Zaithag – arpathiańskie miasto w Vyrlair, mniej więcej w miejscu Aszhabadu (Turkmenistan).

Zakłady Norgamar – jedno z wielkich, sharoniańskich przedsiębiorstw produkujących sprzęt kolejowy, w tym wielkie lokomotywy. Główny dostawca Kolei Trans-Temporalnych.

Zakon Bergahla – religijny zakon czcicieli boga wojny Bergahla. Z powodu swej szczególnej pozycji w królestwie Othmaliz, seneszał rządzący Othmaliz wybierany jest tradycyjnie spośród najwyższych dostojników zakonu. Zarząd Trans-Temporalnego

Transportu Unii – rządowa agencja Unii Arkany, której zadaniem jest sprawowanie nadzoru nad trans-temporalnym handlem i transportem, w tym zarządzanie siecią ślizgaczy i infrastrukturą umożliwiającą podróże drogą morską.

Zatoka Shurkhaliańska – sharoniański odpowiednik Zatoki Adeńskiej.

ZTTTU – patrz Zarząd Trans-Temporalnego Transportu Unii.

Żyła Krwawego Nieba – sharoniańska nazwa Żyły Comstocka.

Yanko – trzecie co do wielkości królestwo Andary, zajmujące odpowiednio większą częśći środkowej Ameryki Północnej (od granicy USA – Kanada na południe) oraz niemal cały Meksyk.

Yarahk – arkaniańskie miasto położone mniej więcej w miejscu będącym odpowiednikiem egipskiego Asuanu. Yurha – w mythalańskiej religii odpowiednik duszy. Koncepcja yurhy stanowi podstawę wiary w reinkarnację i teorii „duchowego rozwoju” duszy od niższych ku wyższym formom istnienia.

LISTA POSTACI

Ambor Layrak tarczowy, armia Unii Arkany (WP) asystent chirurga, Kompania C, Pierwszy Batalion, Pierwszy Regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Anzeti, Djoser – [WP] dyrektor w sharoniańskim Zarządzie Portali, przedstawiciel arpathiańskiego Septentriona.

Arthag, Hulmok, podkapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] pełniący obowiązki dowódcy, drugiego plutonu, srebrnej kompanii Dziewięćdziesiątego Drugiego Samodzielnego Batalionu Kawalerii. W [OP] awansowany na kapitana.

Balithar, Sathee – [WP] wieloletnia niańka i opiekunka księżniczki Andrin. i

Banchu, Olvyr – [WP, OP] główny inżynier Kolei Trans-Temporalnych.

Bantha, Grethar, zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] Błyskacz kapitana Halifu.

Baskay, Charazan – [WP] szesnastoletnia siostra kapitana chan Baskaya.

Baulwan, Shansair, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] Głos służący w Forcie Shaylar pod kapitanem Halifu.

Berhala, Tahlos, Dowodzący Dwudziestoma Pięcioma, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] pilot 3012. Napadu, latający na czerwonym smoku bojowym o imieniu Płomień Niebios. Bolsh, Tarlin – [WP] szef działu międzynarodowego, Uniwersalna Sieć Medialna Sharony.

Borkaz, Emiyet, szeregowy, Armia Unii Arkany – [WP] pierwsza drużyna Kompania C, Pierwszy Batalion, Pierwszy Regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Breasal, Ordras – [WP] dyrektor sharoniańskiego Zarządu Portali, przedstawiciel królestwa Isseth.

Cesarz Chava Busar IX – [WP, OP] Cesarz Uromathii.

Calirath, Jej Cesarska Wysokość Anbessa – [WP, OP] Najmłodsza z córek Zindela chan Caliratha.

Calirath, Jej Cesarska Wysokość Andrin – [WP, OP] najstarsza z córek Zindela chan

Caliratha, następna po swym bracie, księciu koronnym Janakim, w kolejności dziedziczenia tronu. Calirath, Jej Cesarska Wysokość

Razial – [WP, OP] druga, co do wieku z córek Zindela chan Caliratha.

Calirath, Jej Cesarska Wysokość Arena – [WP, OP] Cesarzowa Ternathii,żona Zindela chan Caliratha.

Carthos, Tayrgal, Dowodzący Tysiącem, Armia Unii Arkany – [WP, OP] dowódca sił lądowych dwutysięcznika Harshu.

Chan Barsak, Paras, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] podoficer służący w Forcie Salby.

Chan Baskay, Dorzon, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] wicehrabia Simrath. Ternathiański oficer kawalerii przydzielony do Balkara chan Tesha.

Chan Braikal, Lorash, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] najstarszy podoficer Janakiego, trzeci pluton, kompania miedziana, drugi batalion, 117. brygada Imperialnej Piechoty Morskiej Ternathii, oddelegowany do służby w SZZP.

Chan Calirath, Janaki, książę koronny, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] najstarszy potomek i spadkobierca cesarza Zindela chan Caliratha, trzeci pluton, kompania miedziana, drugi batalion, 117. brygada imperialnej Piechoty Morskiej Ternathii,oddelegowany do służby w SZZP.

Chan Calirath, Zindel, Jego Cesarska Wysokość [WP, OP] Zindel XXIV, Diuk Ternath, Wielki Diuk Farnalii, Wódz Zachodu,Obrońca Pokoju, powiernik Uskrzydłonej Korony i z Łaski bogów Cesarz Ternathii.

Chan Darma, Kaliya, podkapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali [OP]Głos służący w Forcie Salby.

Chan Dersal, Parai, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali [WP, OP] dowódca dwóch plutonów Imperialnej Piechoty Morskiej oddelegowany do wzmocnienia sił Balkara chan Tesha.

Chan Eris, Foram – [OP] oficer ternathiańskiej armii w stanie spoczynku,pracujący w Karys jako zastępca Olyyra Banchu.

Chan Forcal, Wesiar, zbrojny Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] Dalekowidz stacjonujący w Forcie Salby.

Chan Garath, Tesan, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] najstarszy podoficer w Forcie Salby.

Chan Geraith, Arlos, generał dywizji, Imperialna Armia Ternathii [WP, OP] dowódca, trzecia dywizja dragonów, piąty korpus.

Chan Gordahl, Brahdys – [WP] jeden z osobistych gwardzistów księżniczki Andrin.

Chan Gristhane, Thalyar, marszałek, Imperialna Armia Ternathii – [WP] najstarszy oficer armii ternathii, cesarski radca do spraw obrony.

Chan Habikon, Ulthar – [WP, OP] jeden z osobistych gwardzistów księżniczki Andrin.

Chan Hagrahyl, Ghartoun – [WP] dowódca zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Chan Harthu, Gerail, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] młodszy z dowódców dwóch plutonów Imperialnej Piechoty Morskiej oddelegowany do wzmocnienia sił Balkara chan Tesha.

Chan Hathas, Rayl, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] najstarszy podoficer Hulmoka

Arthaga.

Chan Himidi, Fanthi – [WP] były oficer armii Ternathii, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał – kontakt z Arkanianami.

Chan Isail, Merkan, regimentarz, Imperialna Armia Ternathii – [OP] szef sztabu generała dywizji chan Geraitha.

Chan Jassian, Ustace, generał dywizji, Imperialna Armia Ternathii – [WP] dowódca dwudziestej pierwszej dywizji, piątego korpusu.

Chan Kormai, Frai, starszy zbrojny Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] najstarszy podoficer Balkara chan Tesha.

Chan Korthal, Lisar, kapitan, Imperialna Armia Ternathii – [OP] sztabowy Głos generała chan Geraitha. Chan Lyrosk, Waird, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] Głos stacjonujący w Forcie Brithik.

Chan Manthau, Yarkowan, generał dywizji, Imperialna Armia Ternathii – [WP] dowódca Dziewiątej Dywizji Piechoty, Piąty Korpus.

Chan Milhenai, Sirda, młodszy zbrojny Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] –

ternathiański żołnierz, stacjonujący w Forcie Shaylar.

Chan Morak, Harek, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] inżynier, adiutant kapitana Nalkhara stacjonujący w Forcie Salby.

Chan Morthain, Farsal, kapitan, Imperialna Marynarka Wojenna Ternathii – [WP] dowódca okrętów eskorty cesarza Zindela, w trakcie podróży do Tajwany.

Chan Noth, Tarkel, młodszy kapitan Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] dowódca plutonu, stacjonujący w Forcie Salby.

Chan Quay, Renyl, generał brygady, Imperialna Armia Ternathii – [OP] dowódca, Pierwszej Brygady, Trzeciej Dywizji Dragonów.

Chan Rakail, Josam, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] Głos stacjonujący w Forcie Tharkoma, we wszechświecie Salym.

Chan Robarik, Feryal, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] komendant Fortu Brithik.

Chan Rodair, Esalk, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] Utalentowany uzdrowiciel, stacjonujący w Forcie Brithik.

Chan Rowlan, Fairlain, generał korpusu, Imperialna Armia Ternathii – [WP] dowódca Piątego Korpusu. Chan Sairath, Quelovak, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] najstarszy podoficer kapitana chan Talmarhy.

Chan Salgmun, Falsan – [WP] członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgin, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Chan Skrithik, Rof, regimentarz Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] komendant Fortu Salby, we wszechświecie Traisum.

Chan Synarch, Tairsal, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] Błyskacz służący w kompanii kapitana chan Tasha.

Chan Talmarha, Morek, młodszy kapitan Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] dowódca kompanii moździerzy przydzielonej kapitanowi chan Teshowi.

Chan Tergis, Folsar, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP]

Głos stacjonujący w Forcie Ghartoun.

Chan Tesh, Balkar, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] dowódca kompanii Miedzianej, Pierwszego Batalionu, Dziewiątego Regimentu Kawalerii.

Chan Therson, Dunyar, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] najstarszy podoficer w kompanii kapitana Halifu.

Chan Treskin, Virak, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali [OP] Błyskacz przydzielony ekipie dyplomatów Dorzona chan Baskaya.

Chan Turkan, Lyntail, podzbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] żołnierz przydzielony do garnizonu Fortu Ghartoun.

Chan Yaran, Rokal, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] Trzeci pluton, Kompania Miedziana,

Drugi Batalion 117. brygada Imperialnej Piechoty Morskiej Ternathii.

Chan Zindico, Lazima – [WP, OP] dowódca osobistej gwardii księżniczki Andrin.

Charaeil – [WP] sokół wędrowny cesarza Zindela.

Chusal, Yakhan, szef taboru – [WP] szef taboru z Wydziału Eksploatacji Kolei Trans-Temporalnych.

Silkash, Golvar, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] szef uzdrowicieli stacjonujący w Forcie Ghartoun.

Danith Fyysel, księżę koronny – [WP] następca tronu Shurkhal.

Darshu, Jukan, Pan Koni, Kawaleria Cesarstwa Uromathii – [WP, OP] Słoneczny Lord Markan, dowódca uromathiańskiej kawalerii wysłanej by wzmocnić oddziały broniące Fortu Salby.

Dastiri, Uthik – [WP, OP] pracownik Unijnej Komisji Arbitrażowej, podwładny Rithmara Skirvona.

Desmar, Sahlis, dowodzący setką, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] dowódca 2029. Napadu, pilot czarnego smoka bojowego Uderzenie Gromu.

Dulan, Brithum – [WP] ternathiański Radca Spraw Wewnętrznych.

Elivath, Darł – [WP] Głos, główny korespondent USMS obsługujący medialnie Zarząd Portali.

Erkol, Divis – [WP] richathiański asystent Ghartouna chan Hagrahyla; członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Erthek Vardan – [OP] cywilny Głos, pracujący we wszechświecie Thermyn jako

element utrzymywanej przez Zarząd Portali Sieci Głosów.

Eswayr, Pahkrys, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany – [OP] starszy dowódca batalionu, oddelegowany do sił dowodzonych przez tysięcznika Carthosa. Fahrlo, Delthyr, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii Arkany [OP] pilot latający w Pierwszym Tymczasowym Kle. Pilot czarnego smoka bojowego, Kła Śmierci.

Fai Yujin, Junni, Jego Wysokość – [WP] król Eniath.

Fai Goutin, Howan, ksiązę [WP, OP] ksiązę koronny Eniath.

Farl, Yirman, lansjer, Armia Unii Arkany – [OP] żołnierz służący w pierwszym plutonie półsetnika Halesaka, Kompania A, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Finena – [WP, OP] sokół wędrowny księżniczki Andrin.

Fornath, Mancy, lord – [WP] pięćdziesiąty pierwszy baron Fornath i czterdziesty piąty earl Ilforth, przewodniczący ternathiańskiej Izby Lordów.

Futhai, Braiheri – [WP] ternathiański arystokrata i przyrodnik, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Garlath, Shevan, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany – [WP] dowódca pierwszego plutonu, kompanii C, pierwszego batalionu, Drugiej Andarańskiej Temporalnej Brygady Rozpoznawczej.

Garsal, Tarnal, Drugi Pan Koni, Kawaleria Cesarstwa Uromathii – [WP, OP] Wietrzny Lord Garsal, zastępca Słonecznego Lorda Markana. Geraith, Misanya – [OP] żona generała dywizji chan Geraitha.

Geyrsof, Horban, Dowodzący Setką, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] dowódca 3012. Napadu, pilot żółtego smoka bojowego Szarej Chmury.

Gitel, Elevu – [WP] geolog, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Grantyl, Waysal, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany – [WP] komendant Fortu Wyvern, we wszechświecie Mahritha.

Grigthir, Mikal, szeregowiec, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] zwiadowca służący w plutonie kawalerii Hulmoka Arthaga.

Haimas, Chathee – [WP] asystentka Orema Limany. Halesak, Iftar, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany –

[OP] dowódca pierwszego plutonu, kompanii A, Drugiej Andarańskiej, Temporalnej Brygady Rozpoznawczej. Szwagier półsetnika Ulthara.

Halifu, Grafin, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] dowódca nowego fortu we wszechświecie Nowa Uromathia.

Hansara, Rayjhari – [WP] starożytny ransarański magister, odkrywca techniki inżynierii genetycznej, dzięki której Arkanianie wytworzyli smoki i inne ulepszone magicznie zwierzęta.

Hardoran, Joral, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] farnaliański podoficer stacjonujący w Forcie Shaylar.

Harklan, Gaythar, tarczowy, Armia Unii Arkany – [WP] druga drużyna, pierwszy pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Harnak, Evarl, miecznik, Armia Unii Arkany – [WP, OP] podoficer, pierwszy pluton, kompania C, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Harshu, Mayrkos, Dowodzący Dwoma Tysiącami, Armia Unii Arkany – [WP, OP] dowódca sił ekspedycyjnych.

Harwal, Falgayn – [WP] potężnie utalentowany, sharoniański Głos i Projektor.

Helika, Faryx, Dowodzący Setką, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] dowódca 5001. Napadu, pilot czerwonego smoka bojowego Kła Ognia.

Hilovar, Soral, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] utalentowany Ricathianin, Tropicielem czasowo oddelegowany do służby w plutonie kawalerii Hulmoka Arthaga.

Hordan, Chenrys – [WP] Utalentowany Głos przydzielony do Hurkaym, łączący Fort Tharkoma z Fortem Losaltha.

Ilthyr, Lamir – [OP] cywilny Głos; element Sieci Głosów Zarządu Portali, stacjonujący we wszechświecie Traisum.

Isia, Orek, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] Błyskacz regimentarza chan Skrithika w Forcie Salby.

Isrian, Chalbos, Dowodzący Pięćdziesięciu Setkami, Armia Unii Arkany – [OP] jeden z dwóch dowódców batalionów piechoty służący u dwutysięcznika Harshu.

Jaboth, Inkar, lansjer, Armia Unii Arkany – [WP] kucharz, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada

Rozpoznawcza.

Jalkanthi, Hardar, maszynista – [WP] starszy maszynista, pracownik Kolei Trans-Temporalnych.

Jalkanthi-Ishar, Jesmanar – [WP] pochodząca z Shurkhal żona Hadara Jalkanthiego.

Jastyr, Ulantha – [OP] Głos, asystentka Alazon Yanamar.

Kalcyr, Barcan, starszy miecznik, Armia Unii Arkany – [OP] podoficer, kompania B, 901. brygada lekkiej kawalerii.

Karone, Ronnel XVI, Jego Cesarska Wysokość – [WP, OP] Cesarz Farnalii.

Karuk, Hordal, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] podoficer stacjonujący w Forcie Ghartoun.

Karym, Jagtha – [WP] dyrektor Zarządu Portali, oddelegowany przez królestwo Limathii.

Kasell, Barris – [WP] Arpathianin, były żołnierz, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Kavilkan, Jali – [WP] szef zarządu, Uniwersalna Sieć Medialna Sharony.

Kelbryan, Gadrial, magister – [WP, OP] studentka magistra Halathyna vos Dulainaha, szefowa Wydziału Magii Teoretycznej w Instytucie Garth Showma.

Kieł Ognia [OP] czerwony smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego Setką Farykssa Helikę.

Kieł Śmierci – [OP] czarny smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego Pięćdziesięcioma Delthyra Fahrlo.

Kiliron, Orkal, Dowodzący Setką, Armia Unii Arkany – [OP] dowódca kompanii C, Siódmego Zydoru Ciężkich Dragonów. Kindare, Relatha – [WP] służka z

Sokolego Pałacu, która zastąpiła chorą Sathee Balithar w charakterze pokojówki księżniczki Andrin.

Król Junni – [WP, OP] Junni Fai Yujin, król Eniath. Król Fyysel – [WP] władca Shurkhal.

Kinlafia, Darcel – [WP, OP] drugi z Utalentowanych Głosów – członków zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Kinshe, Halidar – [WP] jeden z dyrektorów sharoniańskiego Zarządu Portali i poseł w królestwie Shurkhal.

Kinshe-Falis, Lady Alimar – [WP] żona Halidara Kinshe. Utalentowana Uzdrowicielka.

Klian, Sarr, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany – [WP] komendant Fortu Rycharn, we wszechświecie Mahritha.

Kolmayr, Thaminar – [WP] ojciec Shaylar Nargry-Kolmayr i mąż Shalassar Kolmayr-Brintal.

Kolmayr-Brintal, Shalassar – [WP] Utalentowana ambasador królestwa Shurkhal w królestwie walen. Matka Shaylar Nargry-Kolmayr.

Kormas, Surtel, Dowodzący Setką, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] szef treserów gryfów służący pod tysięcznikiem Toralkiem.

Krankark, Sherlan, oszczepnik – [WP] Trzecia Drużyna, Pierwszy Pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Krilar, Gairion, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] szef Uzdrowicieli w Forcie Salby.

Książę Hawan – [WP, OP] Książę Howan Fai Goutin, książę koronny Eniath.

Kuralk, Yairkan, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] arpathiański podoficer stacjonujący w Forcie Shaylar.

Korthal, Branak, szeregowy – [WP] Druga Drużyna, kompania C, Pierwszy Batalion, Pierwszy Regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Laresk, Seltym, miecznik, Armia Unii Arkany [OP] służący u półsetnika Thariana Narshu podoficer – służby specjalne. Larshal, Jolika, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] pilot smoka dowodzenia tysięcznika Toralka.

Limana, Orem, dyrektor – [WP, OP] dyrektor naczelny sharoniańskiego Zarządu Portali. Mahrkrai, Herak, Dowodzący

Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany – [OP] szef sztabu dwutysięcznika Harshu.

Makree, Tobis, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP,OP] chirurg, asystent i zastępca kapitana Silkasha. Silnie Utalentowany Uzdrowiciel.

Mala, Karth, Dowodzący Pięcioma Setkami, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] jeden z oficerów sił powietrznych oddelegowany wraz z zespołem sił przydzielonych tysięcznikowi Carthosowi. Malthayr, Gayrzal – [WP] nauczyciel sztuk pięknych księżniczki Razial.

Mankahr, Sherlahk, Dowodzący Dwudziestoma Pięcioma, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] pilot latający w 3012. Napadzie, prowadzący żółtego smoka bojowego Zguba z Nieba.

Mesaion, Lorvam, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali [OP] dowódca artylerii w Forcie Salby.

Morikan, Naf, miecznik, Armia Unii Arkany [WP] Obdarzony uzdrowiciel, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Myr, Cerlohs, Dowodzący Pięcioma Setkami, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] dowódca Pierwszego Tymczasowego Kłã, pilot czarnego smoka bojowego Skrzydlatego Miecza.

Naldar, Yorlahn – [WP] kucharz; członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgin, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Nalkhar, Meris, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] dowódca wojsk inżynieryjnych w Forcie Salby.

Nargra, Jathmar – [WP, OP] Utalentowany Kartograf, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgin, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami. Mąż Shaylar Nargry-Kolmayr.

Nargra-Kolmayr, Shaylar – [WP, OP] bardzo silnie Utalentowana telepatka, członkini zespołu badawczego Konsorcjum Chalgin, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami. Żona Jathmara Nargry.

Narmayla, Haliyar – [WP] Utalentowany Głos stacjonujący w Nowym Ramath we wszechświecie Salym.

Narshu, Tharian, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany – [WP, OP] oficer sił specjalnych przydzielony jako dowódca eskorty do oddziału Rithmara Skirvona prowadzącego negocjacje na Polanie Powalonych Drzew.

Neshok, Alivar, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany – [WP, OP]

dowódca wywiadu wojskowego pod komendą dwutysięcznika Harshu.

Nourm, Keraik, miecznik, Armia Unii Arkany – [OP] starszy podoficer, drugi pluton, kompania A, piąty batalion 306. regiment.

Olderhan, Jasak, Sir, dowodzący setką. Armia Unii Arkany – [WP, OP] dowódca kompanii C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Olderhan, Thankhar, sir – [WP] diuk Garth Showma, gubernator planetarny Nowej Arkany, ojciec sir Jasaka Olderhana.

Olderhan, Sathmin – [WP] Diuszesa Garth Showma, żona sir Thankhara Olderhana, matka sir Jasaka Olderhana.

Orma, Jaerika – [OP] cywilny Głos Zarządu Portali, stacjonujący we wszechświecie Karys. Osmuna, Yurak, szeregowiec, Armia

Unii Arkany – [WP] druga drużyna, pierwszy pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Ostrze Wichru – [OP] żółty smok bojowy pilotowany przez Dowodzącego Pięćdziesięcioma Nairdaga Yorhana.

Palben, Irthan – [WP] jeden z dyrektorów sharoniańskiego Zarządu Portali; reprezentant Cesarstwa Farnalii.

Parcanthi, Nolis, podzbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] Utalentowany Nos, tymczasowo przydzielony do plutonu dowodzonego przez Hulmoka Arthaga.

Partha, Farzak, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] ordynans kapitana Halifu w Forcie Shaylar. Pazur Wichru – [WP] taktyczny smok transportowy pilotowany przez giermka Muthoka Salmeera.

Perthis, Davir – [WP] Główny Głos, Uniwersalna Sieć Medialna Sharony.

Płomień Niebios – [OP] czerwony smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego Dwudziestoma Pięcioma Tahlosa Berhalę.

Poranny Powiew – [WP, OP] ukochany wierzchowiec Hulmoka Arthaga, maści palomino.

Porath, Lisaro, oszczepnik, Armia Unii Arkany – [OP] podoficer służący w wywiadzie wojskowym pod rozkazami pięćsetnika Neshoka. Rahndar, Imał, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany – [OP] Obdarzony członek korpusu

inżynieryjnego, przydzielony do Siódmego Zydoru Ciężkich Dragonów. Ranlak, Yurain, lansjer, Armia Unii

Arkany – [OP] kawalerzysta, kompania B, 901. brygada lekkiej kawalerii.

Raynarg, Fairlain – [OP] nazwisko rodowe Jego Koronowanej Eminencji, seneszala Othmaliz.

Raynor, Thersahl, generał dywizji, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP] dowódca naczelny SZPP w chwili nawiązania kontaktu z Arkanianami.

Rilthan, Lerok – [WP] rusznikarz; członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgin, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Rothag, Trekar, podkapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] Utalentowany Wykrywacz, przydzielony do zespołu negocjacyjnego Dorzona chan Baskaya. Asystujący przy negocjacjach z Rithmarem Skirvonem.

Salmeer, Muthok, giermek, Siły Powietrzne Armii Arkany – [WP] pilot smoka transportowego Pazura Wichru.

Sandruck, Gortho – [WP] emerytowany członek zespołów badawczych, wykorzystywany w charakterze eksperta do spraw trans-temporalnych przez Uniwersalną Sieć Medialną Sharony. Sarma, Jaralt, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany – [OP] dowódca, drugi pluton, kompania A, piąty batalion, 306. regiment, członek sił ekspedycyjnych dwutysięcznika Harshu.

Scleppis, Tymo – [WP] Utalentowany Uzdrowiciel, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgin, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.

Sendahli, Jugthar, szeregowiec, Armia Unii Arkany – [WP, OP] trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada

Rozpoznawca. Sendahli jest zbiegłym z Mythal członkiem kasty garthan, który zaciągnął się do armii.

Shelt im, Hayrdar, kierownik składu, zawiadowca – [WP] protegowany Yakhana Chusala, przydzielony w charakterze kierownika składu do pociągu KTT przewożącego trzecią dywizję dragonów.

Shilvass, Ekthar – [WP] ternathiański radca do spraw skarbu.

Shulthan, Iggar, oszczepnik, Armia Unii Arkany – [WP] treser brzęczków; kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada

Rozpoznawcza.

Silbeth, Nanthee – [WP] ternathiańska radczyni do spraw edukacji.

Silkash, Golvar, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] szef Uzdrowicieli regimentarza Velveliga; doskonały, choć pozbawiony Talentu, chirurg.

Skirvon, Rithmar – [WP, OP] przedstawiciel Unijnej Komisji Arbitrażowej, wewnętrznego quais-dyplomatycznego organu Unii Arkany. Szef zespołu dyplomatów oddelegowany do prowadzenia rozmów z Sharonianami.

Skritihik, Chalendra – [OP] żona regimentarza Rofa chan Skritihika.

Szara Chmura – [OP] żółty smok bojowy pilotowany przez Dowodzącego Setką Horbana Geyrsofa.

Taje, Shamir, pierwszy radca – [WP, OP] przewodniczący Tajnej Rady cesarza Ternathii, praktycznie pełniący funkcję premiera Zindela chan Caliratha.

Taleena – [WP, OP] sokół wędrowny księcia koronnego Janakiego.

Targal, Raysith – [OP] żona „Kersaia” Targala.

Targal, Syrail – [OP] początkujący Głos, trzynastoletni syn „Kersaia” i Raysith Targal.

Targal, Syrail („Kersai”) – [OP] geolog pracujący dla Konsorcjum Fairnos, oddelegowany do wszechświata Thermyn.

Tarka, Irnay – [OP] pracownik Kolei Trans-Temporalnych, oddelegowany do pracy we wszechświecie Karys.

Tarku, Charak – [WP] arpathiański palacz Hardara Jalkanthiego.

Taymish, Gahlreen – [WP] Dyrektor Naczelny Kolei Trans-Temporalnych.

Thalmayr, Hadrign, Dowodzący Setką, Armia Unii Arkany – [WP, OP] dowódca, kompania C, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Tharsayl, Dalisar – [WP] szef zespołu wyznaczonego przez króla Shurkhal, Fyysela, do pomocy Shalassar

Kolmayr-Brintal i Thaminarowi Kolmayr.

Threbuch, Otwal, starszy miecznik, Armia Unii Arkany – [WP, OP] starszy miecznik batalionu, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska

Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Tiris, Rewelyn, lansjer, Armia Unii Arkany – [WP; OP] kompania C, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Toralk, Klayrman, Dowodzący Tysiącem, Siły Powietrzne Armii Arkany – [WP, OP] dowódca sił powietrznych pozostających pod komendą dwutysięcznika Harshu w ramach sił ekspedycyjnych.

Traith, Garmak, miecznik, Armia Unii Arkany – [WP] chirurg, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada

Rozpoznawcza.

Traygan, Rokam, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] Utalentowany Głos. Początkowo miał podjąć służbę w forcie kapitana Halifu, ale ostatecznie oddelegowany do zespołu dyplomatów prowadzących negocjacje z Arkanianami.

Tygrys Chmur – [OP] czerwony smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego Dwudziestoma Pięcioma Lirysa Urkorę.

Uderzenie Gromu – [OP] czarny smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego Setką Sahlisa Desmara.

Ula, Chairmok, kapitan – [WP] kapitan pasażerskiego parowca SC „Powiew”

Ulthar, Therman, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany – [WP, OP] dowódca trzeciego plutonu kompanii C, Drugiej Andarańskiej

Temporalnej Brygady Rozpoznawczej. Szwagier Dowodzącego Pięćdziesięcioma Halesaka.

Ulthar, Arylis – [OP] żona Dowodzącego Pięćdziesięcioma Ulthara.

Umani, Yaf – [WP, OP] Główny Głos sharoniańskiego Zarządu Portali. Urkora, Lairys, Dowodzący Dwudziestoma Pięcioma, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] pilot służący w Napadzie 3012., latający na czerwonym smoku bojowym Tygrysie Chmur.

Urlan, Gyras, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany – [OP] dowódca Siódmego Zydoru Ciężkich Dragonów.

Vankhal, Merissa, lady – [WP, OP] nauczycielka protokołu i dama dworu księżniczki Andrin. Vargan, Orkam, kapitan, Siły

Zbrojne Zarządu Portali – [OP] zastępca komendanta Fortu Salby, regimentarza chan Skrithika. Varkal, Daris, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii Arkany – [WP] pilot smoka transportowego Kła Niebios.

Varla, Erkam, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] podoficer stacjonujący w Forcie Ghartoun.

Vaynair, Dayr, Dowodzący Pięćmioma Setkami, Armia Unii Arkany – [OP] dowódca korpusu medycznego wchodzącego w skład sił ekspedycyjnych pod dowództwem dwutysięcznika Harshu.

Velvelig, Namir, regimentarz, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] komendant Fortu Ghartoun.

Verais, Kardan, podzbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [OP] żołnierz służący w Forcie Salby.

Vormak, Chul, miecznik, Armia Unii Arkany – [WP] chirurg, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Vos i mul Gurthak, Nith, Dowodzący Dwoma Tysiącami, Armia Unii Arkany -[WP, OP] komendant znajdującego się we wszechświecie Erthos Fortu Talon. Dowódca dziewięciowszechświatowego okręgu wojskowego biegnącego od wszechświata Esthiya do Mahrithy. Członek kast shakira i multhari.

Vos Dulainah, Halathyn, magister -[WP] należący do kasty shakira magister magii teoretycznej. Były wykładowca i szef wydziału w Akademii Mythal Fallus. Założyciel i kanclerz Instytutu Magicznego Garth Showma.

Vos Hoven, Bok, lansjer, Armia Unii Arkany – [WP] Obdarzony shakira, inżynier bojowy, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Biygada Rozpoznawcza.

Vuras, Selan, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali [OP] dowódca plutonu piechoty stacjonujący w Forcie Salby.

Wilkoń, Samari – [WP] Utalentowany Głos, oddelegowany przez Yafa Umaniego do towarzyszenia Halidarowi Kinshe w podróży do Shurkhal.

Wiltash, Linar – [WP] osobista sekretarka Jali Kavilkana.

Wilthy, Erdar, lansjer, Armia Unii Arkany – [WP] pierwszy pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

Worka, Sylair, Dowodzący Setką, Armia Unii Arkany – [OP] dowódca kompanii brawo 901. Brygady Lekkiej Kawalerii.

Zguba z Nieba – [OP] żółty smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego Dwudziestoma Pięcioma Sherlahka Mankahra.

Yanamar, Alazon – [WP, OP] osobisty Głos cesarza Zindela chan Caliratha.

Yar, Delokahn, podkapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP, OP] Utalentowany Uzdrowiciel pod komendą Balkara chan Tesha.

Yorhan, Nairdag, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii Arkany – [OP] pilot służący w 3012. Napadzie, latający na żółtym smoku bojowym Ostrze Wichru.

Yoritam, Hersal – [OP] cywilny Głos z Zarządu Portali, obsługujący w Karys ekipę budowlaną Olvyra Banelui.

**[WP] postać pojawia się we „Wrotach
piekieł”.**

**[OP] postać pojawia się w „Ogniach
piekieł”.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/